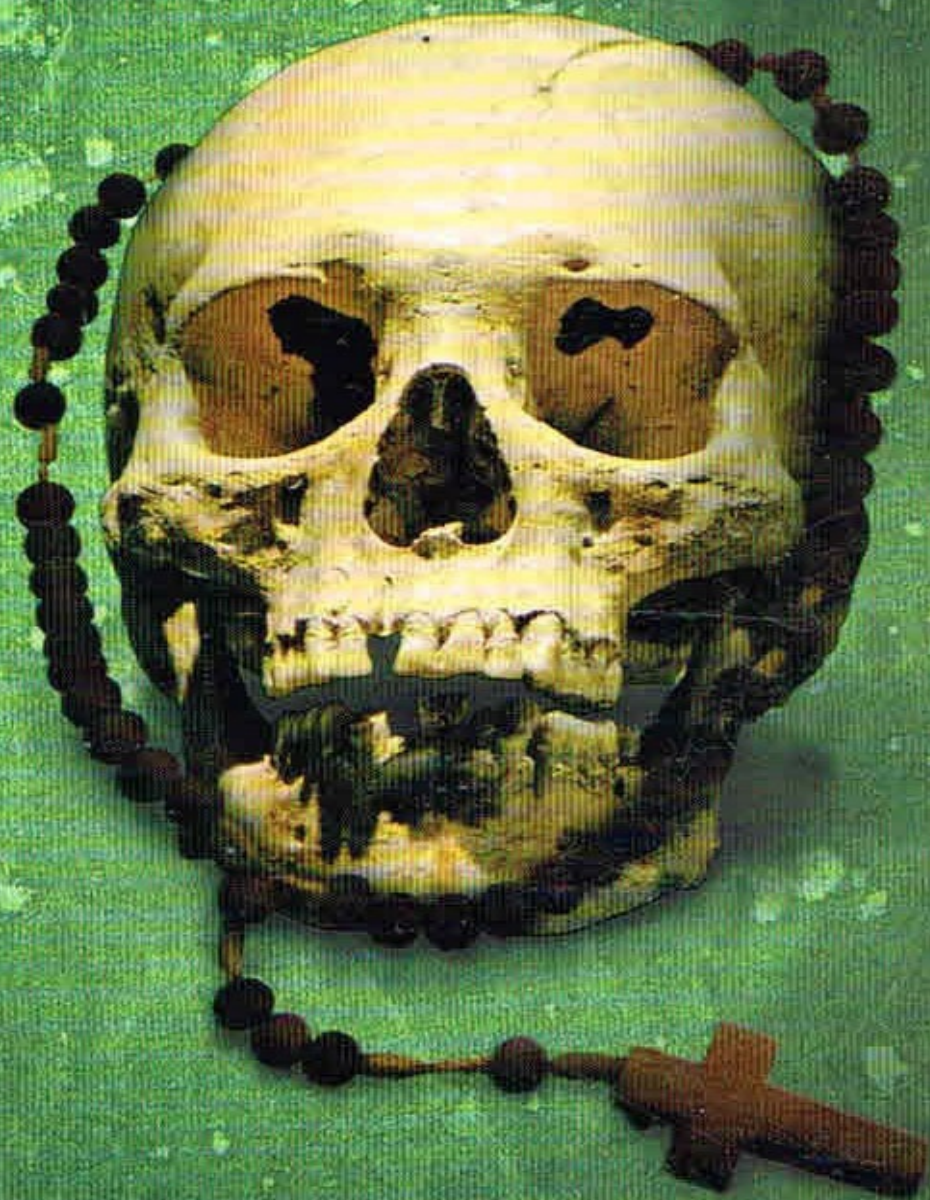


MICHAEL
BYRNES



SANETE KOSCI

SPIS TREŚCI

TYTUŁOWA

PROLOG

. 1 .

. 2 .

. 3 .

. 4 .

. 5 .

. 6 .

. 7 .

. 8 .

. 9 .

. 10 .

. 11 .

. 12 .

. 13 .

. 14 .

. 15 .

. 16 .

. 17 .

. 18 .

. 19 .

. 20 .

. 21 .

. 22 .

. 23 .

. 24 .

. 25 .

. 26 .

.27.
.28.
.29.
.30.
.31.
.32.
.33.
.34.
.35.
.36.
.37.
.38.
.39.
.40.
.41.
.42.
.43.
.44.
.45.
.46.
.47.
.48.
.49.
.50.
.51.
.52.
.53.
.54.
.55.
.56.
.57.
.58.

. 59 .

. 60 .

. 61 .

. 62 .

. 63 .

. 64 .

. 65 .

. 66 .

. 67 .

. 68 .

. 69 .

. 70 .

. 71 .

PODZIĘKOWANIA

TYŁOWA

MICHAEL BYRNES

ŚWIĘTE KOŚCI

(THE SACRED BONES)

SONIA DRAGA: 2007

TŁUMACZENIE: EWA BORÓWKA

PROLOG

LIMASSOL, CYPR KWIECIEŃ 1292

Jakub de Molay stał przy wschodnim oknie kwadratowej wieży cytadeli Kolossi i wpatrywał się w otwartą przestrzeń Morza Śródziemnego. Jego biała opończa i gęsta kasztanowa broda trzepotały pod ciepłym powiewem wiatru. Choć dobiegał już pięćdziesiątki, jego królewskie rysy - długi nos, przenikliwe szare oczy, masywne czoło i żłobione kości policzkowe - wyglądały zaskakująco młodzieńczo. Krótko ostrzyżone włosy były gęste i poprzetykane siwizną. Choć nie sięgał wzrokiem brzegów Ziemi Świętej, mógłby przysiąc, że czuje słodką woń drzew eukaliptusowych.

Minął prawie rok, odkąd pod naporem egipskich mameluków upadła Akka, ostatni bastion krzyżowców we wschodnim Królestwie Jerozolimskim. Krwawe oblężenie trwało sześć tygodni, aż wreszcie ówczesny wielki mistrz, Wilhelm de Beaujeu, odrzucił miecz i ku potępieniu swoich ludzi wycofał się spod muru cytadeli. Wilhelm odpowiedział: *Je ne m'en-fuit pas... Je suis mort.* - „Ja nie uciekam. Ja umieram”. Po czym uniósł zakrwawioną rękę, pokazał im tkwiącą głęboko w boku strzałę i upadł, by nigdy już nie powstać.

Jakub zastanawiał się, czy śmierć Wilhelma była zapowiedzią dalszego losu samego zakonu.

- *Monsieur* - odezwał się jakiś głos.

Jakub odwrócił się w stronę młodego skryby stojącego u szczytu schodów.

- *Oui?*

- Mistrz może cię przyjąć - obwieścił chłopak.

De Molay skinął głową i podążył za nim w głąb zamku. Gdy szedł kamiennymi schodami, z każdym krokiem było słychać brzęk kolczugi ukrytej pod jego opończę. Skryba zaprowadził go do kamiennej, sklepionej komnaty, gdzie pośrodku łoża leżał wynędzniały Tibald de Gaudin, nowo wybrany wielki mistrz. Stęchłe powietrze cuchnęło zapuszczonym ciałem.

De Molay starał się nie skupiać wzroku na rękach de Gaudina, kościstych i pokrytych otwartymi ranami. Twarz mistrza wyglądała równie potwornie - była trupio blada, a z zapadniętych oczodołów wзираły żółtawe oczy.

- Jak się czujesz, panie? - próba przybrania kordialnego tonu zabrzmiała mało przekonująco.

- Mniej więcej tak jak wyglądam - mistrz kontemplował krzyż pattee, który zdobił opończę tuż nad sercem de Molaya.

- Dlaczego mnie wezwałeś? - bez względu na swoje nieszczęśliwe położenie wielki mistrz był przede wszystkim rywalem de Molaya.

- Musimy wspólnie się zastanowić, co będzie po mojej śmierci - głos de Gaudina zabrzmiał skrzekliwie. - Musisz wiedzieć o paru rzeczach.

- Wiem jedynie, że nie pozwalasz powołać nowej armii i odzyskać tego, co utraciliśmy - odpowiedział wyzywająco de Molay.

- Dajże spokój, Jakubie. Ty znów swoje? Papież nie żyje i wraz z nim umarła jakakolwiek nadzieja na kolejną krucjatę. Sam przyznasz, że nie zdołamy przetrwać bez poparcia Rzymu.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości.

Mikołaj IV, pierwszy w historii Kościoła katolickiego papież franciszkanin i stronnik templariuszy, na próżno usiłował uzyskać poparcie dla kolejnej wyprawy krzyżowej. Zwoływał synody, które miały służyć zjednoczeniu templariuszy i joannitów. Zebrał środki na wyposażenie dwudziestu okrętów, a w poszukiwaniu sojuszników wysłał swoich emisariuszy do samych Chin. Sześćdziesięcioczworoletni papież zmarł nieoczekiwanie w Rzymie zaledwie kilka dni wcześniej.

- W Rzymie panuje przekonanie, że śmierć Mikołaja nie była przypadkowa - de Gaudin mówił teraz konspiracyjnym tonem.

Twarz de Molaya stężała.

- Jak to?

- Papież był bez wątpienia oddany Kościołowi - ciągnął de Gaudin. - Przysporzył sobie jednak wielu wrogów, zwłaszcza we Francji - wielki mistrz z trudem uniósł rękę. - Jak wiesz, król Filip podejmuje drastyczne środki, aby sfinansować swoje kampanie militarne. Aresztuje Żydów, aby przejąć ich majątki, a na francuskie duchowieństwo nałożył pięćdziesięcioprocentowy podatek. Papież Mikołaj sprzeciwiał się tym praktykom.

- Nie twierdzisz chyba, że Filip zlecił jego morderstwo?

Wielki mistrz zakasłał w rękaw. Kiedy go odsunął, na tkaninie widniały plamy krwi. - Chcę jedynie, byś wiedział, że Filip pragnie zawładnąć Rzymem. Kościół musi teraz się zmierzyć ze znacznie poważniejszym problemem. Jerozolima będzie musiała poczekać.

De Molay zamilkł na dłuższą chwilę, po czym jego wzrok powędrował z powrotem w stronę de Gaudina. - Wiesz przecież, panie, co spoczywa pod fundamentami Świątyni Salomona. Jak możesz to lekceważyć?

- Jesteśmy tylko ludźmi. To co tam spoczywa, Bóg jeden chroni. Tylko głupiec mógłby sądzić, że mieliśmy na to jakikolwiek wpływ.

- Skąd ta pewność?

De Gaudin zdobył się na słaby uśmiech.

- Czy muszę ci przypominać, że przez całe stulecia przed naszym przybyciem do Jerozolimy wielu innych walczyło o to, by chronić te tajemnice? Odegraliśmy tylko niewielką rolę w obronie tego dziedzictwa, ale jestem pewien, że nie będziemy ostatni - mistrz zawiesił głos. - Znam twoje zamierzenia. Jesteś człowiekiem wielkiej woli. Ludzie cię słuchają. I kiedy odejdę, z pewnością będziesz usiłował postawić na swoim.

Czyż nie taka jest nasza powinność? Czyż nie to ślubowaliśmy przed Bogiem?

Pewnie tak, ale być może należy ujawnić to, co ukrywaliśmy przez te wszystkie lata.

De Molay pochylił się nad wynędzniałą twarzą wielkiego mistrza.

- Takie odkrycie zniweczyłoby wszystko, co już wiemy!

- A w zamian można by się dowiedzieć czegoś ciekawszego - głos de Gaudina przeszedł w szept. - Nie poddawaj się zwątpieniu, mój

przyjacielu. Odłóż miecz.
- Za nic.

. 1 .

JEROZOLIMA CZASY WSPÓŁCZESNE

Salvatore Conte nigdy nie pytał klientów o motyw. W czasie licznych misji nauczył się zachowywać spokój i nie rozpraszać się. Tego wieczoru było jednak inaczej. Dręczył go niejasny niepokój. Antycznymi uliczkami przemieszczało się ośmiu mężczyzn ubranych na czarno i uzbrojonych w lekkie karabiny XM8 firmy Heckler & Koch wyposażone w granatniki i magazynki na 100 nabojów. Każdy z mężczyzn stąpających bezszelestnie po bruku śledził otoczenie za pomocą gogli noktowizyjnych. Czuli, jak wokół nich unosi się duch dziejów.

Conte wysunął się na czoło i gwałtownym ruchem ręki nakazał zająć pozycje.

Wiedział, że jego ludzie obawiają się nie mniej niż on sam. Choć nazwa „Jerozolima” oznaczała pierwotnie „Miasto Pokoju”, w istocie charakter tego miejsca określały niepokoje społeczne. Każda cicha uliczka coraz bardziej zbliżała ich do podzielonego serca miasta.

Mężczyźni, z których każdy przybył z innego europejskiego kraju, zebrali się dwa dni wcześniej w mieszkaniu w zacisznej części dzielnicy żydowskiej z widokiem na plac Batei Makhase. Lokum wynajęto na jeden z licznych pseudonimów Contego - Daniel Marrone.

Po przybyciu do miasta Conte wcielił się w turystę, aby się zaznajomić z siecią krętych uliczek i przesmyków okalających położony w samym środku Starego Miasta prostokątny dziedziniec o powierzchni trzydziestu pięciu akrów - rozległy kompleks wałów i murów oporowych sięgających trzydziestu dwóch metrów, który niczym olbrzymi monolit wyrasta płasko ze stromego zbocza góry Moria. Arabskie *Haram esz-Szarif*, zwane także Czcigodnym Dziedzińcem - obszar, o który z pewnością stoczono najwięcej walk na świecie - był znany lepiej pod nazwą Wzgórze Świątynne.

W miejscu, gdzie powierzchnia dachów ustępowała strzelistej zachodniej wieży, Conte wysunął dwóch ludzi na czoło. Umieszczone na murze reflektory rzucały długie cienie. Ludzie Contego z łatwością mogli się wtopić w strefę mroku. Był on także sprzymierzeńcem żołnierzy Sił Obronnych Izraela.

Z powodu niekończącego się sporu między Żydami i Palestyńczykami Jerozolima stała się najściślej strzeżonym miastem na świecie. Conte wiedział jednak, że w armii izraelskiej aż się roi od poborowych - nastoletnich chłopców pragnących jedynie wypełnić obowiązek trzyletniej służby i nie mogących się równać z jego zaprawioną w boju ekipą.

Patrzył badawczo przed siebie; za sprawą gogli noktowizyjnych cienie przybrały niesamowity zielony odcień. Droga była wolną, tylko w odległości około pięćdziesięciu metrów kręciło się dwóch żołnierzy, uzbrojonych w karabiny M16 i ubranych w przydziałowe oliwkowe mundury, kamizelki kuloodporne oraz czarne berety. Obaj palili najpopularniejsze w Izraelu, a zdaniem Contego najbardziej obrzydliwe papierosy marki time lite.

Wystarczył rzut oka na usytuowaną wysoko przy zachodniej ścianie platformy Bramę Gnojną, planowane miejsce przekroczenia muru, by Conte wywnioskował, że nie sposób niepostrzeżenie dostać się na Wzgórze Świątynne.

Przesunął palcami po lufie, ustawił XM8 na pojedynczy strzał i umieścił broń na lewym ramieniu. Za pomocą czerwonego lasera namierzył pierwszy zielony cień; celował w głowę, kierując się rozżarzoną końcówką papierosa. Wprawdzie tytanowe pociski przeniknęłyby kewlarową kamizelkę żołnierza, ale Conte wychodził z założenia, że celowanie w tułów to żadna przyjemność - nie wspominając już o celności.

Jeden strzał. Jedna ofiara.

Palcem wskazującym delikatnie wcisnął spust.

Broń odpowiedziała stłumionym hukiem i lekkim szarpnięciem. Conte dostrzegł, jak pod jego ofiarą uginają się kolana.

Celownik przesunął się na drugiego mężczyznę.

Zanim drugi żołnierz SOI zdołał pojąć, co się stało, Conte oddał

kolejny strzał. Pocisk wbił się w twarz mężczyzny i przeszył mózg.

Conte zobaczył, jak żołnierz upada, i znieruchomiał z palcem na spuście. Zapadła cisza.

Zawsze zdumiewało go to, jak bardzo symboliczna jest wartość słowa „obronny” - wystarczy jeden wyraz, by zapewnić ludziom pozorne poczucie bezpieczeństwa. Choć możliwości militarne jego własnego kraju były śmiechu warte, on sam czuł, że w pewien sposób wyrównuje tę stratę.

Kolejnym gwałtownym gestem ręką wprowadził ludzi na pochylnię prowadzącą do Bramy Gnojnjej. Po lewej stronie zauważył otuloną nasypem Ścianę Płaczu. Dzień wcześniej Conte ze zdumieniem obserwował tłum ortodoksyjnych żydów - mężczyzn i oddzielone przepierzeniem kobiety - gromadzących się tu i oplakujących zburzenie starożytnej świątyni, która według ich tradycji stała niegdyś w tym miejscu. Po prawej stronie znajdowała się niewielka dolina wypełniona odkopanymi fundamentami, najstarszymi ruinami w Jerozolimie.

Dostępu do platformy broniła solidna żelazna brama z zasuwą. Otwarcie zamka wytrychem nie zajęło im nawet piętnastu sekund i już po chwili ludzie Contego wtargnęli przez łukowate wejście i rozpierzchli się po szerokiej esplanadzie.

Mijając przylegający do południowej ściany Wzgórza Świątynnego potężny meczet Al-Aksa, Conte skierował wzrok na centralny punkt esplanady, gdzie tuż za wysokimi cyprysami, na podwyższeniu, stała druga, znacznie większa budowla, zwana meczetem, zwieńczona złocącą kopułą jaśniejącą niczym aureolą na nocnym niebie. Kopuła Skały - ucieleśnienie roszczeń islamu do Ziemi Świętej.

Conte poprowadził grupę w stronę południowo-wschodniego narożnika esplanady. Za znajdującym się tam szerokim wjazdem ciągnęły się w dół współcześnie zbudowane schody. Conte rozsunął palce odzianej w rękawiczkę prawej dłoni i czterech mężczyzn znikło pod powierzchnią placu. Następnie gestem nakazał dwóm pozostałym, by przykucnęli w cieniu pobliskich drzew i zabezpieczali wejście.

Z każdym kolejnym krokiem w głąb korytarza powietrze stawało się

coraz wilgotniejsze, aż nagle poczuli zimny powiew i w nozdrza uderzyła ich woń omszałych murów. Zgromadziwszy się u podnóża schodów, zaświecili przymocowane do broni halogenowe lampy. Snopy czystego jaskrawego światła przecięły mrok i odkryły przepastne sklepienie wnętrza z połączonymi łukami filarami, ustawionymi wzdłuż regularnych alejek.

Conte przypomniał sobie, że czytał, iż w dwunastym wieku to podziemne pomieszczenie służyło krzyżowcom jako stajnia. Jego ostatni gospodarze, muzułmanie, niedawno przekształcili je w meczet, ale typowo islamskie elementy wystroju nie zdołały zatrzeć osobliwego podobieństwa tego miejsca do stacji metra.

Conte skierował strumień światła wzdłuż wschodniej ściany pomieszczenia i z zadowoleniem dostrzegł dwa brązowe płócienne worki, które obiecywał mu miejscowy łącznik.

- Gretner - zwrócił się do trzydziestopięcioletniego wiedeńczyka, specjalisty od materiałów wybuchowych. - Coś dla ciebie.

Austriak zajął się torbami.

Conte zarzucił karabin na ramię, wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru i włączył kieszonkową latarkę. Mapa wskazywała dokładne położenie tego, co polecono im zdobyć (Conte nie przepadał za słowem „kradzież” - podważało jego profesjonalizm). Omiótł ścianę snopem światła.

- Chyba jest tuż przed nami - Conte mówił zaskakująco płynną angielszczyzną. Ponieważ chciał, by wymiana informacji była sprawna i nie wzbudzała podejrzeń miejscowych, nalegał, by zespół porozumiewał się wyłącznie w języku angielskim.

Wsunął latarkę między zęby i wolną ręką odpiął przymocowane na pasku elektroniczne urządzenie do pomiarów Tru-Laser marki Stanley. Wcisnął przycisk na klawiaturze, uruchamiając niewielki wyświetlacz i cienką wiązkę podczerwieni, która wnikała głęboko w mrok. Zaczął posuwać się naprzód, a jego drużyna zwartym szykiem podążyła za nim.

Poruszał się w poprzek komnaty, lawirując między masywnymi kolumnami. W głębi pomieszczenia zatrzymał się nagle, sprawdził dane na wyświetlaczu i zaczął błądzić wokół czerwonym punktem, aż

trafił na południową ścianę meczetu. Odwrócił się w stronę ściany północnej, skierowanej do wnętrza Wzgórza Świątynnego.

- Zdaje się, że cel naszej wyprawy jest tuż za tą ścianą.

. 2 .

Salvatore Conte postukał w wapienną ścianę. - Co o tym myślisz? Klaus Gretner odłożył płócienne worki, odpiął zamocowane na pasku przenośne urządzenie ultradźwiękowe i przystawił je do ściany, by zmierzyć jej gęstość. Kilka sekund później na wyświetlaczu pojawił się wynik pomiaru.- Jakież pół metra.

Conte wyjął z pierwszego worka sporej wielkości ręczną nawiertnicę - model BHI 822 VR firmy Flex, jaki sobie zażyczył - z przykręconą do uchwyty diamentową głowicą o średnicy osiemdziesięciu dwóch milimetrów. Narzędzie błysnęło w świetle latarki; wyglądało na zupełnie nowe. Conte podał je Gretnerowi.

- Sądzę, że przewiercisz tym bez trudu. W ścianie jest mnóstwo szczelin - powiedział i wskazał na mur. - Kable i rozgałęźnik są w worku. Ile ładunków?

- Skała nie jest twarda. Wystarczy sześć.

Conte wyjął z drugiej torby pierwszą kostkę C4 i zaczął formować walce z szarawego gumowatego materiału wybuchowego. Tymczasem Austriak wiercił otwory w zaprawie łączącej elementy muru.

Dziesięć minut później wetknęli do szczelin sześć kształnych ładunków i podłączyli do nich zdalnie detonowane zapalniki.

Gretner przetarł nawiertnicę i rzucił ją pod ścianę. Następnie cała grupa schroniła się za kolumnami i założyła maski przeciwgazowe.

Gretner posługując się ręcznym detonatorem, wywołał jednoczesną eksplozję ładunków.

Rozległ się ogłuszający huk, po czym w powietrze wystrzelił gruz i kłęby pyłu.

Conte wyjął kilka luźnych cegieł, by poszerzyć wyłom po wybuchu, i wspiął się przez ziejący otwór. W ślad za nim podążyli pozostali.

Znaleźli się w kolejnej komnacie; elementy wystroju przysłaniała chmura pyłu. Dało się jedynie wyróżnić potężne kamienne filary wspierające obniżone sklepienie. Mimo masek gazowych oddychanie sprawiało im trudność - powietrze było rozrzedzone i przesiąknięte oparami cyklo-nitu, którego zapach przypominał olej silnikowy.

Conte pomyślał, że najwyraźniej miejsce to było zaplombowane od bardzo, bardzo dawna, i przez krótką chwilę zastanawiał się, skąd jego klient w ogóle wiedział o jego istnieniu. Wreszcie gwałtownie odwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

- Daj mi lampę.

Zagłębili się w mrok, a snopy światła omiotły rząd dziesięciu prostokątnych przedmiotów spoczywających na posadzce pod boczną ścianą komnaty. Każdy z nich miał kremową barwę, długość około dwóch trzecich metra i lekko zwężał się ku dołowi.

Uważnie badając znaleźiska, Conte zatrzymał się przy końcu rzędu i ukląkł, aby lepiej im się przyjrzeć. Wybór odpowiedniego przedmiotu okazał się łatwiejszy, niż sądził. Tylko na jednym wyłobiono ozdobne wzory. Conte przechylił głowę, aby obejrzeć lewą ściankę skrzynki, i porównał wyryty symbol z obrazem na kserokopii wyjętej z kieszeni. Jak dwie krople wody.

- Jesteśmy w domu - obwieścił i upchnął papiery do kieszeni. - Do roboty - wiedział, że choć znajdują się głęboko pod Wzgórzem Świątynnym, odgłos eksplozji przedostał się poza mury.

Gertner podszedł bliżej.

- Wygląda na ciężką.

- Powinna ważyć jakieś trzydzieści trzy kilogramy - tak się złożyło, że jego klient wiedział nawet to. Conte powstał z kucek i odsunął się.

Gretner zawiesił karabin na ramieniu i rozłożył na posadzce sieć z nylonowych pasów, po czym wraz z pomocnikiem podniósł skrzynię z podłogi i przeniósł ją na taśmy.

- Zabierajmy się stąd - Conte skinieniem ręki dał sygnał do odwrotu.

Ponownie przedarli się przez otwór po wybuchu i znaleźli z powrotem w meczecie. Zanim się wspięli na schody, Conte pozbiierał wszystkie maski przeciwgazowe i wepchnął je do torby.

Po wyjściu na esplanadę bacznie rozejrzał się wokół i upewnił się, że jego dwóch wartowników nadal zajmuje bezpieczne stanowiska w cieniu drzew. Dał im znak i obaj mężczyźni puścili się biegiem w stronę bramy.

Pozostali zgromadzili się na placu.

Kilka chwil później w otworze Bramy Gnojnej pojawiły się zarysy postaci wartowników, którzy natychmiast zostali zmuszeni do odwrotu, gdy z położonego poniżej placu dobiegła kanonada z broni automatycznej.

Cisza.

Odległe krzyki i następna seria strzałów.

Conte pokazał reszcie, by pozostali na miejscach, a sam podbiegł do bramy i zbliżywszy się do wylotu, padł na ziemię. Wyglądając zza węgła, przekonał się, że w okolicy aż się roi od izraelskich żołnierzy i policjantów - blokowali przejścia przy Ścianie Płaczu. Ktoś musiał znaleźć ciała żołnierzy SOI albo usłyszeć wybuch.

Izraelczycy siedzieli przyczajeni i czekali na ich ruch. Na Wzgórzu Świątynne prowadziły też inne wejścia i Conte gorączkowo rozważał alternatywną strategię, ale był pewien, że SOI wysłały posiłki także do pozostałych bram. Tylko patrzeć, jak się wedrą na platformę.

Wiedział, że wyjazd wynajętą furgonetką zaparkowaną w dolinie Cedronu nie wchodzi już w grę. Wycofał się z okolic bramy i dał znak wartownikom, by wrócili z nim do reszty grupy.

Przebiegając obok meczetu, zerwał z paska szyfrujący nadajnik radiowy.

- Alfa i, zgłoś się. Odbiór. Tylko zakłócenia.

Conte odsunął się od blokującej sygnał ściany meczetu.

- Alfai?

Na tle szumów ledwie dał się słyszeć urywany głos.

Conte przerwał, wciskając przycisk nadajnika.

- Jeśli mnie słyszysz, zarządzam zmianę planu. Jesteśmy pod ostrzałem - po czym podniesionym głosem wyraźnie wyrecytował kolejny rozkaz. - Zabierzcie nas z południowo-wschodniego narożnika esplanady na Wzgórzu Świątynnym, tuż przy meczecie Al-Aksa. Odbiór.

Przerwa.

Znów zakłócenia.

- Tu Roger. Zaraz będę - zatrzeszczał cichy głos. - Odbiór.

Conte stłumił westchnienie ulgi. Na nocnym niebie, tuż nad rozpościerającym się na południu poszarpanym łańcuchem górskim,

wypatrzył ciemny kształt.

Śmigłowiec zbliżał się w szybkim tempie.

Conte przestawił XM8 na tryb automatyczny i uruchomił granatnik, a pozostali poszli jego śladem. Wiedział, że Izraelczycy z obawy przed zniszczeniem tego świętego miejsca powstrzymają się przed silnym ostrzałem. Jego ludzie nie byli jednak równie szlachetni.

- Musimy ich sprzątnąć i oczyścić teren - rozkazał Conte. Na jego znak najemnicy uformowali regularny szyk i prezentując broń, pospieszyli w kierunku bramy.

Uwagę Izraelczyków odciągnął furkot śmigła; wielu spoglądało w niebo na czarny kształt, który prędko obniżał lot i sunął w stronę Wzgórza Świątynnego.

Conte i jego ludzie zajmujący ocienione pozycje na murze oporowym zasypali żołnierzy gradem pocisków. W ciągu kilku sekund ośmiu upadło. Pozostali rozpierchli się po otwartym placu w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Tymczasem z wąskich uliczek prowadzących z dzielnic żydowskich i muzułmańskich wysypały się posiłki.

Nagle z za południowo-wschodniego narożnika wzniesienia wyłonił się Black Hawk, śmigłowiec izraelskich sił powietrznych. Przybrany w pustynne barwy, chwilowo zmylił żołnierzy SOI znajomymi oznaczeniami. Jednak Conte dostrzegł także grupę ludzi, którzy w poszukiwaniu najdogodniejszych pozycji manewrowali w pobliżu południowo-wschodniego narożnika placu. Nagle stojący tuż obok niego Doug Wilkinson, zabójca z Manchesteru, wzdrygnął się gwałtownie i upuściwszy karabin, kurczowo złapał za ramię.

Conte przesunął palec na drugi spust, wycelował poniżej w grupkę żołnierzy i wypalił. Granat, który błyskawicznie wystrzelił z nasadki, pozostawił za sobą splot dymu i pomarańczowych iskier, aż wreszcie wybuchł, wyrzucając w powietrze kawałki skał. W ślad za nim posypały się kolejne pociski. Wywołały równie silne eksplozje i zmusiły Izraelczyków do gorączkowego odwrotu.

Śmigłowiec był już bardzo blisko; łopatkami wirnika wzbijały tumany pyłu. Odbił się od powierzchni placu i osiadł obok meczetu Al-Aksa.

- Na pokład! - krzyknął Conte, machając ręką w stronę śmigłowca. -

Załadować towar!

Cofając się od bramy, po drugiej stronie Wzgórza Świątynnego wypatrzył w cieniu cyprysów następnych żołnierzy SOI, szybko otaczających teren wokół wzniesienia z Kopułą Skały.

Niewiele brakowało, pomyślał.

Skrzynka w mig wylądowała na pokładzie śmigłowca, a ludzie Contego wdrapali się za nią. Wreszcie on sam wskoczył na pokład, kuląc się pod powiewem wirników.

Black Hawk pod gwałtownym ostrzałem wystartował i oderwał się od Wzgórza Świątynnego. Kierując się na południowy zachód, przemknął wzdłuż dna Doliny Terebintu i przemierzył surowy obszar pustyni Ne-gew. Tor lotu śmigłowca przebiegał znacznie poniżej zasięgu radarów, ale dzięki zastosowaniu najnowocześniejszej technologii kamuflażu helikopter nawet na większych wysokościach był praktycznie nie do wytropienia.

Po kilku minutach ich oczom ukazały się światła palestyńskich osiedli w Strefie Gazy. Wkrótce plaże Gazy ustąpiły ciemnej tafli Morza Śródziemnego.

Osiemdziesiąt kilometrów od izraelskiego wybrzeża, w miejscu określonym przez współrzędne zaprogramowane w komputerze pokładowym, zakotwiczone zbudowany na zamówienie dwudziestometrowy jacht motorowy Hinckley. Pilot naprowadził śmigłowca nad rufę jachtu, powoli obniżył pułap i zawisł nieruchomo.

Ostrożnie opuszczono skrzynię na ręce załogi jachtu, a następnie członkowie grupy kolejno zsunęli się po linie. Wilkinson mocno przycisnął do boku ranną rękę, gdy Conte przypinał go do liny. W gruncie rzeczy rana była stosunkowo niegroźna. Kiedy Wilkinson znalazł się na pokładzie jachtu, przyszła kolej na Contego.

Pilot włączył tryb zawisu w autopilocie i ewakuował się z kabiny. Po drodze przekroczył ciała dwóch izraelskich pilotów, którzy kilka godzin wcześniej, pozostając w błogiej nieświadomości, że w tyle ukrywa się ich uzbrojony po zęby następca, wyruszyli z bazy lotniczej Sde Dov na rutynową misję patrolową wzdłuż egipskiej granicy.

Gdy pasażerowie wraz z ładunkiem znaleźli się na pokładzie,

uruchomiono silniki i statek, stopniowo nabierając tempa, ruszył z miejsca. Conte załadował kolejny granat i namierzył śmigłowiec w odległości pięćdziesięciu metrów. Już ułamek sekundy później supernowoczesne cudo amerykańskiej techniki wojskowej rozpadło się na strzępy. Nocne niebo rozświetliła kula ognia.

Jacht przyspieszył, osiągnął stałą prędkość dwudziestu dwóch węzłów i skierował się na północny zachód przez niespokojne wody Morza Śródziemnego.

Tej nocy walka była skończona. Zgodnie z przewidywaniami Contego Izraelczycy byli całkowicie nieprzygotowani na zorganizowany, podstępny atak. Krwawe starcie pociągnęło za sobą wiele ofiar a to oznaczało, że honorarium Contego właśnie poszło w górę.

. 3 .

PONIEDZIAŁEK TRZY DNI PÓŹNIEJ TEL AWIW

Kapitan linii lotniczych El Al ogłosił, że podchodzi wreszcie do lądowania na międzynarodowym lotnisku Ben Guriona. Razak ben Ahmed ben al-Tahini patrzył przez okno, jak Morze Śródziemne ustępuje pustynnym krajobrazom roztaczającym się pod lazurowym niebem. Dzień wcześniej odebrał niepokojący telefon. Nie usłyszał żadnych szczegółów; dowiedział się jedynie, że Waqf, muzułmańska rada strzegąca Wzgórza Świątynnego, pilnie wzywa go do Jerozolimy z prośbą o pomoc w pewnej delikatnej sprawie.

- Proszę pana - dobiegł go łagodny głos.

Razak odwrócił się od okna i spojrzał na młodą stewardesę w granatowym kostiumie i białej bluzce. Jego wzrok przykuł znaczek El Al wpięty do klapy uniformu - skrzydlata gwiazda Dawida. W języku hebrajskim „El Al” oznacza „ku niebu”. Kolejne przypomnienie, że władza Izraela nie ogranicza się do terytorium lądowego.

- Proszę ustawić fotel w pozycji pionowej - poprosiła uprzejmie. - Za kilka minut lądujemy.

Razak wychował się w Damaszku, stołecznym mieście Syrii, i był najstarszy z ośmiorga rodzeństwa. Dorastał w rodzinie o silnych więzach i często wyręczał matkę w niektórych obowiązkach domowych, ponieważ ojciec, przedstawiciel ambasady syryjskiej, stale podróżował. To z jego pomocą Razak rozpoczął karierę polityczną jako mediator między zwaśnionymi odłamami islamu: sunnitami i szyitami, a następnie kontynuował ją w całym świecie arabskim. Po ukończeniu studiów politologicznych w Londynie powrócił na Bliski Wschód. Zakres jego obowiązków poszerzył się teraz o udział w misjach dyplomatycznych ONZ oraz pośrednictwo w kontaktach między europejskimi i arabskimi biznesmenami.

Już od niemal dekady mocno się angażował w najbardziej skomplikowane problemy islamu, dzięki czemu stał się - nieco wbrew własnej woli - wpływową postacią świata polityki. Oszczercze skojarzenia z fanatyzmem i działaniami terrorystycznymi oraz pęd ku globalizacji sprawiły, że we współczesnym świecie coraz trudniej było utrzymać wizerunek islamu jako sfery sacrum. I choć Razaq, podejmując się tego zadania, chciał się skoncentrować na religijnych aspektach islamu, szybko jednak się przekonał, że nie sposób oddzielić ich od czynników politycznych.

Teraz, gdy miał czterdzieści pięć lat, obowiązki zaczęły dawać o sobie znać. Na jego skroniach przedwcześnie pojawiły się pierwsze siwe pasma, które rozprzestrzeniały się po gęstych czarnych włosach, a wyraz jego ciemnych, pełnych powagi oczu świadczył o permanentnym zmęczeniu. Jako osoba średniego wzrostu i przeciętnej budowy, nie skupiał na sobie uwagi otoczenia, ale jego talent dyplomatyczny z pewnością robił na wielu osobach ogromne wrażenie.

Niemalę wyrzeczenia osobiste rychło przekształciły jego młodzięczy idealizm w umiarkowany cynizm. Nieustannie wspominał mądre słowa, które usłyszał od ojca, gdy był małym chłopcem: *Świat jest bardzo skomplikowany, Razaqu, i niełatwo go pojąć. Aby w nim przetrwać - ojciec wskazał jakiś punkt w oddali - nie wolno ci poświęcać ducha, ponieważ to jest coś, czego nie odbierze ci żaden człowiek ani żadne miejsce. To twój najcenniejszy dar od Allaha... a to, co z nim uczynisz, jest twoim darem dla Niego.*

Gdy Boeing 767 wylądował, myśli Razaqa popłynęły w kierunku zagadkowego starcia, do którego doszło trzy dni wcześniej na Starym Mieście w Jerozolimie. Świat obiegły doniesienia o ostrej wymianie ognia, do której doszło w piątek na Wzgórzu Świątynnym. Choć przyczyny walk wciąż pozostawały niejasne, wszystkie relacje potwierdzały, że wrogowie o jak dotąd nieznaną tożsamość zastrzelili trzynastu żołnierzy Sił Obronnych Izraela.

Razaq wiedział, że nieprzypadkowo poproszono go o pomoc w tej sprawie.

Gdy zdejmował walizkę z przenośnika taśmowego na lotnisku,

rozległ się sygnał dźwiękowy z jego zegarka. Razak ustawił go tak, by pięć razy dziennie wydawał różne dźwięki.

Wpół do trzeciej.

Wstąpił do łazienki, gdzie zgodnie z rytuałem obmył twarz, ręce i kark, a znalazłszy czyste miejsce na terenie hali, odstawił walizkę. Ponownie zerknął na zegarek i odczytał dane z GPS-u. Niewielka strzałka na tarczy wskazała kierunek Mekki.

Uniósł ramiona, dwukrotnie wyrecytował: *Allah akbar*, a następnie skrzyżował ręce na piersiach i rozpoczął jedną z pięciu codziennych modlitw obowiązkowych dla wyznawców Islamu.

„Zaświadczam, że nie ma Boga oprócz Allaha”, wymamrotał cicho, padając na kolana i kłaniając się pokornie. Modlitwa dawała ukojenie w otaczającym go zgiełku i sprawiała, że łatwiej było mu się pogodzić z ustępstwami, których wymagano od niego w imię islamu.

Pogrążony w głębokiej medytacji, zagroził drogę grupie turystów z Zachodu. Przyglądali mu się bezceremonialnie. Dla wielu mieszkańców współczesnego świata żarliwe modły stanowiły pewnego rodzaju egzotykę. Razak nie był zaskoczony, że widok Araba w garniturze, klęczącego pokornie przed Niewidzialnym, budzi taką ciekawość większości ludzi niebędących wyznawcami islamu. Już dawno temu pogodził się z tym, że pobożność bywa kłopotliwa i niewygodna.

Kiedy skończył, wstał i zapiał górny guzik jasnej marynarki.

Dwóch izraelskich żołnierzy spoglądało na niego z pogardą, gdy zmierzał w stronę wyjścia. Gapili się na jego walizkę na kółkach, jakby co najmniej przewoził w niej pluton. Razak wiedział, że to oznaka typowych dla tego miejsca napięć na znacznie szerszym tle, i postanowił ich zignorować.

Przed halą lotniska powitał go przedstawiciel Waqf - młody, wysoki mężczyzna o orientalnych rysach - który zaprowadził go do białego mercedesa 500.

- *As-salam alajkum.*

- *Wa-alajkum as-salam* - odparł Razak. - Jak tam w domu, Akilu, wszyscy zdrowi?

- Tak, dziękuję. To dla nas zaszczyt gościć pana ponownie, sir. Akii

odebrał walizkę i otworzył tylne drzwi. Razak zanurzył się w klimatyzowane wnętrze samochodu, a młody Arab zajął miejsce za kierownicą.

- Za niecałą godzinę powinniśmy być w Jerozolimie.

Zbliżywszy się do wysokiego, antycznego, wapiennego muru okalającego Starą Jerozolimę, kierowca skręcił na parking i zajął zarezerwowane miejsce. Resztę drogi musieli przejść pieszo, ponieważ Stare Miasto o niezwykle wąskich uliczkach było na ogół zamknięte dla ruchu kołowego.

Przed Bramą Jaffy uzbrojeni po zęby żołnierze SOI zapędzili Razaka i kierowcę do długiej kolejki. U wylotu bramy poddano ich drobiazgowej kontroli osobistej, a bagaż Razaka został przeszukany i prześwietlony za pomocą przenośnego urządzenia rentgenowskiego. Następnie nadeszła kolej na szczegółową weryfikację ich danych osobowych i wreszcie przeszli przez bramkę detekcyjną. Przez cały ten czas śledziły ich obiektywy kamer umieszczonych wysoko na pobliskim słupie.

- Tak źle jeszcze nie było - zauważył Akii, odbierając walizkę od Razaka. - Jeszcze dojdzie do tego, że w ogóle przestaną nas wpuszczać.

Przeszli przez wąski tunel w kształcie litery L - pozostałość sprzed wieków, zbudowany w celu spowolnienia ataku wroga - i znaleźli się w ruchliwej dzielnicy chrześcijańskiej. Pokonując strome brukowane uliczki prowadzące do dzielnicy muzułmańskiej, Razak wdychał bogatą woń pobliskiego *suku*: zapach świeżego chleba, pikantnych mięs, tamaryndowca, węgla drzewnego i mięty. Dojście do stromych schodów przy Via Doloro-sa wiodących do usytuowanej na wzniesieniu północnej bramy Wzgórza Świątynnego zajęło im piętnaście minut. Czekala ich tam kolejna, ale już nie tak dokuczliwa kontrola bezpieczeństwa SOI.

Gdy Akii prowadził go rozległą esplanadą Wzgórza Świątynnego, Razak słyszał donośne krzyki demonstrantów zebranych przy Ścianie Płaczu. Choć nie sięgał tam wzrokiem, wiedział, że licznie zgromadzeni policjanci jerozolimscy wspomagani posiłkami SOI usiłują powstrzymać napierający tłum. Próbował odciąć się od

niepokojących odgłosów i skupić na imponującej górskiej panoramie roztaczającej się ze szczytu Wzgórza Świątynnego.

- Gdzie zaplanowano spotkanie? - zapytał.

- Na drugim piętrze budynku Kopuły Wiedzy.

Razak odebrał swój bagaż, podziękował Akilowi i zostawiwszy go przy wolno stojących arkadach, skierował się w stronę przysadzistego dwupiętrowego budynku stojącego między Kopułą* Skały a meczetem Al-Aksa.

Wszedłszy przez drzwi po północnej stronie, wspiął się po schodach i podążył wąskim korytarzem. Dotarł do zamkniętego pokoju, z którego dobiegały głosy oczekujących go członków Waqf.

Wewnątrz, wokół masywnego stołu z drewna tekowego, zebrało się dziewięciu Arabów, w średnim wieku i starszych. Niektórzy mieli na głowach tradycyjne chusty, *kefije*, i nosili garnitury, inni wybrali turbany i barwne tuniki. Kiedy Razak wszedł do pokoju, zapadła cisza.

Siedzący u szczytu stołu wysoki brodaty Arab wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

Razak zbliżył się do niego i podał mu dłoń. - *As-salam alajkum*.

- *Wa-alajkum as-salam* - odpowiedział z uśmiechem mężczyzna. Faruk ben Alim Abd al-Rahmaan al-Dżamir był niewątpliwie indywidualnością. Choć nikt nie znalazł jego dokładnego wieku, większość ludzi trafnie stawiała na sześćdziesiąt kilka lat. Jego przejrzyste szare oczy zdradzały ciężar wielu tajemnic, ale i świadczyły o wielkiej nieufności. Lewy policzek przecinała szeroka blizna, którą nosił z dumą, jako pamiątkę z pola bitwy. Jego zęby były nienaturalnie symetryczne i białe; bez wątplenia miał protezę.

Odkąd w trzynastym wieku muzułmanie odzyskali władzę nad Wzgórzem Świątynnym, to święte miejsce pozostawało pod pieczęcią Waqf, który powoływał naczelnego nadzorcę - „Strażnika”. Ten obowiązek - rozpatrywanie wszystkich spraw związanych ze świętym wzgórzem - spoczywał teraz na Faruku.

Gdy usiedli, Faruk przypomniał Razakowi nazwiska zgromadzonych, po czym natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego wezwałem was tak

niespodziewanie - Faruk powiódł wzrokiem po słuchaczach, stukając długopisem o gładką powierzchnię stołu. - Każdy z was wie, co się wydarzyło w ostatni piątek.

Służący pochylił się nad Razakiem i nalał mu korzennej arabskiej kawy.

- Sprawa jest wielce kłopotliwa - ciągnął Faruk. - Późnym wieczorem grupa ludzi włamała się do meczetu Al-Marwani. Posłużyli się materiałami wybuchowymi, by się przedostać do ukrytego pomieszczenia za tylną ścianą.

Razaka szczególnie zaniepokoiło to, że przestępstwa dokonano w piątek, gdy muzułmanie z całej Jerozolimy gromadzą się na Wzgórzu Świątynnym, aby odprawiać modły. Być może sprawcy chcieli zasiać strach wśród społeczności muzułmańskiej. Razak usadowił się wygodnie i próbował dojść, kto mógł być na tyle zuchwały, by sprofanować tak święte miejsce. - O co im chodziło? - Powoli napił się kawy, wdychając woń kardamonu.

- Zdaje się, że zrabowali artefakt.

- Jaki artefakt? - Razak oczekiwał odpowiedzi wprost.

- Dojdziemy do tego - odparł lekceważąco Faruk.

Szkoda, że nie gra w otwarte karty, pomyślał Razak nie po raz pierwszy.

- Czyli mamy do czynienia z zawodowcami?

- Na to wygląda.

- Czy wybuchy naruszyły konstrukcję meczetu?

- Na szczęście nie. Natychmiast porozumieliśmy się z inżynierem budowlanym. Zdaje się, że jak dotąd zniszczenia objęły tylko ścianę.

Razak zmarszczył brwi.

- Wiadomo, kto to był? Faruk pokręcił głową.

- Mówię wam, że to Izraelczycy! - wybuchnął jeden z nestorów. Zadrżał z oburzenia i teatralnie wydał dolną wargę.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Mężczyzna uciekł spojrzeniem i już bez emocji opadł z powrotem na krzesło.

- Nie byłbym taki pewien - wtrącił stanowczo Faruk. - Chociaż naoczni świadkowie rzeczywiście twierdzą, że złodzieje wykorzystali do transportu izraelski Black Hawk.

- Co takiego? - Razak nie wierzył własnym uszom. Faruk przytaknął skinieniem głowy.

- Śmigłowiec zabrał ich z placu przed meczetem Al-Aksa.

- Czy to nie jest strefa ograniczona? - Jak najbardziej.

Choć Razak się do tego nie przyznał, wiadomość, że ktoś zdołał przeprowadzić podobną operację, zwłaszcza w Jerozolimie, zrobiła na nim wrażenie.

- Jak to możliwe?

- Nie znamy szczegółów - długopis Faruka ponownie zaczął uderzać o blat stołu. - Wiemy jedynie, że kilka minut po napadzie widziano śmigłowiec nad Strefą Gazy. Czekamy na pełny raport SOI. Nie zapominajmy jednak, że w ataku zginęło trzynastu Izraelczyków, a wielu innych zostało rannych - przypomniał Faruk członkom zgromadzenia. - Mówimy o policjantach i żołnierzach SOI. Sądzić, że to Izraelczycy ponoszą odpowiedzialność... nie, póki co to nie ma większego sensu. Odezwał się kolejny nestor.

- Sytuacja jest bardzo złożona. Nie ma wątpliwości, że kradzieży dokonano na naszym obszarze administracyjnym. Jednak to, że zginęło tylu żołnierzy SOI, ma istotne znaczenie - rozłożył bezradnie ręce i zamilkł na chwilę. - Izraelczycy zgodzili się nie nagłaśniać sprawy, ale poprosili, byśmy w ramach współpracy dzielili się z nimi wszelkimi informacjami ujawnionymi w wewnętrznym śledztwie.

Razak ujął czarkę i podniósł wzrok.

- Jak rozumiem, policja wszczęła już wstępne dochodzenie?

- Oczywiście - wtrącił Faruk. - Zjawili się parę minut po całym zajściu. Sęk w tym, że póki co nie przedstawili żadnego ostatecznego dowodu. Podejrzewamy, że ukrywają istotne fakty. Właśnie dlatego cię wezwaliśmy. Konfrontacja jest chyba nieunikniona.

- Gdyby... - zaczął Razak.

- Mamy mało czasu - przerwał apodyktycznie kolejny członek Waqf, mężczyzna o gęstych srebrzystych włosach. - Obie strony obawiają się, że niebawem media zaczną samodzielnie wyciągać wnioski. Wszyscy wiemy, jak to się skończy - powiódł poważnym wzrokiem wokół stołu w poszukiwaniu aprobaty. - Wiesz przecież, jak delikatna jest nasza rola tu, w Jerozolimie. Widzisz, co się dzieje na ulicach.

Ludzie liczą na naszą ochronę - wysunął palec wskazujący i dwukrotnie postukał nim w stół. - Nie wiadomo, jak zareagują. W odróżnieniu od większości z nas - spojrzął na zapalczego starca, wciąż jeszcze purpurowego ze złości - uznają, że to dzieło Izraelczyków.

Znów przerwał mu Faruk.

- Chyba nie muszę dodawać, że Hamas i Hezbollah tylko czekają, żeby skrytykować za to Żydów - jego twarz pociemniała. - Proszę, żebyśmy pomogli udowodnić winę Izraelczykom i tym samym przyspieszyć wyzwolenie Palestyny.

Sytuacja wyglądała znacznie gorzej, niż Razak podejrzewał. Stosunki między Izraelczykami i Palestyńczykami były już bardzo napięte. W ostatnich latach zarówno Hamas, jak i Hezbollah uzyskały niemałe wsparcie, jeśli chodzi o sprzeciw wobec okupacji izraelskiej, a to zajęcie z pewnością uwiarygodniło ich program polityczny. Razak wolał nawet nie myśleć o poważniejszych konsekwencjach, które wcale nie były wykluczone. Waqf znalazł się teraz w bardzo niepewnej i zdaniem Razaka niesłychanie delikatnej sytuacji politycznej.

- Czego więc ode mnie oczekujecie? - zapytał, spoglądając kolejno na zebranych.

- Ustalenia, kto zrabował relikwię - odparł łagodnie jeden ze starców. - Musimy się dowiedzieć, kto popełnił ten czyn, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Nasi ludzie zasługują na wyjaśnienia, dlaczego ktoś z premedytacją sprofanował tak święte miejsce.

W rozbrzmiewającej ciszy Razak usłyszał przez okno szydercze, przytłumione głosy demonstrantów dobiegające jakby spod ziemi. *

- Zrobię, co trzeba - zapewnił zebranych. - Najpierw muszę zobaczyć to miejsce.

Faruk wstał od stołu.

- Pójdę z tobą.

. 4 .

WATYKAN

Charlotte Hennesey zmagiała się z bezlitosną ośmiogodzinną różnicą czasu. Nie pomogły jej w tym nawet trzy filiżanki porannego espresso. Znajdowała się w gościnnym apartamencie i zgodnie z poleceniem czekała na wezwanie. W porównaniu z warunkami, w jakich podróżowała z Phoenix do Rzymu - limuzyna i miejsca w pierwszej klasie - kwatera w watykańskim hotelu, Domus Sanctae Marthae, była dość ascetyczna. Białe ściany, proste dębowe meble, łóżko i nocny stolik, choć trzeba przyznać, że przynajmniej miała do dyspozycji własną łazienkę i niewielką lodówkę.

Siedząc przy nasłonecznionym oknie, spoglądała na chaotyczne skupisko pokrytych dachówką zabudowań zachodniego Rzymu. Ponieważ już w samolocie skończyła powieść, którą wzięła ze sobą - *Święty być może* Annę Tyler - teraz musiała się zadowolić anglojęzycznym wydaniem „L’Os-servatore Romano”. Przeczytawszy gazetę od deski do deski, westchnęła, odłożyła ją i spojrzała na stojący na nocnej szafce cyfrowy budzik - 3:18.

Zależało jej, by jak najszybciej przystąpić do pracy, ale zastanawiała się, czemu miała służyć obecność amerykańskiej specjalistki od genetyki. Charlotte, jako szefowa pionu badań i rozwoju w firmie BioMapping Solutions, spotykała się na co dzień z przedstawicielami koncernów farmaceutycznych i biotechnologicznych, które dążyły do zastosowania w swoich badaniach najnowszych odkryć związanych z ludzkim genomem.

Evan Aldrich, założyciel BMS i jej przełożony, prawie dwa tygodnie wcześniej odebrał telefon od duchownego z Watykanu, niejakiego Patricka Donovana. Gdy usłyszał propozycję kapłana, polecił usługi Charlotte w ramach tego wielce tajemniczego projektu. Tylko wyjątkowe zadania mogły odciągnąć Evana Aldricha od pracy, zwłaszcza jeśli miał oddelegować do ich wykonania swoją najlepszą

badaczkę.

Najwidoczniej z takim właśnie zadaniem miała do czynienia. Charlotte była wysoką, zgrabną trzydziestodwulatką o pięknych szmaragdowozielonych oczach i gładkiej opalanej twarzy, którą okalały sięgające ramion, kręcone kasztanowe włosy. Ze względu na rzadkie połączenie intelektu i wdzięku dostąpiła zaszczytu reprezentowania w charakterze rzeczniczki branży opanowanej przez sędziwych uczonych. Genetyka człowieka była często błędnie rozumiana i niezmiennie budziła kontrowersje. Ponieważ firma BMS intensywnie promowała swoją najnowszą metodę mapowania genów, pozytywny wizerunek publiczny był dla niej bardzo ważny.

Ostatnimi czasy Charlotte uzupełniła swój wachlarz zdolności o talenty medialne - występowała w programach informacyjnych i talk-show. Aldrich powiedział jej, że watykański duchowny wspominał, iż oglądał jeden z jej najnowszych wywiadów poświęcony dziedziczeniu mitochondriów DNA w linii żeńskiej, co skłoniło go do poproszenia ją o pomoc.

Jako że czas upływał jej zarówno na badaniach, jak i na kontaktach z mediami, była ciekawa, jaką rolę będzie odgrywać tym razem. Ostatecznie konserwatywny papież z pewnością nie należy do jej najbardziej zagorzałych zwolenników.

Jej myśli wróciły do osoby Evana Aldricha.

Dziesięć lat wcześniej w jego karierze dokonał się gwałtowny zwrot - porzucił ciepłą posadkę profesora genetyki na Harvardzie i wkroczył w nieprzewidywalny świat biznesu. I rozegrał to po mistrzowsku. Nie po raz pierwszy Charlotte rozmyślała, co nim powodowało. Na pewno nie pieniądze, choć po debiucie giełdowym BMS Evan zarabiał krocie. Tak naprawdę kierowało nim poczucie celu, przekonanie, że wykonywana praca i podejmowane decyzje rzeczywiście mają sens. Właśnie jego entuzjazm i autentyczna charyzma najbardziej jej się spodobały. Nie przeszkadzało też to, że jej zdaniem wyglądał jak gwiazdor filmowy.

Niemal rok wcześniej zaczęli się spotykać, mimo świadomości, że ów związek może wywołać potencjalne konflikty na tle zawodowym. Jeśli jednak teoria o dwóch połówkach jabłka była prawdziwa,

Charlotte miała pewność, że właśnie znalazła swoje dopełnienie. Czuła, że łączy się do niego w sposób beznadziejny, jakby kierowana nieuchronnymi prawami fizyki. Jeszcze cztery miesiące wcześniej wydawało się, że wszystko jest w idealnym porządku.

A potem los spłatał jej figła.

Coroczne rutynowe badania wykazały u niej nienormalnie wysoki poziom białka we krwi. Przeprowadzono dalsze badania, w tym bolesną biopsję szpiku kostnego. Wreszcie nadeszła druzgocąca diagnoza: *szpi-czak mnogi*.

Rak szpiku kostnego.

Początkowo była wściekła. W końcu niemal nie jadała mięsa, raczej stroniła od alkoholu i ćwiczyła jak najęta. To po prostu nie trzymało się kupy, zwłaszcza że czuła się wtedy jak okaz zdrowia.

To się jednak zmieniło. Zaledwie tydzień wcześniej w ramach pierwszej sesji chemioterapii zaczęła przyjmować niewielkie dawki melfalanu. Czuła się tak, jakby walczyła z permanentnym kacem uzupełnianym sporadycznymi falami nudności.

Nie miała serca powiedzieć o tym Evanowi. Przynajmniej na razie. Tymczasem on zaczął już mówić o wspólnej przyszłości, wspominał nawet o dzieciach. Teraz wydawało się, że plany wzięły w łeb, i ta świadomość ją przygniatała. Od kilku tygodni ogarniało ją coraz większe zniechęcenie. Uczciwość nakazywała jej wstrzymać się z podejmowaniem poważniejszych zobowiązań aż do momentu, gdy będzie wiedziała na pewno, że mieści się w grupie dziesięciu procent pacjentów, którzy zwalczają tę chorobę.

Z zadumy wyrwało ją dyskretne pukanie.

Czterema krokami pokonała odległość do drzwi, otworzyła je i zobaczyła łysego mężczyznę w okularach, jej wzrostu, o gładkiej jasnej cerze, ubranego w czarny garnitur i koszulę. Na oko uznała, że dobiega pięćdziesiątki lub niedawno ją przekroczył. Natychmiast rzuciła jej się w oczy biała koloratka.

- Witam, pani doktor. Ojciec Patrick Donovan - jego angielszczyzna była zabarwiona irlandzkim akcentem. Uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął do niej chudą rękę.

Mój watykański wielbiciel, pomyślała.

- Bardzo mi miło, ojcze.
- Dziękuję za cierpliwość. Proszę mi wybaczyć spóźnienie. Czy jest pani gotowa?
- Tak, oczywiście.

. 5 .

WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

Razak i Faruk stali na zasypanej gruzem posadzce meczetu Al-Marwani, głęboko pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego. Jak zaznaczył Strażnik, szkody były znaczne, ale groźba dalszych zniszczeń została zażegnana. Zamocowane na statywach reflektory oświetlały wykuty w tylnej ścianie ziejący otwór o średnicy około półtora metra. Na jego widok Razak poczuł bolesny skurcz żołądka. Po raz pierwszy był w tym miejscu u schyłku lat dziewięćdziesiątych. Wówczas jeszcze całe pomieszczenie, od posadzki po strop, wypełniał gruz. Jednak działo się to jeszcze, zanim rząd Izraela zezwolił Waqf na rozpoczęcie prac wykopaliskowych i renowacyjnych. W zamian żydowscy archeolodzy otrzymali zgodę na wykopaliska w rejonie tunelu przy Ścianie Płaczu - podziemnego przejścia ciągnącego się głęboko pod dzielnicą muzułmańską i łączącego położony na południu plac przy Murze Zachodnim z Via Dolorosa, biegnącą w północno-zachodniej części nasypu. Jak to zwykle bywa, ów kompromis nie obył się bez rozlewu krwi. W wyniku zamieszek między Palestyńczykami i Izraelczykami sprzeciwiającymi się rozpoczęciu prac wykopaliskowych zginęło ponad siedemdziesięciu żołnierzy i cywilów, w tym najbliższy przyjaciel Razaka, Galib, który ostro protestował przeciwko wydrążeniu tunelu pod jego domem, graniczącym z pozostałościami zachodniej ściany Wzgórza Świątynnego.

■\7

Niektórzy muzułmanie uparcie twierdzili, że to demon zwany dżinem celowo zasypał to podziemne pomieszczenie gruzem, aby utrudnić do niego dostęp. Teraz, gdy renowacja miała się ku końcowi, Razak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że czuje jego złowrogą obecność w jakimś ciemnym zakamarku.

Zbliżył się do wyłomu i przesunąwszy dłonią po jego poszarpanym brzegu, poczuł pod palcami lepki osad. Zajrzał do tajemnej komnaty,

w której prawie nie było widać gruzu.

Faruk dołączył do niego i wręczył mu kawałek cegły.

- Widzisz? - wskazał gładki łuk biegnący wzdłuż jednej z jej ścianek.
- Izraelczycy znaleźli porzucone przez złodziei wiertło, którym zrobiono szczeliny, aby je wypełnić materiałem wybuchowym.

Razak uważnie obejrzał cegłę.

- Jak to możliwe, że przemycili materiały wybuchowe do samego serca Jerozolimy, przez wszystkie punkty kontrolne?

- Materiały wybuchowe plus broń. Ci ludzie mają łeb na karku - Faruk pochylił się nad otworem i zerknął do wnętrza komnaty. - Nie chciałem wspominać o tym przy pozostałych, ale zdaje się, że pomagał im informator. Może jednak Żydzi mieli z tym coś wspólnego.

Razak był sceptyczny.

- Mówiłeś, że policja już to widziała, tak?

- Policja i wywiad SOI. Byli tu tuż po kradzieży, przez dobre dwa dni. Taka skrupulatność wcale nie zaskoczyła Razaka.

- Czekamy na pełny raport - dodał Faruk. - Jeszcze do nas nie dotarł. Obaj mężczyźni przedostali się przez wyłom.

Kolejne lampy na statywach rozświetlały wewnętrzną komnatę, wykutą w miękkim wapieniu góry Moria, z masywnymi filarami wspierającymi kamienny strop. Ściany były całkowicie pozbawione zdobień. W zastałym powietrzu nadal wyczuwało się woń materiałów wybuchowych.

Razak spojrzął na Strażnika.

- Czy wiedzieliście wcześniej o tej komnacie?

- Ależ skąd. Nasze wykopaliska ograniczały się do samego meczetu. Prace bez zezwolenia są surowo wzbronione.

Faruk nawet nie mrugnął, ale Razak doskonale wiedział, że jeśli mowa o wykopaliskach, w przeszłości Waqf pozwalał sobie na wiele.

Pod wschodnią ścianą Razak zauważył rząd kamiennych skrzyń z inskrypcjami w języku przypominającym hebrajski. Podszedł bliżej. Prostokątne wgłębienie w ziemi wskazywało, że dziesiątą skrzynię wyniesiono. Zbliżył się jeszcze bardziej.

Nieoczekiwanie z drugiej strony wyłomu rozległ się głos.

- Czy mogę panom przeszkodzić?

Razak i Faruk odwrócili się i zobaczyli zagląającego przez otwór mężczyznę w średnim wieku, dość pospolitej urody. Jego twarz o jasnej karnacji nosiła ślady poparzenia słonecznego i była zwieńczona płataniną niesfornych brązowych włosów.

- Przepraszam, czy znają panowie angielski? - nieznajomy mówił z wytwornym angielskim akcentem.

- Owszem - Razak w okamgnieniu znalazł się przy wyłomie.

- Znakomicie - uśmiechnął się przybysz. - To nam ułatwi sprawę. Mój arabski trochę kuleje.

Faruk odepchnął Razaka na bok. - Kim pan jest?

- Nazywam się Barton - nieznajomy przeszedł przez otwór. - Graham Barton. Jestem...

Faruk zamachał gwałtownie wielkimi rękami.

- Jak pan śmie tu wchodzić? To święte miejsce!

Barton zamarł z zaskoczenia i wyglądał, jakby właśnie nastąpił na minę.

- Przepraszam. Jeśli panowie pozwolą...

- Kto pana wpuścił? - Razak stanął obok Faruka, aby zasłonić komnatę.

- Przysłał mnie komendant główny izraelskiej policji. Mam wam pomóc - wyjął pismo z nadrukiem departamentu policji.

- Anglik! - Faruk gestykułował zawzięcie. - Przysłali nam do pomocy Anglika! Wiadomo, jak to się kończy!

Ponieważ Barton pracując nad licznymi projektami, spędził sporo czasu w Izraelu, aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że w tym kraju Anglicy nadal się kojarzą przede wszystkim z nieudaną próbą kolonizacji w pierwszej połowie dwudziestego wieku, która jedynie pogłębiła niechęć Palestyńczyków do zachodniego świata. Zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Chyba nie muszę panu przypominać, że wstęp tutaj mają tylko muzułmanie? - zapytał ostrzegawczo Faruk.

- Niełatwo zaszufładować moje sympatie religijne - Barton był wyraźnie niezadowolony. Swego czasu regularnie uczęszczał na nabożeństwa anglikańskie odprawiane w kościele Świętej Trójcy

sąsiadującym z jego domem w londyńskim Kensington, ale to było dawno temu. Obecnie uważał się raczej za świeckiego wyznawcę, który stroni od zinstytucjonalizowanych form religijności, ale wciąż się stara badać żywione w głębi duszy przekonanie, że nad tym cudownym wszechświatem czuwa jakaś istota wyższa. Póki co te poszukiwania obejmowały elementy większości wyznań, w tym islamu, który darzył wielkim szacunkiem.

- Po co pan tu przyszedł? - naciskał Razak.

- Współpracuję z Izraelską Administracją Zabytków Starożytności.

Barton nie ustępował. Przeczuwał już, że popełnił fatalny błąd, przystając na tę współpracę. Gupik trafił do akwarium z piraniami. - Specjalizuję się w zabytkach Ziemi Świętej - raczej zabytkach biblijnych, pomyślał, ale w tej sytuacji lepiej było darować sobie szczegóły. - Jestem cenionym fachowcem w tej dziedzinie - raczej prawdziwym autorytetem, pomyślał znów. Ukończył Oxford, był naczelnym kustoszem Muzeum Londyńskiego, a jego życiorys przypominał powieść; nie wspominając już o tym, że kierował niezliczonymi wykopaliskami archeologicznymi na terenie Jerozolimy i w jej okolicach oraz regularnie publikował teksty w „Biblical Archaeology Review”. Tuż przed kradzieżą IAZS zaproponowała mu sowite honorarium za nadzorowanie potężnego projektu digitalizacji: skatalogowania zbiorów bezcennej kolekcji rozmieszczonej we wszystkich izraelskich muzeach. Zdrowy rozsądek podpowiedział mu jednak, że lepiej się nad tym nie rozwodzić.

- Nie obchodzą mnie pańskie kwalifikacje - powiedział lekceważąco Faruk.

- Właśnie widzę. Ale dzięki mnie możecie oszczędzić mnóstwo czasu - dodał Barton, ignorując jawną wrogość Strażnika. - Poza tym SOI i policja izraelska potwierdziły moją rolę. Podobno zgodziliście się na pełną współpracę, jeśli chodzi o ustalenie, co tu się właściwie wydarzyło. Mam list polecający - jego ton był już pewniejszy.

Faruk i Razak wymienili spojrzenia, nie kryjąc dezaprobaty wobec podstępnych metod stosowanych przez Izraelczyków.

- Podobno ten incydent ma coś wspólnego ze starożytną relikwią.

- Barton usiłował zajrzeć Razakowi przez ramię.

Muzułmanie wciąż jeszcze próbowali dojść do siebie po rym, co usłyszeli.

- Złodzieje musieli mieć bardzo precyzyjne informacje - ciągnął Barton - skoro znali dokładne położenie pomieszczenia, które jest tak dobrze ukryte pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego. Nie sądzicie, panowie?

- Proszę dać nam chwilę - Faruk podniósł palec i gestem nakazał archeologowi przejść z powrotem przez wybity w ścianie otwór.

Barton westchnął i wycofał się do meczetu. Skomplikowane miejscowe układy zaczynały go już drażnić. Razak odprowadził go wzrokiem.

- Dziwne. Ciekawe, czy...

- To skandal! - Faruk przysunął twarz do jego twarzy. Razak zniżył głos do szeptu.

- Czy Izraelczycy wspominali ci coś o tym?

- Nic podobnego. I nie pozwolę na to.

Razak wziął głęboki oddech. Wcale nie uśmiechało mu się, że ten cały Barton - najwyraźniej oddelegowany przez władze żydowskie - wkracza w tak poufne śledztwo. Ostatecznie policja i przedstawiciele SOI przez dwa dni badali miejsce zbrodni bez widocznych rezultatów. A teraz przysyłają kogoś z zewnątrz? Być może Barton nie ograniczy się do ponownego dochodzenia. Trudno przewidzieć, jakie mogą być ich zamiary. Z drugiej strony czas nie działał na korzyść Razaka, a jego wiedza na temat archeologii i zabytków była, ogólnie mówiąc, ograniczona.

Faruk przysunął się jeszcze bliżej.

- Co o tym sądzisz?

- Nie mamy zbyt dużo czasu. Skoro Barton twierdzi, że jest ekspertem...

- Podobno...

- To jasne, że Izraelczycy już wiedzą, co tu zaszło. Może Barton poda nam jakieś informacje, dzięki którym znajdziemy punkt wyjścia. Szybkie rozwiązanie tej sprawy jest w naszym wspólnym interesie.

Razak wbił wzrok w podłogę.

- Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć. Każdy musi udowodnić, że ma

charakter. Sam jesteś prawym człowiekiem, ale nie wszyscy są tacy jak ty. My dwaj mamy do siebie zaufanie, ale na tego Bartona musimy bardzo uważać - zaakcentował wypowiedź ostrzegawczym kiwnięciem palca.

Razak uniósł brew.

- To oczywiste, ale czy w ogóle mamy wybór?

Faruk zmierzył się z nim spojrzeniem i po chwili jego rysy wreszcie złagodniały.

- Może i masz rację - ustąpił, ale nie oszczędził sobie teatralnego westchnięcia. - Gdyby to tylko nie był Anglik - zmusił się do uśmiechu. - Weź ten list i sprawdź jego wiarygodność na policji, a dalej zrób, jak uważasz za stosowne. Na mnie już czas.

Gdy znaleźli się z powrotem w meczecie, Razak wziął list i polecił Anglikowi, by ten na niego poczekał, a sam odprowadził Faruka do schodów.

- Tylko nie spuszczaaj go z oczu - przypomniał Faruk, łypiąc nieprzyjaźnie na Bartona.

Razak zdjął marynarkę i poprosił Faruka, by zaniósł ją z powrotem do biura. Patrzył, jak Strażnik wchodzi po schodach i znika w słońcu.

Zakasał rękawy, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer komendanta izraelskiej policji, który podpisał list. Rozmowę dwukrotnie przełączano, po czym kazano mu czekać i uszczęśliwiono go banalną izraelską melodyjką z list przebojów. Obserwując Bartona chodzącego w kółko po meczecie Al-Marwani, kołysał się na piętach i próbował za wszelką cenę wygłuszyć przyprawiające o ból głowy dudnienie muzyki techno, co wymagało odsunięcia aparatu na odległość ręki. Po minucie usłyszał dwa charakterystyczne stuknięcia i przeciągły sygnał.

- Generał Topól, słucham - odezwał się mocny nosowy głos. Razak zrobił wszystko, co w jego mocy, aby pozbawić arabskiego odcienia swoją niemal doskonałą angielszczyznę.

- Nazywam się Razak ben Ahmed ben al-Tahini. Nadzoruję z ramienia Waqf śledztwo w sprawie incydentu na Wzgórzu Świątynnym.

- Spodziewałem się pańskiego telefonu - powiedział najwyraźniej

niewzruszony Topól między łykami przypalonej kawy z papierowego kubka. - Domyślam się, że chodzi o pana Bartona?

- Tak.

- Niezły jest... pracowaliśmy już z nim. Bardzo obiektywny gość. Razak darował sobie komentarz.

- Chcę pana powiadomić, że jego obecność nie została dobrze odebrana. Rozumiemy, że pański wydział musi wykonać swoje zadanie, ale pan Barton wszedł do meczetu bez upoważnienia.

- Przykro mi, że nie powiadomiliśmy was wcześniej - odpowiedział Topól, z trudem powstrzymując ziewanie. - Tak się jednak składa, że Graham Barton jest upoważniony do działania w naszym imieniu, co można wyczytać z listu, który ma przy sobie. Na pewno rozumie pan, że ze względu na charakter tego przestępstwa nasza rola w śledztwie powinna być równorzędna z waszą.

- Ale to archeolog, a nie śledczy - zaprotestował Razak. - Przecież policja izraelska sprawdziła już miejsce zbrodni.

- Jasne, nasi ludzie już tam byli - potwierdził Topól - ale zdaje się, że tym razem mamy do czynienia z zaginionym artefaktem. A my jesteśmy tylko policjantami. Nasza działka to kradzieże samochodów, włamania, morderstwa. Na artefaktach się nie znamy. Uznaliśmy więc, że wiedza archeologiczna Bartona może tylko przysłużyć się śledztwu.

Razak nie odpowiedział. Często wybierał milczenie zamiast dyskusji. W trakcie negocjacji przeciwnik niejednokrotnie zdradzał istotne informacje tylko po to, by wypełnić ciszę. Ta chwila pozwoliła mu rozważyć argument Topola. Chyba miał sporo racji.

Policjant zniżył głos i odezwał się konspiracyjnym tonem.

- Sądzę, że obaj musimy odstawić na bok dzielące nas różnice, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

- Nam też na tym zależy. Czy możemy mieć pewność, że do momentu zakończenia śledztwa nie będzie żadnych przecieków?

- Macie moje słowo. Potrzeba nam szybkiego, pokojowego rozwiązania tej sprawy. Plotki rozchodzą się lotem błyskawicy. Wkrótce możemy mieć na głowie znacznie poważniejszy problem.

- Rozumiem.

- Życzę powodzenia. Połączenie zostało przerwane.

Razak podszedł do Anglika, który stał z założonymi z tyłu rękami w pobliżu wyłomu i pogwizdując, podziwiał efektowne wnętrze meczetu Al-Marwani. Barton odwrócił się do niego.

- Wszystko gra?

Razak przytaknął i wyciągnął rękę.

- Mam na imię Razak.

. 6 .

WATYKAN

Charlotte Hennesey i ojciec Donovan doszli do końca słabo oświetlonego korytarza, dwukrotnie zeszedli po krętych schodach i znaleźli się w nowoczesnym holu. Przemierzyli przestrzeń wyłożoną białymi marmurowymi płytami, minęli odlane z brązu popiersie Jana Pawła II i wyszli z budynku prosto na jaskrawe popołudniowe słońce. Charlotte przywykła do suchego pustynnego klimatu Phoenix, a w Rzymie upałam towarzyszyła nieznośna wilgotność powietrza. No i te watykańskie przepisy dotyczące ubioru: ręce, ramiona i nogi muszą być stale zakryte. Żadnych szortów ani koszulek bez rękawów. Zasady jak w szkole średniej; mogła zapomnieć o bluzkach bez ramiączek lub z odsłoniętymi plecami. Przez kilka najbliższych dni czekały ją spodnie khaki i niewygodne bluzki z długimi rękawami, uszyte z materiału o bardzo gęstym splocie. Kiedy była u siebie, wieczory spędzała zazwyczaj w bikini na brzegu basenu przy domu wybudowanym w stylu hiszpańskim. Przynajmniej wtedy, gdy czuła się na siłach. Było raczej jasne, że tutaj nie może na to liczyć.

- Na pewno jest pani ciekawa, dlaczego ją tu zaprosiliśmy.

- Nie ukrywam, że to pytanie przeszło mi przez myśl - odpowiedziała uprzejmie.

- Watykan biegle porusza się w obszarze teologii i wiary - wyjaśnił kapłan. - Ale chyba nie zdziwi panią to, że mamy oczywiste braki, jeśli chodzi o nauki przyrodnicze - jego uśmiech nie krył autoironii.

- To całkowicie zrozumiałe - ujął ją łagodny charakter duchownego. Jego irlandzki akcent był na swój sposób kojący. Zwróciła też uwagę na nieustanną gestykulację, efekt wieloletniego kaznodziejskiego doświadczenia.

Przeszli przez Piazza Santa Marta i okrążyli absydy na tyłach bazyliki. Charlotte zachwycała się marmurową, zdobioną witrażami elewacją budynku.

- Ot, choćby moja skromna osoba - dodał Donovan. - *Prefetto di Biblioteca Apostolica Vaticana...* zabawne określenie naczelnego kustosa Biblioteki Watykańskiej. Moja domena to święte księgi i dzieje Kościoła. Muszę przyznać, że niewiele wiem o pani dziedzinie, ale kiedy zobaczyłem panią w telewizji, byłem pewien, że naprawdę będzie pani mogła mi pomóc przy projekcie, który mi zlecono.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale jestem zaskoczona, że moja dziedzina w ogóle interesuje przedstawiciela Watykanu.

- Tó fakt, wiele osób ma zastrzeżenia co do intencji genetyków. Ja jednak staram się podchodzić do tego bez zbędnych uprzedzeń.

- Miło mi to słyszeć - odparła z uśmiechem. - A co dokładnie mam badać?

Ksiądz nie odpowiedział od razu. Dopiero, gdy dwóch spacerujących duchownych oddaliło się na bezpieczną odległość, odezwał się cicho:

- Relikwię - chciał rozwinąć temat, ale zmienił zdanie. - Najlepiej będzie, jeśli zobaczy ją pani na własne oczy.

Skierowali się na północ wzdłuż Viale del Giardino Quadrato i przeszli przez porośnięte bujną roślinnością Ogrody Watykańskie, mijając Casi-no Piusa IV, wystawną neoklasyczną willę papieską z szesnastego wieku.

Prosta aleja biegła z tyłu siedziby Muzeów Watykańskich. Charlotte przypomniała sobie, że czytała, iż to właśnie tam, w byłym pałacu papieży epoki renesansu, mieści się obszerna kolekcja dzieł sztuk. To także miejsce, do którego przybywają niezliczone rzesze gości z całego świata, aby podziwiać najsłynniejszą watykańską atrakcję: Kaplicę Sykstyńską o ścianach pokrytych narracyjnymi freskami i sklepieniu ozdobionym malowidłami Michała Anioła.

Charlotte widziała wyraźnie, że ojciec Donovan nie jest jeszcze gotów do ujawnienia dalszych szczegółów. Choć chciała zapytać, dlaczego to bibliotekarz zajmuje się badaniami relikwii, postanowiła zmienić temat.

- To miejsce jest po prostu urocze - powiedziała na widok kwiatów, ozdobnych fontann i fantastycznych dzieł architektury renesansu. - Czuję się jak w bajce. Czy wy tu naprawdę mieszkacie?

- Naturalnie.

-1 jak to jest mieszkać w Watykanie? Kapłan spojrział na nią z uśmiechem.

- To taki mikrokosmos. Wszystko czego mi trzeba, mogę znaleźć w obrębie tych murów. W pewnym sensie to jak miasteczko akademickie.

- Poważnie?

Donovan wzniosł ręce do nieba.

- Oczywiście oprócz życia nocnego - powiedział rozbawiony. - Choć muszę przyznać, że mamy własne odpowiedniki korporacji studenckich.

Właśnie zbliżali się do muzealnego wejścia dla personelu. Mimo spacerowego tempa w ciągu niespełna dziesięciu minut przeszli jakieś sześćset metrów, a tym samym przemierzyli wszerz niemal całe państwo.

. 7 .

WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

Razak zaprowadził Anglika do wyłomu w ścianie i gestem polecił mu, by ten przeszedł przez otwór. Wkroczywszy do komnaty, Barton natychmiast omiół ją badawczym spojrzeniem. Razak wszedł za nim i zatrzymał się przy wyłomie. Mroczna atmosfera podziemia trochę zbijała go z tropu.

Barton w nagłym przyplýwie entuzjazmu natychmiast zaczął popisywać się erudycją.

- U schyłku pierwszego wieku przed naszą erą król Herod Wielki zlecił wybitnym architektom rzymskim i egipskim zaprojektowanie obszaru Wzgórza Świątynnego. To ogromne przedsięwzięcie wymagało skonstruowania potężnej platformy zbudowanej na litej skale w północnej części - wskazał ręką za plecami - i ciągnącej się na południe, gdzie u podnóża góry Moria postawiono rozległe mury oporowe - obrócił się i wskazał kierunek przeciwny. - Właśnie dlatego w południowej części platformy mogły się mieścić sklepienia pomieszczenia, takie jak to, które przekształcono w meczet Al-Marwani. A archeolodzy już od dawna spekulowali, że pod powierzchnią wzgórza znajdują się podobne wnętrza.

- Czy to znaczy, że Izraelczycy wiedzieli o istnieniu tego pomieszczenia?

Barton zdawał sobie sprawę, że Razak szuka podejrzanych, i wiedział, że musi być ostrożny. Choć uświadamiał sobie, że po przeprowadzeniu analiz termicznych izraelscy archeolodzy znaleźli pewne nieprawidłowości w warstwach podpowierzchniowych, był niemal pewien, że nie odkryli tej określonej komnaty. - Absolutnie nie. Jestem przekonany, że gdyby tak było, Waqf na pewno by o tym wiedział - widział wyraźnie, że Razak nie uwierzył w ani jedno jego słowo.

W centrum uwagi Bartona znalazły się teraz kamienne skrzynki.

Ukląkł, aby lepiej im się przyjrzeć. Przesuwając się od jednej do drugiej, czuł, jak z każdym nowym odkryciem narasta w nim podniecenie.

Tymczasem Razak wodził ciężkim wzrokiem po kamiennych ścianach.

- Wie pan już, co to za miejsce? Barton wstał i odetchnął powoli.

- Wygląda na to, że znajdujemy się w średniowiecznej krypcie żydowskiej.

Razak splótł ciasno ręce na piersi. Myśl, że znajduje się pośród śmierci i zbłąkanych dusz, jedynie wzmocniła jego złe przeczucia. I do tego jeszcze krypta żydowska! Wydawało mu się, że pomieszczenie momentalnie się skurczyło. Zrobiło mu się duszno.

-1 zdaje się, że pańscy złodzieje wypożyczyli sobie jednego ze stałych lokatorów - Barton przestąpił z nogi na nogę i wskazał prostokątne wgłębienie na końcu rzędu.

- Ale czy te skrzynki nie są zbyt małe jak na trumny?

- Już wyjaśniam - archeolog przerwał na chwilę, aby zebrać myśli. - Podczas pradawnego żydowskiego obrzędu pogrzebowego ciała zmarłych były obmywane i pokrywane kwiatami, ziołami oraz wonnościami, a także namaszczone olejkami. Następnie podwiązywano szczękę zmarłego, jak również jego kończyny w kolanach i łokciach, a na powiekach umieszczano dwie monety - przykrył dłońmi oczy. - Wreszcie całe ciało zawijano w płótno i okrywano całunem - Barton wiedział, że spreparowane ciało składano w długiej niszy zwanej *locutusem*. Tego elementu brakowało, ale odmienne wersje grobowców nie należały do rzadkości, zresztą nie chciał jeszcze bardziej zaciemniać sprawy.

Razak próbował określić na oko wewnętrzne wymiary skrzynki, ale za nic nie mógł dojść, jak takie ciasne naczynie mogło pomieścić ludzkie ciało. - Nadal nie rozumiem...

Barton uniósł dłoń.

- Cierpliwości - wtrącił łagodnie. - Żydzi wierzyli, że zmarły musi odkupić grzech, pozbyć się go w procesie rozkładu ciała. Rodzina czekała rok, a następnie wracała i umieszczała szczątki w świętej skrzyni zwanej ossuarium.

Razak spojrział na niego bez słowa. Muzułmańskie praktyki pogrzebowe - pochówek w ciągu dwudziestu czterech godzin w nowoczesnym grobowcu skierowanym w stronę Mekki - diametralnie różniły się od złożonych starożytnych obrzędów żydowskich.

- Rozumiem - powiedział, pocierając w zamyśleniu brodę.

- Taka forma pochówku była powszechna w tym regionie - ciągnął Barton - ale praktykowano ją przez bardzo krótki okres; mniej więcej od 12 roku przed naszą erą do 70 roku naszej ery. Dzięki temu nawet bez wymyślnych metod badawczych możemy trafnie oszacować wiek ossuariów. Jak pan widzi - wskazał rząd skrzyń - naczynia są wystarczająco obszerne, by pomieścić rozłożony szkielet.

- Dlaczego zachowywali kości? - Razak miał pewien pogląd na ten temat, ale wolał się upewnić.

- W starożytności Żydzi głęboko wierzyli w ostateczne zmartwychwstanie, zapoczątkowane wraz z nadejściem prawdziwego mesjasza.

Razak skinął głową. Ciała muzułmanów spoczywające w grobach także wyczekiwały Sądnego Dnia, co po raz kolejny uświadomiło mu liczne podobieństwa między judaizmem i islamem.

- To ten sam mesjasz - dodał Barton - który, jak wierzą Żydzi, odbuduje tam trzecią i ostatnią świątynię - wskazał w górę, w stronę placu na Wzgórzu Świątynnym.

- Pobożne życzenia - stwierdził wyzywająco Razak. Właśnie takiej reakcji spodziewał się Barton po muzułmaninie.

- Bądź co bądź, tak właśnie wyobrażano sobie przygotowania do tego dnia. Bez kości nie było szans na zmartwychwstanie.

- Czy ossuaria mają jakąś realną wartość?

- To zależy. Kamień musiałby być w idealnym stanie - Barton przyjrzał się pozostałym dziewięciu skrzyniom - i wygląda na to, że te naczynia są doskonale zachowane. Nie są popękane i każde ma pokrywę. Istotne mogą być też inskrypcje. Snycerz często opatrywał powierzchnię naczyń imieniem zmarłego. Zdarzały się również ozdobne wzory i sceny. Jeśli ryty są w nienaruszonym stanie, cena przedmiotu rośnie - Barton widział setki podobnych, często efektowniejszych skrzynek wydobytych w tym regionie. - Te ossuaria

wyglądają dość typowo.

- Ile wobec tego może być warta jedna sztuka? Barton zacisnął wargi.

- To zależy. Może sześć tysięcy funtów, może dziesięć tysięcy dolarów, oczywiście przy założeniu, że sprzedano by ją na rynku antyków. Sęk w tym, że relikwia prawdopodobnie nie należy do szczególnie unikalnych. Może i udałoby się ją sprzedać po wysokiej cenie, ale musiałaby być w idealnym stanie, a kupcem musiałby być zapalony kolekcjoner lub muzeum. Obecnie jednak muzea niechętnie patrzą na przedmioty pozyskane przez pośredników.

Razak zaczynał się już przyzwyczajać do angielskiego akcentu archeologa.

- Dlaczego?

- Cóż, najbardziej poszukiwane są artefakty o sprawdzonym pochodzeniu. Poważny nabywca musi mieć wystarczający dowód, że relikwię odkopano na terenie danego stanowiska archeologicznego, co potwierdza jej autentyczność. Wiek znaleziska można łatwo określić na podstawie towarzyszących jej przedmiotów, ewentualnie badań gleby. Wystarczy wyjąć przedmiot z ziemi i... - wzruszył ramionami.

Razak przykucnął. Chłonał każde słowo Bartona.

- Czyli w praktyce oznacza to... skoro wartość przedmiotu może zależeć od tego, na ile potwierdzone jest jego pochodzenie, to jest prawdopodobne, że skradzione ossuarium wcale nie ma dużej wartości rynkowej?

Barton skinął głową.

- Jak najbardziej. Wartość zależy też w dużej mierze od wiarygodności sprzedawcy. Jeśli przedmiot pochodzi z podejrzanego źródła, wartość ossuarium gwałtownie spada, co oznacza, że możemy wykluczyć możliwość, iż kradzieży dokonano na zlecenie muzeum lub znanego kolekcjonera - Barton spojrzał na siedzącego w kucki rozmówcę i zaczął się zastanawiać, czy sam może przykucnąć. Po chwili wahania postanowił jednak pozostać w pozycji stojącej. - Ewentualne skutki byłyby zbyt dotkliwe. Poza tym okazało się, że wiele relikwii wywiezionych z Izraela w ciągu ostatnich dwudziestu lat to falsyfikaty, co zresztą wyszło na jaw już po tym, jak europejskie

muzea nabyły je za niebotyczne sumy.

Razak podniósł wzrok.

- Czyli wystawienie ossuarium w galerii byłoby stratą czasu? Barton przytaknął.

Liczba ofiar śmiertelnych jakoś nie pasowała do wątpliwej wartości rynkowej relikwii.

- Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu i uciekać się do przemocy *tylko* po to, *żeby ukraść jedną* skrzynkę? - *zapytał Razak.* - *Dlaczego* nie wziął wszystkich?

- Słuszne pytanie - przyznał Barton. - Właśnie na nie musimy wspólnie odpowiedzieć. Będę musiał przeanalizować inskrypcje na skrzynkach i przyjrzeć się dokładnie kryptom. Może natrafię na jakiś trop związany z rodziną, którą tu pochowano. Wydaje mi się, że złodzieje dokładnie wiedzieli, które ossuarium wsiać, i nie przejmowali się tym, czy łatwo będzie potwierdzić jego pochodzenie. A to wyklucza poważnych archeologów, którzy raczej nie słyną z wpychania ładunków wybuchowych do otworów w murach.

Razak pozwolił sobie na uśmiech.

- Ile może ważyć taka skrzynia?

- Pewnie ze dwadzieścia dwa kilo, do tego dochodzą kości... w sumie jakieś trzydzieści pięć kilo.

- A jak przetransportowali coś takiego?

- Przypuszczam, że w standardowej skrzyni, porządnie zapakowane. Gdyby skrzynka miała wypłynąć z jednego z izraelskich portów, musiałaby przejść przez odprawę celną. A słyszałem, że od piątku cały ładunek *oczekujący na odprawę* *j^st skrupulatnie sprawdzany, sztuka po sztuce.* Nie ma szans, żeby skrzynka przeszła niezauważona.

- Najprawdopodobniej SOI zabezpieczyły po kradzieży wszystkie drogi - dodał Razak. - A to oznacza, że ossuarium nie zostało wywiezione z Izraela.

Barton spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- No dobrze, ale przecież policja sądzi, że złodzieje posłużyli się śmigłowcem?

Razak przytaknął.

- Tak utrzymują świadkowie.

- Może to oczywista, ale nie sądzi pan, że natychmiast wywieźli skrzynkę za granicę?

Razak miał niewyraźną minę. Jemu też przyszło to do głowy, ale nawet nie chciał brać pod uwagę takiej możliwości.

- Wszystko jest możliwe - myśl, że relikwia może znajdować się poza ich zasięgiem, działała zniechęcająco. To wykraczało poza typowy zakres jego obowiązków i Razak przeklinał w duchu Waqf, że wplątał go w całą tę historię. - Zdaje się, że zdaniem naocznych świadków wkrótce po kradzieży śmigłowiec pojawił się nad Strefą Gazy.

- O rany, no to kiepsko - powiedział Barton.

- Ano kiepsko - potwierdził ponuro Razak. - Chyba że uda się odnaleźć helikopter.

- Zawsze jest jakaś nadzieja, że ossuarium jest nadal w Izraelu - powiedział Barton.

Razak wstał i otrzepał spodnie z pyłu.

- Szczerze wątpię.

Wyczuwając przygnębienie muzułmańskiego oficjela, Barton postanowił uderzyć w inny ton.

- Nie znam się na kryminalistyce - powiedział - ale sądzę, że w ossuarium było coś jeszcze oprócz kości. Mogę się założyć, że złodzieje doskonale o tym wiedzieli - w odruchu przyjaźni położył dłoń na ramieniu Razaka. - Rozgryziemy to. Zrobię wszystko, żeby odszyfrować te inskrypcje - widząc, że jego gest jest nie w smak Razakowi, cofnął rękę.

- Ile czasu będzie pan potrzebował, panie Barton?

- Godzina powinna wystarczyć.

- Spotkajmy się rano - zaproponował Razak. - Polecę Akbarowi, jednemu z naszych ludzi z Waqf, by czekał przy wejściu. Sprowadzi pana na dół i będzie mógł pan zacząć pracę.

- Jak rozumiem, ma mnie pilnować. Razak zignorował tę uwagę.

- Proszę posłuchać. Nie mam do was żalu - Barton rozłożył ręce. - Wiem, że to święte miejsce. A ja nie jestem muzułmaninem.

Lepiej milczeć, niż wdać się w dyskusję, powtórzył w duchu Razak.

- O dziewiątej?

- Niech będzie.

Razak wyjął swoją wizytówkę.

- To na wypadek, gdyby chciał pan się ze mną skontaktować.

Barton spojrział na kartonik. Tylko imię, nazwisko i numer telefonu.

- Dzięki. Atak między nami, panie Razak... Nie miesza się do polityki. Jestem archeologiem. Proszę pamiętać, że jestem tu po to, by wam pomóc. W piątek zamordowano trzynaście osób i jestem pewien, że tropy z tej krypty pomogą nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało.

Razak skinął przyjaźnie głową i obaj w milczeniu skierowali się do wyjścia.

. 8 .

WATYKAN

Ojciec Donovan i Charlotte zjechali hałaśliwą windą towarową do sutereny Muzeów Watykańskich. Drzwi rozsunęły się i duchowny wyprowadził Charlotte na szeroki, rześście oświetlony korytarz, pasujący bardziej do szpitala. Ich kroki odbijały się echem od winylowej posadzki i gładkich białych ścian. Po obu stronach korytarza ciągnęły się rzędy drzwi. To pewnie magazyny, domyśliła się.- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział ojciec Donovan i wskazał szerokie metalowe drzwi na samym końcu korytarza.

Przesunął kartą magnetyczną przez czytnik umieszczony we framudze i solidny zamek ustąpił. Donovan otworzył drzwi i zaprosił Charlotte do środka.

- Może pani ją zatrzymać - wręczył jej kartę. - Służy też do otwierania tylnych drzwi dla personelu po godzinach pracy muzeum. Tylko proszę jej nie zgubić.

Charlotte skinęła głową i wsunęła kartę do kieszeni.

Za progiem rozciągało się przestronne laboratorium. Ściany były zabudowane lśniącymi szklanymi gablotami wypełnionymi mnóstwem naczyń laboratoryjnych, butelek i niewielkich pojemników. Poniżej, w szklanych szafkach, pyszniły się rzędy najnowocześniejszych przyrządów naukowych. Całe pomieszczenie spowijało jaskrawe światło halogenowych lamp, a na środku niczym liczne wysepki wyrastały stanowiska do badań, skonstruowane z ciężkiej nierdzewnej stali. W tle dał się słyszeć szum systemu klimatyzacji i oczyszczania, który usuwał kurz i mikroskopijne zanieczyszczenia, regulując jednocześnie temperaturę oraz poziom wilgotności powietrza. Jeśli w Watykanie zainteresowanie nauką rzeczywiście było nikłe, to na pewno nie świadczyło o tym to pomieszczenie. Charlotte dawno nie widziała tak imponującego laboratorium.

- To nasze nowe zaplecze muzealne - wyjaśnił Donovan. - Nawet nasi naukowcy jeszcze go nie widzieli.

- Fantastyczne.

- Nasza kolekcja dzieł sztuki wymaga ciągłej konserwacji - dodał tonem usprawiedliwienia. - Mamy mnóstwo obrazów, arrasów i marmurowych rzeźb - znów zaczął żywo gestykulować, jakby wygłaszał kazanie. - Właśnie tu zamierzamy poddawać konserwacji najcenniejsze skarby, aby mogły się nimi cieszyć także przyszłe pokolenia.

W drzwiach pomieszczenia przylegającego do tylnej ściany laboratorium pojawił się jakiś mężczyzna. Na jego widok kapłan uśmiechnął się szeroko.

- *Giovanni, come sta?*

- *Fantastico, padre. E lei?*

- *Bene, grazie.*

Charlotte zaimponowało to, jak irlandzki duchowny płynnie przechodzi z jednego języka na drugi. Patrzyła, jak ubrany w schludny kitel mężczyzna w średnim wieku podchodzi i ściska dłoń Donovaną. Nieznajomy miał orzechowe oczy i gęste czarno-siwe włosy. Układ zmarszczek na jego twarzy świadczył o nadzwyczaj pogodnym usposobieniu.

- Doktorze Bersei, przedstawiam panią doktor Charlotte Hennessey, znaną specjalistkę od genetyki z Phoenix - Donovan położył dłoń na ramieniu Charlotte.

- Miło mi panią poznać, pani doktor - odpowiedział uprzejmie Bersei i podał jej rękę. Podobnie jak wiele innych osób, które widziały ją po raz pierwszy, nie mógł oderwać wzroku od jej niezwykłych zielonych oczu.

- I wzajemnie - uścisnęła jego gładką dłoń i uśmiechnęła się ciepło. Żałowała, że nie potrafi powiedzieć niczego miłego po włosku; podobnie jak większość znanych jej Amerykanów miała poważne braki, jeśli chodzi o znajomość języków obcych, choć w Phoenix liczyła trochę hiszpańskiego.

- Doktor Bersei nieraz już nam pomagał - powiadomił ją ojciec Donovan. - Jest antropologiem i specjalizuje się w kulturze starożytnego

Rzymu.

- To pasjonujące - natychmiast zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób ich tak odległe dyscypliny miałyby się uzupełniać. Tym bardziej nie mogła się doczekać, aż zobaczy tę tajemniczą relikwię, o której wspominał wcześniej Donovan.

Duchowny rozłożył ręce, jakby miał przed sobą niewidzialny kielich mszalny. - Muszę was teraz zostawić na jakąś godzinę, żeby odebrać przesyłkę na dworcu Termini. Pomyślałem sobie, że w tym czasie możecie się zapoznać.

- Świetnie - powiedziała Charlotte, spoglądając na Bersei. On także sprawiał wrażenie zadowolonego z tej propozycji.

Ojciec Donovan zatrzymał się w drzwiach i dodał:

- Do zobaczenia wkrótce. Już go nie było.

Charlotte zwróciła się do Bersei lekko skołowana.

- Wie pan, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami. - Muszę przyznać, że to intrygujące. Odwaliłem już kawał roboty dla Watykanu, ale jak dotąd nie musiałem podpisywać zobowiązania do zachowania poufności. Panią, jak sądzę, także to objęło?

- Tak. Wydało mi się to dziwne - rzeczywiście musiała podpisać w obecności watykańskiego notariusza trzystronicową oficjalną umowę opatrzoną tłoczoną papieską pieczęcią. Najwyraźniej tajemniczy projekt wymagał zastosowania szczególnych środków ostrożności. Kusiło ją, żeby zagadnąć o wysokość honorarium, ale pomyślała, że być może zostanie to źle odebrane. Aldrich nie powiedział dokładnie, jaka kwota wpłynęła na firmowe konto BMS, ale Charlotte domyślała się, że była to niebagatelna sumka.

- No i jeszcze nigdy nie przydzielono mi do współpracy genetyka - powiedział zaintrygowany. - Nie żebym się skarżył - dodał szybko.

- Mieszka pan w Rzymie?

- Dwa kilometry stąd. W razie potrzeby przyjeżdżam tu swoim skuterkim - poruszył figlarnie brwiami.

Charlotte się roześmiała.

- Mam nadzieję, że jest pan ostrożny. W tym mieście chyba nikt nie przejmuje się przepisami.

- To fakt, jesteśmy najbardziej narwanymi kierowcami w Europie.
- Proszę mi zdradzić, czym zajmował się pan wcześniej w Watykanie?
- A różnymi rzeczami - odpowiedział. - Chyba najbardziej zasłynąłem jako autor prac poświęconych starożytnym katakumbom na terenie Rzymu. Te stanowiska pozostają pod nadzorem komisji watykańskiej, więc mam dość częste kontakty z duchownymi. Rzadko jednak się zdarza, by wzywano mnie do samego Watykanu. To trochę przerażające, prawda?
- Nie da się ukryć - przytaknęła. - Mnóstwo straży.
- A pani jest genetykiem, tak? Brzmi fascynująco. Bardzo nowocześnie.
- Zajmuję się przede wszystkim badaniami ludzkiego genomu. Analizuję struktury komórkowe i DNA w poszukiwaniu błędów genetycznych, które są przyczyną chorób.
- Bersei pogładził się po brodzie.
- To zdumiewające. Organizm człowieka jest taki niezwykły.
- Już od dziecka mnie to fascynowało.
- Cóż, pani doktor, tak naprawdę to nie wiem, dlaczego się tu spotkaliśmy, ale nie mam wątpliwości, że będzie nam się miło pracowało.
- Dziękuję. I proszę mi mówić po imieniu.
- Chodź - odwrócił się i gestem wskazał jej pomieszczenie przylegające do laboratorium. - Znajdziemy ci jakiś fartuch. Jestem pewien, że ojciec Donovan zechce natychmiast przystąpić do pracy.

. 9 .

JEROZOLIMA

- Powróciwszy ze spotkania z archeologiem, Razak zastał Faruka w tym samym pokoju, w którym wcześniej zebrała się rada Waqf. Strażnik skończył rozmowę telefoniczną i odłożył słuchawkę na widełki. -1 co sądzisz o Bartonie? - rozsiadł się wygodnie. Wygląda na takiego, co to wie, o czym gada - odpowiedział Razak.

- To był Topól - Faruk skinął głową w stronę telefonu. - Przepraszał, że nie skontaktował się z nami wcześniej. Zaproponował, że może odwołać Bartona, jeśli coś nam nie pasuje. Powiedziałem mu, że porozmawiam z tobą.

Razak wiedział, że tak naprawdę Faruk pyta go, czy jest gotów wziąć odpowiedzialność za działania Bartona.

- Myślę, że możemy mu zaufać. Dzięki niemu zdobyłem już istotne informacje.

- Czyli powiedziec Topolowi, że będziemy współpracować?

- W ten sposób udowodnimy, że mamy dobre chęci - powiedział pojednawczo Razak. - W końcu ta sprawa dotyczy obu stron. Jeśli będziemy współdziałać z Izraelczykami, osłabimy podejrzenia i opóźnimy gwałtowne protesty. Czasem w polityce, podobnie jak w zmaganiach o spokój ducha, chodzi przede wszystkim o minimalizację strat.

- Tylko pamiętaj, żeby mieć go na oku - powtórzył jak zdarta płyta Faruk. - Czy domyśla się już, co skradziono?

- Owszem. Ossuarium.

- Skrzynkę na kości? Po co tyle zachodu z powodu czegoś takiego?

- Tego jeszcze nie wiemy - Razak pokręcił głową. - Barton potrzebuje czasu na określenie, co właściwie było w środku. Jutro rano będzie badał kryptę, żeby się dowiedzieć czegoś więcej.

- Rozumiem.

- Jakies nowe wieści o śmigłowcu? Faruk pokręcił głową.

- Dopóki nie będziemy wiedzieć, co naprawdę się zdarzyło - powiedział Razak - powinniśmy się domagać kopii wszystkich portowych manifestów ładunkowych z ostatnich trzech dni, przede wszystkim z Tel Awiwu. Sprawdź też lotniska. Zdaniem Bartona towar powinien ważyć jakieś trzydzieści pięć kilo. Skrzynia pakowa najprawdopodobniej jest długa na metr, a wysoka i szeroka na jakieś dwie trzecie metra. To powinno zawęzić poszukiwania.

- Poproszę o kopie dokumentów ładunkowych z lotnisk, dworców kolejowych i portów - powiedział bez entuzjazmu Faruk, po czym założył okulary i zrobił parę notatek.

- Czy możemy bezpiecznie zakładać, że obstawiono wszystkie kolejowe punkty kontrolne?

- Akurat - skrzywił się Faruk. - A kiedy w ogóle mogliśmy mieć taką pewność? Tak czy inaczej służby drobiazgowo sprawdzają wszystkie pojazdy. Osobiście wątpię jednak, żeby złodzieje zaryzykowali wywiezienie tego czegoś poza Izrael.

- Sądysz, że mogli przetrzucić to za granicę helikopterem? - po tym, jak wspomniał o tym Barton, Razak sam zaczął poważniej traktować tę możliwość.

- W Izraelu go jeszcze nie odnaleziono, więc są szanse, że już go tu nie ma. Jest jeszcze coś - ciągnął Faruk. - Policja bada zgłoszenie od pewnej kobiety z dzielnicy żydowskiej. Podobno wynajmowała pokój jakiemuś nieznanemu. Zatrzymało się tam też kilku mężczyzn, których wzięła za turystów. Cała grupa znikła piątkowej nocy, niedługo przed świtem. Ta kobieta zgodziła się spotkać z portrecistą policyjnym jutro z samego rana.

- Myślisz, że to jakiś trop?

- Całkiem możliwe. Ale ta kobieta zgłosiła się dopiero po trzech dniach. Trochę dziwne - Faruk zerknął do notatek. - Pokój wynajęto na nazwisko Daniel Marrone, to samo, którym się posłużyła osoba wynajmująca furgonetkę porzuconą przy Haofel Road. Nic dziwnego, że wygląda to na pseudonim. Izraelczycy wykonali też testy balistyczne na pociskach - ciągnął. - Złodzieje byli uzbrojeni w karabiny szturmowe XM8. To bardzo zaawansowana broń, wytwarzana przez firmę HecWer & Koch na potrzeby armii

amerykańskiej.

- Ciekawe - wciąż jeszcze nie mógł się nadziwić, jak precyzyjne są izraelskie ekspertyzy kryminalistyczne. W interesie bezpieczeństwa narodowego Izraelczycy zainwestowali niemałe środki w nowoczesne techniki walki z terroryzmem, między innymi stworzyli zaawansowaną bazę danych z opisami wszystkich znanych typów broni. - Ale to wszystko nie ma sensu - Razak zmarszczył brwi.

- Jak to?

- Barton twierdzi, że ossuarium prawdopodobnie warte jest zaledwie parę tysięcy dolarów.

- Hm... - zamyślił się Faruk. - Poczekajmy, co powie archeolog - spojrział na zegarek. - Póki są jeszcze jakiegokolwiek szanse na dotarcie do tej relikwii.

. 10 .

RZYM

Na szerokiej cementowej rampie biegnącej wzdłuż strefy załadunku na Stazione Termini młody pracownik kolei trudził się z przeniesieniem na wózek sporej drewnianej skrzyni.- *Tanan&i* - powietrze przeciął surowy głos - masz się z tym obchodzić jak z jajkiem.

Mrużąc oczy w ostrym letnim słońcu, chłopak podniósł wzrok, aby się przekonać, kto nazwał go kretyńcem. Na tle nowoczesnego dworcowego budynku ze stali i szkła stał sztywno wysoki solidnie zbudowany mężczyzna w białej koszuli i jasnych spodniach. Umieśniony typ nie wyglądał na kogoś, kto zareagowałby przychylnie na przemądrzałą ripostę. - *Si, signore.*

Biały dostawczy fiat skręcił z ruchliwej arterii Via Giovanni Giolitti i zatrzymał się przy krawężniku. Ojciec Patrick Donovan wyskoczył z samochodu i przejęty podszedł przywitać się z Contem. - Wszystko w porządku?

- Nie bardzo, bo bagażowi mają gdzieś swoją robotę.

Chłopak przewrócił oczami, ale upewnił się najpierw, czy niecierpliwy Włoch przypadkiem na niego nie patrzy.

Conte spojrzał z dezaprobatą na duchownego.

- Musiałeś zakładać te dziwaczne ciuchy? Do cholery, czy naprawdę chcesz się rzucać w oczy? - spojrzał na tablice rejestracyjne furgonetki. Na szczęście nie były watykańskie., Przynajmniej tego nie spartaczył.

Ojciec Donovan wzruszył ramionami i odetchnął głęboko.

Conte patrzył przez chwilę na błyszczącą w słońcu łysinę księdza.

- Powinieneś czymś posmarować to coś, bo razi mnie w oczy. Bagażowy zachichotał.

Donovanowi nie było do śmiechu.

- Skoro już tu jesteś, to przynajmniej otwórz drzwi - poinstruował

go Conte.

Donovan w milczeniu obszedł furgonetkę. Co za bezczelny typ, pomyślał. Z drugiej strony, czego można się spodziewać po płatnym mordercy, nawet jeśli jest stałym współpracownikiem Watykanu? Nie mógł znieść myśli, że musi pracować z Contem - złodziejem i zabójcą. Przez to wszystko czuł się jakiś nieczysty. Przypomniawszy sobie jednak, jak ważna jest ta misja. Stawka była wysoka. I nawet jeśli będzie musiał znosić wszystkich płatnych zabójców świata, niechaj tak będzie.

- Dalej już sobie poradzę - warknął Conte i ruchem ręki nakazał bagażowemu zejść mu z drogi, a sam stanął za wózkiem i podniósł ładunek, prężąc silne mięśnie ramion.

Conte wciąż jeszcze dochodził do siebie po podróży. O ile samo wywiezienie tajemniczego ładunku z Jerozolimy było okropnym przeżyciem, dwudniowy rejs przez wzburzone wody Morza Śródziemnego wcale nie był lepszy. Choroba morska i scysja z członkiem ekipy, Dougiem Wilkinsonem, tego już było dla niego za wiele. Po ostrej popijawie ten bezczelny gówniarz wyciągnął Contego na pokład na „przyjacielską” pogawędkę na temat pocisku, który tkwił w jego ramieniu. „Na litość boską, to prawa ręka” - poskarżył się Wilkinson. - „Na pewno, kurwa, wda mi się jakaś infekcja. Powinieneś mi zapłacić trzy razy więcej. Należy mi się to” - bełkotał w pijanym widzie. Nie minęła chwila, a Conte powalił go na ziemię i nieprzytomnego przerzucił przez reling prosto do Adriatyku. Przynęta na rekiny.

Tak, po tych wszystkich perypetiach Conte ani myślał ryzykować, że jakiś pryszczaty wyrobnik upuści towar.

Zjechał wózkiem z krawężnika, dotarł do bagażnika fiata i skinął na Donovana, żeby ten pomógł mu załadować skrzynię do furgonetki. Kiedy ładunek został bezpiecznie umieszczony wewnątrz, Conte zatrzasnął drzwiczki i oddał wózek bagażowemu. Żadnych napiwków.

W międzyczasie Donovan zajął miejsce kierowcy i zapuścił silnik, ale Conte nie miał zamiaru tego tolerować. Westchnął zniecierpliwiony, podszedł do okna od strony kierowcy i gestem wyprosił Donovana z furgonetki.

Nie wiedząc, co się dzieje, duchowny natychmiast wyskoczył na jezdnię. - Kiedy ja tu jestem, ty siadasz tam - powiedział szorstko Włoch, wskazując na miejsce obok kierowcy. - No już, rusz się.

Furgonetka przedzierała się przez Rzym, kierując się na południe wzdłuż Lungot Marzio i trzymając się brzegu skrzącego w słońcu Tybru. Donovan wyglądał przez okno i próbował się uspokoić. Myśl o ukrytej w bagażniku skrzyni nie dawała mu spokoju. Miał nadzieję, że jej zawartość jest autentyczna i gorąco się o to modlił. Określić to mogli wyłącznie naukowcy, którym za jego namową Stolica Apostolska zleciła badania nad artefaktem.

Przez ostatnie trzy dni duchowny uważnie śledził doniesienia z Jerozolimy. Ilekroć słyszał o liczbie ofiar śmiertelnych, zalewała go fala mdłości i błagał Boga, by mu wybaczył, że dopuścił do czegoś podobnego. Choć naciskał, żeby zdobyć relikwię w bardziej dyplomatyczny sposób, zlekceważono go - zresztą nie po raz pierwszy. Manewry polityczne, które miał sposobność obserwować w ciągu dwunastoletniego pobytu w Watykanie, zdumiałyby samego Machiavellego.

Od wyjazdu z Termini minął już kwadrans, a Conte nie kwapił się do towarzyskiej pogawędki. Z pewnością nie należy do osób, które dbają o pierwsze wrażenie - pomyślał Donovan, zerkając na ponurego towarzysza, po czym ponownie skierował uwagę na widok za oknem.

Jego wzrok padł na olśniewającą kopułę Bazyliki Świętego Piotra, wznoszącą się niczym góra na zachodnim brzegu Tybru. Serce Watykanu widoczne w całym Rzymie. W 1929 roku Benito Mussolini, faszystowski dyktator Włoch, przyznał Stolicy Apostolskiej pełną suwerenność i prawo własności do licznych budynków. W ten sposób Watykan stał się najmniejszym niepodległym krajem - państwem w państwie. Niesamowite, pomyślał Donovan. To właśnie stąd papież, najwyższy monarcha Kościoła katolickiego, i jego zaufani doradcy, członkowie Kolegium Kardynalskiego, podejmują decyzje dotyczące ponad miliarda katolików na całym świecie i utrzymują stosunki dyplomatyczne z ponad setką krajów ze wszystkich kontynentów.

Przejechali przez Most św. Anioła i Conte pokonał krętą trasę wzdłuż potężnych murów nadbrzeżnej cytadeli.

Zmierzając wzdłuż Borgo Pio, fiat zbliżał się do Bramy Świętej Anny - jednego z zaledwie dwóch strzeżonych wjazdów przez trzykilometrowy mur o wysokości piętnastu metrów, ściśle otaczający państwo-miasto rozciągające się na obszarze stu dziewięciu akrów. Furgonetka zatrzymała się za niezbyt długim sznurem samochodów czekających, aż gwardziści wydadzą pozwolenie na wjazd.

- Cholera, co za typy - powiedział szyderczo Conte. - Wyglądają jak pajace.

Choć codzienny strój stuosobowej watykańskiej formacji zwanej Gwardią Szwajcarską składał się z błękitnych mundurów i czarnych beretów, status „najbarwniejszej armii świata” uzyskała ona z powodu oficjalnego ubioru - uszytej na szesnastowieczną modłę tuniki w purpurowo-żółte pasy o rękawach zwieńczonych czerwonymi mankietami, podobnych pantalonów, białych rękawiczek i czarnych pilśniowych beretów.

Tłumaczenie Contemu, że tradycja to ważna rzecz, nie miało większego sensu, więc Donovan postanowił się nie odzywać. Patrzył, jak żołnierze krzątają się po koszarach położonych tuż za bramą. Choć nie miał powodu do obaw, nie wiedzieć czemu, poczuł przyspieszone bicie serca, gdy gwardzista ruchem ręki nakazał furgonetce podjechać do bramy.

Conte lekko przyspieszył i szykował się do wjazdu na teren Watykanu. Gwardzista zatrzymał samochód, sprawdził tablice rejestracyjne i podszedł do uchylonego okna po stronie kierowcy.

- Cel wizyty? - zapytał urzędowym tonem po włosku. Conte uśmiechnął się z wyższością.

- Zapewniam cię, że wolałbyś nie wiedzieć - odpowiedział z udawaną skromnością. - Lepiej zapytaj jego - oparł się i wskazał duchownego.

Dopiero teraz gwardzista dostrzegł ojca Donovana.

- W porządku, jesteśmy razem - Donovan skinął głową.

- Oczywiście, ojcze - odpowiedział młody żołnierz i spojrzał podejrzliwie na Contego. - Życzę miłego dnia - odsunął się od furgonetki i machnął ręką w kierunku bramy.

Conte westchnął.

- Co za banda błaznów. Ten chłopaczek ma jeszcze mleko pod nosem. Ci są jeszcze żałośniejszy niż Izraelczycy.

Donovan był zażenowany grubiaństwem towarzysza i szczerze żałował, że kardynał Antonio Carlo Santelli - *Segretario di Stato*, czyli watykański sekretarz stanu - zlecił bezwzględnemu najemnikowi tak doniosłe zadanie. Chodziły słuchy, że kardynał Santelli stał za licznymi skandalami, w które był zamieszany Watykan. Jednak nikt, nawet sam Santelli, nie wiedział zbyt wiele o Salvatore Contem, bez względu na to, czy było to jego prawdziwe nazwisko. Niektórzy spekulowali, że jest on emerytowanym agentem włoskich służb specjalnych.

Santelli twierdził, że jeśli chodzi o Salvatore Contego, to jedynymi pewnikami są jego solidność i przypisane do konkretnego zadania dwu-dziesiętocyfrowe konto w banku na Kajmanach. Bóg jeden wie, ile podobnych rachunków może mieć człowiek taki jak Conte, rozmyślał Do-novan. Zważywszy na pokusy pieniężne, które czekały na zatrudnionych badaczy, było oczywiste, że Santelli nie szczędzi kosztów - także ludzi - aby zagwarantować powodzenie tego projektu.

Fiat potoczył się po brukowanej uliczce biegnącej za Pałacem Apostolskim i minął skupisko niskich budynków, w których mieściła się poczta, siedziba emisariuszy i studio telewizyjne. Conte kierowany przez Donovana, wjechał w krótki tunel prowadzący wprost do wąskiego podjazdu wijącego się wokół strzelistego gmachu mieszczącego Muzea Watykańskie.

Zaparkował przy wejściu dla personelu i umieścił tajemniczy ładunek na niewielkim wózku. Kapłan wprowadził go do windy i obaj zjechali do podziemi.

Po wejściu do laboratorium Conte odstawił wózek na bok. Ojciec Do-novan pozostał w tyle. Naukowcy zbliżyli się do nich.

- Bardzo dziękuję, że zechcieliście poczekać - powiedział po angielsku ojciec Donovan. - Doktor Giovanni Bersei, doktor Charlotte Hennesey - wskazał na nich, a następnie na najemnika. - Salvatore Conte - zdradzanie czegokolwiek oprócz jego nazwiska byłoby nadużyciem, więc kapłan wołał nie wdawać się w szczegóły.

Conte wyprostował się i podparł pod boki, bez zbędnej poufałości.

Jego wzrok natychmiast przylgnął do Charlotte. Taksował ją od stóp do głów, jakby próbował ocenić, co kryje się pod laboratoryjnym kitem. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Gdyby moja lekarka wyglądała jak pani, chorowałbym co tydzień. Charlotte uśmiechnęła się lekko i skierowała uwagę na okazałych rozmiarów drewnianą skrzynię.

- Więc na to czekaliśmy? - spytała Donovan.

Kapłan, wyraźnie zażenowany prostacką odzywką Contego, odpowiedział:

- Tak. Myślę, że najlepiej będzie od razu otworzyć skrzynię - spojrzał wyczekująco na najemnika.

- Nie jesteś kaleką, tylko księdzem - mruknął Conte - więc rusz się i pomóż mi - pochylił się i zdjął z wózka łom.

. 11 .

Solidna drewniana skrzynia miała kształt sześcianu o boku długości ponad metra. Na górze widniało logo Eurostar Italia. Conte próbował podważyć wieko za pomocą łomu, a Donovan podtrzymywał skrzynię, żeby nie spadła i nie uszkodziła nowego sprzętu laboratoryjnego. Charlotte zauważyła, że ojcu Donovanowi trzęsą się ręce. W innej sytuacji mogłaby przysiąc, że duchowny podejrzewa, iż kontener jest pusty. Ale może to ten typek, Conte, wytrącił go z równowagi.

Nie minęło pół minuty, a Conte zdejmował już wieko. Ojciec Donovan delikatnie położył je na podłodze.

Zerknąwszy przelotnie na nalepkę transportową, Giovanni Bersei mimo woli spostrzegł wydrukowaną dużą czcionką nazwę portu początkowego: STAZIONE BARI. Bari, miasto położone na wschodnim wybrzeżu, jest atrakcją turystyczną z dwóch powodów: po pierwsze jego władze utrzymują, że spoczywają w nim kości świętego Mikołaja, a po drugie w jego okazałym porcie zamożni Włosi dokują swoje ogromne jachty.

Wnętrze skrzyni było wyłożone grubą warstwą folii pęcherzykowej.

- Musimy zdjąć te dwie płyty - powiedział Conte i wskazał element skrzyni blisko Bersei, a sam zajął się drugim.

Bersei bez trudu dźwignął płytę, a następnie wysunął ją wzdłuż wyżłobionych rowków, odkrywając wnętrze skrzyni. Charlotte podeszła bliżej.

- Śmiało, rozerwijcie to - rozkazał Conte naukowcom, wskazując grube warstwy folii.

Gdy rozdarła ostatni płat, jej palce natrafiły na twardą płaską powierzchnię, zimną i śliską. Przez moment mignął jej fragment niebieskiej plastikowej powłoki.

Kilka sekund później ich oczom ukazała się prostokątna powierzchnia pokryta niebieskim tworzywem.

Donovan zatarł ręce i spojrzał na pozostałych. - Przeniesiemy ją na blat - powiedział do Bersei. - Pani doktor, czy zechciałaby pani

rozłożyć tę gumową matę? - wskazał leżący nieopodal kawał grubej gumy.

- Nie ma sprawy - Charlotte zauważyła, że Donovan jest już wyraźnie uspokojony. Rozłożyła matę na najbliższym blacie, a Conte przystawił wózek bliżej.

Na znak Contego Bersei przykucnął i podłożył dłonie pod narożniki skrzynki. Wyglądała na ciężką.

- Ile to może ważyć?

Ich spojrzenia się spotkały.

- Trzydzieści trzy kilo. Podnosimy na trzy - najemnik zaczął odliczać i po chwili mężczyźni dźwignęli skrzynię.

Nie zdążyli nawet się wyprostować, gdy nagle palce Bersei ześlizgnęły się po plastikowej powłoce. Charlotte skoczyła na pomoc, ale Conte zdołał przerzucić rękę i w ostatnim momencie pochwycić skrzynię.

Spojrzał na Bersei.

- Nieładnie, doktorku - zganił go po włosku. - Lepiej żeby się nie rozwaliło - skinął ponownie i tym razem bez przeszkód przenieśli skrzynię na matę.

- Rozumiem, że to by było na tyle - burknął Conte - bo czuję, że muszę się napić.

- Tak, to wszystko - Donovan zmusił się do przyjacielskiego tonu. - Dziękuję.

Przed wyjściem Conte odwrócił się do księdza tak, by nie widzieli go naukowcy. Wskazał swoje lewe oko, a następnie wymierzył palec w Dono-vana. Przekaz był jasny. *Pamiętaj, mam cię na oku.* Poszedł.

Gdy duchowny spojrzał na naukowców, na jego czole widniały kropelki potu. - Najgorsze za nami. Czas zdjąć ten plastik.

- Chwileczkę - powiedział Bersei. - Myślę, że najpierw powinniśmy tu posprzątać - wskazał pustą skrzynię na wózku i rozrzucone wokół śmieci.

- Oczywiście - zgodził się Donovan, nie bez wahania. Tak długo na to czekał...

Dziesięć minut później w laboratorium znów zapanował ład. Wózek z resztkami opakowania wywieziono na korytarz, a podłogę

zamieciono, odkurżono i przetarto wilgotnym zmywakiem.

Bersei zniknął na zapleczu i po kilku sekundach wynurzył się ze świeżo wyprasowanym fartuchem w dłoniach. Wręczył go Donovanowi.

- Powinien ojciec to założyć.

Kitel zawisł niezgrabnie na kościstej sylwetce kapłana.

- Jeszcze to - Charlotte podała pudełko pełne lateksowych rękawiczek. - Ja też ich nie znoszę, ale byłoby fatalnie, gdyby próbka uległa zanieczyszczeniu.

Naukowcy również wzięli rękawiczki i naciągnęli je na dłonie. Założyli też sterylne maseczki i czepki.

Charlotte wyjęła z szuflady nożyk X-Acto i podała go Donovanowi.

- Zechce ojciec?

Watykański bibliotekarz skinął głową, zaczerpnął powietrza, wziął nożyk i zaczął rozcinać plastikową powłokę. Gdy wreszcie ją rozsunął, oczy zaświeciły mu się z zachwyty.

. 12 .

Ojciec Patrick Donovan pożerał wzrokiem znalezisko. Zaledwie parę miesięcy wcześniej wszedł w posiadanie niesamowitego manuskryptu. Na starożytnym pergaminie było opisane pochodzenie tej wspaniałej relikwii wraz ze szczegółowymi szkicami i mapami określającymi położenie tajemniczego miejsca, w którym spoczywała. Usiłował sobie wyobrazić, jak naprawdę wygląda skrzynka, ale jej widok przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Nadzwyczajne. Giovanni Bersei zmrużył oczy i obszedł naczynie.

- To ossuarium, skrzynka na kości - maseczka stłumiła jego głos. Charlotte poczuła na rękach gęsią skórę.

- Mam nadzieję, że nie ma tam świętego Mikołaja - wymamrotał ledwo słyszalnie Bersei.

- Co? - Charlotte spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Nic, nic - odpowiedział.

W jaskrawym świetle halogenowych lamp zdobienia na ossuarium zdawały się wracać do życia. Na przedniej i tylnej ścianie widniały misterne prążki i rozety, nie w postaci żłobień, ale wyrzeźbionych w miękkim kamieniu reliefów. Skrzynia miała zaokrąglone wieko o frezowanych krawędziach. Krótsze ścianki były płaskie; jedna była pusta, a na drugiej widniał prosty relief w kształcie delfina otaczającego trójzab.

Hennesey przez moment nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

- Co oznacza ten symbol, ojczy?

Donovan wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie. Rzucił okiem na relief i pokręcił głową.

- Nie jestem pewien.

Nie była to do końca prawda. Co do jednego nie miał wątpliwości - symbol idealnie odpowiadał drobiazgowemu opisowi z manuskryptu. Doktor Bersei przyjrzał się skrzyni z bliska.

- Piękne.

- Prawda? - przytaknął Donovan. Kunszt snycerski autora robił wrażenie. Pod tym względem ossuarium znacznie przewyższało inne

znaleziska z Ziemi Świętej, z którymi do tej pory miał do czynienia Donovan. Snycerz do perfekcji opanował technikę formowania miękkiego kamienia za pomocą rylca. Nie sposób było dopatrzeć się żadnych pęknięć czy rys. Zdobienia bez mała dorównywały tym tworzonym przez rzymskich mistrzów rzeźby, co samo w sobie świadczyło o niezwykłości artefaktu.

Bersei przesunął palcem po cienkiej szparze tuż przy krawędzi pokrywy.

- Plomba - przycisnął lekko palec. - Prawdopodobnie wosk.

- Faktycznie - potwierdził Donovan.

- To wskazuje, że zawartość skrzyni jest w niezłym stanie - dodał Bersei.

- Sądzę, że najwyższy czas ją otworzyć - powiedział Donovan. - Wtedy omówimy szczegóły analizy, która was czeka.

Hennesey i Bersei wymienili spojrzenia. Przekonali się, że ich pozornie odległe dyscypliny istotnie mają wiele wspólnego. Zaplombowana skrzynia na kości mogła oznaczać tylko jedno: szczątki ludzkiego ciała.

Wyposażeni w okulary ochronne z wmontowanymi miniaturowymi podnoszonymi lupami przesuwali nożyki wzdłuż krawędzi skrzynki, odcinając woskową plombę, mimo wieku mocno przylegającą do ścianek ossuarium.

- Czy nie można by po prostu stopić wosku? - dopytywał Donovan. Bersei pokręcił głową.

- Kamienia nie można podgrzewać. Mogłoby to doprowadzić do pęknięć lub odbarwień. Poza tym wosk mógłby nakapać do środka.

Mijały minuty i oprócz szumu systemu wentylacji było słychać tylko skrobanie nożyków o wosk.

Duchowny dyskretnie obserwował poczynania naukowców. Jego myśli biegły chaotycznie od niezwykłych tajemnic, które zgodnie z treścią manuskryptu skrywało ossuarium, do strzelaniny w Jerozolimie, która pochłonęła tyle ofiar. Wiedział, że aby poczuć choć cień ulgi, musi na własne oczy zobaczyć zawartość skrzynki.

Bersei wziął głęboki oddech i odciął ostatnie centymetry plomby. Pracując nad tylnym fragmentem, Włoch przechylił się tak, że

praktycznie leżał na stole.

Charlotte skończyła swoją część i zdjęła okulary. Kilka sekund później Giovanni Bersei odłożył nóż i poszedł w jej ślady.

- Gotowi? - zapytał Bersei.

Donovan przytaknął i stanął u szczytu stołu.

Naukowcy zajęli miejsca po obu stronach skrzyni. Wsunęli palce pod krawędzie wieka i delikatnie je poruszyli, żeby poluzować pozostałości wosku. Wreszcie starożytna plomba ustąpiła z cichym trzaskiem i sykiem uchodzącego powietrza. Mimo masek poczuli gryzący zapach.

- Pewnie wyziewy - zauważył Bersei. - Produkt uboczny gnicia kości.

Cała trójka wymieniła spojrzenia.

Donovan z trudem przełknął ślinę i niecierpliwie dał znak, by kontynuowali.

Charlotte i Giovanni równocześnie zdjęli wieko i położyli je na gumowej macie.

. 13 .

Charlotte przysunęła bliżej ogromną lampę przytroczoną do szyny z boku blatu i ustawiła jej wysuwane ramię tak, by światło padało wprost do odsłoniętego wnętrza ossuarium. Ojciec Patrick Donovan uśmiechnął się od ucha do ucha. Z wnętrza skrzyni spoglądał na niego zgrabny stos ludzkich szczątków. Każda kość miała słojuatą powierzchnię przypominającą drewno klonowe. Charlotte pierwsza odważyła się wyciągnąć rękę i przesunąć palcem po jednej z kości udowych.

- Są w niebywale dobrym stanie - naszła ją myśl, że chciałaby, żeby jej własne kości wyglądały tak dobrze, kiedy przyjdzie na nią czas. To, że przebyła prawie pół świata, żeby zobaczyć coś takiego, wydało jej się jakimś okrutnym żartem. Przecież praca miała być jej jedyną ucieczką przed strasznymi rokowaniami, a tu nici z tego.

Bersei gwałtownie obrócił się do Donovana.

- Czyje to szczątki? - spytał zaintrygowany.

- Tego jeszcze nie wiemy - bibliotekarz unikał jego wzroku. - Wybraliśmy was właśnie po to, żebyście pomogli nam ustalić tożsamość osoby, której szkielet tu widzimy. Jak już wspominałem, w Watykanie brakuje nam fachowych środków niezbędnych do zbadania tak niespotykanego artefaktu. Właśnie dlatego postanowiliśmy wynająć was - delikatnie oparł dłonie na krawędzi ossuarium i ponownie spojrzął na jego zawartość. - Mamy powody przypuszczać, że ta niezwykła relikwia może pomóc nam lepiej zrozumieć dzieje biblijne.

- Niby w jaki sposób? - zapytała Charlotte. Nie przepadała za owijaniem w bawełnę.

Donovan nie mógł oderwać wzroku od szkieletu.

- Tego się dowiemy dopiero wtedy, gdy uda nam się dokładnie określić wiek tego osobnika, określić przyczynę zgonu na podstawie oględzin i odtworzyć jego wygląd zewnętrzny.

Bersei zawahał się, wyczuwając to samo co Charlotte. Duchowny chyba coś ukrywał.

- Jeśli chodzi o badanie relikwii, to powodzenie tego przedsięwzięcia zależy w dużej mierze od szczegółowej wiedzy na temat ich pochodzenia. Czy wie ojciec, w jaki sposób pozyskano to ossuarium? Na przykład skąd pochodzi? Czy to wykopalisko archeologiczne?

Donovan pokręcił głową, wyprostował się i wreszcie spojrzął im w oczy.

- Niewiele wiemy na ten temat. Chyba rozumiecie, że do takiego nabytku trzeba podchodzić bardzo ostrożnie. To cenna rzecz.

Na twarzy Charlotte malowała się konsternacja. Oto dwoje wybitnych naukowców zostaje zwabionych do Rzymu, aby potwierdzić pochodzenie relikwii. Przedtem oboje podpisują zobowiązanie do zachowania poufności. Niewątpliwie przedstawiciele Watykanu byli przekonani o wielkiej wartości ossuarium i tego, co kryło. W przeciwnym razie nie zadawaliby sobie tyle trudu i nie narażali się na tak ogromne koszty.

- Przeprowadzimy kompleksowe badania - zapewnił go Bersei. - Pełne rozpoznanie patologiczne. Rekonstrukcja fizyczna. Wszystko, co trzeba - spojrzął na Charlotte.

- A ja zechcę przeprowadzić próbę węglową, żeby ustalić wiek znaleziska, i sporządzić pełny profil genetyczny - dodała. - To fantastyczny materiał. Z tego co widzę, wszystko wskazuje na to, że dokonaliście doskonałego zakupu. Jestem przekonana, że wyniki badań będą fascynujące.

- Znakomicie - powiedział Donovan, wyraźnie zadowolony. - Proszę, dajcie mi znać, gdy będziecie gotowi zdać sprawozdanie z pracy. Jeśli to możliwe, w najbliższych dniach chciałbym przedstawić wstępny raport.

Naukowcy wymienili spojrzenia.

- Myślę, że da się zrobić - powiedział Bersei. Donovan zdjął rękawiczki, maskę i kitel.

- Proszę, abyście we wszystkich sprawach zgłaszali się bezpośrednio do mnie. Możecie wezwać mnie przez interkom - wskazał niewielki panel w pobliżu wejścia - lub wybrać numer wewnętrzny 2114 - spojrzął na zegarek. 6:12. - Robi się późno. Może skończymy na

dzisiaj, a jutro zaczniecie z samego rana. Może być ósma? Charlotte i Bersei przytaknęli.

- Pani doktor, czy miała pani już okazję obejrzeć bazylikę? - zapytał kapłan.

- Nie.

- Nie da się mieszkać w Watykanie, nie znając jego serca i duszy - stwierdził. - To miejsce jedyne w swoim rodzaju. Dla wielu to jak pierwszy krok w niebiosy.

- To prawda - potwierdził Bersei.

- Może chciałaby pani pójść tam teraz? Oczy jej rozbłysły.

- Z największą przyjemnością, jeśli tylko znajdzie ojciec czas.

- Godziny zwiedzania właśnie się kończą, więc raczej powinno być pusto. Idziesz z nami, Giovanni?

- Przepraszam, ale czeka na mnie żona - przyznał pokornie. - Szykuje *osso bucco* na kolację - Bersei przysunął się do Charlotte i szepnął, dość głośno, by słyszał go Donovan: - Jesteś w dobrych rękach. To najlepszy przewodnik w całym Watykanie. Pod tym względem nie ma sobie równych.

. 14 .

- Gdy opuścili siedzibę Muzeów Watykańskich, słońce wisiało już nisko nad zachodnim Rzymem, a cyprysy kołysały się lekko pod łagodnym powiewem wiatru. Idąc powoli u boku ojca Donovan, Charlotte napawała się zapachem ogrodów. Czuła się tak, jakby zanurzyła twarz w bukiecie z różnorodnych kwiatów. Chciałbym o coś zapytać - powiedział Donovan. - Czy teraz, po obejrzeniu relikwii, cieszy się pani, że uczestniczy w tym projekcie?

- Muszę przyznać, że spodziewałam się czegoś zupełnie innego - ta odpowiedź była dość oględna. Wzbogacanie kolekcji o ludzkie kości nie za bardzo pasowało do Muzeów Watykańskich. Nie podejrzewała też, że takim nabytkiem zajmie się bibliotekarz. - Mimo to jestem mile zaskoczona - dodała. - Zapowiada się pasjonująco.

-1 to nie tylko dla pani - zapewnił Donovan. Zbliżali się już do tylnej części bazyliki. Duchowny podniósł wzrok i spojrzał nabożnie na gmach.

- W pierwszym wieku na terenie obecnego Watykanu znajdował się Circus Maximus, miejsce, w którym Neron urządzał wyścigi rydwanów. Zakrawa to na ironię. Mówimy przecież o władcy, który zasłynął głównie z prześladowań pierwszych chrześcijan.

- Obarczył ich odpowiedzialnością za pożar, który strawił Rzym w 64 roku, a w 67 roku ku uciesze tłumów nakazał ukrzyżować świętego Piotra.

Donovan był pod wrażeniem.

- Czyżby była pani chrześcijanką? Czy po prostu zna się pani na historii?

- Jedno i drugie, ale to stare dzieje.

- Rozumiem - kapłan wyczuł, że kwestie religijne mogą być drażliwe, ale zaryzykował stwierdzenie. - Coś pani powiem. My, Irlandczycy, mawiamy: „Wierzę w słońce, nawet jeśli nie świeci, wierzę w miłość, nawet jeśli nie jest moim udziałem, wierzę w Boga, nawet jeśli do mnie nie przemawia”. - Zerknął na Charlotte i zobaczył, że się uśmiecha. Na szczęście nic nie wskazywało na to, by poczuła się

dotknięta. - Czasem po prostu warto sobie przypomnieć, co jest dla nas najważniejsze.

Wspięli się po szerokich marmurowych schodach wiodących na tyły bazyliki i Donovan podprowadził ją do odlanych w brązie drzwi, jednych z największych, jakie kiedykolwiek widziała. Wyjął kartę magnetyczną i przesunął ją przez czytnik we framudze. Rozległ się metaliczny szcęk zamka elektromechanicznego. Duchowny bez trudu uchylił potężne skrzydło i gestem zaprosił ją do środka.

- Wchodzimy tędy?

- Oczywiście. Tak to jest, gdy przyjeżdża się na zaproszenie papieża.

Ze względu na występy w mediach Charlotte przyzwyczała się już trochę do tego, że przyjmuje się ją z honorami, ale nic nie mogło się równać z tym zaszczytem. Gdy przeszła przez łukowate wejście, poczuła się, jakby została przeniesiona w inny świat.

Wynurzyła się z przedsionka i natychmiast poraziło ją piękno przestronnej marmurowej nawy świątyni. Z przewodnika, który czytała w samolocie, pamiętała, że ta okazała budowla z łatwością pomieściłaby wewnątrz paryską katedrę Notre Dame. Samo przebywanie w środku całkowicie zaburzyło jej poczucie przestrzeni.

Jej spojrzenie natychmiast powędrowało w górę, ku ogromnej kasetonowej kopule skonstruowanej według projektu Michała Anioła. Pokryta ceramicznymi mozaikami, wznosiła się na wysokość około stu trzydziestu pięciu metrów. Snopy światła słonecznego sączącego się przez zachodnie okna nadawały jej eteryczny blask.

Po chwili jej wzrok przesunął się w stronę słynnego baldachimu nad ołtarzem papieskim, tuż pod kopułą, zaprojektowanego przez wielkiego mistrza renesansu, Giovanniego Lorenzo Berniniego. Cztery wykute w brązie spiralne kolumny wznosiły się na dwadzieścia sześć metrów i wspierały pozłacany barokowy baldachim.

Nawet posadzka była wysadzana marmurem i mozaikami.

Charlotte aż westchnęła z zachwytem.

- Rzeczywiście, robi wrażenie - przyznał Donovan i rozłożył ręce, jakby chciał to wszystko ogarnąć. - Mógłbym śmiało oprowadzać panią przez kilka godzin. Do obejrzenia jest tu dwadzieścia siedem kaplic, czterdzieści osiem ołtarzy i trzysta dziewięćdziesiąt osiem

posągów. Uważam jednak, że zwiedzanie bazyliki to swoista podróż duchowa i najlepiej robić to w samotności - z drewnianego kiosku pod ścianą wydobył mapę i przewodnik, po czym podał je Charlotte. - Jeśli coś szczególnego panią zainteresuje, w książce znajdzie pani dokładny opis. Na mnie już czas. Miłego zwiedzania.

Charlotte podziękowała ojcu Donovanowi i powoli zaczęła się przechadzać boczną nawą wzdłuż północnej ściany bazyliki.

Jak większość przybywających tu pielgrzymów, zatrzymała się przed wzniesionym na marmurowym cokole trzynastowiecznym brązowym posągiem przedstawiającym brodatego świętego Piotra. Nad głową usadowionego na tronie papieskim świętego widniała słoneczna aureola, w lewej ręce dźwiżył papieski klucz, a prawą dłoń miał uniesioną, jakby w geście błogosławieństwa. Kilku odwiedzających kolejno podeszło do posągu i dotknęło jego stóp. Charlotte zajrzała do przewodnika i przeczytała, że to rzekomo przynosi szczęście. Nie należała do osób wierzących w przesady, ale po krótkiej wewnętrznej walce uznała, że w obecnych okolicznościach nawet to może jej pomóc.

Po niecałych pięciu minutach podeszła do figury, spojrzała na pełne powagi oblicze świętego i wyciągnąwszy lewą rękę, położyła ją na zimnej stopie. A potem, ku własnemu zaskoczeniu, zrobiła coś, czego nie robiła od ponad dziesięciu lat. Pomodliła się, prosząc Boga o siłę i opiekę. Jak powiedział Donovan, może po prostu musiała sobie przypomnieć, że kiedyś była wierząca.

Prawie całkowicie wyrzekła się wiary jedenaście lat temu, gdy patrzyła, jak jej matkę, żarliwą katoliczkę, powoli wyniszcza nowotwór żołądka. Szybko wywnioskowała, że pobożnym wcale nie przysługuje Boża litość, bez względu na to, ile nowenn odmówią i ile niedziel spędzą, siedząc pokornie w ławce i wysłuchując kazań. Po śmierci matki nie szukała odpowiedzi w Kościele, ale za mikroskopem, przekonana, że ta przypadłość nie jest kwestią wiary, ale po prostu wadą genetyczną, uszkodzeniem kodu.

Choć jej ojciec stracił ukochaną żonę, i to w tak strasznych okolicznościach, nadal zdobywał się na to, żeby w każdą niedzielę być na mszy, niezmiennie odmawiał modlitwę przed każdym posiłkiem i

cieszył się z każdego kolejnego dnia. Jak on to robi? - zastanawiała się. Swego czasu zadała mu to pytanie. Odpowiedział bez namysłu i szczerze.

- *Charlie* - tylko on i Evan Aldrich zdrabniali jej imię w ten sposób.

- *Postanowiłem nie obwiniać Boga o swoje nieszczęście. Życie nie szczędzi nam dramatów, ale na świecie jest też wiele piękna.* - Przypomniała sobie, że kiedy to mówił, uśmiechnął się czule i pogładził ją po twarzy.

- *Kim jestem, żeby wątpić w siłę, która stworzyła taki cud? Pamiętaj, skarbie, wiara to tylko przekonanie, że życie ma jakiś sens, bez względu na to, jak trudne może nam się wydawać to, co nas spotyka.*

Może teraz naprawdę chciała uwierzyć, że za jej własną tragedią stoi boska moc. Jednak mimo siły duchowej ojca, wciąż nie odważyła się mu powiedzieć o jej własnej chorobie. Teraz mieli już tylko siebie.

Ponieważ nie znajdowała oparcia w religii, czuła, że pod względem duchowym jej życie jest jałowe - zwłaszcza ostatnio. Czy Charlotte Hen-nesey wierzyła w Boga? W żadnym innym miejscu na ziemi to pytanie nie wydawało się tak istotne jak tu. Może znajdzie odpowiedź. Może przyjazd do Rzymu to zrządzenie losu...

Zanurzała się w niezliczone wnęki i nisze, podziwiając kolejne piękne kapliczki, i wreszcie zbliżyła się do frontowej części bazyliki, gdzie w wyłożonej marmurem kaplicy znajdowała się osłonięta szybą słynna *Pieta* Michała Anioła. Rzeźba przedstawiająca martwego syna na kolanach lamentującej Madonny była pełna dramatyzmu i wydawała się osobliwie realistyczna. Przez długą chwilę stała jak urzeczona przed szybą, zmagając się z emocjami, które wywołał ten obraz: cierpienie, strata, miłość, nadzieja.

Prawie czterdzieści minut później krążyła ponownie w pobliżu baldachimu, gdy trafiła na uderzającą rzeźbę, na widok której stanęła jak wryta. W otoczonej potężnymi kolumnami wnęce z wielobarwnego marmuru wnosił się nagrobek papieża Aleksandra VII, autorstwa Berniniego. Umieszczona na wysokim cokole postać klęczącego w modlitwie papieża w podeszłym wieku została uwieczniona w białym marmurze. Poniżej widniała grupa posągów przedstawiających Prawdę, Sprawiedliwość, Miłosierdzie i Mądrość.

Jednak Charlotte nie zwróciła na nie zbytnej uwagi i natychmiast utkwiała przerażone spojrzenie w postaci zajmującej centralne miejsce grobowca - wykutym w brązie potężnym skrzydlatym ludzkim szkielecie z klepsydrą w prawej ręce. Draperia wyrzeźbiona w czerwonym marmurze skrywała upiorną twarz, która była skierowana wprost na papieża, jakby szydziła z jego rychłego upadku.

Anioł śmierci.

Zdawało jej się, że w bazylice zapadła kompletna cisza. Obraz zaczął ożywać w jej wyobraźni i ujrzała demoniczną istotę wynurzającą się ze ściany po to, żeby wnikać w jej ciało i przyspieszyć postęp paskudnej choroby. Mogłaby przysiąc, że widzi, jak piasek przesypuje się w klepsydrze, odmierzając jej czas. Przez moment wstrzymała oddech i poczuła, jak w oczach zbierają jej się łzy. Jak to się stało, że ten piekielny obraz znalazł się właśnie tu? Ogarnęło ją coś na kształt poczucia krzywdy, jakby ktoś ustawił ten nagrobek, żeby zrobić jej na złość.

- Włós się jeży, co? - czyjś głos wyrwał ją z zadumy.

Zaskoczona, gwałtownie nabrała powietrza. Odwróciła się i zobaczyła postać, która wydała jej się równie mroczna. Do licha, a ten skąd się tu wziął?

- Kiedy Bernini projektował ten nagrobek, miał osiemdziesiąt lat - powiedział zuchwałym tonem Salvatore Conte. - Przypuszczam, że jesień życia niezbyt mu służyła.

Charlotte próbowała zdobyć się na uprzejmy uśmiech, ale jej się nie udało.

- Wie pani, że to miejsce w ogóle by nie powstało, gdyby nie sprzedaż odpustów? - Conte spojrział z dezaprobatą na centralną kopułę. - W szesnastym wieku papieżowi Leonowi X zabrakło środków na dokończenie budowy, więc zaczął gromadzić fundusze, oferując katolikom kupony rabatowe do odkupienia. Bogacze mogli nabyć na zapas łaskę bożą. Było nawet takie powiedzenie: *Moneta w szkatule dźwięczy, duszyczka w czyścicu nie jęczy*.

Miała na końcu języka pytanie: *A ile odpustów pan by potrzebował, żeby odkupić swoją duszę?* Conte stanowczo wyglądał na osobę, której potrzeba wiele bożej łaski. Zastanawiało ją, dlaczego w ogóle znalazł

się w Watykanie i co ma wspólnego z ossuarium. W jego obecności ojciec Do-novan zachowywał się bardziej jak zakładnik niż współpracownik.

- Domyślam się, że nie jest pan stałym bywalcem kościoła - odpowiedziała z przekąsem.

Conte pochylił się i zniżył głos.

- Po tym, co widziałem, szczególnie w tych murach, doszedłem do wniosku, że raz kozie śmierć - powiedział.

Próbowała zrozumieć, o co naprawdę mu chodzi, ale w jego oczach malowała się pustka, a ona sama była daleka od tego, by prosić go o wyjaśnienie.

- Zwiedza pan, czy tylko mnie śledzi? Tego się nie spodziewał.

- Oglądam zabytki - odpowiedział, unikając jej wzroku.

- Cóż, komu w drogę... miło było pana spotkać - skłamała. Obróciła się i wtedy poczuła na ramieniu jego rękę. Zesztywniała i zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

Conte zdał sobie sprawę z nietaktu i rozłożył bezradnie ręce.

- Przepraszam. Wiem, że wy, Amerykanki, jesteście przeczulone na punkcie dotyku.

- Czego pan chce? - powiedziała, cedząc każde słowo.

- Chciałem tylko zapytać, czy nie przyda się pani towarzystwo przy kolacji. Pomyślałem sobie, że skoro jest tu pani sama... no i nie widzę u pani obrączki - dodał, spoglądając na jej dłonie. - Może po prostu ma pani ochotę z kimś pogadać. Bez zobowiązań.

Przed dłuższą chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem. To, że podrywają na środku Bazyliki Świętego Piotra, zwyczajnie nie mieściło jej się w głowie. Nagle pożałowała wszystkich kobiet, które kiedykolwiek uległy wdziękowi tego typu. Przystojny - owszem - ale poza tym same wady.

- Nie jestem wolna i mam już plany na wieczór, ale dziękuję - ponieważ nie była pewna, jak często będzie musiała przebywać w jego towarzystwie w najbliższych dniach, starała się jak mogła zachować pozory kurtuazji.

- No to może innym razem - odpowiedział niezrażony.

- Dobranoc - obróciła się na pięcie i skierowała do wyjścia.

- Miłego wieczoru, pani doktor. *Buonasera.*

WTOREK
WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

Wschodzące słońce oblewało nikłym błękitnym i purpurowym blaskiem Wzgórze Oliwne, gdy Razak szedł placem na Wzgórzcu Świątynnym w stronę złocistej Kopyły Skały, zwieńczonej półksiężycem subtelnie wskazującym kierunek Mekki. Ilekroć odwiedzał to miejsce, zawsze czuł się głęboko poruszony. Wydawało się, że historia i emocje skraplały się tu jak rosa.

W siódmym wieku o Wzgórzcu Świątynnym praktycznie zapomniano i odsłonięty plac był pozbawiony wszelkich monumentalnych budowli. Wcześniejsza zabudowa była systematycznie niszczone. Jednak w 687 roku - zaledwie kilka dekad po zdobyciu Jerozolimy przez armię muzułmańską pod wodzą kalifa Omara - dziewiąty kalif, Abd al-Malik, rozpoczął budowę Kopyły Skały jako świadectwa odrodzenia tego miejsca i materialnego dowodu na to, że prawo do Ziemi Świętej przysługuje właśnie wyznawcom islamu.

W kolejnych wiekach muzułmanie okresowo tracili władzę nad Wzgórzem Świątynnym, przede wszystkim na rzecz krzyżowców, którzy je okupowali w dwunastym i trzynastym wieku. Teraz jednak wzniesienie znów było pod panowaniem islamu, a organem egzekwującym i zatwierdzającym ten status był Waqf. Nie było to łatwe, zwłaszcza ze względu na narastające niepokoje polityczne, które mogły zakończyć okres wyłącznych rządów muzułmanów na wzgórzcu - przywileju prawie utraconego podczas wojny sześciodniowej w 1967 roku.

Razak próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby sytuacja polityczna się odwróciła: muzułmanom pozostałoby odprawianie modłów pod pozostałością murów, a Żydzi urzędowaliby w najświętszym miejscu wzgórza i zajmowali terytoria okupowane, podczas gdy Palestyńczycy sprawowaliby władzę w całym kraju.

Wspiął się po schodach prowadzących na podwyższenie, na którym stał meczet. Przed wejściem zdjął mokasyny od Sutora Mantellassiego, po czym przekroczył próg świątyni. Zerkając na misternie zdobione podniebienie kopuły osadzonej na gładkich marmurowych kolumnach, przeszedł z założonymi rękami po krwistoczerwonej wykładzinie, którą był wyłożony ośmiokątny ambit. Tuż pod kopułą rozciągała się otoczona barierkami powierzchnia góry Moria zwana Skałą.

Skała wyznaczała miejsce, gdzie w czasach biblijnych Abraham poświęcił Bogu życie swojego syna, a Jakub śnił o drabinie sięgającej nieba. Według Żydów tutaj stała kiedyś wielka świątynia wzniesiona przez króla Salomona i rozbudowana przez Heroda, w której zdaniem chrześcijan wielokrotnie modlił się Jezus.

Jednak dla Razaka i jego braci to miejsce miało szczególne znaczenie z innego powodu.

W 621 roku wielkiemu prorokowi Mahometowi objawił się w Mekce archanioł Gabriel, który przyprowadził mu skrzydlatego wierzchowca o ludzkiej twarzy, znanego jako Al-Burak. Tak oto Mahomet, wyruszywszy na grzbiecie konia w nocną podróż zwaną *isra*, trafił na Wzgórze Świątynne, skąd w chwale wstąpił do nieba i ujrzał Allaha oraz spotkał się z Mojżeszem i wielkimi prorokami. To właśnie tam Mahomet dowiedział się od Allaha o pięciu codziennych modlitwach - a zdarzenie to było ważnym, epizodem w jego posłudze, określanym jako *miradż*.

Miradż sprawił, że Kopuła Skały stała się trzecim najważniejszym ośrodkiem kultu religijnego dla wyznawców islamu. Pod tym względem poprzedzają ją jedynie Mekka, miejsce narodzin Mahometa, oraz Medyna, gdzie dzięki mężnej walce i osobistym wyrzeczeniom Prorok zapoczątkował ruch islamski.

Razak spojrział na przepiękne mozaiki zdobiące wnętrze kopuły i dostrzegł arabskie inskrypcje biegnące wzdłuż jej podstawy.

Słyszał dobiegające z zewnątrz okrzyki muezina, który przez głośniki wzywał muzułmanów do modlitwy. Kiedy dotarł do *mihrabu* - niewielkiej, łukowatej, połączanej niszy wskazującej kierunek Mekki - padł na kolana, położył dłonie na udach i pokłonił się w modlitwie.

Po kilku minutach wstał, podążył wzdłuż barierek otaczających Skalę i zatrzymał się przed schodami prowadzącymi do komnaty zwanej Studnią Dusz, gdzie jak powiadano, łączą się w modlitwie dusze zmarłych. Wyobraził sobie własnych rodziców w blasku boskiego światła Allaha, oczekujących Dnia Sądu i przejścia do *Dżannah* - rajskiego ogrodu Allaha.

Dwudziestego trzeciego września 1996 roku rodzice Razaka, przebywając na wakacjach po jordańskiej stronie Morza Galilejskiego, zostali zamordowani przez dwóch zamaskowanych i uzbrojonych napastników. Wiele osób przypuszczało, że agenci izraelskiego wywiadu - *Szin Bet* - niesłusznie podejrzewali jego ojca o powiązania z bojownikami palestyńskimi, ale te plotki okazały się nieprawdziwe. Mimo że ich nie potwierdzono, morderców nie udało się odnaleźć. Tragiczna śmierć rodziców wywołała u Razaka poczucie bolesnej straty i sprawiła, że zaczął jeszcze gorliwiej szukać odpowiedzi w religii - i tak już pozostało. Na szczęście wykształcenie, które odebrał w kraju i za granicą, pozwoliło mu uniknąć fanatyzmu religijnego i politycznego - pułapki, w którą nietrudno wpaść człowiekowi, który na własnej skórze odczuł skutki bezwzględnej polityki Izraela.

Jego myśli pobiegły ku krypcie znajdującej się pod jego stopami i tajemniczej kradzieży, która doprowadziła do kolejnego rozlewu krwi. Kiedy przybył tu dzień wcześniej, nawet nie przyszło mu do głowy, że sytuacja takiej wagi zmusi go do zawarcia sojuszu z człowiekiem pokroju Grahama Bartona.

Dotarł do drzwi, założył buty i wyszedł na plac.

Od spotkania z Bartonem dzieliło go jeszcze kilka godzin. Udał się do dzielnicy muzułmańskiej i zamówił śniadanie oraz kawę w kafejce przy Via Dolorosa. Później spotkał się z paroma starymi znajomymi i posłuchał, co się wydarzyło od jego ostatniego pobytu w mieście. Naturalnie rozmowa zaczęła krążyć wokół głośnej kradzieży, ale Razak z góry zaznaczył, że nie może zdradzać szczegółów dochodzenia.

O dziewiątej słońce prażyło już mocno, a powietrza nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru. Razak przeszedł przez plac na Wzgórzu Świątynnym i zszedł do meczetu Al-Marwani. Kiedy

przedostał się do krypty przez otwór po wybuchu, Akbar - potężny mużułmański strażnik, który miał za zadanie pilnować Bartona - dał mu znak, że wszystko jest w porządku. Razak skinął głową i gestem wyprosił go z krypty.

Graham Barton siedział w kucki w kącie i spisywał inskrypcje z jednego z ossuariów.

- Dzień doby, panie Barton - powiedział po angielsku Razak. Archeolog zerwał się na równe nogi.

- Widzę, że nie tracił pan czasu - Razak spojrzał na stosy odbitek wykonanych w technice frotażu i ułożonych równo na posadzce.

- Ano nie - odpowiedział Barton, wyraźnie podekscytowany. - Przyszedłem wcześniej i Akbar był na tyle miły, że pozwolił mi zacząć, no i jestem do przodu.

- Dowiedział się pan już czegoś?

- To nadzwyczajne znalezisko. Krypta należała do Żyda o imieniu Józef - Barton wskazał skrzynkę na końcu rzędu, na oko nie różniącą się od pozostałych. - Łatwo zauważyć, że na ossuariach wypisano po hebrajsku imiona członków jego rodziny.

- Co za Józef? - te rewelacje nie zrobiły na Razaku większego wrażenia. Barton wzruszył ramionami.

- Na tym właśnie polega problem ze starożytnymi Żydami. Jeśli chodzi o dane, to nie grzeszyli dokładnością. Rzadko posługiwali się nazwiskami, przynajmniej nie na potrzeby obrządku pogrzebowego. A żydowskie imię „Józef” było wtedy dość popularne. W każdym razie sam pan widzi, że każde ossuarium jest wyraźnie oznaczone.

Razak przyjrzał się inskrypcjom na ściankach dziewięciu skrzynek.

- Każda zawiera z grubsza te same informacje: czyje szczątki znajdują się w ossuarium. To jego cztery córki - wskazał grupę skrzynek na początku rzędu. - Trzech synów - pokazał następne trzy i jeszcze jedną, tuż obok ossuarium Józefa - i jego ukochana żona, Sara - Barton przerwał i wziął głęboki oddech. - Jednak na tylnej ścianie krypty znajduje się napis, który dostarcza więcej informacji - wziął latarkę i kiwnął na Razaka, żeby poszedł jego śladem. Zagłębili się w ciemną wnękę i zatrzymali przy tylnej ścianie. Snop światła przesunął się po kamiennym murze. - Niech pan sam zobaczy - Barton oświetlił

zamocowaną na ścianie tablicę wykończoną ozdobną kamienną listwą
- mamy tu wykaz ossuariów przechowywanych w tej krypcie.

Muzułmanin podszedł bliżej.

- Więc powinna też tu być brakująca skrzynka - Razak naliczył dziewięć wierszy tekstu, ale jego wzrok przykuła głęboka bruzda pod ostatnią linijką. Przez chwilę przyglądał jej się niepewnie. - Ale widzę tylko dziewięć wpisów.

- Zgadza się. I odpowiadają one imionom na pozostałych ossuariach, ale ten wpis - Barton skierował światło latarki na zniszczoną powierzchnię - prawdopodobnie dotyczył dziesiątego ossuarium - postukał weń palcem.

Razak jeszcze raz spojrzął krytycznym okiem na wyźłobienie. - To nam za wiele nie da.

- Niestety nie. Następny ślepy zaułek.

Razak przeszedł się po komnacie i rozłożył ręce.

- Dlaczego tutaj? - Jak to?

- Dlaczego krypta znajduje się właśnie tu? Dobrze kombinuje, pomyślał Barton.

- Krypty kojarzą nam się na ogół z miejscami położonymi poza murami miasta, ale możliwe, że tym razem chodziło o względy bezpieczeństwa - przerwał, szukając najlepszego sformułowania. - W pierwszym wieku do północnego stoku Wzgórza Świątynnego przylegała rzymska forteca Antonia. Esplanada, która się znajduje nad naszymi głowami - podniósł rękę - była miejscem publicznym, tętniącym życiem. Wokół platformy ciągnęły się portyki prowadzące do garnizonu. Setnicy rzymscy przechadzali się tam i z powrotem i obserwowali tłumy, żeby w razie potrzeby zapobiec zamieszkom.

Barton darował sobie wyjaśnienia, że w pierwszym wieku główną przyczyną popularności Wzgórza Świątynnego była wielka żydowska świątynia, stojąca niegdyś na miejscu Kopuły Skały. Waqf od wieków zaprzeczał istnieniu świątyni, aby zachować kontrolę nad wzgórzem. Ponieważ biblijne wzmianki o tym miejscu kultu nie były poparte żadnymi dowodami archeologicznymi, pozycja muzułmanów była nie do podważenia.

- A co wspólnego mają z tą kryptą rzymscy setnicy?

- Wszystko. Proszę pamiętać, że w starożytności nie znano sejfów ani kłódek. Najłatwiejszym sposobem na wzbogacenie się była więc grabież. Z tego względu majątek był stale zagrożony.

Razak spojrział badawczo na rozmówcę.

- Więc jedyną metodą ochrony skarbów lub kosztowności było postawienie przy nich wojska?

- Otóż to.

- Wobec tego dziesiąte ossuarium wcale nie musiało zawierać kości. Czy to możliwe, że kryło jakiś skarb?

- Nie możemy tego wykluczyć.

- Skarb wydaje się nawet bardziej prawdopodobny a niżeli kości - ciągnął Razak. - Nie rozumiem, po co ktoś miałby zadawać sobie taki trud, żeby ukraść stertę kości.

Barton wyczuwał, że Razaka satysfakcjonuje jego interpretacja i z braku dowodów nie ma on zamiaru kwestionować tej hipotezy.

- Z tego, co widzę - dodał - nie możemy wyciągać wniosków na temat tego, co właściwie znajdowało się w ossuarium. Może jednak uda nam się dowiedzieć czegoś więcej dzięki pozostałym skrzynkom - wskazał ręką ossuaria, po czym wręczył Razakowi parę gumowych rękawiczek.

- Przydadzą się panu.

Muzułmanin odpowiedział przerażonym spojrzeniem.

WATYKAN

O ósmej oboje naukowcy przybyli do laboratorium i skierowali się prosto na zaplecze, gdzie Giovanni Bersei pouczał Charlotte, jak obsługiwać najważniejszy jego zdaniem sprzęt, w jaki było wyposażone laboratorium - automatyczny ekspres Gaggia, który po naciśnięciu guzika wypompowywał ulubioną kawę.

- Powiedz, jak ci się udała wczorajsza wyprawa do bazyliki?

Charlotte wzniosła oczu ku niebu i krótko streściła wizytę, nie pomijając nieprzyjemnego spotkania z Salvatore Contem. Powiedziała, że tak wytrąciło ją to z równowagi, iż postanowiła w ogóle już nie wychodzić tego wieczoru. Wstąpiła do baru hotelowego na kanapkę z tuńczykiem i położyła się wcześniej. Niezbyt ekscytujący wieczór, przyznała, ale cieszy się, że przynajmniej nadrobiła zaległości w spaniu.

- A jak ci smakowało *osso bucco*? Zrobił kwaśną minę.

- Średnio. O Carmeli można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że ma talent kulinarny. Może nawet jest najgorszą kucharką w całych Włoszech.

Uderzyła go żartobliwie w ramię.

- Giovanni, jesteś okropny. Mam nadzieję, że jej tego nie powiedziałeś.

- Zwariowałeś? Przecież nie chcę stracić żony.

Wybuchnęli zgodnym śmiechem. Bersei zerknął na zegarek.

- Możemy zaczynać?

- Do roboty.

Napełnili kubki, przeszli do głównej części laboratorium i założywszy kitle, stanęli przy stanowisku do badań. Ossuarium wraz z tajemniczą zawartością znajdowało się dokładnie tam, gdzie zostawili je dzień wcześniej.

Bersei podał Charlotte nową maskę i lateksowe rękawiczki. Założyła

je. Bersei zrobił to samo.

Wpatrując się w szkielet, Charlotte niemal spodziewała się, że nagle wychynie z niego ręka ściskająca klepsydrę.

Bersei wyjął cyfrowy aparat fotograficzny Canon EOS, włączył go i zrobiwszy kilka zdjęć, odłożył na bok.

Naukowcy stanęli po obu stronach blatu. Kolejno wyciągali kości i układali je na gumowej macie. Powoli kościec zaczął odzyskiwać kształt: dłuższe kości nóg i rąk, miednica i luźne wiązki żeber, segmenty kręgosłupa i wreszcie kruche, złożone kości dłoni i stóp.

Charlotte z największą ostrożnością wyjęła z ossuarium czaszkę. Podtrzymując jedną dłonią zuchwę, a drugą sklepienie czaszki, umieściła ją na końcu kompletnego szkieletu.

Bersei dokonał szybkiego przeglądu eksponatu.

- Wygląda na to, że mamy tu wszystkie dwieście sześć kości - złapał aparat i pstryknął kilka zdjęć złożonego kośćca.

Charlotte popatrzyła na znalezisko.

- No dobrze, spróbujmy się dowiedzieć, w jakich okolicznościach zginął ten mężczyzna.

- Ściśle mówiąc, nie wiemy jeszcze, czy mamy do czynienia z mężczyzną, pani doktor - zauważył uprzejmie. - Kto wie, może to kobieta?

Charlotte przechyliła głowę.

- Jasne, chociaż wątpię, żeby kobieta dostała taką ozdobną skrzynkę. Bersei uniósł brwi. Nie był pewien, czy nie żartuje.

- Spokojnie. Nie mam zamiaru cię karmić feministycznymi tekstami - powiedziała. - Zostawię to sobie na później.

- Miej litość.

Po naradzie doszli do wniosku, że najlepiej zacząć od badania patologicznego i jeśli to możliwe, określić przyczynę zgonu, a następnie spróbować odtworzyć wygląd sylwetki. Charlotte uruchomiła zainstalowany przy stanowisku roboczym system rejestrujący z zamiarem udokumentowania przebiegu analizy. Ich ustne notatki miały być później poddane transkrypcji. Wyjęła z szuflady dwie pary okularów z lupami. Podała jedną Bersei i założywszy drugą na nos, opuściła lupy.

Zaczęli od czaszki. Pochylili się, aby obejrzeć ją w najdrobniejszych szczegółach.

- Wygląda na zupełnie nienaruszoną - zauważył Bersei, spoglądając przez okulary.

Charlotte zmierzyła wzrokiem wymiary i rysy.

- Kwadratowa szczęka, mocno zarysowane łuki nadoczodołowe i wyraźne punkty przyczepu mięśni. Jednak wygląda na to, że mamy do czynienia z mężczyzną.

- Może masz rację - przyznał Bersei. Przechylił czaszkę do tyłu, obrócił ją i zajrzał do wnętrza. - Szwy są jeszcze widoczne, ale stopiły się ze sobą. Zobacz - wskazał spojenie na styku kości mózgowiczaszki, przypominające poszarpany zamek błyskawiczny, który ktoś próbował naprawiać.

Charlotte potwierdziła to spostrzeżenie. Wiedziała, o co chodzi. Im młodszy organizm, tym wyraźniej zaznaczone połączenia kości - jak ściśle przyłożone do siebie brzeszczoty. Z wiekiem szwy czaszkowe zarastają i są coraz mniej widoczne.

- Czyli nie więcej niż trzydzieści albo, powiedzmy, dwadzieścia lat?

- Tak sądzę - Bersei kilkakrotnie obrócił czaszkę w rękach, uważnie lustrując jej powierzchnię. - Nie widzę niczego, co wskazywałoby na uraz głowy, a ty?

- Też nie.

Następnie zajęli się zuchwą.

- Zęby są w doskonałym stanie - powiedziała Charlotte. - Chciałabym, żeby moje własne trzymały się równie mocno. Gość miał kompletne uzębienie. Nic nawet nie wskazuje na choroby przyzębia - przez moment majstrowała przy obrotowej tarczy na okularach, regulując ostrość. - Szkliwo jest nietknięte. Żadnych ubytków ani nieregularnych śladów zużycia.

- Dziwne.

- Może nie przepadał za słodyczami.

Przeszli do odcinka szyjnego, analizując go dokładnie w poszukiwaniu nieprawidłowości.

- Nie widzę żadnych śladów zwapnienia - zauważyła Charlotte. - Żadnych grzbietów ani skostnienia.

- Ani zarośnięcia - dodał Bersei. - Zdaje się, że dyski w ogóle nie są zwyrodniałe - delikatnie poruszał ostatnim kręgiem szyjnym. - Żadnych sensacji - skinął w stronę klatki piersiowej. - Przejdźmy dalej.

Niemal natychmiast Charlotte uniosła gwałtownie brwi.

- Chwila. Mam coś ciekawego.

Bersei podążył wzrokiem za jej palcem, który wskazywał środkową część klatki piersiowej. Spojrzał na mostek i natychmiast coś dostrzegł.

- Solidne pęknięcie.

- Jeszcze jakie - zbadała szczeliny w wysuszonej chrząstce łączącej żebra z mostkiem. - Myślisz, że mogło się to stać, kiedy oddzielano klatkę piersiową, żeby się zmieściła w ossuarium?

- Możliwe - odpowiedział ostrożnie i skierował uwagę na ułożony obok bark. - Spójrz na to.

Podążyła za jego wzrokiem.

- Masz niezłe oko. Kość ramienną i obojczyk oddzielono od łopatki?

- Właśnie. Ale to nie wygląda na ingerencję po śmierci. Szczeliny są włókniste. Miejsca oddzielenia tkanki wskazują, że stłuczenie nastąpiło przed jej wyschnięciem - spojrzał ponownie na mostek. - Zobacz. Wygląda na to, że mamy tu tę samą sytuację. Widzisz miejsca, w których chrząstka naciągnęła się na szerokość i pękła? Kiedy przygotowywano kości do pochówku, tkankę rozcięto jakimś ostrzem.

Hennesey nie miała wątpliwości. Tkankę, rozdartą pod wpływem bocznego naprężenia, dzieliło na pół wyraźne rozcięcie.

- Ajaj, to musiało być bolesne. Zwichnięcie? Jak sądzisz?

- Zwichnięcie, i to silne - powiedział zmartwionym tonem Bersei.

- To musiało go naprawdę boleć.

- Z pewnością. Ale go nie zabiło. Zajmij się tymi żebrami. Wskazał kości leżące tuż koło niej.

- Ja wezmę resztę.

Zdawało im się, że czas stanął w miejscu, gdy pochyleni nad rzędem żeber skrupulatnie badali każdy centymetr kwadratowy ich powierzchni.

Charlotte zaczynała się już oswajać z tym, że ma do czynienia z kośćmi, i skupiała się na konkretnym zadaniu, a nie na nieprzyjemnych obrazach genetycznego chaosu panującego w jej własnym ciele.

- Widzisz to co ja?

- Głębokie rysy? - Bersei pochyłał się nisko nad preparatem. - Zdecydowanie tak.

Niektóre zebra były nietknięte, ale większość wyglądała tak, jakby ktoś przeorał je grubymi gwoździami, po których zostały długie wyżłobienia o postrzępionych krawędziach. Szczeliny występowały po kilka, w nieregularnych odstępach.

- Skąd to się mogło wziąć? - jej głos obniżył się do szeptu.

- Mam pewne podejrzenia. Widzisz ślady metalu?

- Widzę. Czy to obrażenia post mortem? Wygląda to prawie tak, jakby jakieś zwierzę obgryzło kości.

- Nie wydaje mi się - powiedział Bersei. - Zauważ, że te znaki pojawiają się tylko na przedniej powięzi. Ślady zębów byłyby widoczne po obu stronach, nie wspominając już o tym, że większość padlinożerców odciągnęłaby kość w inne miejsce przed jej obgryzieniem i nie zostawiłaby nam kompletnego szkieletu.

- To co to jest twoim zdaniem? - Charlotte wyprostowała się.

- Powiem tak - spojrzał na nią znad okularów z lupami - jeśli kości wyglądają tak fatalnie, to okrywające je mięśnie i skóra musiały się prezentować znacznie gorzej... prawdopodobnie były w strzępach - wytrzymał jej spojrzenie, wziął głęboki oddech i dodał: - Coś mi się zdaje, że sprali go na kwaśne jabłko.

- Był chłostany?

Bersei powoli pokiwał głową.

- Zgadza się. To ślady po biczu z haczykami.

- Biedak - sama myśl o takim okrucieństwie poruszyła ją do głębi.

- Wracajmy do pracy - Bersei pochylił się nad górnymi kręgami lędźwiowymi.

Charlotte zaczęła obracać dolny odcinek kręgosłupa, uważnie badając każdą kostkę i tkankę dysku.

- Nie widzę tu żadnych zmian.

- To fakt - Belsei zerknął na zwartą strukturę kości miednicznej, nie pozostawiającą żadnych złudzeń co do płci osobnika. - Miałaś rację. To na pewno mężczyzna - przesunął palcami po obszarze, gdzie powinny się znajdować genitalia. - Wcięcie kulszowe jest wąskie, powierzchnia ucho-wata nie pofalowana, bez wgłębień.

- Na pewno nie przedostałoby się tędy dziecko. Przynajmniej nie odebrali matki żadnemu niemowlęciu.

Giovanni Bersei był zadowolony z dotychczasowych wniosków. Określenie płci na podstawie analizy szczątków nie należy do łatwych zadań, ponieważ najbardziej oczywiste cechy typowe dla obu płci występują w tkankach miękkich, a nie w kościach. W zależności od różnorodnych czynników, począwszy od sposobu odżywiania się, aż po poziom obciążenia fizycznego związanego z wykonywanym zawodem, tkanka miękka w kościach kobiety może modyfikować szkielet w ten sposób, że do złudzenia przypomina on szkielet mężczyzny. Najbardziej oczywistym przykładem zaniku różnic byłoby zwiększenie masy mięśniowej i - tym samym - pogrubienie kości podtrzymujących mięśnie, zwłaszcza w obszarach łączenia więzadeł. Jednakże u większości szkieletów kobiecych można dość łatwo rozpoznać kanał rodny.

- Co dalej, ręce czy nogi? - zapytał Bersei.

- Zaczniemy od rąk.

Przesunęli się nieco dalej i przystąpili do dokładnego badania kości długich. Rozpoczęli od kości ramiennych i stopniowo przechodzili do położonych niżej kości łokciowych i promieniowych.

Coś przyciągnęło jej uwagę i Charlotte pochyliła się jeszcze niżej, żeby zobaczyć to wyraźniej. Powierzchnia kości po wewnętrznej stronie, tuż nad nadgarstkiem, była wyraźnie uszkodzona.

- A to co? Wygląda, jakby ktoś łamał je kołem.

- Po tej stronie to samo. I to tylko w miejscu nad nadgarstkiem - potwierdził Bersei. - Widzisz te długie smugi po utlenieniu?

- Tak, to może być osad metaliczny. Na przykład hematyt - dostrzegła coś jeszcze. - Poczekaj - poprawiła okulary - w kości są włókna. U ciebie też?

- Tak. Weź próbkę. To mi wygląda na drewno.

Charlotte podeszła do szuflady, wyjęła pęsetę i plastikową fiolkę, i zaczęła wyciągać włókna z wnętrza kości.

Tymczasem Bersei zdążył już dojść do okolic stopy. Nachylił się, jakby coś wzbudziło jego zainteresowanie.

- Co tam masz? - spytała. Wyprostowała się i odłożyła fiolkę i pęsetę. Skinął na nią.

- Sama zobacz.

Nakierowała soczewki na obszar tuż pod goleniami. Kości strzałkowe i piszczelowe były w dobrym stanie, ale w górnej części każdej stopy widniały wyraźne wgłębienia w kościach.

Dwie kości lewej stopy były złamane.

- Spójrz na te obrażenia między drugą a trzecią kością śródstopia - zauważył Bersei. - Wyglądają podobnie jak te na rękach.

- Te same rdzawe smugi - dodała Hennesey. - To z pewnością ślad po jakimś metalowym przedmiocie.

- Sądząc po pęknięciach w drugiej kości śródstopia lewej stopy, ktoś się posłużył gwoździem. Widzisz, w którym miejscu koniuszek gwoździa uderzył w kość i ją rozłupał?

W samym środku szczeliny Hennesey zobaczyła odcisnięte wgłębienie w kształcie rombu, a w nim kolejne drzazgi.

- Nie do wiary. Wygląda na to, że tym razem chybili - poczuła mdłości na myśl o tym, że jakiś człowiek mógł zadać drugiemu takie rany. Jakie zwierzę byłoby zdolne do podobnego okrucieństwa?

- Prawdopodobnie dlatego, że gwóźdź wbito w stopy ułożone jedna na drugiej - powiedział beznamiętnie Bersei. Zauważył kolejną nieprawidłowość, tym razem w okolicy kolan, i ustawił się tak, by lepiej jej się przyjrzeć.

- Znalazłeś coś jeszcze?

- Popatrz na to.

Kiedy Charlotte spojrzała na staw kolanowy, natychmiast dostrzegła uszkodzenie. A sądziła, że najgorsze mają już za sobą.

- O mój Boże.

- Całkowicie zmasakrowane - z trudem wykrztusił Bersei. - Spójrz na naderwaną chrząstkę i te włoskowate pęknięcia pod kolanem.

- To znaczy, że złamali mu nogi w kolanach?

- To oczywiste. - Jak to?

Bersei wyprostował się i uniósł lupy w okularach. Jego cera miała ziemisty odcień.

- Wszystko jasne. Tego człowieka ukrzyżowano.

WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

Chyba nie sądzi pan, że się zgodzę na zbezczeszczenie szczątków zmarłych - Razak, głęboko dotknięty, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał surowo na Bartona. - Nie ma pan żadnych skrupułów?- To ważne - Barton ponownie podał mu rękawiczki. Razak odepchnął jego rękę.

- Nie ma mowy! - jego głos odbił się echem od ścian komnaty. - Musi pan dostać upoważnienie od Waqf.

Zaniepokojony Akbar zajrzał przez otwór w murze.

Barton powiedział cicho, nie zważając na jego piorunujący wzrok:

- Obaj wiemy, jak to się skończy. Skoro zależy nam na czasie, musimy podjąć pewne działania, żeby się dowiedzieć czegoś więcej. Przecież po to tu jesteśmy.

Razak, wciąż jeszcze wzburzony, odwrócił się do Akbara.

- Wszystko w porządku - odprawił go gestem. Potarł skronie i ponownie zwrócił się do archeologa. - Jaki z tego pożytek? W tych skrzynkach są tylko kości.

- Tego nie wiemy. Razak rozłożył ręce.

- Jeśli jest inaczej, to dlaczego złodzieje ich nie zabrali? - wskazał pozostałe skrzynki.

- Musimy się upewnić - Barton był nieprzejednany. - Trzeba rozważyć wszystkie możliwości. Póki co jedyne tropy, jakie mamy, znajdują się w tym pomieszczeniu. Gdybyśmy zrezygnowali ze zbadania tych ossuariów, byłoby to poważne zaniedbanie.

Na kilka sekund w krypcie zapadła głucha cisza.

- No dobrze - Razak ostatecznie dał za wygraną. - Jedna skrzynka naraz. Ale na mnie proszę nie liczyć.

- Zrozumiano.

- Niech Allah ma nas w swojej opiece - mruknął Razak. - Niech pan zaczyna, skoro to konieczne - odwrócił się ostentacyjnie.

Barton odetchnął z ulgą i ukląkł przy pierwszym ossuarium. Umieszczony na nim napis po hebrajsku głosił „Rebeka”.

- To może potrwać - zawołał.

- Poczekam.

Barton chwycił oburącz krawędzie płaskiego kamiennego wieka. Spojrzał na Razaka, który wciąż stał obrócony plecami. Wziął głęboki oddech i jednym pchnięciem oderwał pokrywę.

Dwie godziny po otwarciu pierwszego ossuarium Graham Barton odkładał już z powrotem szczątki kości wydobyte z siódmego ossuarium. Były wyjątkowo dobrze zachowane, podobnie zresztą jak okazy, które znalazł w sześciu wcześniejszych skrzynkach.

Choć nie był specjalistą w dziedzinie antropologii sądowej, swego czasu przebadał wystarczająco dużo kości, żeby znać podstawy tej nauki. Oczywiście opisy na ossuariach wykluczały konieczność spekulacji na temat płci, ale pewne cechy szwów czaszkowych, stawów i kości miednicznych pozwoliły mu wyciągnąć określone wnioski dotyczące wieku szkieletów. Cztery młodsze kobiety - jak podejrzewał, córki - zmarły bardzo wcześnie: mogły mieć od kilkunastu do dwudziestu paru lat. Zdawało się, że trzej młodszy mężczyźni - synowie, rozumując w ten sam sposób - także się mieszczą w podobnym przedziale wiekowym. Dzieci były liczne i rodziły się w niewielkich odstępach czasu, co było typowe dla rodzin żyjących w pierwszym wieku - ułatwiało im przetrwanie.

Dotychczasowe oględziny nie wykazały żadnych nieprawidłowości, przynajmniej zdaniem Bartona. Żadnych wyraźnych śladów obrażeń.

Zakładając, że cała siódemka została poczęta przez matkę i ojca, których szczątki spoczywały w ósmym i dziewiątym ossuarium, osobliwe wydawało się to, że wszyscy zmarli tak młodo. Nawet w pierwszym wieku, kiedy to średnia długość życia tych, którzy zdołali przetrwać trudne dzieciństwo, wynosiła zaledwie trzydzieści pięć lat, ze statystycznego punktu widzenia taki wynik był mało prawdopodobny. Co więcej, wydawało się, że wszyscy zginęli w tym samym czasie.

Dziwne.

Barton wstał, żeby rozprostować kości.

- Nie nudzi się panu? - spojrzał w przeciwny kąt komnaty, gdzie w kontemplacyjnej pozie i z twarzą obróconą w stronę ścian siedział Ra-zak. W pewnej chwili słyszał nawet, jak intonuje pieśni.

- Nie. Długo to jeszcze potrwa?

- Zostały dwie skrzynki. Pół godziny? Muzułmanin przytaknął.

Archeolog wykonał kilka krążeń *ghwą* i kucnął przy ósmym ossuarium, w którym znajdowały się szczątki Sary, żony Józefa. Zdążył już opracować system pracy: zręcznie zdejmował wieko, odwracał je, kładł na kamiennej posadzce i wykorzystywał jako podkładkę pod badane kości.

Z wnętrza skrzyni spojrzały na niego zapadnięte oczodoły, jak makabryczny odlew w beżowym szelaku.

Barton, który na dobrą sprawę nie był nawet pewien, czego szuka, zaczął już tracić nadzieję, że w pozostałych skrzyniach znajdzie się coś niezwykłego. Czy to możliwe, że rabusie faktycznie wiedzieli o tym i pominęli je celowo, tak jak sugerował Razak? Z całą pewnością zawartość dziesiątego ossuarium nie była tak nijaka jak pozostałych. Zdumiony, zachodził w głowę, co właściwie złodzieje wiedzieli o zaginionej relikwii i jak to możliwe, że uzyskali tak szczegółowe informacje.

Wziął do ręki czaszkę, obrócił ją i oświetlił latarką wnętrze tak, że zaczęła przypominać makabryczną latarnię. Stopień skostnienia szwów wskazywał, że Sara mogła dobiegać czterdziestki. Położywszy czaszkę na pokrywie skrzyni, zaczął kolejno wyjmować większe fragmenty szkieletu i porządnie je układać. Na dnie znalazł całe garście drobniejszych kości. Żadnych anomalii czy niespodzianek. Skierował snop światła do pustego wnętrza ossuarium i uważnie zlustrował wszystkie powierzchnie w poszukiwaniu inskrypcji. Starał się nie pominąć żadnego fragmentu dna.

Uroczyście złożył kości Sary z powrotem w ossuarium, zasunął wieko i bez większego entuzjazmu kucnął przed dziewiątą skrzynką.

- Dalej, Józefie, daj mi jakiś znak - chuchnął w dłoń na szczęście i chwycił wieko. Ku jego zaskoczeniu, tym razem pokrywa ani drgnęła. Spróbował jeszcze raz. Nic z tego.

- Hm. Ciekawe.

- Co takiego? - zawołał Razak.

- Ostatnie ossuarium jest zaplombowane - Barton skierował światło latarki na krawędź skrzyni. Niewątpliwie tkwiła tam jakaś masa wyglądająca jak szare szczeliwo.

- To może niech tak zostanie.

Czy on postradał zmysły? - pomyślał Barton. Nie po to zaszedł tak daleko, żeby teraz przerywać. Udał, że nie słyszy, wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk, wysunął ostrze średniej wielkości i zeszkrobał trochę ma-ziowatej substancji na dłoń w rękawiczce. Spojrzał pod światło na garść wiórów i ocenił, że to coś w rodzaju tustawego wosku. Poluzowanie plomby na tyle, żeby dało się uchylić pokrywę, zajęło mu około pięciu minut. Złożył scyzoryk i schował go z powrotem do kieszeni.

- No dobrze - mruknął, ocierając pot z czoła. Chwycił wieko za dłuższe krawędzie, wyszarpnął z wysiłkiem, odwrócił i położył na posadzce. Z odkrytego wnętrza skrzyni buchnął nieprzyjemny odór i Barton gwałtownie wstrzymał oddech.

Wziął latarkę, skierował snop światła w dół i zaczął rozpakowywać najdłuższe kości ułożone na szczycie sterty. Sądząc po silnie zarośniętych szwach czaszkowych i mocno zużytym szklwie na niekompletnym uzębieniu, w chwili śmierci Józef musiał dobiegać siedemdziesiątki lub właśnie ją przekroczył. Gdy ostatnie kości spoczywały już na wieku, Barton wciągnął powietrze i zanurzył głowę w skrzynce, oświetlając jej wnętrze. Jakie było jego zdziwienie, gdy na dnie zobaczył niepozorną, prostokątną metalową tabliczkę. Sięgnął ponownie po scyzoryk, wsunął ostrze pod płytkę, podważył ją i odsłonił niewielkie wgłębienie wyżłobione w podstawie ossuarium, a w nim metalowy walec długi na jakieś piętnaście centymetrów. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Mam cię, bratku - chwycił walec palcami i wyjął z ossuarium.

- Znalazł pan coś? - głos Razaka odbijał się od murów krypty.

- Jak najbardziej. Proszę spojrzeć.

Razak odwrócił się bez namysłu i zaledwie omiół wzrokiem walec, gdy jego spojrzenie natychmiast powędrowało w stronę sterty kości. Gwałtownie obrócił głowę w stronę ściany.

- Nieszczęsne dusze. Niech spoczywają w pokoju.

- Przepraszam. Mogłem pana uprzedzić - powiedział Barton. Razak machnął ręką, kręcąc głową.

- Już dobrze. Co pan tam trzyma?

- Nasz klucz do rozwikłania tej zagadki - Barton poderwał się i podszedł do lampy umieszczonej na statywie. - Niech pan sam zobaczy.

Razak podniósł się energicznie, podszedł bliżej i stanął u boku Bartona. Przyjrzał się uważnie walcowi, najpewniej odlanemu w brązie, i dostrzegł, że po jego obu stronach znajdują się niewielkie wieka.

- Otwieramy?

- Pytanie! - Barton bez wahania zdjął wieka i przytknął koniec walca do lampy, oświetlając jego wnętrze. W środku był jakiś rulon. - Oho. Zdaje się, że mamy zwój.

Nerwowo pocierając brodę, Razak rozmyślał, czy aby na pewno tak to wszystko powinno wyglądać, ale ostatecznie pogodził się z tym, że to Barton jest specjalistą.

Archeolog oparł walec na dłoni i postukał weń kilkakrotnie, dopóki ze środka nie wypadł zwój. Upewniwszy się, że metalowa tuba nie kryje niczego więcej, wsunął ją do kieszeni koszuli.

- Welin. W znakomitym stanie - z wielką ostrożnością rozwinął rulon. Ich oczom ukazał się starożytny tekst, o ile się nie mylił, napisany greką. Archeolog spojrział na Razaka.

- Bingo.

WATYKAN

- Poświęciwszy dwie godziny na wypełnianie obszernego dziennika badań, w którym zarejestrowali wyniki oględzin - zdjęcia cyfrowe, pisemne opisy, uwagi - dwoje naukowców popijało espresso, stojąc przy ekspresie do kawy w ciasnym, pomalowanym na biało pomieszczeniu służącym jako zaplecze laboratorium. Oboje byli pogrążeni w zadumie. Bersei miał sceptyczną minę. Widywałem już szczątki w różnym stanie: zabalsamowane, same szkielety, czasem nawet stopione - zawiesił na chwilę głos. - Ale coś takiego widzę po raz pierwszy, choć tak bardzo mnie to nie dziwi.

- Dlaczego?

- Choć powszechny jest pogląd, że to Grecy pierwsi zaczęli krzyżować skazańców, w rzeczywistości była to domena Rzymian. Ich ulubiona metoda egzekucji więźniów. Dopiero w czwartym wieku zakazał jej cesarz Konstantyn Wielki.

- Jesteś pewien, że to co widzimy, jest wynikiem ukrzyżowania, a nie jakichś innych wymyślnych tortur?

- Na sto procent. I powiem ci dlaczego - Bersei dopił kawę. - Zaczniemy od początku. Po pierwsze, musisz zrozumieć dlaczego Rzymianie uśmiercali przestępców na krzyżu. Rzecz jasna, była to skrajna postać kary, ale także metoda zasygnalizowania obywatelom, kto tu rządzi. Taki sposób umierania był całkowicie odarty z prywatności. Ofiary odzieraną z szat i wieszano przy głównych traktach oraz w miejscach o pierwszorzędym znaczeniu. Panowało przekonanie, że taka śmierć jest haniebna... całkowicie poniżająca. Dlatego była na ogół zarezerwowana dla pospolitych, nisko urodzonych rzesz mieszków albo dla wrogów państwa. Była to kluczowa rzymska metoda rządzenia przez zastraszenie. W oczach Charlotte zapaliły się ogniki.

- Czyli możliwe, że mamy do czynienia z przestępcą?

- Być może - Bersei wzruszył ramionami. Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Może to zabrzmie dziwnie, ale parę lat temu opublikowałem wyniki finansowanych przez komisję papieską badań poświęconych krzyżowaniu. Weryfikowałem dotychczasowe teorie dotyczące faktycznych przyczyn zgonu skazańców.

Charlotte nie była pewna, jak powinna zareagować.

- Muszę o to zapytać... dlaczego właściwie się tym zajmiesz?

- Słuchaj, wiem, że to trochę niezdrowe, ale ludzi krzyżowano przez wieki i zgłębienie tego procederu jest konieczne do zrozumienia wczesnego państwa rzymskiego. Wolę traktować to jako swoistą niszę

- uśmiechnął się. - Ta publikacja zyskała spory rozgłos.

- Ależ nie wątpię. Milutka lektura.

- Mam mówić dalej?

- Proszę.

- Przed ukrzyżowaniem przestępców chłostano, zazwyczaj trzcina lub biczem. Dzięki temu nie stawiali takiego oporu, gdy prowadzono ich na miejsce egzekucji. Jeśli chodzi o naszego nieszczęśnika, wszystko wskazuje na to, że chłostano *goflagrum* - okropnym biczem złożonym z kilku rzemyków zakończonych metalowymi haczykami.

- To by wyjaśniało, dlaczego zebra są tak paskudnie zdarte.

- *Si*. I sądząc po głębokości szczelin, mięśnie musiały być silnie poszarpane. Ten człowiek przeżywał niesłychane katusze i okropnie krwawił.

- To nieludzkie - próbowała przepędzić obraz ostro zakończonego bicia przecinającego powietrze i wrzynającego się w ciało.

- Obawiam się, że to był dopiero wstęp. Samo ukrzyżowanie było znacznie, znacznie gorsze. Ta metoda występowała w kilku wariantach i w zasadzie każdy z nich miał ten sam śmiertelny skutek. Przestępcę przybijano do drewnianej konstrukcji za pomocą długich gwoździ przechodzących przez nadgarstki i stopy. Kiedy ciało zwisało w pozycji pionowej, było dodatkowo podtrzymywane przez sznury obwiązane wokół ramion. Formy krzyża były różne: proste drzewo lub pał, dwie belki skrzyżowane na kształt litery X lub trwała

konstrukcja przypominająca duże T. Przypuszczam, że nasza ofiara zginęła na krzyżu zwanym *cruc composita*, złożonym ze słupa, *stipes*, i poprzecznej belki, *patibulum*. Na znanych obrazach sceny ukrzyżowania są przedstawione tak, że gwoździe przebijają dłonie ofiar...

Charlotte знаła dalszy ciąg opowieści.

- Ale drobne kości i słabe mięśnie dłoni nie utrzymałyby ciężaru ciała, tak? Ciało powieszona na dłoniach zsunęłoby się z krzyża - zacisnęła ręce na kubku.

- Otóż to. Dlatego, żeby utrzymać ciężar, w nadgarstki, tuż nad kością łokciową i promieniową wbijano metalowe szpikulce, olbrzymie kolce długie na jakieś osiemnaście centymetrów, razem ze sporą deszczułką, która zapobiegała ześlizgnięciu się ciała. Dokładnie w tym miejscu - Bersei wskazał punkt tuż nad przegubem swojej ręki.

- To powodowało zmiżdżenie lub zerwanie nerwu pośrodkowego i w efekcie falę nieznośnego bólu przetaczającego się po ramieniu. Następował natychmiastowy paraliż rąk. Kiedy nadgarstki były już przebite, *patibulum*, na którym się utrzymywał cały ciężar ciała, wciągano gwałtownie na słup. Nie sposób sobie wyobrazić, co czuł skazany. To przechodzi ludzkie pojęcie.

Charlotte oczyma wyobraźni zobaczyła okropny obraz gwoździ wnikających w ciało.

- Stąd zwichnięcie.

- To by też wyjaśniało obecność tych podłużnych smug i śladów hematytu w nadgarstkach: dowód olbrzymiego nacisku wywieranego na kości. Prawdziwa męczarnia. To tak, jakby cały ciężar ciała opierał się na gwoździach.

Hennesey wrzuciła kubek do zlewu.

- Dość już tej kawy.

Bersei położył jej rękę na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

Potarła oczy. Ostatecznie może rak kości to jeszcze nie koniec świata.

- Tak, w porządku, mów dalej.

- Kiedy ciało zwisało pionowo - ciągnął Włoch - stopy układano

jedną na drugiej i przybijano do słupa. Nie było to najłatwiejsze zadanie, bo ofiara wierzyła nogami.

- To zapewne wyjaśnia pęknięcie, które znaleźliśmy na kości stopy. Doszło do szarpaniny.

- Tak - Bersei zniżył głos. - Aby tego uniknąć, czasem między nogi wkładano podpórkę, *sedile*. Gwóźdź przechodził przez... - zawahał się przez chwilę, ale w końcu uznał, że wyjaśnienia powinny być precyzyjne - pręcie, a następnie przez *sedile*. W ten sposób skazaniec był unieruchomiony.

Charlotte zakręciło się w głowie, jakby była bliska omdlenia. Ilekroć doktor Bersei dorzucał kolejny szczegół, czuła, że zapada się coraz głębiej, jakby ktoś wyjmował z jej ciała kości, jedną po drugiej.

- Trudno w to uwierzyć - wyszeptwała z trudem. Ta przerażająca wiedza zdawała się zupełnie nie pasować do Giovanniego, bądź co bądź osoby o łagodnym usposobieniu. Wzięła głęboki oddech.

Bersei splótł dłonie i zamilkł na chwilę, porządkując myśli.

- Faktem jest, że jeśli chodzi o ukrzyżowanie, to nie sposób wyróżnić pojedynczej przyczyny zgonu. Zazwyczaj ogólny wstrząs robi swoje. Chłosta, rany kłute, warunki atmosferyczne... wszystko się sumuje. Agonia może trwać nawet parę dni. To zależy od ogólnego stanu zdrowia ofiary.

To, że człowieka może spotykać tak straszliwa kara, przekraczało granice wyobraźni Charlotte. Równie zdumiewające wydawało jej się zaangażowanie Bersei w tę tematykę. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mężczyźni mają naturalne skłonności do takich zainteresowań.

- I wiemy już, że ten człowiek cieszył się wyjątkowo dobrym zdrowiem.

Bersei przytaknął.

- Uszkodzenia żeber wskazują, że powinna go już zabić sama kara chłosty. Skóra i struktury mięśni były w strzępach; możliwe, że było widać narządy wewnętrzne. To niebywałe, że ta osoba w ogóle przeżyła... Musiała strasznie cierpieć. I tu zmierzamy do sedna.

Charlotte poczuła skurcz żołądka. Wiedziała, że za chwilę usłyszy coś, co ostatecznie ją pograży.

- Jeśli przestępca ociągał się z przejściem na drugi świat -

ciągnął Bersei - przyspieszano ten moment, łamiąc mu nogi w kolanach wielką stalową maczugą.

Ten obraz momentalnie stanął jej przed oczami i Charlotte sama poczuła drżenie nóg. - Czyli to właśnie spotkało naszą ofiarę - odpowiedziała. Starła się odstawić emocje na bok i zastanawiała się nad skutkami końcowej fazy egzekucji. - Bez wsparcia nóg cały ciężar ciała spadał na klatkę piersiową. Czy właśnie to spowodowało rozdarcie chrząstki?

- Owszem. Ponieważ dopływ powietrza do płuc był utrudniony, ofiara rozpaczliwie próbowała złapać oddech. Tymczasem pozostała krew, choć w niewielkiej ilości, zaczynała osiadać w dolnych partiach ciała.

- Czyli zasadniczo zgon nastąpił przez uduszenie i wskutek niewydolności serca, tak?

- Tak. Odwodnienie i uraz mogły przyspieszać ten moment - Bersei zamilkł i zacisnął wargi. - Zdarzało się, że w chwili śmierci ofiara tkwiła już na krzyżu wiele dni. Udręka nie do opisanania.

- A co potem?

Bersei zacisnął wargi. Po chwili wyjaśnił:

- Ciało strącano na ziemię i przychodziła kolej na sępy, psy i inne bestie. Szczątki palono. Rzymianie mieli wszystko dokładnie zaplanowane. Ostatnim elementem kary była odmowa godnego pochówku, co dla wyznawców większości religii tamtego okresu było prawdziwym ciosem. Paląc ciała, Rzymianie praktycznie pozbawiali ofiarę szansy na życie pozagrobowe, reinkarnację lub wskrzeszenie.

- Najwyższa kara - Charlotte utkwiała wzrok w podłodze.

- Nie inaczej. Ciało było unicestwione na wieki.

- Ludzie musieli robić w gacie ze strachu, gdy to wszystko widzieli. Co za widok, idziesz drogą, a tu na słupach wiszą ciała. To ci dopiero sugestywny przekaz.

- Rzymska specjalność. Na pewno robiło to wrażenie... zwłaszcza na podatnikach podbitych ziem.

Na moment w pomieszczeniu zapadła cisza.

- Jak myślisz, kim był ten gość?

Bersei wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Jeszcze o wiele za wcześnie na takie rozważania. To może być ktokolwiek z tysięcy osób ukrzyżowanych przez Rzymian. Jednak do tej pory ze szczątków ofiar podobnych egzekucji znaleziono wyłącznie kość piętową z utkwionym w niej gwoździem. Okaz, z którym mamy do czynienia, jest pierwszym szkieletem odkrytym w nienaruszonym stanie. Właśnie dlatego to niezwykle wartościowa relikwia.

Charlotte przechyliła głowę.

- To by wyjaśniało, dlaczego Watykan zadał sobie tyle trudu, żeby nas tu sprowadzić.

- Absolutnie. Teraz wszystko jasne. To monumentalne znalezisko.

- Ale ossuarium otwarliśmy dopiero dzisiaj, a skoro było zaplombowane, to skąd u licha wiedzieli, że tego człowieka ukrzyżowano? Jak się zorientowali, że będą potrzebować takiego fachowca jak ty?

Po chwili namysłu Bersei odpowiedział:

- Nic dziwnego, że mnie wezwali. Od lat zajmuję się badaniem katakumb i widziałem wiele szkieletów, wiele relikwów związanych z pochówkiem. A jeśli chodzi o ciebie... no, cóż, chyba nie muszę ci mówić, że analiza DNA to doskonała metoda badania ludzkich szczątków. Proponuję jednak wstrzymać się z tymi teoriami, dopóki nie zbadamy bliżej ossuarium. Przecież same szczątki to tylko element układanki.

MUZEA WATYKAŃSKIE

W ciasnym pomieszczeniu usytuowanym nieco dalej w tym samym korytarzu i służącym na co dzień jako magazyn stał komputer, do którego podłączono mnóstwo kabli przekazujących na żywo dźwięk i obraz z laboratorium oraz sąsiadującego z nim zaplecza.

Salvatore Conte wyposażony w słuchawki podpięte do skomplikowanego systemu podsłuchu i podglądu pilnie nagrywał wszystkie czynności naukowców, zgodnie z poleceniem kardynała Santellego, watykańskiego sekretarza stanu.

Dwa odrębne łącza radiowe śledziły także wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące prowadzone w pokoju Charlotte (wystarczyła mała pluskwa w głównym serwerze telefonicznym Watykanu) i w miejscu zamieszkania Giovanniego Bersei. Poprzedniego wieczoru Conte złożył osobliwą wizytę w domu naukowca. Kiedy antropolog zajał rozgotowaną giez cielęcą, Conte majstrował przy telefonicznej skrzynce przekaźnikowej umieszczonej za domem. Wymagania wcześniejszych pracodawców sprawiły, że całkiem nieźle znał się na elektryce.

Choć cała ta naukowa gadanina średnio go interesowała, z przyjemnością skupiał uwagę na amerykańskiej badaczce. Niezła z niej dupa. Wprawdzie nie do końca w jego typie, ale nigdy nie zaszkodzi spróbować. A jeśli chodzi o upór, to Salvatore Conte nie miał sobie równych. Wytrwałość to podstawa.

Przyglądając się ponownie Hennesey - jej twarzy, ustom, włosom, ciału - zdecydował, że musi jej zakosztować, bez względu na wszystko. Po prostu będzie musiał trochę poczekać, aż do momentu, gdy skończą tę robotę.

Korzystając z sąsiedniego komputera, uruchomił przeglądarkę internetową i wszedł na stronę główną banku na Kajmanach, w którym pod jednym ze swoich pseudonimów założył nowy rachunek. Wpisał nazwę użytkownika i hasło i sprawdził wykaz operacji, żeby

się upewnić, czy San-telli dotrzymał umowy.

Tego samego ranka porozmawiał sobie od serca z kardynałem na temat premii za szybkie dostarczenie relikwii oraz za dodatkowe ryzyko, które musiał ponieść on i jego współpracownicy (oprócz Douga Wilkinsona). Dał jasno do zrozumienia, że poczuje się „nieswojo”, jeśli będzie musiał opuścić Watykan, nie mając pewności, że dokonano już przelewu. O dziwo, kardynał nie protestował i chętnie przyznał, że taka skuteczna misja jest warta dodatkowych wydatków.

Conte nie miał cienia wątpliwości, że pieniądze przelano z jednego z zewnętrznych oddziałów banku watykańskiego i w tych murach po transakcji nie został najmniejszy ślad. Bank nawet nie skontaktował się z nim w sprawie tej sumy i pieniądze wpłynęły bez przeszkód.

Jako nastolatek Salvatore Conte odnosił wielkie sukcesy w szkole wojskowej Nunziatella w Neapolu, a po jej ukończeniu odbył obowiązkową ośmiomiesięczną służbę w armii. Już wkrótce jego wyjątkowe możliwości - fizyczne i intelektualne - przyciągnęły uwagę dowódców. To z ich polecenia zdobył stanowisko w Servizio per le Informazioni e la Sicurezza Democratica - włoskich tajnych służbach. Zdobył tam najważniejsze umiejętności, dzięki którym mógł zacząć działać na własną rękę. Zabójstwa, porwania zakładników, infiltracja komórek terrorystycznych - nie bał się żadnego zlecenia i z powodzeniem wypełniał wszystkie misje. Jako najemnik uczestniczył też w międzynarodowych operacjach na terenie Europy i Stanów Zjednoczonych.

Jego decyzja o opuszczeniu SISDE, podjęta niemal pięć lat temu, była słuszna. Choć przez lata pracy w służbach udało mu się nawiązać wiele cennych kontaktów, nie narzekał na brak klientów szukających odwetu na wrogach lub planujących „zdobycie” nowych dóbr. Tacy zleceniodawcy zawsze płacili gotówką - i na czas.

W pewnym momencie skupił się jednak na niewielkiej grupie klientów, których uznał za potencjalnych zleceniodawców najbardziej intratnych zadań. Były wśród nich władze Watykanu - maleńkiego państwa, uznawanego za twierdzę nie do zdobycia ze względu na wysokie mury, zaawansowany system zabezpieczeń i zastępy

najemników. Conte pozwolił sobie złożyć wizytę szefowi tego interesu, aby mu przypomnieć, że każdy system ma swoje słabe strony. Oczywiście nie papieżowi - takie odwiedziny nie byłyby zbyt rozsądne. Nie, Conte wybrał kardynała Santellego - człowieka, który według jego wiedzy był prawdziwym mózgiem tej instytucji.

Wciąż jeszcze miał przed oczami wyraz twarzy tego starego sukinsyna, który tego ranka wkroczył do swojego gabinetu wesoło pogwizdując i zobaczył Contego siedzącego przy idealnie uporządkowanym biurku i układającego pasjansa na komputerze uruchomionym za pomocą przenośnego dekodera haseł. Najemnik był ubrany na czarno od stóp do głów, jak zwykle, gdy planował nocny skok.

- Kim pan jest, do diabła? - wykrzyknął kardynał osłupiały.

- Twoim osobistym doradcą do spraw ochrony - odpowiedział szybko Conte, po czym wstał i okrążywszy biurko, podał kardynałowi wizytówkę, na której widniał jego pseudonim i zaszyfrowany numer telefonu komórkowego. - Akurat byłem w okolicy i postanowiłem pofatygować się osobiście, żeby omówić pewne oczywiste niedociągnięcia w systemie zabezpieczeń twojego państewka.

W rzeczywistości wtargnięcie na teren Watykanu wcale nie było takie łatwe. Obok biurka Santellego stał plecak wypchany ekwipunkiem: liny z kotwiczką, uprząże, noże do szkła, noktowizory i inne różności. Musiał wspiąć się na północny mur, przerzucić linę z kotwiczką na dach budynku Muzeów Watykańskich, przedostać się tam, przejść po dachu do Pałacu Apostolskiego, uporać się z systemem alarmowym (za pomocą urządzenia elektromagnetycznego wyniesionego z SISDE), zejść po linie do okna Santellego, wyciąć otwór w szybie i otworzyć okno. Kiedy dotarł do celu, zjadł opiekaną kanapkę z mortadela, prosciutto i mozzarellą, wypił napój pellegrino chinotto i spokojnie czekał na nadejście świtu.

Santelli potrzebował minuty czy dwóch, żeby się uspokoić. Usiłował dojść, jak to możliwe, że ktoś się przedarł przez kolejne ścisłe zabezpieczenia. Tymczasem Conte wpatrywał się uparcie w panel interkomu umieszczony na biurku. Wreszcie, wyjaśnwszy, że jego osoba może oddać tak potężnemu człowiekowi nieocenione usługi,

przeszedł do szczegółowej prezentacji swoich kompetencji. Kardynał udawał, że te propozycje go obrażają, ale Conte wiedział swoje. Jako że widział teczkę tego człowieka, gdy jeszcze pracował w SISDE - a zainteresował go zwłaszcza wątek głośnego skandalu w Banco Ambrosiano - wiedział, że kardynałowi nieobce są nikczemne czyny.

- A jeśli każę pana natychmiast aresztować? - zagroził Santelli.

- Nie radzę. Chyba że chcesz, żebym odpalił C4 ukryte w tym budynku, a zrobię to, zanim twoi strażnicy zdążą wpaść przez te drzwi.

Kardynał wytrzeszczył oczy.

- Wolne żarty.

Conte wyjął niewielki zdalnie sterowany detonator.

- Papież jest u siebie, tak? Naprawdę chcesz zaryzykować?

- No dobrze, panie Conte. Dość już pan powiedział.

- Zatrzymaj moją wizytówkę. Uwierz mi... pewnego dnia będziesz potrzebował mojej pomocy - podniósł pękaty plecak. - Będę wdzięczny, jeśli mnie odprowadzisz. Wiele z tych rzeczy mogłoby nie przejść przez wykrywacz metali - powiedział i poklepał plecak. - Kiedy wyjdę stąd bezpiecznie, powiem ci, gdzie jest C4. Umowa stoi?

Jeśli chodzi o rodziców Contego, to byli przekonani, że kluczem do jego sukcesu są inwestycje na rynku nieruchomości, ale Maria, jego trzydziestopięcioletnia siostra, nie dawała się tak łatwo nabrać, co prowadziło do ciekawych sytuacji podczas zjazdów rodzinnych.

Charakter jego pracy nie sprzyjał budowaniu stałych związków, co nie znaczy, że Salvatore Conte w ogóle był zdolny do czegoś takiego. W ciągu ostatnich paru lat nie był z nikim na poważnie... nie mówiąc nawet o żonie czy dzieciach. Takie lekkomyślne zachowanie byłoby jaskrawym zaprzeczeniem pojęcia anonimowości i stwarzałoby zbyt wiele potencjalnych problemów. Póki co miał na pęczki kobiet, które z przyjemnością zaspokajały jego bieżące potrzeby. Abiorąc pod uwagę wpływy z ostatniej roboty, najbliższa przyszłość rysowała się równie obiecująco. Interes kręcił się całkiem, całkiem.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, a oczy zaokrągliły się ze zdumienia, gdy zobaczył stan konta. Po odliczeniu kosztów ogólnych i opłaceniu pozostałych sześciu członków drużyny pozostała mu

okrągła sumka czterech milionów euro. Całkiem nieźle jak na kilkudniową fuchę.

I nawet nie dostał kulki. Jeszcze jeden plus.

CHINON, FRANCJA 3 MARCA 1314

W ciemnej ciasnej komórce w podziemiach Fortu du Coudray, pod zimną kamienną ścianą lochu siedział bezwładnie Jakub de Molay. Obserwował trzy olbrzymie szczury walczące o kawałek chleba, który im rzucił.

Jego kości przesiąkły wilgotnym chłodem, którego nijak nie mógł przepędzić. W powietrzu unosił się ciężki odór ekskrementów. To nie było więzienie. To było istne piekło.

Siedemdziesięcioletnie ciało de Molaya - niegdyś krzepkie - teraz zmizerniało. Z zapadniętych policzków opadała potargana, biała przetłuszczona broda, która stała się siedliskiem wszy.

De Molay przez dwie dekady pełnił zaszczytną funkcję wielkiego mistrza zakonu, a teraz odpłacono mu poniżeniem. Od sześciu lat gnął w tej zapadłej dziurze, padłszy ofiarą skandalicznych intryg politycznych młodego i ambitnego króla Francji, Filipa IV, i będącego z nim w zмовie papieża Kościoła rzymskokatolickiego, Klemensa V.

Nie było dnia, żeby nie sięgał pamięcią do rozmowy z Tibaldem de Gaudinem w cytadeli Kolossi. Być może powinien był posłuchać rad tego tchórza.

Z głębi korytarza, zza stalowych krat, usłyszał skrzypnięcie ciężkich wrót, brzęk kluczy i narastający odgłos kroków. Kilka sekund później za kratami celi zamajaczyła okryta peleryną postać. De Molay nie musiał podnosić wzroku, żeby rozpoznać, kto go odwiedził. Silna woń pach-nidła nie pozostawiała wątpliwości, że papież Klemens V, tym razem z dwoma krzepkimi strażnikami u boku, wreszcie zaszczycił go swoją obecnością.

Ciszę przerwał nosowy głos:

- Wyglądasz jak siedem nieszczęść, Jakubie. Jeszcze gorzej niż zwykle.

De Molay spojrzał na korpulentnego gościa, osłaniającego haczykowaty nos haftowaną chusteczką. Jego miękkie

wypielęgnowane palce zdobiły wysadzone szlachetnymi kamieniami pierścienie, a wśród nich papieski pierścień Rybaka. Pod ciężką czarną peleryną z kapturem kryła się powłóczysta szata, a w świetle sąsiedniej pochodni połyskiwał krzyż pektoralny.

- Ty natomiast wyglądasz... ślicznie - powiedział de Molay, z trudem rozchylając spękane wargi.

- No, no, wielki mistrzu. Bez osobistych wycieczek.

- Za późno. Od początku chodziło tylko o to - przypomniał mu de Molay.

Klemens odsunął chusteczkę i uśmiechnął się.

- O czym chciałeś ze mną mówić? Chcesz nam wreszcie coś wyznać? De Molay przeszył papieża, człowieka młodszego od niego o dwie dekady, lodowatym spojrzeniem.

- Wiesz dobrze, że nie wyrzeknę się swoich braci i własnego honoru po to, byś mógł zrealizować swój nieczyny plan.

Cztery lata wcześniej przedstawiono mu dokładnie sto dwadzieścia siedem zarzutów. Wśród absurdalnych oskarżeń znalazły się między innymi zarzuty o praktykowanie satanizmu, zboczenia seksualne i niezliczone przejawy bluźnierstwa przeciwko Chrystusowi i chrześcijaństwu. A zaledwie dwa lata później, 22 marca 1312 roku, Klemens wydał bullę papieską zatytułowaną *Vox in excelso*, w której ostatecznie rozwiązał zakon.

- Odebrałeś nam już majątek i ziemie - ton de Molaya dobitnie świadczył, że czuł do tego człowieka odrazę. - Torturowałeś setki moich ludzi, żeby wyciągnąć od nich fałszywe zeznania, a kolejnych pięćdziesięciu pięciu spaliłeś żywcem. To byli ludzie honoru, którzy całe swoje życie poświęcili walce o ocalenie świętego tronu.

Te słowa nie zrobiły na Klemensie większego wrażenia.

- Wiesz, że za swój upór możesz trafić w ręce inkwizytorów... a to żadna przyjemność. Honor honorem, ale wasze przekonania są takim samym przyžitkiem, jak to, za czym się opowiadacie. Zdaje się, że minęło ponaddwadzieścia lat, odkąd twoje oddziały straciły kontrolę nad Ziemią Świętą i zaprzepaściły ponad dwa wieki postępu.

Postępu? Przez moment de Molay chciał rzucić się na kraty, wsunąć

w nie ręce i zacisnąć je na szyi papieża. U jego boku stało jednak dwóch strażników, czuwających nad przebiegiem tajnego spotkania.

- Obaj wiemy, że Rzym nie miał ochoty nas wspierać. Potrzebowaliśmy więcej ludzi i nikt ich nie przysłał. Było nas dziesięć razy mniej niż wrogów. Chodziło tylko o pieniądze i pod tym względem nic się nie zmieniło.

Papież machnął lekceważąco ręką.

- Stare dzieje. Nie zniósłbym myśli, że przebyłem taki szmat drogi po to, żeby roztrząsać urazy z przeszłości. Po co mnie wezwałeś?

- Żeby zawrzeć układ. Klemens wybuchnął śmiechem.

- Za późno już na pertraktacje.

- Chciałbym odbudować zakon. I to dla twojego, a nie mojego dobra.

- Daj spokój, Jakubie. Chyba nie mówisz tego poważnie. Spojrzenie de Molaya świadczyło o wielkiej determinacji.

- Po upadku Akki nie mieliśmy okazji wrócić do Jerozolimy, a zostawiliśmy tam wiele skarbów. Cennych skarbów, które mogą wpaść w ręce muzułmanów.

Obecnie jedyne, co mogło wzbudzić zainteresowanie Klemensa, to informacje, które mogłyby wyciągnąć Państwo Kościelne z poważnych tarapatów finansowych.

- O jakich relikwiach mówisz? - papież z kpiącą miną przysunął twarz do krat. - O głowie Jana Chrzciciela? O krzyżu Chrystusowym? A może o Arce Przymierza?

De Molay zacisnął zęby. Ze względu na obowiązującą w zakonie zasadę ścisłej tajności pojawiły się liczne spekulacje na temat tego, w jaki sposób bracia zdobyli tak wielkie bogactwa. Z tego samego powodu papież i król demonizowali ich rolę i rozpowszechniali podłe kłamstwa na ich temat. Jednak wysłuchiwanie tych bredni z uszminkowanych ust Klemensa było istną udręką.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Zagrożona może być cała przyszłość twojego wielkiego Kościoła.

Papież spojrział na niego z zaskoczeniem, odsunął się nieco od kraty i zmierzył wzrokiem więźnia - człowieka, którego nigdy nie posądziłby o kłamstwo, nawet w obliczu cierpienia, którego ostatnio

doświadczył.

- Słucham.

De Molay poczuł bolesny skurcz żołądka. Sam nie mógł uwierzyć, że dopuszcza się takiego czynu. W ciągu sześciu długich lat zdążył jednak dojść do ponurego wniosku, że ostatni żyjący templariusze mogą nie przetrwać kolejnego roku, jeśli nie znajdą żadne radykalne zmiany. Targany wyrzutami sumienia, ostatecznie pogodził się z koniecznością ujawnienia owianej największą legendą tajemnicy zakonu - tajemnicy, której strzeżenie bracia zakonnicy ślubowali pod przysięgą.

- Chodzi o starożytną księgę, pozostającą pod pieczęcią zakonu od ponad dwóch wieków. Zwą ją *Ephemeris Conclusio*.

- *Księga tajemnic?* - papież zaczął tracić cierpliwość. - Jakich tajemnic?

Przez kolejny kwadrans wielki mistrz zakonu templariuszy opowiadał papieżowi niezwykłą historię odkrycia o wadze tak wielkiej, że mogłoby zmienić bieg historii. De Molay przedstawiał tak drobne szczegóły, że nie mógł tego wymyślić. Papież słuchał z uwagą, ponieważ pogłoski o podobnym zagrożeniu już od wieków krążyły wśród duchowieństwa.

Kiedy wielki mistrz skończył, zastygł w bezruchu, czekając na reakcję papieża.

Po chwili namysłu, gdy Klemens wreszcie się odezwał, jego ton nie był już tak zuchwały. Rozbrzmiewał w nim cień obawy.

- Więc zostawiliście księgę w Jerozolimie?

- Nie mieliśmy innego wyjścia. Miasto było już zajęte.

Tak naprawdę templariusze w ogóle nie mieli zamiaru przenosić relikwii. Mieli tylko za zadanie je ochraniać, zgodnie z wolą Bożą.

- To rzeczywiście niezwykła historia - przyznał Klemens. - Dlaczego mi ją opowiadasz?

- Żebyś mógł odwrócić niesprawiedliwy los, który spotkał zakon. Musimy powołać nową armię, żeby odzyskać to, co utraciliśmy. Chyba zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli tego nie zrobimy - po minie Klemensa było widać, że nie trzeba mu tego tłumaczyć.

- Nawet gdybym uniewinnił templariuszy - myślał głośno -

musiałbym przekonać Filipa, żeby poszedł moim śladem - pokręcił z niedowierzaniem głową. - Po tym wszystkim co zaszło, wątpię, żeby dał za wygraną.

- Musisz spróbować - naciskał de Molay. Wiedział już, że uderzył w jeden z czułych punktów Klemensa. Papież całkiem poważnie rozważał jego zalecenia. - Daj mi słowo, że chociaż spróbujesz.

Klemens miał nadzieję, że oto nadszedł dzień, w którym ostatecznie złamie de Molaya i zakończy tę całą farsę. Tymczasem nagle sobie uzmysłowił, że nigdy dotąd tak bardzo go nie potrzebował.

- Jak sobie życzysz - poddał się. - Masz moje słowo.

- Zanim wyjdiesz, chcę mieć to na piśmie. Muszę mieć pewność.

- Nie ma takiej możliwości.

- Bez mojej pomocy nigdy nie odzyskasz księgi... i tego, co można dzięki niej odnaleźć - powiedział de Molay. - Jestem twoją jedyną nadzieją.

Papież zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Niechże tak będzie - polecił strażnikowi wezwać skrybę. - A jeśli Filip na to nie przystanie?

- Wtedy to, jaki los spotka mnie i moich braci, nie będzie już ważne... bo ty, król Filip i cały świat chrześcijański będziecie zgubieni.

WATYKAN

Ojciec Patrick Donovan zasiadł za ciężkim dębowym biurkiem w obszernej bibliotece Pałacu Apostolskiego. Aby do niej trafić, trzeba było się poddać skanowaniu siatkówki, pokonać złożony system zamków szyfrowych i przedostać się przez szpaler gwardzistów. Archivum Secretum Apostolicum Vaticanum - Tajne Archiwum Watykańskie.

Na przestrzeni lat władze Watykanu wzmacniały obowiązujący tu system bezpieczeństwa, w przekonaniu, że najcenniejszymi skarbami tego państwa są jego tajemnice.

Wzdłuż ścian ciągnęły się niedawno zamontowane ogniotrwałe metalowe witryny, sięgające wysokiego, zdobionego freskami sufitu w głównej komnacie i mieszczące ponad trzydzieści pięć tysięcy welinów i manuskryptów ułożonych w hermetycznych szklanych przegrodach. Archiwum Watykańskie kryło liczne pisma heretyckie zakazywane przez kolejnych papieży: począwszy od sprzecznych z kanonem ksiąg biblijnych, w których dzieje Jezusa przeplatają się z filozofią i mitologią pogańską, aż po dzieła odrodzeniowych heretyków, takich jak Galileusz. Archiwum zawierało też akty własności ziemi, certyfikaty depozytowe i inne dokumenty prawne.

Wbrew powszechnemu przekonaniu Watykan nadal czynnie poszukiwał nowych eksponatów do tej obszernej kolekcji. Uznawano, że w dwudziestym pierwszym wieku nie brak heretyków, ataki wymierzone w chrześcijaństwo stają się coraz bardziej wyrafinowane, a laicyzacja postępuje szybciej niż dotąd. I prawdą było też to, że wiele pism gnostyckich w ogóle nie trafiło jeszcze do rąk watykańskich biblistów.

W dziejach Kościoła katolickiego tylko nielicznym wybrańcom powierzano opiekę nad tym olbrzymim zbiorem. Donovan nadal nie mógł się nadziwić, że to właśnie on został tym najbardziej zaufanym strażnikiem.

Przebył długą drogę z Belfastu do Rzymu.

Po ukończeniu seminarium został rezydentem kościoła Chrystusowego w Dublinie, ale już wkrótce dzięki zamiłowaniu do historii i starożytnych ksiąg stał się cenionym specjalistą w dziedzinie nauk biblijnych. Dwa lata później rozpoczął pracę naukową na dublińskim University College, gdzie prowadził popularne wśród studentów seminarium z historii Pisma Świętego. W końcu jego legendarne wykłady i publikacje poświęcone wczesnochrześcijańskim pismom zwróciły uwagę irlandzkiego kardynała, Daniela Michaela Shaunesseya. Shaunessey od razu poprosił Donovana, by ten towarzyszył mu podczas wizyty w Watykanie. Tam przedstawił go kardynałowi odpowiadającemu za zbiory Biblioteki Watykańskiej. W rezultacie zaczęli realizować wspólne projekty i już niecałe cztery miesiące później Donovan otrzymał propozycję nie do odrzucenia: zaoferowano mu stanowisko kustosza Archiwum Watykańskiego. Choć trudno mu było opuszczać mieszkających w Irlandii niemłodych już rodziców - jego jedyną rodzinę - uprzejmie przyjął ofertę.

Minęło dwanaście lat. Kto by przypuszczał, że pewnego dnia będzie bezpośrednio zamieszany w największy skandal w historii Kościoła - i to z powodu księgi.

Donovan uważnie przeglądał pożółkłe pergaminowe stronicie najnowszego nabytku Archiwum - oprawnego w skórę starożytnego kodeksu zatytułowanego *Ephemeris Conlusio* {*Księga Tajemnic*). Musiał mieć pewność, że skrzynka spełnia wszelkie kryteria opisane w tekście, choćby ze względu na krew, którą przelano, aby zdobyć relikwię znajdującą się w podziemiach Muzeów Watykańskich. Przez chwilę wpatrywał się w misterną rycinę przedstawiającą ossuarium, po czym odetchnął z ulgą, gdy jego wzrok padł na charakterystyczny symbol - dokładne odwzorowanie żłobienia na ścianie skrzynki.

Z wielkim trudem odtwarzał w pamięci ostatnie przeżycia, które doprowadziły go do tego punktu - ciąg wstrząsających wydarzeń wywołanych przez jeden telefon odebrany pewnego deszczowego popołudnia zaledwie dwa tygodnie wcześniej...

Nie zważając na niespotykany o tej porze roku deszcz dudniący w szyby, Donovan siedział w swoim biurze, całkowicie pochłonięty lekturą osiemnastowiecznej pracy poświęconej istocie herezji, kiedy

nagle zadzwonił telefon. Po czwartym sygnale duchowny wreszcie podniósł się z krzesła i sięgnął po słuchawkę.

- Czy to ojciec Patrick Donovan, kustosz Tajnego Archiwum Watykańskiego?

(Sos rozbrzmiewał bliżej nieokreślonym akcentem.

- Kto mówi?

- Nie twój interes.

- To takie buty - nie po raz pierwszy jakiś pismak albo niespełniony naukowiec dzwonił do niego i podawał się za handlarza antykami, żeby uzyskać dostęp do ksiąg owianych największą tajemnicą.

- Mam coś, czego szukasz.

- Nie mam czasu na ceregiele - odpowiedział Donovan. - Do rzeczy - już miał się rozłączyć, uznając rozmówcę za maniaka, gdy ze słuchawki wydobyły się dwa słowa: *Ephemeris Contusio*.

- Co proszę?

- Chyba nie jesteś głuchy. Mam *Ephemeris Contusio*.

- To mityczna księga - głos Donovana wyraźnie zadrżał. - Czysta legenda.

Jak to możliwe, że ktoś, kto nigdy nie zaglądał do Archiwum ani tym bardziej nie był w celi Jakuba de Molaya w Chateaux Chinon, wiedział o istnieniu tej księgi? Donovan zaczął niecierpliwie przechadzać się o gabinecie ze słuchawką w ręce.

- Teraz ja decyduję o waszej legendzie.

Donovan zwalczył odruch paniki. Zaledwie dwa lata wcześniej w podobnej rozmowie ktoś wspomniał o pismach Judasza, starożytnym tekście koptyjskim, zgodnie z którym okryty hańbą uczeń w rzeczywistości działał z polecenia Jezusa, aby doprowadzić do jego ukrzyżowania. Według źródeł watykańskich pochodzenie tekstu było jednak mocno wątpliwe, więc Stolica Apostolska odrzuciła apokryf. Był to poważny błąd, ponieważ już wkrótce pisma ujrzały światło dzienne za sprawą magazynu *National Geo-graphic*. Donovan nie miał wątpliwości, że władze Watykanu wołałyby nie powtarzać tego błędu.

- Jeśli naprawdę jest pan w posiadaniu *Ephemeris Conlusio*, niech pan mi powie, w jakim języku jest napisana?

- W grece, rzecz jasna. Jeszcze jakieś pytania? Donovan usłyszał w

słuchawce miarowy stuk.

- Kto jest autorem?

Gdy rozmówca odpowiedział, duchownemu odebrało mowę.

- Główny wróg Kościoła, mam rację? - rozmówca zawiesił głos. -
Choć pewnie sam miałbyś więcej do powiedzenia na ten temat.

Niebo pociemniało jeszcze bardziej. Rozpadało się na dobre.
Donovan z miejsca zdecydował, że uzna tę informację za wiarygodną
tylko pod warunkiem, że rozmówca ujawni najtajniejsze treści księgi.

- Według legendy *Ephemeris Conclusio* zawiera mapę. Wie pan, co
wskazuje? - czuł, jak serce kołacze mu w piersi.

- Masz mnie za idiotę?

Dolna warga Donovana zadrżała, gdy jego rozmówca zaczął
dokładnie opisywać położenie legendarnych relikwii.

- Chce pan sprzedać księgę? - Donovan poczuł, że zaschło mu w
ustach. - Czy po to pan dzwoni?

- To nie takie proste.

Teraz już Donovan obawiał się najgorszego. Aż nazbyt dobrze
wiedział, że nieznajomy może zadać Kościołowi bolesny, może nawet
śmiertelny cios. Najpierw należało poznać pobudki rozmówcy.

- Czy mam rozumieć, że szantażuje pan Watykan? W odpowiedzi
usłyszał chichot.

- Nie chodzi o pieniądze - syknął rozmówca. - Nie przyszło ci do
głowy, że po prostu chcę wam pomóc?

- Nie podejrzewam pana o odruch dobroci. O co właściwie
chodzi? Odpowiedź była zagadkowa.

- Kiedy zobaczysz, co mam do zaoferowania, sam będziesz wiedział,
o co mi chodzi. I co musisz (i zechcesz) zrobić. To właśnie będzie
moja zapłata.

- Władze Watykanu nie będą wchodziły w żadne układy, dopóki nie
potwierdzą autentyczności księgi.

- Wobec tego wyślę posłańca.

- Zanim do tego dojdzie, muszę zobaczyć próbkę. Choć jedną
stronicę. W słuchawce zapadła cisza.

- Proszę mi przesłać jedną stronę faksem - Donovan ponowił prośbę.

- Podaj numer - odpowiedział rozmówca po chwili namysłu. -

Nie będę się rozłączać.

Donovan dwukrotnie wyrecytował numer faksu, który znajdował się w jego gabinecie.

Minęła długa minuta i wreszcie rozległ się dzwonek. Po dwóch sygnałach faks załadował papier z podajnika i po kilku sekundach wypłuł wydrukowaną wiadomość. Donovan przysunął kartkę do światła i z zapartym tchem przeczytał niewątpliwie autentyczny starogrecki tekst. Roztrzęsiony sięgnął po słuchawkę.

- Skąd pan to ma?

- To nie ma znaczenia.

- Dlaczego zwrócił się pan z tym właśnie do mnie?

- Prawdopodobnie jesteś jedyną osobą w Watykanie, która zdaje sobie sprawę, z jak poważnymi konsekwencjami będzie się wiązało ujawnienie tej księgi. Sam wiesz, że w przeszłości nieraz utrzymywano, że w ogóle nie istnieje. Zdecydowałem, że będziesz moim głosem w Stolicy Apostolskiej.

Znów cisza przez dłuższą chwilę.

- Chcesz księgę, czy nie? Chwila wahania.

- Tak, oczywiście - odpowiedział wreszcie Donovan. Zdecydowali, że dwa dni później duchowny spotka się z posłańcem anonimowego rozmówcy w Cafe Greco przy Via Condotti, nieopodal Schodów Hiszpańskich. Przy pobliskim stoliku zasiadło dwóch ubranych po cywilnemu żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej. Posłaniec zjawił się o umówionej godzinie, zdradził tylko swoje imię i wręczył Donovanowi wizytówkę na wypadek, gdyby duchowny miał do niego jakieś pytania. Rozmowa była krótka i nie padło w niej żadne słowo, które umożliwiłoby identyfikację zleceniodawcy.

Nieznajomy dyskretnie podał Donovanowi skórzany chlebak.

Choć obeszło się bez wyjaśnień, Donovan instynktownie przeczuwał, że jego rozmówca nie zna zawartości torby. Nie doszło do żadnego incydentu, który wymagałby interwencji gwardzistów. Po dokonaniu szybkiej, anonimowej transakcji każdy udał się w swoją stronę.

Kiedy Donovan znalazł się z powrotem w zaciszu swojego biura i wreszcie otworzył chlebak, odkrył wewnątrz odręczną notatkę

sporządzoną na gładkim papierze oraz wycinek z gazety. Wiadomość brzmiała następująco: *Wykorzystaj tę mapę do odszukania relikwii. Znajdź je bezzwłocznie, zanim dotrą do nich Żydzi. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, skontaktuj się ze mną.* Poniżej widniał numer telefonu. Salvatore Conte powiedział mu później, że ten numer telefonu komórkowego był jednorazowego użytku, a ilekroć nawiązywał kontakt z tajemniczym informatorem, korzystał z nowego numeru lub witryny www, której zawartość natychmiast wygasła. Informator nie pozostawiał po sobie praktycznie żadnych śladów. Widocznie stosując te bezpieczne metody komunikacji, uzgadniał z Con-tem kwestie zakupu materiałów wybuchowych i narzędzi niezbędnych do wydobycia ossuarium.

Żydzi? Donovan nic z tego nie rozumiał. Jednak po przeczytaniu wycinka z „Jerusalem Post” wiedział już dokładnie, czemu zawdzięcza to spotkanie. Sięgnął głębiej do torby i poczuł pod palcami gładką skórzaną oprawę *Ephemeris Conclusio*.

JEROZOLIMA

Barton kluczył siecią wąskich brukowanych uliczek oplatających łagodnie zbocze góry Moria za północną bramą Wzgórza Świątynnego. Chciał uniknąć zgiełku panującego przy Ścianie Płaczu. Udało mu się przekonać Razaka, by ten pozwolił mu zabrać zwój do biura i podjąć próbę przełożenia starożytnego tekstu. Najwidoczniej muzułmanin z niecierpliwością czekał na rozwikłanie zagadki.

Minąwszy ruchliwe dzielnice: muzułmańską i chrześcijańską, wszedł ulicą Tiferet Yisrael do dzielnicy żydowskiej, po czym skręcił na rozległy plac Hurwa. Powietrze wisiało nieruchomo i sprawiało, że promienie południowego słońca wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe. Barton rzucił okiem na potężny łuk Hurwy - centralny obiekt placu i jedyną pozostałość po wspaniałej synagodze.

Hurwa - czyli dosłownie „ruina” - to całkiem trafna nazwa, pomyślał Barton. Synagoga, podobnie jak cała Jerozolima, w wyniku niekończących się sporów między muzułmanami a żydami była wielokrotnie niszczone i odbudowywana. W przededniu powstania państwa Izrael w 1948 roku synagoga trafiła w ręce Jordańczyków - ci wysadzili ją w powietrze i obrócili w zgłiszczca.

Prawie sześćdziesiąt lat później brutalna walka o dominację w regionie - wojna terytorialna między Izraelczykami i Palestyńczykami - wykraczała daleko poza mury synagogi. A on sam jakimś sposobem znalazł się w samym jej środku.

Choć główna siedziba Izraelskiej Administracji Zabytków Starożytności mieściła się w Tel Awiwie, zaledwie trzy tygodnie temu na terenie Muzeum Archeologicznego Wohla - nieopodal mieszkania wynajętego przed domniemanych sprawców kradzieży - utworzono tymczasowe biuro organizacji.

Przed budynkiem muzeum stało złociste BMW z policyjnymi oznaczeniami. Barton jęknął w duchu i pospieszył do wejścia, gdzie

oczekiwała go jego osobista asystentka, Rachel Leibowitz - atrakcyjna dwudziesto-parolatka o długich ciemnych włosach, oliwkowej cerze i hipnotyzujących niebieskich oczach.

- Graham - powiedziała nagłym tonem - na dole czeka na ciebie dwóch mundurowych. Poleciałam im poczekać na zewnątrz, ale naciskali...

- Nic się nie stało, Rachel - Barton uspokoił ją gestem dłoni. - Spodziewałem się ich wizyty - złapał się na tym, że gapi się na jej usta. Jeśli władze IAZS sądziły, że przydzielając mu tak atrakcyjną asystentkę, wyświadczają mu przysługę, to grubo się myliły.

Graham Barton, obecnie pięćdziesięcioczerolatek, stracił już wiele ze swojej młodzieńczej werwy, ale w pewnych wąskich kręgach nadal był postacią legendarną, co w pewien sposób rekompensowało fizyczne ślady upływu czasu. Ochoce studentki, na przykład Rachel, były gotowe na wiele, byle się do niego zbliżyć.

- Na razie nie łącz mnie z nikim - uśmiechnął się i minął ją, próbując odpędzić od siebie odurzający zapach jej perfum.

Tego dnia oficjalnie nie zapowiadano żadnych wizyt, ale Barton wiedział, że ze względu na jego wizytę na miejscu zbrodni policja i SOI będą mu deptać po piętach. Naturalnie będą chcieli wyciągnąć od niego nawet najdrobniejsze szczegóły badań.

Zszedł do podziemnej galerii muzeum i minął odrestaurowane mozaiki oraz rytualne łaźnie, elementy przebogatych willi z czasów Heroda.

Niedawno IAZS rozpoczęła zakrojony na szeroką skalę projekt digitalizacji obszernych zbiorów: od welinów poprzez ceramikę i pogańskie posągi aż po ossuaria. Cel projektu stanowiło stworzenie bazy danych z dokładną charakterystyką wszystkich reliktyw i ich trójwymiarowymi obrazami. Należało opracować stosowne narzędzia internetowe umożliwiające archeologom terenowym odszyfrowywanie starożytnych inskrypcji. Ponieważ Barton jako pierwszy wdrażał podobny program w Wielkiej

Brytanii, był idealnym kandydatem na koordynatora tego projektu. To właśnie tu zaczął nadzorować pierwszy etap procesu digitalizacji zbiorów, który później kolejno obejmował pozostałe muzea izraelskie,

aż do najświetniejszego z nich - Muzeum Izraela.

Barton skierował się na tyły galerii, do nijakiego pomieszczenia o mdłych białych ścianach - tymczasowo pełniącego funkcję biura. Oczekiwało tam na niego dwóch mężczyzn, którzy odwiedzili go zaledwie dzień wcześniej, by poprosić o pomoc w śledztwie: komendant policji jerozolimskiej, generał Jakob Topól, i szef wywiadu wewnętrznego SOI, generał Ari Teleksen. Obaj rozłożyli już sobie metalowe krzeselka przy jego prowizorycznym biurku.

- Witani panów - Barton odłożył teczkę i usiadł naprzeciwko.

Dobiegający sześćdziesiątki Teleksen miał twarz pitbulteriera: obwisłe policzki i opuchnięte powieki. Siedział z założonymi rękami i nawet się nie starał ukryć braku dwóch palców lewej dłoni. Jako najświetniejszy izraelski weteran walki z terroryzmem zachowywał chłód właściwy człowiekowi, który w swoim życiu widział zdecydowanie zbyt wiele. Na jego oliwkowym mundurze i czarnym berecie widniał emblemat SOI - złota gwiazda Dawida przecięta mieczem oplecionym gałązką oliwną. Pagony na mundurze jednoznacznie wskazywały rangę.

- Chcielibyśmy poznać wyniki wstępnej analizy - jego głos odbił się od pustych ścian.

Barton potarł podbródek, próbując zebrać myśli.

- W wyniku eksplozji powstał wyłom w tylnej ścianie meczetu Al-Marwani. Otwór jest bardzo regularny i kształtny. Nie ma wątpliwości, że to fachowa robota.

- To już wiemy - odpowiedział niecierpliwie Teleksen, wymachując kaleką ręką. - Ale po co to zrobili?

- Żeby dostać się do ukrytej krypty grobowej.

- Krypty? - Topól spojrzał na niego z niedowierzaniem. Komendant, najwyraźniej młodszy od swoich rozmówców, nosił mundur, który bardziej pasowałby do pilota samolotu pasażerskiego: jasnoniebieską koszulę z kołnierzykiem i pagonami oraz granatowe spodnie. Jego policyjną czapkę zdobił emblemat izraelskiej policji: dwie gałązki oliwne i wpisana w nie gwiazda Dawida. Topól był mężczyzną w średnim wieku o masywnej sylwetce, kościstej twarzy i głęboko osadzonych oczach.

- Tak, krypty - powtórzył Barton, wyjmując jedną z wykonanych odbitek. - Proszę spojrzeć. Na ścianie znajdowała się tablica z wykazem imion zmarłych.

Mundurowi utkwili wzrok w odbicie.

- Co zginęło? - zapytał szorstkim tonem Topól.

- To tylko spekulacje, ale zdaje się, że skrzynka pochówkowa. Ossuarium.

Teleksen machnął okaleczoną ręką.

- Skrzynka pochówkowa?

- Niewielkie kamienne naczynie, mniej więcej takie - Barton nakreślił w powietrzu rozmiar ossuarium. - Prawdopodobnie w środku znajdował się rozczłonkowany ludzki szkielet.

- Wiem, jak wygląda skrzynka pochówkowa - odpowiedział Teleksen. - Bardziej ciekawią mnie motywy. Chce pan przez to powiedzieć, że trzynastu żołnierzy SOI zginęło z powodu skrzynki ze stertą kości?

Barton skinął głową.

Teleksen machnął z lekceważeniem ręką.

- Ohyda.

Topól spojrzał niewzruszony na odbitkę i wskazał hebrajskie imiona.

- To kogo zabrali?

Barton pokazał na zamazany element u dołu kartki.

- Tego kogoś. Ale jak pan widzi, imię jest już nieczytelne.

- Ach, tak - powiedział Topól, wyraźnie próbując ukryć zaskoczenie. Kiedy tej samej nocy, podczas której dokonano kradzieży, odwiedził kryptę w towarzystwie detektywów, w pamięci utkwiał mu szczególnie pewien dziwny obraz - relief przedstawiający delfina oplatającego trójząb. Niełatwo zapomnieć tak osobliwy symbol. Jednak na odbicie Bartona go nie było. Kto go wymazał, skoro nie zrobili tego rabusie? - Jak pan sądzi, po co to zrobili?

- Na razie trudno powiedzieć - Barton zaczerpnął tchu. - Mam wrażenie, że złodzieje działali na zlecenie kogoś, kto doskonale znał zawartość skrzyni.

- Sranie w banię. Na co komu skrzynka pełna kości? - szyderstwo w

głosie Teleksena było aż nazbyt wyraźne. Generał sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął paczkę papierosów time lites. Stuknął palcem w jej dno, wyjął papierosa i nie pytając Bartona o zgodę, zapalił go srebrzystą zapalniczką zippo.

- Trudno powiedzieć - odparł Barton. - Trzeba by zgadywać, co naprawdę było w skrzynce.

Zapadła długa cisza. Mundurowi wymienili spojrzenia.

- Jakież domysły? - wycedził powoli Teleksen. Trzymając papierosa w oszpeconej ręce, zaciągnął się mocno i wypuścił nosem zawile esyfloresy dymu.

- Na razie nie.

Topól bardziej trzeźwo podszedł do sprawy.

- A czy warto w ogóle brać pod uwagę możliwość, że to nie była skrzynka pochówkowa? Czy w krypcie mogło znajdować się coś jeszcze?

- Nie - powiedział Barton z przekonaniem. - W kryptach nie przechowywano kosztowności. To nie starożytny Egipt, panie komendancie.

- Czy natrafił pan na jakieś dowody, które pomogłyby nam zidentyfikować sprawców? Coś, co wskazywałoby, że to sprawka Palestyńczyków? - dopytywał Teleksen.

Barton pomyślał, że chyba nigdy do nich nie dotrze, iż on sam, w przeciwieństwie do wielu rodowitych Izraelczyków, nie kieruje się żadnymi przekonaniem politycznymi ani religijnymi.

- Nic pewnego.

- Czy nie ma żadnego sposobu na odnalezienie tego ossuarium? - Teleksen zaczął tracić cierpliwość.

- Kto wie? - Barton starał się traktować obu rozmówców jednakowo, chociaż zaczepne zachowanie Teleksena i dym papierosowy naprawdę działały mu na nerwy. - Będę uważnie śledził rynek antyków. Najprawdopodobniej ossuarium pojawi się właśnie w tych kręgach - sięgnął do teczki po kolejną kartkę papieru i przesunął ją w stronę Topola. - Ten szkic przedstawia prawdopodobny wygląd ossuarium, wraz z wymiarami i przybliżoną wagą. Proponuję zaznajomić z nim pańskich ludzi, zwłaszcza tych obstawiających

punkty kontrolne. A oto rysunki innych skrzynek znajdujących się w krypcie.

Topól schował kartki.

- Możliwe, że umknęła wam bardzo ważna kwestia - dodał cicho Barton.

Dowódcy podnieśli wzrok.

- Informacja o krypcie ukrytej pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego umocni przekonania syjonistów, że w tym miejscu stała kiedyś żydowska świątynia. Być może powinniście podzielić się tą wiedzą z premierem - Barton miał na myśli to, że każdy izraelski Żyd, ortodoksyjny czy nie, uparcie żywi nadzieję, iż pewnego dnia archeolodzy odkryją niezbite dowody świadczące o wyłącznym prawie Żydów do użytkowania Wzgórza Świątynnego.

Teleksen poruszył się nieznacznie. Metalowe nóżki krzesła zazgrzytały o posadzkę.

- Nie zdziwcie się więc, jeśli to dochodzenie doprowadzi do znacznie większego odkrycia.

- Coś jeszcze? - zapytał Topól.

Przez ułamek sekundy Barton zastanawiał się, czy wspomnieć o odkryciu zwoju, który teraz z powrotem był zamknięty w rulonie i spoczywał bezpiecznie w kieszeni jego spodni.

- Na tym etapie to wszystko.

- Chyba nie muszę panu przypominać, że stawka jest wysoka - powiedział stanowczo Teleksen. - Jesteśmy o krok od bardzo niemiłej konfrontacji z Hamasem i władzami palestyńskimi. Mnóstwo ludzi stojących po ich stronie chętnie użyje dowolnego pretekstu, by tylko oskarżyć nas o działania terrorystyczne przeciwko islamowi.

Barton spojrzał na rozmówców.

- Zrobię, co tylko będę mógł, żeby odnaleźć ossuarium. Teleksen zaciągnął się po raz ostatni i wypalił papierosa aż po sam filtr.

- Jeśli znajdzie pan tę skrzynkę, proszę natychmiast nas powiadomić. Gwarantujemy pełny dostęp do wszystkich niezbędnych narzędzi - cisnął niedopałek na podłogę i zgasił go prawym butem. - Tylko proszę nie zapominać, że przy następnym spotkaniu nie wystarczy nam wykład z archeologii.

Mężczyźni wstali i wyszli do galerii.

Kiedy Rachel zapewniła go telefonicznie, że opuścili budynek, Barton szybko zamknął drzwi i podekscytowany, wyjął z kieszeni rulon. Zdjął pokrywę i wysunął zwój na blat biurka, a następnie ze stojących na półce pudełek wyjął parę lateksowych rękawiczek i foliowy woreczek z zamknięciem. Usiadł za biurkiem, przysunął bliżej ruchome ramię lampy i włożył rękawiczki.

Delikatnie rozwinął welin, wsunął go do plastikowego worka i lekko rozprostował dłonią. Ponieważ odręczne litery były dość dużego formatu, nie potrzebował szkła powiększającego. Utwierdził się jednak w przekonaniu, że przyda mu się tłumacz. Greka nie należała do jego mocnych stron. Jego zdaniem w Jerozolimie był tylko jeden człowiek godny miana specjalisty w tej dziedzinie.

WATYKAN

Charlotte Hennesey nie mogła dojść do siebie po odkryciu, że zgodnie z wynikami analizy szczątków spoczywających w ossuarium przedmiot badań, trzydziestokilkuletni mężczyzna, skądinąd doskonałego zdrowia, wykazuje liczne ślady urazów świadczących o tym, że został ukrzyżowany. Wraz z Bersei przygotowywali się do zebrania dalszych dowodów, które pomogłyby im określić, kim był ów osobnik, i określić datę jego śmierci. Czekają ich badanie kości metodą węglową oraz dokładna analiza powierzchni skrzynki w poszukiwaniu istotnych tropów.

Stojąc przed ossuarium, przyglądali się jego wapiennym ściankom.

- Dowiedziałem się co nieco na temat podobnego ossuarium, które znaleziono w Izraelu w 2002 roku - powiedział Bersei. - Początkowo, na podstawie analizy inskrypcji, uznano, że zawiera szczątki Jakuba, brata Jezusa. Choć zdaniem specjalistów samo ossuarium było autentyczne, inskrypcje określono jako podróbki. Przejrzałem wyniki oględzin tamtej relikwii i mniej więcej orientuję się, na co zwracać uwagę.

- Skąd wiedzieli, że to falsyfikat? Jak odróżnić autentyczne ryty od fałszywek?

- Czasem to kwestia intuicji - odpowiedział Bersei - ale na ogół ocena zależy od spójności patyny pokrywającej inskrypcje.

- Tego czegoś? - wskazała na cienką warstwę bladego szarozielonego osadu równomiernie pokrywającego kamienną ściankę.

- Tak. To coś w rodzaju tego zielonkawego nalotu, który występuje na miedzianych powierzchniach. W przypadku kamienia osad gromadzi się stopniowo pod wpływem wilgoci, procesów skraplania i działania substancji zawartych w powietrzu.

- A skład chemiczny patyny wskazuje na typ środowiska, w jakim przechowywano ossuarium?

- Otóż to - Bersei założył okulary, zerknął do notesu i odczytał jeden z zapisków. - Wczoraj poczytałem trochę o ossuariach i wszystko wskazuje na to, że stosowano je najczęściej w Jerozolimie w pierwszym wieku przed naszą erą, przy czym ta praktyka przetrwała najwyżej dwa wieki - spojrzał na Charlotte. - W związku z tym podejrzewam, że wapień, z którego wykonano tę skrzynię, podobnie jak ten z ossuarium Jakuba, wydobyto gdzieś na terenie Izraela mniej więcej w tym okresie.

- No tak. Skład mineralny patyny powinien wskazywać na pierwiastki typowe dla tego regionu - powiedziała. - Ale poczekaj, Giovanni. Gdybyśmy założyli, że ossuarium mieści się w tej kategorii, to by oznaczało, że ma jakieś dwa tysiące lat.

- Zgadza się. A ponieważ krzyżowanie było powszechną praktyką w tym okresie, chyba jesteśmy na właściwym tropie.

Charlotte uważnie przyjrzała się warstwie nalotu.

- Czyli gdyby ktoś majstrował przy inskrypcji, naruszyłby patynę?

- Właśnie tak - uśmiechnął się Bersei.

- Czy można w jakiś sposób określić wiek skały?

- To możliwe - przyznał po chwili namysłu - ale to nam niewiele da. - Jak to?

- W zasadzie nie interesuje nas to, kiedy uformował się ten wapień. Sama skała może mieć miliony lat. Bardziej obchodzi na to, kiedy ją wydobyto. Patyna i inskrypcje najlepiej pomogą nam określić wiek skrzynki.

- Aha! - powiedziała Charlotte i wskazała niewyraźny symbol delfina z trójzębem. - A jak myślisz, uda nam się odgadnąć, co to znaczy?

- Jestem prawie pewien, że to pogański symbol - ciągnął Bersei. - Mam dziwne przeczucie, że gdzieś go już widziałem. No dobrze, najpierw przekonajmy się, czy patyna jest w nienaruszonym stanie.

- To ja w tym czasie zacznę przygotowywać fragment kości do próby węglowej - powiedziała i podeszła do szkieletu.

- W porządku. A propos - Bersei sięgnął do notatnika, naskrobał parę słów i wyrwał kartkę - to nazwisko i numer telefonu mojego znajomego z tutejszego laboratorium radiowęglowego.

Powiedz mu, że to ja cię przysłałem i że robimy coś na zlecenie Watykanu, więc musimy mieć wyniki jak najszybciej. To powinno go zmobilizować do pracy. I poproś, żeby zadzwonił natychmiast, gdy będzie coś wiedział. Oficjalne wyniki może podesłać później.

Hennesey spojrzała na kartkę.

- Antonio Ciardini?

- Mniej więcej. To mój stary przyjaciel. Zresztą jest mi coś winien.

- W porządku.

- Aha, nie obawiaj się, mówi dość dobrze po angielsku - Bersei rzucił okiem na zegarek. Było piętnaście po pierwszej. - Może wcześniej zrobimy sobie przerwę na lunch? Co ty na to?

- Świetnie. Umieram z głodu.

- *Nie* posmakowała ci ta kanapka z tuńczykiem?

- Nie tak wyobrażałam sobie kuchnię włoską.

JEROZOLIMA

Graham Barton skręcił w Souk El-Dabbagha w dzielnicy chrześcijańskiej i zatrzymał się na moment, by pozachwycać się zbudowaną przez dwunastowiecznych krzyżowców wspaniałą fasadą kryjącą niszczejący gmach Bazyliki Grobu Pańskiego. Pielgrzymi chrześcijańscy przybywają tłumnie do Jerozolimy, by podążać śladami Chrystusa, który przebył czternaście stacji: od bicowania po ukrzyżowanie, zwanych stacjami Drogi Krzyżowej. Wędrówka rozpoczyna się od klasztoru Franciszkanów przy Via Dolorosa, tuż pod północną ścianą Wzgórza Świątynnego. Wielu chrześcijan utrzymuje, że właśnie w tym miejscu Chrystus wziął na ramiona krzyż, a wcześniej został wy-chłostany i ukoronowany cierniem. Stacje X-XIV, które kolejno upamiętniają zderzenie szat, przybicie do krzyża, śmierć i zdjęcie z krzyża, znajdują się właśnie na terenie bazyliki.

Ze względu na to, co się zdarzyło w Jerozolimie w ciągu ostatnich kilku dni, Barton nie zdziwił się, że wokół nie widać zbyt wielu turystów. Skierował kroki do głównego wejścia.

Nad jego głową, powyżej dwukondygnacyjnej rzymskiej kolumnady, rozciągała się ogromna rotunda. Barton okrążył misternie ozdobione złotem, niewielkie mauzoleum, wewnątrz którego znajdowało się najświętsze miejsce: kamienna płyta, na której złożono ciało Chrystusa po zdjęciu go z krzyża.

- To ty, Grahamie? - dobiegł go ciepły głos.

Barton odwrócił się i stanął twarzą w twarz z korpulentnym, niemłodym już duchownym z długą białą brodą, ubranym w szaty obrzędowe kościoła grekokatolickiego: powłóczystą sutannę i znacznych rozmiarów czarny kapelusz.

- Ojciec Demetrios - na twarzy Bartona pojawił się uśmiech. Kapłan objął go pulchnymi rękami o palcach jak serdelki i delikatnie przyciągnął do siebie.

- Dobrze wyglądasz, przyjacielu. Co cię sprowadza do Jerozolimy? -

dopytywał z silnym greckim akcentem.

Minęło już prawie półtora roku, odkąd Barton po raz pierwszy spotkał się z duchownym, żeby ustalić szczegóły wystawy krucyfiksów i relikwii bożogrobców w Muzeum Londyńskim. Ojciec Demetrios w zamian za hojny datek uprzejmie zgodził się wypożyczyć eksponaty na trzy miesiące.

- Szczerze mówiąc, liczyłem, że pomoże mi ojciec przełożyć starożytne pismo.

- Z przyjemnością - odpowiedział wesoło duchowny. - Dla ciebie wszystko. Chodźmy.

Krocząc u boku ojca Demetriososa, Barton przyglądał się duchownym różnych odłamów kręcącym się po bazylice. Na mocy dekretu ustanowionego przez władze tureckie patriarcha Kościoła greckiego był zobowiązany do dzielenia świątyni z innymi wspólnotami: Kościołem katolickim oraz kościołami prawosławnymi: etiopskim, syryjskim, ormiańskim i koptyjskim - zbudowały one własne odrębne kaplice na terenie bazyliki. Barton pomyślał, że taki układ wprowadza niemały chaos, zarówno przestrzenny, jak i w warstwie duchowej. Z któregoś zakątka dobiegły go dźwięki requiem.

- Chodzą słuchy, że Izraelczycy zlecili ci pracę związaną ze śledztwem w związku z kradzieżą na Wzgórzu Świątynnym - wyszeptał kapłan. - Jest w tym choć trochę prawdy?

- Wolałbym o tym nie mówić.

- To zrozumiałe. Ale jeśli to prawda, to proszę cię, pamiętaj, że to bardzo delikatna materia.

Doszli do kaplicy prawosławnej określanej jako „środek świata” ze względu na kamienne naczynie umieszczone w jej centralnym punkcie, w miejscu, które według starożytnych kartografów dzieliło wschód od zachodu. Po ostatniej wizycie Barton wiedział już, że ojciec Demetrios najlepiej czuje się właśnie tutaj, na własnych śmieciach.

Przy bocznej ścianie znajdowała się złocona bizantyjska kapliczka, w której dominował potężny złoty krzyż z figurą Chrystusa naturalnych rozmiarów, ze słoneczną aureolą. Po obu stronach krzyża widniały postacie Marii i Marii Magdaleny, wznoszących do nieba

spojrzenia pełne żalu. U stóp ołtarza była przeszklona gablota chroniąca fragment skały, na której rzekomo stał krzyż Chrystusowy. Golgota.

Dwunasta stacja Drogi Krzyżowej.

Duchowny przeżegnał się przy ołtarzu, po czym odwrócił do Bartona.

- Pokaż, co masz do pokazania, Grahamie - sięgnął pod szatę i wysupłał parę okularów.

Barton wyjął z kieszonki na piersiach zapakowany w folię welin i podał go kapłanowi.

Ojciec Demetrios ujął w palce woreczek strunowy i powiedział z uznaniem:

- Cieszę się, że nie stronisz od nowoczesnych rozwiązań. Zobaczmy, co tu mamy.

Założywszy okulary, przesunął dokument tak, by padało nań mdłe światło z wiszącego kandelabru, i zaczął uważnie studiować tekst. Po kilku sekundach wyraźnie zbladł i jego dolna warga się zapadła.

- Dobry Boże.

- Co takiego?

Duchowny wyglądał na zaniepokojonego, wręcz przestraszonego. Spojrzał na Bartona znad okularów.

- Skąd to masz? - zapytał cicho. Barton zawahał się przez chwilę.

- Nie mogę tego zdradzić. Bardzo mi przykro.

- Rozumiem.

Wyraz jego oczu nie pozostawiał wątpliwości, że duchowny spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Czy możesz mi powiedzieć, co znaczy ten tekst?

Ojciec Demetrios rozejrzał się bacznie po kaplicy. Nieopodal przechadzało się trzech księży odzianych we franciszkańskie habity.

- Chodźmy stąd - skinął na Bartona, by podążył za nim. Zeszli szerokimi schodami, które zakręcały pod nawą.

Barton rozmyślał nad tym, jakie to słowa ze starożytnego tekstu mogły tak bardzo przerazić starego kapłana. Schodzili coraz niżej, aż kamienne mury ustąpiły chłodnej ociosanej skale.

Znajdowali się w czymś na kształt grotty. Duchowny zatrzymał się.

- Poznajesz to miejsce?

- Oczywiście - powiedział Barton, oglądając niskie sklepienie z widocznymi śladami eksploatacji. - To stary kamieniołom - jego wzrok błędził przez moment po ścianie za plecami kapłana, na której wyryto setki równobocznych krzyży templariuszy. Dwunastowieczne graffiti.

- Raczej grobowiec - poprawił go Demetrios i wskazał długie komory grobowe wyżłobione z odległej ścianie. - Choć wiem, że trudno ci się pogodzić z tą teorią.

To także miejsce, w którym Helena szczęśliwie odnalazła krzyż Chrystusowy. Barton miał to zdanie na końcu języka, ale się powstrzymał. To, że niemłoda już matka Konstantyna osobiście wybrała to miejsce - wcześniej rzymską świątynię, miejsce kultu Wenery - najlepiej świadczyło o jego autentyczności. Choć nieobca mu była rozbieżność stanowisk religijnych i historycznych, nie chciał urazić duchownego bluźnierczymi sugestiami.

- Tuż nad naszymi głowami znajduje się jeszcze jeden święty grobowiec - przypomniał z powagą ojciec Demetrios.

- A dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? Czy to ma coś wspólnego ze zwojem?

- Jak najbardziej - odpowiedział uroczyście kapłan. - Nie wiem, skąd go wzięłeś, Grahamie, ale jeśli nie stąd, a wiem, że nie, to muszę cię ostrzec. Zachowaj wielką ostrożność. Przekonałeś się na własnej skórze, jak łatwo można zmienić znaczenie słów. Jeśli obiecasz mi, że będziesz pamiętał, co ci powiedziałem, zapiszę ci przekład tego tekstu.

- Masz moje słowo.

- No dobrze - kapłan pokręcił głową i odetchnął głęboko. - Daj mi coś do pisania.

WATYKAN

Ilekcioć ojciec Patrick Donovan przemierzał wielki korytarz Pałacu Apostolskiego, czuł się trochę niepewnie. Bądź co bądź wkraczał w przedsiomek siedziby najwyższej władzy Watykanu - samego szczytu kościelnej hierarchii. W rezydencji przylegającej do odległego krańca gmachu Muzeów Watykańskich mieściły się kancelarie papieża i sekretarza stanu, a na piętrze znajdował się pełen przepychu papieski apartament Borgia. Cały ten kompleks, nie mniejszy niż przeciętna hala lotniska, z freskami pokrywającymi ściany od podłogi po sam sufit, marmurowymi posadzkami i barokowymi zdobieniami, wyglądał jak przedłużenie samego muzeum. Tutaj obecność wojskowych najbardziej rzucała się w oczy. Żołnierze Gwardii Szwajcarskiej stali z kamiennymi twarzami w równych odstępach i ten widok tylko potęgował jego trempę.

Wzdłuż jednej ze ścian na zewnątrz pałacu ciągnęły się wysokie portyki wychodzące na Piazza San Piętro - ogromny owalny dziedziniec, dzieło Berniniego ukończone w 1667 roku. Przestrzeń zamykały cztery kolumnady, a w centralnym punkcie znajdował się obelisk zrabowany przez Ka-ligulę i sprowadzony z obszaru delty Nilu w 38 roku. Na jego widok Do-novan natychmiast przypomniał sobie o zdarzeniach, do których doszło w Jerozolimie zaledwie cztery dni wcześniej.

Olbrzymie prostokątne okna umieszczone po drugiej stronie korytarza wzmacniało żelazne okratowanie, przypominając, że budynek początkowo miał pełnić funkcję fortecy.

Po obu stronach widocznych przy końcu korytarza dwuskrzydłowych drzwi stali gwardziści w stroju galowym w barwach rodu Medyceuszy: pasiastych złocistych i granatowych tunikach oraz pantalonach, czarnych beretach i białych rękawiczkach. Pajace, jak ujął to Conte. Obaj dzierżyli długie na osiem stóp halabardy - rodzaj szesnastowiecznej broni składającej się z

naostrzonego grotu, siekiery i haka. Donovan zauważył, że żołnierze mają też kabury z pistoletami beretta.

Zatrzymał się jakieś dwa metry przed drzwiami.

- *Buona sera, Padre. Si chiama?* - wysoki strażnik stojący po prawej stronie zażądał jego nazwiska.

- Ojciec Patrick Donovan - odpowiedział po włosku. - Jestem tu na wezwanie Jego Eminencji Kardynała Santellego.

Strażnik zniknął za drzwiami. Zapadła krępująca cisza. Donovan wpatrywał się w podłogę, a drugi gwardzista stał milcząco na baczność. Po chwili powrócił jego towarzysz.

- Jego Eminencja prosi do siebie.

Wprowadzono go do obszernego przedpokoju urządzonego w marmurze i drewnie, gdzie przy jedynym biurku urzędował młody kleryk, James Martin, osobisty asystent Santellego, zamknięty w sobie osobnik o obojętnym wyrazie twarzy. Donovan uśmiechnął się życzliwie i wymienił z nim kilka uprzejmości. Wyobrażał sobie, jak wyczerpana psychicznie musi być osoba, która jest na każde wezwanie Santellego.

- Proszę do środka - powiedział ojciec Martin, wskazując solidne dębowe drzwi.

Donovan otworzył je i wszedł do okazałego gabinetu. W kipiącym od przepychu wnętrzu dostrzegł purpurową piuskę i znajomą kępę gęstych siwych włosów wystających zza wysokiego oparcia obitego skórą fotela.

Watykański sekretarz stanu siedział twarzą do okna z iście pocztówkowym widokiem na Bazylikę Świętego Piotra. Wątle ręce kardynała były w ciągłym ruchu, a przy prawym uchu miał słuchawkę telefonu. Gdy się obrócił, Donovan napotkał jego wzrok. Przekrwione oczy, krzaczaste brwi i obwisłe policzki - kardynał Antonio Carlo Santelli we własnej osobie. Hierarcha wskazał mu fotel stojący naprzeciwko okazałego mahoniowego biurka.

Donovan usiadł. Ilekroć się poruszył, było słycać skrzypienie tapicerki.

Jako najwyższy kardynał w Watykanie Santelli odpowiadał za polityczne i dyplomatyczne działania Stolicy Apostolskiej. Z

powodzeniem pełnił funkcję premiera kurii rzymskiej, który za swoje decyzje odpowiadał wyłącznie przed papieżem. Bywało i tak, że to Ojciec Święty przychylił się do jego żądań.

Santelli słynął z talentu politycznego. Na początku lat osiemdziesiątych jako świeżo upieczony kardynał przeprowadził Watykan przez mroczne odmęty afery w Banco Ambrosiano i zabójstwa słynnego „bankiera Pana Boga”, Roberta Calviego, którego zwłoki znaleziono pod mostem Black-friars w Londynie.

Kardynał był pochłonięty rozmową, a Donovan dyskretnie rozglądał się po tym kardynalskim azylu. Pulpit ogromnego biurka Santellego był pusty, nie licząc niewielkiej, pedantycznie ułożonej sterty raportów i zamocowanego na wysięgniku olbrzymiego monitora plazmowego. Wygaszacz ekranu pokazywał pole golfowe z powiewającą na wirtualnym wietrze flagą z napisem: „Trzeba tylko wiary”. Santelli, wielki entuzjasta informatyki, był głównym zwolennikiem zainstalowania na terenie Watykanu nowoczesnej sieci światłowodowej.

W rogu, na marmurowym blacie kredensu, stała replika *Piety* Michała Anioła, a na prawo znajdował się wielki arras obrazujący bitwę Konstantyna o Most Mulwijski. Po lewej stronie na ścianie w kolorze bordo zawieszono trzy obrazy Rafaela - sprawiały wrażenie dobranych niemal na chybił trafił.

Donovan ponownie skierował wzrok na Santellego.

- Poinformuj go, że ostateczną decyzję podejmie Ojciec Święty - mówił wyrazistą włoszczyzną kardynał. Nie należał do osób, które owijają w bawełnę. - Zadzwoń po wszystkim - odłożył słuchawkę. - Jak zwykle na czas - powiedział już do Donovana.

Kapłan uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że po tych okropnościach, które się zdarzyły w Jerozolimie, tym razem przynosisz mi dobre wieści. Powiedz, że warto było ponieść taką ofiarę.

Donovan z wielkim trudem spojrział mu w oczy.

- Mamy dość dowodów, by wierzyć, że ossuarium jest autentyczne. Na twarzy kardynała pojawił się grymas.

- Ale pewności nie ma?

- Przed nami jeszcze sporo pracy. Kolejne próby - Donovan słyszał drzenie własnego głosu. - Ale jak dotąd dowody są dość mocne.

Zapadła dłuższa cisza.

Kardynał przeszedł do sedna sprawy.

- Ale są tam szczątki? Donovan przytaknął.

- Zgodnie z rękopisem.

- Znakomicie.

- Czy Ojciec Święty dowie się o tym?

- Wszystko w swoim czasie - Santelli oparł łokcie na krześle i splótł palce jak do modlitwy. - Kiedy ci naukowcy będą mogli oficjalnie przedstawić wyniki?

- Poproszę, żeby przygotowali coś na piątek.

- Świetnie.

Kardynał zauważył, że Donovan jest jakiś nieswój.

- Głowa do góry, Donovan - powiedział, rozkładając ręce. - Właśnie przyczyniłeś się do odnowy tej potężnej instytucji.

. 26 .

Po powrocie z lunchu oboje poczuli, że dobrze im to zrobiło. Popołudnie było dość ciepłe, a promienie słońca - ożywcze. Bersei zabrał Charlotte do restauracyjki San Luigi przy Via Mocenigo, niedaleko wejścia do Muzeów Watykańskich. Cicha muzyka i gościnne wnętrza urządzone na dziewiętnastowieczną modłę stanowiły idealne dopełnienie poleconych przez Bersei pierożków ravioli z homarem - jakże odmiennych od kanapki z tuńczykiem, którą raczyła się poprzedniego wieczora. Po powrocie Charlotte miała zamiar zadzwonić do wskazanego przez Giovanniego laboratorium radiowęglowego, a on sam przebrał się ponownie w roboczy strój i przystąpił do badania ossuarium. Przygasiwszy lampy nad miejscem pracy, omiótł każdą ściankę ossuarium ultrafioletowym światłem latarki. Dzięki okularom z lupami mógł w dużym powiększeniu obejrzeć najważniejsze elementy - zwłaszcza żłobienia składające się na zawiłe wzory.

Od razu zauważył, że w wielu miejscach, szczególnie na zewnętrznych ściankach, warstwa patyny jest trochę przetarta. Połyskujące w nietypowym świetle ślady były długie i szerokie, a w niektórych miejscach wyglądały jak odciski jakiejś tkaniny. Pasy, domyślił się, choć na powierzchni nie zachowały się resztki włókna. Prawdopodobnie nowa nylonowa sieć. Upewniwszy się, że na przetarciach nie zgromadził się osad, wywnioskował, iż ślady są świeże.

Nie było to wstrząsające odkrycie. Wielokrotnie widział, jak niewłaściwie obchodzono się z relikwiami podczas ich wydobywania i transportowania. Zawsze raził go ten brak poszanowania dla przeszłości. Czytał, że ossuarium Jakuba pękło podczas transportu. W porównaniu z takimi uchybieniami szkody, które wykrył, były wybaczone i prawdopodobnie nie miały większego wpływu na wartość artefaktu.

Postawił aparat na trójnogu umieszczonym na blacie, włączył go i

zrobił kilka zdjęć z lampą błyskową. Wyłączył latarkę i ustawił mocniejsze światło nad blatem.

Następnie skrupulatnie przejrzał każdą krawędź i powierzchnię w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów wskazujących, że ktoś ręcznie naniósł warstwę patyny. Gdyby inskrypcję wykonano już po wydobyciu ossuarium, osad byłby nierównomierny i niespójny. Ten etap był dość czasochłonny, ale mimo że trwał tak długo, nie przyniósł spodziewanych rezultatów w postaci podejrzanych zadrapań lub żłobień. Patyna mocno i równo przylegała do wapiennych powierzchni ossuarium, a także do reliefu na bocznej ścianie.

Bersei rozprostował ścierpnięte barki, uniósł lupy w okularach i jeszcze przez chwilę podziwiał ozdobne wzory wyrzeźbione na ścianie ossuarium. Dwudziesta piąta rocznica jego ślubu zbliżała się wielkimi krokami. Pomyślał, że taka misterna rozeta mogłaby wyglądać ładnie na biżuterii. Po tylu latach spędzonych u boku Carmeli znalezienie oryginalnego prezentu przychodziło mu coraz trudniej.

Znów się pochylił nad ossuarium i za pomocą małego ostrza zaczął zeskrobywać z różnych fragmentów powierzchni próbki nalotu, które następnie przenosił na szkiełka i dokładnie oznaczał. Po zebraniu piętnastu próbek ostrożnie ułożył szkiełka na tacy, przeszedł do innego stanowiska zaopatrzonego w mikroskop elektronowy i załadował pierwszy wycinek.

Wysuszone minerały i osady tworzące patynę, znacznie powiększone i wyświetlone, na ekranie komputera wyglądały jak szarawobeżowy kalafior. Bersei umieścił w bazie danych szczegółowy opis próbki, zdjął pierwsze szkiełko i wsunął następne. Kiedy mikroskop uchwycił już obraz ostatniej próbki, na ekranie wyświetliła się cała grupa obrazów, jeden obok drugiego.

Wpisał polecenie weryfikacji próbek pod kątem ewentualnych różnic. Po kilku sekundach porównywania składu chemicznego program poinformował, że nie odkrył znacznych rozbieżności między nimi. Gdyby któryś fragment patyny został sztucznie spreparowany - na przykład za pomocą najpopularniejszej metody, czyli rozprowadzania na powierzchni wodnego roztworu kredy lub

krzemionki - program wykryłby zaburzenia stosunków izotopowych, a może nawet mikroskopijne ślady skamieniałości morskich organizmów mogących występować w kredzie.

Zgodnie z przewidywaniami okazało się, że wszystkie próbki mają dużą zawartość węgla wapnia i występują w nich śladowe ilości strontu, żelaza i magnezu. Na podstawie lektury materiałów zamieszczonych w Internecie Bersei zorientował się, że ten skład odpowiada składowi patyny pokrywającej podobne relikwie wykopane na terenie Izraela. Wyjął z mikroskopu ostatnie szkiełko.

Według niego wyniki potwierdzały hipotezę, że inskrypcje są starsze niż warstwa patyny. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można było orzec, że tajemniczy pogański symbol widniejący na ścianie ossuarium rzeczywiście pochodzi z tej samej epoki, co zawartość skrzyni. Niewykluczone, że wyjaśnienie znaczenia symbolu pomoże w określeniu tożsamości ukrzyżowanego mężczyzny.

Obserwując Giovanniego Bersei pochłoniętego pracą po drugiej stronie laboratorium, Charlotte sięgnęła po bezprzewodową słuchawkę telefonu i wystukała zapisany numer. Sygnał - typowo europejski - rozbrzmiewał w nieskończoność. Już miała ponownie wybrać numer, gdy w słuchawce odezwał się głos.- *Salve*.

Na krótką chwilę zapomniała języka w gębie. Spodziewała się połączenia z centralą albo asystentką, ewentualnie automatyczną sekretarką, i zastanawiała się, czy przypadkiem nie dodzwoniła się do czyjegoś domu.

- *Salve?* - rozmówca zaczął się niecierpliwić.

Zerknęła na kartkę, gdzie zapisała fonetycznie nazwisko. - Signore Antonio Ciardini? - *Si*.

- Mówi doktor Charlotte Hennesey. Dostałam pana numer od Giovan-niego Bersei. Przepraszam, nie miałam pojęcia, że to domowy numer.

- Dodzwoniła się pani na komórkę. Nie ma sprawy - chwila ciszy. - Jest pani Amerykanką?

Jego angielszczyzna robiła wrażenie.

- Owszem.

- Co mogę zrobić dla mojego drogiego przyjaciela Giovanniego? Najwidoczniej doktor Bersei cieszył się ogólną sympatią.

- Pracujemy razem nad niezwykłym projektem. Tutaj w Rzymie, a właściwie w Watykanie...

- W Watykanie? - powtórzył Ciardini.

- Tak. Poproszono nas o zbadanie próbki kości, zapewne z czasów starożytnych. Żeby przeprowadzić gruntowną analizę, musimy określić wiek próbki.

Ciardini podniósł głos o oktawę.

- Próbki kości? W Watykanie? Dziwne. Chociaż... przecież w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra są grobowce papieży -

rozmyślał głośno.

- Cóż... - nie mogła się nad tym rozwodzić. - Proszę wybaczyć, że naciskam, ale pan Bersei pyta, czy nie dałoby się wykonać tej analizy w przyspieszonym trybie.

- Dla Giovanniego? Jasne. A czy kość jest w dobrym stanie? Jakies zanieczyszczenia?

- Nie. Jest wyjątkowo dobrze zachowana.

- Doskonale. Wobec tego proszę przysłać co najmniej jednogramową próbkę.

- Zgoda. I jeszcze jedno... jeśli to nie problem... chcielibyśmy też określić wiek drewnianej drzazgi.

- Jeśli chodzi o drewno, przydałoby się dziesięć miligramów, choć możemy zbadać nawet dziesięć razy mniejszą próbkę.

- Przyślę dziesięć. Czy mam wypełnić jakiś formularz?

- Wystarczy jeśli wyśle pani bezpośrednio do mnie paczkę opisaną swoim nazwiskiem. Papierkową robotą zajmę się sam. Proszę zaznaczyć, dokąd mamy odesłać wyniki.

- Bardzo dziękuję. Wiem, że i tak nadużywam pana uprzejmości, ale doktor Bersei prosił też, żeby w miarę możliwości zadzwonił pan do nas, gdy będzie już coś wiadomo.

- Ach, to dlatego nie zadzwonił osobiście - Ciardini wybuchnął gromkim śmiechem. - Zajmę się próbkami, gdy tylko je otrzymam. Zazwyczaj trwa to kilka tygodni, ale zrobię wszystko, żeby wyniki były gotowe po paru godzinach. Podam pani adres.

Ciardini powoli powtórzył nazwę ulicy i numer, a Hennesey skrzętnie je zanotowała.

- Dziękuję. Przyślę kuriera z Watykanu. Próbki powinny być u pana za kilka godzin. *Ciao*.

Odwiesiła słuchawkę na widełki zamocowane na ścianie i wróciła do swojego stanowiska pracy.

Przez chwilę przyglądała się szkieletowi i ostatecznie postanowiła skoncentrować się na kawałku drewna, który utkwiał w pękniętej kości śródstopia. Wyjęła pęsetę, delikatnie odłamała mały fragment i schowała go do plastikowej fiolki.

Aby ocenić wiek próbki, a tym samym i całego szkieletu, najpierw

należało ją spalić. Uzyskane w ten sposób gazy węglowe należało poddać kompresji, a następnie określić zawartość występującego we wszystkich organizmach promieniotwórczego izotopu węgla, ^{14}C , którego czas połowicznego zaniku wynosi dokładnie 5730 lat. Choć ten proces wydawał jej się banalnie prosty, wiedziała, że zakup i utrzymanie złożonej aparatury niezbędnej do przeprowadzenia tych testów - tzw. akceleratorowego spektrometru mas - wymaga niemałych nakładów. Większość muzeów i grup archeologicznych zleca podobne prace niezależnym specjalistycznym laboratoriom radiowęglowym, takim jak to, do którego odesłał ją Bersei.

Charlotte wyjęła z szuflady fiolkę z drzazgą wydobytą podczas wstępnej analizy patologicznej.

Umieściwszy obie próbki w kopercie z folią pęcherzykową, sięgnęła po drugą, większą kopertę z etykietą Watykanu. Na widok tłoczonego herbu papieskiego uśmiechnęła się w duchu. Poczowała się jak drugoplanowa - albo i główna - postać kryminału. To wszystko dalece odbiegało od jej dotychczasowych obowiązków. Ilekroć przeprowadzała analizę próbek w swojej firmie, znała przynajmniej ich wiek i pochodzenie.

Aby dokładnie odtworzyć wygląd osobnika, Charlotte musiała też pobrać próbkę kwasu dezoksyrybonukleinowego, czyli DNA. Wstęgowate kwasy nukleinowe ukryte w jądrach wszystkich ludzkich komórek zawierają zakodowane informacje decydujące o wszystkich fizycznych cechach człowieka. Charlotte zetknęła się z publikacjami, których autorzy sugerowali, że DNA może zachować się u organizmów sprzed tysięcy lat, jeśli szczątki nie są skażone i przebywały w korzystnych warunkach. W Egipcie naukowcy badali DNA organizmów zmumifikowanych pięć tysięcy lat temu. Ponieważ szkielet był wyjątkowo dobrze zachowany, nie miała wątpliwości, że rozkład DNA nie jest na tyle posunięty, by uniemożliwić przeprowadzenie badania.

Badania genetyczne, podobnie jak próby węglowe, wymagały specjalistycznego sprzętu. I Charlotte nie miała cienia wątpliwości, że najbardziej sprawdzona infrastruktura do tego typu pilnych badań znajduje się w BioMapping Solutions, pod czujnym okiem Evana

Aldricha. Firma BMS opatentowała nowe systemy i typy oprogramowania, umożliwiające dokonanie efektywnej analizy ludzkiego genomu przy użyciu udoskonalonych technik skanowania laserowego. Zresztą Charlotte sama walczyła przyczyniła się do opracowania nowoczesnych rozwiązań technologicznych.

Zerknąwszy na zegarek, sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer w Phoenk. Za kwadrans piąta. Nawet biorąc pod uwagę ośmiogodzinną różnicę czasu, wiedziała, że go nie obudzi - Evan był niepoprawnym rannym ptaszkiem.

Po trzech sygnałach usłyszała, jak ktoś podnosi słuchawkę.

- Aldrich.

Cały on: zwięzłe i do rzeczy. Kolejna rzecz, którą w nim uwielbiała.

- Cześć. Tu biuro terenowe w Rzymie. Na dźwięk jej głosu wyraźnie się ożywił.

- Jak sobie radzi filia do spraw pozaziemskich?

- Nieźle. A co tam słyszać w kraju? - dotknęła kolczyka i przypomniała sobie, że tę parę dostała od niego na ostatnie urodziny. Szmaragdy; jej szczęśliwe kamienie. Powiedział wtedy, że dobrał je pod kolor jej oczu.

- Wszystko po staremu. I co to w końcu za rewelacje w tym Watykanie? Masz wymyślić, jak zapewnić papieżowi życie wieczne na ziemi?

- Coś niesamowitego. Badam szczątki szkieletu sprzed dwóch tysięcy lat. Jak do tej pory czysta sądówka, ale fascynująca. Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć.

- Czyli witamy z powrotem na placu boju. Mam nadzieję, że ta robota jest warta twojego czasu.

- To się dopiero okaże, ale czuję, że to coś wyjątkowego. Zresztą jak często się zdarza pracować dla Watykanu?

- To fakt - zamilkł na chwilę. - Przypuszczam, że nie dzwonicz po to, żeby po prostu pogadać.

Mając w pamięci szorstkie - żeby nie powiedzieć lodowate - niedzielne pożegnanie, wiedziała, że mówi o nich. Noc przed jej wyjazdem spędził w jej domu i wcześniej rano, po nocy pełnej napiętości, wywiązała się rozmowa na temat „otwarcia nowego

rozdziłu w ich związku”. Ponieważ nadal nie wiedział nic o chorobie, Charlotte szybko zmieniła temat, co bardzo go zirykowało. Na to wszystko pod dom podjechała limuzyna i pożegnanie nie należało do najbardziej wylewnych. Naprawienie tego było ważne, ale to nie był odpowiedni moment. Na szczęście Evan wciąż jeszcze potrafił oddzielić pracę od przyjemności.

- Kości są w niebywale dobrym stanie i pomyślałam sobie, że warto zabłysnąć przed miejscowymi i zrobić małe hokus-pokus z mapowaniem DNA w roli głównej - wyjaśniła. - Chciałabym odtworzyć jego wygląd. Myślisz, że BMS byłaby zainteresowana takim projektem?

Zapadła cisza. Chyba nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Odezwał się po dłuższej chwili.

- Zdaje się, że coś takiego nieźle wpłynęłoby na nasz wizerunek.

- A jak ten nowy skaner, już działa?

- Jesteśmy w fazie testów beta. Dlatego tak wcześnie jestem w pracy. Właśnie ślęczę nad danymi.

- Noi?

- Wygląda to bardzo obiecująco. Przyślij mi tę próbkę, to puszcę ją w następnej partii. To będzie niezły test.

- Mam tu kompletny szkielet. Który fragment sobie życzysz?

- Lepiej nie przesadzajmy. Jakiś drobiazg, niech będzie śródstopie. Kiedy mogę się jej spodziewać?

- Zobaczę, czy uda się załatwić przesyłkę jednodniową. Mam nadzieję, że dotrze do ciebie jutro.

- Zaraz trafi do skanera. Zresztą zajmę się tym osobiście.

- Dzięki, Evan.

- Pozdrów papieża. I Charlotte... Zaczyna się, pomyślała. - Tak?

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że brakuje mi tu nie tylko mojego najlepszego naukowca.

Uśmiechnęła się.

- Ja też za tobą tęsknię. Pa.

Wróciła do swojego stanowiska roboczego. Czowała, jak wzbiera w niej żal i ze wszystkich sił starała się odpędzić to uczucie. Trzeba było mu powiedzieć, dlaczego nie może z nim być do końca, tak jakby tego

chciał. Wzięła głęboki oddech i zrezygnowana postanowiła, że po powrocie do Phoenix wszystko mu wyjaśni. Razem będą musieli zdecydować, co dalej. Na Boga, przecież nie chce go spłoszyć.

Do roboty.

Spakowała wybraną kość śródstopia i włożyła próbkę do pudełka DHL. Wypisując adres, starała się stłumić nagły przypływ nostalgii. W jednej chwili zdała sobie sprawę, jak wielka odległość dzieli ją od Evana.

Gdy wypisała kwitek, dołączył do niej doktor Bersei. Podparł się pod boki.

- O ile się nie mylę, nikt nie majstrował przy patynie. To autentyk. A co u ciebie?

- Ucięłam sobie miłą pogawędkę z signore Cardinim - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Uroczy człowiek. Wyniki będą gotowe jutro.

- A co to za paczka?

- Kolejna próbka, która mam nadzieję, powie nam coś o profilu genetycznym naszego przyjaciela - podniosła pudełko. - Wysyłam ją do analizy do Phoenix.

- DNA? - Uhm.

Bersei spojrział na zegarek. Tuż po piątej.

- Odwaliliśmy dzisiaj kawał roboty. Muszę się zbierać do domu na kolację. Najstarsza córka zapowiedziała się na dzisiaj.

- A co dobrego szykuje Carmela?

- *Saltimbocce* z kurczaka - przewrócił oczami i zaczął kolejno zdejmować maskę, rękawiczki i kitel.

Charlotte roześmiała się w głos i zaraz poczuła się lepiej.

- Życzę smacznego.

- Uważaj, bo przyniosę ci resztki na śniadanie - zagroził. - W każdym razie jutro proponuję zająć się wnętrzem skrzyni. Spróbuję też odszyfrować ten symbol i pokażę ci urządzenie, który będzie przyjemnym dopełnieniem twojej analizy DNA. Do zobaczenia rano. Mam nadzieję, że córka nie namówi mnie na drugą butelkę wina.

- No to miłego wieczoru, Giovanni. I jeszcze raz dzięki za lunch.

- Nie ma za co. Spróbuj się trochę zdrzemnąć, dobra? Żebyś mi się

czasem nie pochorowała.

Już za późno, pomyślała. Uśmiechnęła się i pomachała mu.

- *Ciao*.

Gdy za Giovannim zamknęły się drzwi, Charlotte Hennesey przez krótką chwilę poczuła, że mu zazdrości.

Kiedy przygotowała paczki, wezwała przez interkom ojca Donovana. Odpowiedział natychmiast, jakby wiedział, że jeszcze nie wyszła z pracy.

- Dobry wieczór, doktor Hennesey. Mogę pani w czymś pomóc?

Powiedziała mu o paczkach, a duchowny zapewnił ją, że kurier odbierze je z laboratorium. Potwierdził też, że można skorzystać z jednodniowej usługi DHL, mimo ogromnych kosztów, jakie się z tym wiązały.

Kiedy omówili sprawy zawodowe, Donovan zapytał:

- Czy planuje pani dzisiaj wyjść na miasto?

- Wieczór zapowiada się pięknie. Pomyślałam sobie, że się przejdę i wstąpię gdzieś na kolację.

- Jeśli chce pani trochę zaszaleć, mogę polecić znakomitą restaurację.

- Jasne. Będę wdzięczna.

Gdy Charlotte wyszła z budynku Muzeów Watykańskich, był wczesny wieczór i promienie słońca jeszcze przyjemnie grzały. Uznała, że bluzka i spodnie bojówki jej wystarczą i nie musi specjalnie maszerować do pokoju, żeby się przebrać. Poza tym i tak musiała nosić przepisowy watykański strój, w przeciwnym razie nie wpuszczono by jej z powrotem. A w związku z tym jej garderoba nie pozostawiała zbyt wielu możliwości wyboru. Przeszła powoli alejką między północnym murem miasta a surowym gmachem Muzeów Watykańskich i skierowała się w stronę Bramy Świętej Anny, gdzie uzyskała od gwardzistów pozwolenie na opuszczenie Watykanu.

Ojciec Donovan zaznaczył, że restauracja jest czynna dopiero od wpół do ósmej. Przypomniawszy jej, że Włosi w odróżnieniu od Amerykanów jadają kolację później. Ponieważ miała jeszcze prawie godzinę, z przyjemnością spacerowała pobliskimi uliczkami i wzdłuż brzegów Tybru, napawając się cudowną atmosferą Rzymu.

Po pewnym czasie, kierując się wskazówkami Donovana, podążyła z powrotem krętymi uliczkami i znalazła się przed imponującą fasadą sześciopiętrowego hotelu Atlantę Star, gdzie dostrzegła szyld restauracji Les Źtoiles. Już tu poczuła się nieodpowiednio ubrana. Weszła do holu i wjechała windą na ostatnie piętro.

Tuż po wyjściu z kabiny powitał ją maitre d'hôtel, młody - na oko trzydziestokilkuletni - elegancko ubrany mężczyzna o południowych rysach, z gęstymi czarnymi włosami.

- *Signora Hennesey... Buona sera! Come sta?* - rychno przeszedł na angielski. - Ojciec Donovan już nas powiadomił. Czekałem na panią.

- *Buona sera* - odpowiedziała, zaglądając do wnętrza restauracji.

- Mam na imię Alfonso - skłonił się nieznacznie. - Proszę za mną, *signora*. Ma pani zarezerwowany stolik na dachu.

Alfonso poprowadził ją przez salę restauracyjną i dalej po schodach wiodących na taras przystrojony morzem barwnych kwiatów, po czym zatrzymał się obok niewielkiego stolika przy balustradzie.

Na widok panoramy Rzymu zaparło jej dech w piersiach. Potężna kopuła Bazyliki Świętego Piotra była doskonale widoczna za wschodnimi ścianami Muzeów Watykańskich. Po drugiej stronie dostrzegła okrągły gmach Zamku Świętego Anioła. Za linią Tybru leżała Starówka z charakterystyczną kopułą Panteonu.

Alfonso pomógł jej zająć miejsce i zdjawszy z talerza lnianą białą serwetę, rozłożył ją na kolanach gościa.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dać mi znać.

- *Grazie*.

Przy stoliku bezszelestnie pojawił się sommelier - podał jej oprawną w skórę i nieco onieśmielającą kartę win.

Charlotte uświadomiła sobie, że w ciągu całego aktywnego dnia, przy całym napięciu towarzyszącym niezwykłemu odkryciu, nie miała czasu na moment refleksji. Nagle poczuła się niemal samotna. Ale czy rzeczywiście? Przecież wszystko było w najlepszym porządku. Spojrzała na dachy starego miasta. Trudno było sobie wyobrazić równie sielankową scenę.

W głębi duszy wiedziała jednak, że nie wszystko jest w porządku.

Sommelier znów przyszedł i Charlotte zamówiła pół butelki *Brunello di Montalcino*. W jej stanie alkohol nie był zalecany, ale tego wieczoru nie miała zamiaru sobie niczego odmawiać.

Z ulicy dobiegł ją odgłos przejeżdżających skuterów.

Sommelier przystąpił do prezentacji wina: zademonstrował etykietę, otworzył butelkę i podsunął ją Charlotte, by dokonała pierwszej oceny zapachu. Wreszcie nalał trochę trunku do kieliszka i poprosił, by skosztowała. Charlotte poruszała kieliszkiem, raczej dla samego efektu, ponieważ wiedziała, że ze względu na leki, które zażywa, wino bez względu na rocznik będzie miało ten sam lekko metaliczny posmak.

Kiedy sommelier odszedł, jej myśli swobodnie podążyły własnym torem, ku osobie Evana Aldricha. Nie po raz pierwszy pomyślała, że angażowanie się w długotrwały związek byłoby z jej strony nieodpowiedzialne. Wprawdzie lekarze twierdzili, że postęp medycyny jest ogromny. Wkrótce naukowcy mieli poznać odpowiedzi na kolejne pytania. Tylko co to znaczy „wkrótce”?

A dzieci? Jako trzydziestodwuletnia kobieta obawiała się, że nie doczeka się własnego potomstwa. Niedawno odkryte, silnie inwazyjne metody leczenia, do których zaliczały się zastrzyki z bortezomibu - substancji przyczyniającej się do powstawania wad okołoporodowych u nienarodzonych dzieci - tylko pogłębiały jej lęk. Miała świadomość, że marzenie o dziecku może nigdy się nie spełnić.

Powiodła bezmyślnie wzrokiem po sąsiednich stolikach. Szczęśliwe pary, na prawo roześmiana rodzina. A może wcale nie są tacy szczęśliwi. Pozory mylą - ona sama wiedziała o tym szczególnie dobrze. Nie wiedzieć czemu, pomyślała nagle o Salvatore Contem i ojcu Patricku Donovane. Kim byli? Jak to się stało, że skrzynia z kośćmi połączyła dwóch tak różnych ludzi?

Pomyślała o próbce kości, którą posłała Ciardiniemu - o tym, że podczas próby węglowej przeprowadzanej w celu określenia wieku preparatu zostanie spalona.

Kość. Uszkodzona kość.

- Czy coś pani wybrała? - usłyszała głos Alfonsa.

- Dobrze, że pan przyszedł. Przyda mi się rada.

Mimo że Charlotte mogłaby przysiąc, iż wchodziła do restauracji o francusko brzmiącej nazwie, w menu znajdowały się dania kuchni włoskiej. Po kilku szybkich pytaniach o jej upodobania kulinarne Alfonso zaproponował sorrento scialatielli - „świeży makaron ze śmietankowym sosem Alfredo z owocami morza: homarami i krabami. Coś wspaniałego”.

Od pierwszego kęsa wiedziała, że trafił w dziesiątkę. Charlotte, uzależniona od kanału Food Network, była wielką fanką Rachel Ray i jej programu „30 Minutę Meals”. Żałowała, że ta energiczna pół-Włoszka nie może razem z nią delektować się tym wyśmienitym daniem. Wreszcie udało jej się znaleźć coś, co pobudziło jej stępione przez leki kubki smakowe.

Zajadając makaron i popijając wino w otoczeniu pachnących kwiatów, na tarasie z widokiem na dachy miasta, które praktycznie zdecydowało o kształcie zachodniej kultury, Charlotte przeniosła się do innego świata. Skończyła posiłek i przez kolejną godzinę po prostu siedziała, napawając się tym wszystkim. Była zadowolona. Szczęśliwa.

Kiedy kelner przyniósł słony rachunek, nie omieszkała uregulować go firmową kartą American Express. To była jej rekompensata za kanapkę z tuńczykiem.

Opuściwszy hotel, poszła wolno wzdłuż Via Vitelleschi w kierunku surowego gmachu Zamku św. Anioła. Okrążyła mauzoleum i dotarła nad brzeg Tybru. Przeszła przez ruchliwą ulicę Lungo Castello i znalazła się na Moście św. Anioła spinającym rzekę pięcioma zgrabnymi łukami.

Jakże bogatą historią i kulturą może się poszczycić Rzym, pomyślała. Nawet ten most jest niezrównanym dziełem sztuki, a Watykan na swój sposób przyczynił się do jego świetności. Kiedy podziwiała ustawione wzdłuż mostu marmurowe posągi Berniniego przedstawiające świętych, jej wzrok natychmiast padł na postać ściskającą potężny krucyfiks. Jeszcze wczoraj nie zwróciłaby na nią szczególnej uwagi, ale teraz nie potrafiła już patrzeć na krzyż w ten sam sposób. Ten tak całkowicie zwyczajny, niemal banalny kształt napawał ją przerażeniem. Co gorsza, nagle się zorientowała, że uważny obserwator może zauważyć krzyże niemal wszędzie wokół.

Było jednak coś, co umknęło jej uwadze. Za jej plecami, w bezpiecznej odległości, ukryty w cieniu zamkowych murów stał Salvatore Conte.

ŚRODA
JEROZOLIMA

Razak popijał kawę na werandzie swojego mieszkania w dzielnicy mużułmańskiej, wychodzącej na Wzgórze Świątynne i Ścianę Płaczu. Od wschodu słońca gromadziły się tam tłumy demonstrantów i widział, jak przed policyjnymi kordonami ustawia się długi ogonek ekip telewizyjnych z całego świata. W tle cicho szumiał telewizor ustawiony na kanał Al-Dżazira. Atmosfera w Jerozolimie była napięta, ale jeszcze gorsza sytuacja panowała w palestyńskiej Strefie Gazy, gdzie watahy młodych mężczyzn wszczynały już swoje prywatne intifady, obrzucając kamieniami policjantów. Na wszystkich izraelskich punktach kontrolnych, a także przy najważniejszych bramach prowadzących do Starego Miasta stały wozy opancerzone. SOI dwukrotnie zwiększyły liczbę patroli granicznych.

Ludzie domagali się odpowiedzi, chcieli znaleźć winnego. Rząd Izraela mobilizował siły, gotowy na kolejną konfrontację. Hamas wydawał oświadczenie za oświadczeniem, wszystkie oczerniające władze Izraela.

Razak próbował się skupić na opracowaniu planu rozładowania tych napięć, przynajmniej na pewien czas. Zminimalizowania strat. Czasem wydawało mu się, że problemy tego miejsca są nie do rozwiązania i skupiają się wokół kontrowersyjnych dziejów trzydziestopięcioakrowego obszaru w samym sercu Jerozolimy.

W te rozmyślania wdarł się dzwonek telefonu komórkowego.

- Przepraszam, że niepokoję. Mówi Graham Barton.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że z własnej woli wręczył archeologowi wizytówkę.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Mam już przekład tekstu ze zwoju, który znaleźliśmy.

- No i co?

- To coś zdumiewającego - powiedział obiecująco Barton. - Ale to

nie jest rozmowa na telefon. Czy możemy się spotkać w tej sprawie?

- Oczywiście - entuzjazm tego optymisty był doprawdy zaraźliwy. -
Kiedy?

- Może w południe w Abu Shukri przy El-Wad? Wiesz, gdzie to jest?
Razak rzucił okiem na zegarek.

- Tak, byłem tam wiele razy. Do zobaczenia o dwunastej. Może to
właśnie chwila oddechu, na którą czekałem, pomyślał.

WATYKAN

Charlotte Hennesey odwróciła się i zobaczyła, że cyfrowy wyświetlacz budzika wskazuje siódmą. Przeklęte czerwone kreseczki. Słońce świeciło już mocno przez cienkie zasłony w oknach i Charlotte opadła z powrotem na poduszkę. Małe łóżko było dość wygodne. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przed nią zajmował je jakiś kardynał. Na ścianie tuż nad jej głową wisiał krzyż. Charlotte utkwiała w nim wzrok. Do jej głowy znów niepostrzeżenie wkradły się obrazy młotów i wielkich gwoździ przeszywających skórę i mięśnie. Lepiej do tego przywyknij, powiedziała sobie w duchu.

Wygramoliła się z łóżka, z trudem dowlokła do torby i zaczęła się mocować z fiolką motrinu. To wczorajsze wino jednak dało jej popalić. Wyjęła z małej lodówki opakowanie melfalanu, zdjęła wieczko, wysupłała malutką białą pigułkę i połknęła ją, popijając wodą. Jeszcze garść witamin i suplementów, żeby zneutralizować skutki spustoszenia poczynionego przez silne leki.

Umyła zęby, wzięła prysznic i ubrała się naprędce. Przypięła pod bluzką pas, w którym zgodnie z zaleceniami pracownika biura podróży przechowywała gotówkę i paszport. Rzym ponoć słynął z kieszonkowców. Wsunęła do kieszeni telefon komórkowy i opuściła pokój.

Po wejściu do laboratorium zobaczyła, że Giovanni pracuje już pełną parą. Siedział zgarbiony nad jakąś gablotką i majstrował coś przy kablach komputerowych.

Uśmiechnął się na jej widok.

- O, dzisiaj wyglądasz na wypoczętą.

- Jeszcze mam trochę do nadrobienia, ale już mi lepiej - spojrzała na obce urządzenie. - A to co?

Przywołał ją ruchem ręki.

- Coś, co na pewno ci się spodoba. Skaner laserowy 3D.

Urządzenie w kształcie prostopadłościanu miało jakieś trzy stopy

wysokości, przeszklone drzwiczki i pustą komorę wewnątrz. Z boku zamontowano rząd przycisków.

Charlotte spojrzała na nie krytycznym okiem.

- Wygląda jak minibar - stwierdziła.

Giovanni rzucił okiem na urządzenie i roześmiał się.

- Nie przyszło mi to do głowy. Ale lepiej nie szukaj tam orzeszków. Może najpierw się spokojnie przebierz i napij kawy. Potem pokażę ci, jak to działa - powiedział, podłączając urządzenie do laptopa za pomocą kabla USB.

Nie minęło pięć minut, gdy Charlotte była z powrotem, przebrana i gotowa do pracy.

- Dzięki temu urządzeniu możemy kolejno skanować kości i odtwarzać cały szkielet za pomocą oprogramowania do przetwarzania obrazów. Następnie program CAD analizuje poszczególne kości i łączące je stawy oraz oblicza masę mięśni utrzymywanych przez poszczególne kości. W ten sposób możemy spróbować odtworzyć obraz ciała naszego tajemniczego nieznanego. Przetworzę pierwszą kość, a resztę zostawię tobie.

Bersei sięgnął po czaszkę, podtrzymując jedną ręką sklepienie, a drugą uzębioną żuchwę, i umieścił ją w komorze skanera.

- Po prostu wkładamy je do minibaru... Charlotte parsknęła głośnym śmiechem.

Bersei uśmiechnął się i zasiadł przez ekranem laptopa.

- Teraz klikamy polecenie COMINCIARE SCANSIONE...

- Czy cały program jest po włosku?

Bersei podniósł wzrok i z rozbawieniem zanotował jej lekko przerażoną minę.

- Aj, o tym nie pomyślałem. Już przełączam na angielski - zmiana ustawień zajęła mu parę sekund. - Już. Jak mówiłem, kliknij polecenie START SCAN, o tak...

Rozległ się szum. Wiązki światła lasera wewnątrz urządzenia utworzyły matrycę wokół czaszki, wyodrębniając każdą jej cechę. Niecałą minutę później na ekranie laptopa pojawił się biało-szary cyfrowy obraz czaszki, idealne odwzorowanie preparatu.

- No i mamy kopię 3D. Teraz możemy manewrować tym obrazem,

jak nam się żywnie podoba - przesunął palcem po panelu laptopa, a czaszka na ekranie obróciła się i przekoziółkowała. - Kiedy zechcesz zapisać obraz, program zapyta o nazwę kości. Wybierze ją z rozwijanego menu - Bersei otworzył listę nazw i przewinął do pozycji „czaszka z żuchwą” i kliknął nazwę. Teraz musisz kliknąć polecenie NEXT SCAN. Spróbuj sama - otworzył drzwiczki skanera i wyjął czaszkę. - Włóż rękawiczki i maskę i zajmij się następną kością.

Charlotte wrzuciła do kosza kubeczek po kawie i założyła lateksowe rękawiczki oraz papierową maseczkę.

Wybrała jeden z segmentów kręgosłupa i umieściła go w komorze skanera. Kliknęła przycisk SCAN i obserwowała, jak oślepiające światło lasera tańczy po powierzchni kości. Mimo woli pomyślała o tomografii komputerowej i radioterapii, ale próbowała opędzić się od tych skojarzeń. - A jak tam Carmela i jej *saltimbocca* z kurczaka?

- O dziwo, tym razem nawet jej wyszła - odpowiedział. - Ale córce jednak udało się namówić mnie na drugą butelkę wina. O, *mamma mia* - złapał się za głowę.

Po minucie obraz był gotowy. Giovanni zaglądał jej przez ramię, gdy wypróbowywała panel do wprowadzenia kopii w ruch. Zapisała obraz jako „kręg-lędźwiowy”. Kliknęła przycisk NEXT SCAN.

- *Perfetto*. Daj znać, gdy skończysz. Wtedy ci pokażę, jak złożyć to wszystko do kupy.

Bersei przeszedł przez laboratorium i zniknął na zapleczu. Charlotte zaczęła skanowanie kolejnych odcinków kręgosłupa. Po minucie Bersei dołączył do niej z dwoma kubeczkami espresso.

- Jeszcze jedna porcja włoskiego superpaliwa.

- Jesteś prawdziwym aniołem.

- Daj znać, jeśli będziesz miała jakieś problemy - powiedział, a sam podszedł do ossuarium.

Usadowił się przy swoim stanowisku i zajrzawszy do skrzynki, rozpoczął badanie grubej, mniej więcej centymetrowej warstwy pyłu pokrywającej dno naczynia. Musiał pobrać próbkę substancji i zbadać jej skład pod mikroskopem, a następnie za pomocą tutejszego spektrometru określić widma poszczególnych pierwiastków. Wziął miarkę laboratoryjną i zaczął przesypywać pył do prostokątnego

szklanego naczynia przykrytego sitem zatrzymującym drobne fragmenty kości, które opadły na dno skrzynki. Podejrzewał, że znajdzie wysuszone fragmenty tkanek i trochę pyłu skalnego, ewentualnie śladowe ilości substancji organicznych, takich jak resztki wonnych roślin stosowanych często podczas starożytnego żydowskiego obrządku pogrzebowego.

Gdy po raz kolejny zanurzył miarkę w pyle, ku swemu zaskoczeniu znalazł w niej niewielki okrągły przedmiot. Wydłubał go palcami i lekko oczyścił jego powierzchnię za pomocą miękkiego pędzelka. Po chwili przekonał się, że faktura utlenionej warstwy pokrywającej obie płaskie powierzchnie nosi ślady działalności człowieka. Przedmiot był wybity w metalu.

Moneta.

Bersei sięgnął po twardszy pędzelek i gestem przywołał Charlotte.

- Co tam?

- Zobacz sama - Bersei wyciągnął dłoń, na której spoczywało znalezisko.

Charlotte zmrużyła swoje zielone oczy.

- Moneta? Dobra robota, Giovanni.

- Tak. To nam znacznie ułatwi pracę. Niewątpliwie monety mogą być niezwykle pomocne w datowaniu towarzyszących im relikwii.

Podał jej monetę, podszedł do komputera i wpisał do wyszukiwarki hasło „roman coins LIZ”.

Charlotte uważnie badała monetę nie większą niż pięciocentówka. Na awersie znajdował się symbol wyglądający jak lustrzane odbicie znaku zapytania wpisane w tekst na planie koła. Na rewersie widniały trzy duże litery - LIZ - oplecione prostym roślinnym wzorem przypominającym gałązkę lauru.

- Proszę bardzo - mruknął Bersei na widok pierwszych wyników wyszukiwania. Jako przedstawiciel pokolenia, które pracowało wystukiwało prace naukowe na maszynie, nie mógł się nadziwić możliwościom, jakie daje nowoczesna technologia i Internet, zwłaszcza jeśli chodzi o dostęp do informacji. Kliknął najbardziej użyteczny odnośnik, który doprowadził go do internetowej firmy handlującej numizmatami: Forum Ancient Coins.

- No i co znalazłeś?

Bersei rozwinął długą listę wystawionych na sprzedaż starożytnych monet i znalazł wierny obraz tej, którą trzymała w palcach Charlotte.

- Choć nasz okaz jest w znacznie lepszym stanie, myślę, że to ten sam typ - powiększył zdjęcie i wskazał ujęcia awersu i rewersu, niemal identyczne, jak te na monecie znalezionej przez nich. - Ciekawe. Tu jest napisane, że weszła w obieg w czasach Poncjusza Piłata - zauważył.

Charlotte, zaskoczona, pochyliła się nad monitorem.

- Poncjusza Piłata? Tego biblijnego?

- Właśnie tak - potwierdził Bersei. - To nie jest fikcyjna postać, on naprawdę żył - Bersei przebiegł wzrokiem tekst umieszczony obok zdjęć. - Piszą tu, że Piłat w swojej dziesięcioletniej kadencji, która się rozpoczęła w dwudziestym szóstym roku, wprowadził do obiegu trzy monety - podsumował. - Wszystkie były z brązu nazywały się *prutah* i zostały wybite w Cezarei kolejno w dwudziestym dziewiątym, trzydziestym i trzydziestym pierwszym roku.

- Czyli te rzymskie cyfry L-I-Z wskazują na dokładną datę? - Charlotte pamiętała, że L to pięćdziesiąt, a I to jeden, ale Z nic jej nie mówiło.

- Ściśle mówiąc, to cyfry greckie a nie rzymskie. W tamtych czasach do codziennego życia w Judei wciąż jeszcze silnie przenikała kultura helleńska. Tak, te liczby wskazują na datę emisji - wyjaśnił Bersei. - Jednak ta moneta powstała setki lat przed wprowadzeniem naszego współczesnego kalendarza gregoriańskiego. W pierwszym wieku Rzymianie obliczali czas według lat panowania cesarzy. Widzisz ten grecki tekst umieszczony wzdłuż obwodu?

Charlotte odczytała napis:

- *TIBEPIOYKAICAPOC*. - Uhm.

- To znaczy: cesarza Tyberiusza.

Charlotte zauważyła, że Bersei nie patrzy w ekran.

- Skąd to wiesz?

- Tak się składa, że znam biegle grekę. W początkach cesarstwa rzymskiego był to powszechnie stosowany język.

- Nieźle - powiedziała z podziwem. Bersei uśmiechnął się w

odpowiedzi.

- Początek panowania Tyberiusza przypada na czternasty rok naszej ery. Litera L oznacza po prostu „rok”. I to dziesięć, a Z to siedem; razem siedemnaście. Wiemy więc, że tę monetę wybito w siedemnastym roku panowania Tyberiusza.

Charlotte z trochę niepewną miną przeliczyła lata na palcach.

- Więc pochodzi z trzydziestego pierwszego roku naszej ery?

- Grecy pomijali zero. Rok czternasty liczony jest jako pierwszy. Oszczędzę ci łamigłówek: prawidłowa data to rok trzydziesty.

- A co z drugim symbolem, tym odwróconym znakiem zapytania?

- Tu jest napisane, że to laska *lituus*, atrybut władzy augura. - Augura?

- Starożytnego kapłana, swoistej rzymskiej wyroczni. Przed wygłoszeniem przepowiedni dotyczących konfliktów zbrojnych i działań politycznych augur wznosił laskę i w ten sposób wzywał bogów.

Obecnie na dźwięk słowa „wyrocznia” w głowie Charlotte pojawiał się raczej obraz odzianych w białe fartuchy, nieprzystępnych lekarzy pochylonych nad wynikami badań. Przyjrzała się ponownie monecie.

- Co jeszcze wiesz o Poncjuszu Piłacie oprócz tego, co można wyczytać w Biblii?

Bersei spojrział na nią z uśmiechem.

- Niemało. W sumie to był z niego niezły kawał drania. - Jak to?

Podzielił się z nią swoją wiedzą. Tyberiusz sprzeciwiał się rządowi króla żydowskiego w zachodniej Judei, ponieważ utrudniały one płynny przemarsz rzymskich oddziałów do Egiptu. Poza tym Judea leżała na ważnym szlaku handlowym. Tyberiusz usunął ze stanowiska prefekta jednego z synów Heroda Wielkiego i zastąpił go Piłatem, czym wywołał ogromne oburzenie wśród Żydów. Piłat regularnie dokonywał rzezi wśród niepokornych poddanych. Wiarygodne źródła donoszą, że gdy przed jego jerozolimską siedzibą zgromadziły się tłumy nieuzbrojonych ludzi protestujących przeciwko zagrabieniu skarbu świątynnego na budowę akweduktu, rozkazał dołączyć do nich żołnierzom w cywilu. Na jego znak dobyli oni ukrytej broni i wymordowali setki Żydów.

- A to tylko przykład - ciągnął Bersei.

- Ohyda.

- Piłat spędzał większość czasu w swoim luksusowym pałacu w północnym mieście Cezarea nad Morzem Śródziemnym. Takiej nadmorskiej willi, jak powiedzielibyście w Ameryce. Zresztą miałem okazję odwiedzić to miejsce... coś pięknego. Właśnie tam, pod okiem Piłata, wykuwano te monety.

Charlotte spojrzała ponownie na monitor i zdziwiła się, jak nisko jest wyceniony relikw z czasów Piłata.

- Dwadzieścia dwa dolary? Jak to możliwe, że moneta, która ma prawie dwa tysiące lat, jest tak niewiele warta?

- Myślę, że chodzi o prawo podaży i popytu - wyjaśnił Bersei. - W obiegu krąży dość sporo takich monet. W tamtych czasach to byłby odpowiednik współczesnego amerykańskiego centa.

Charlotte zmarszczyła czoło.

- Centa? Jak myślisz, dlaczego właśnie to znalazło się w ossuarium?

- To jasne. Umieszczanie monet na powiekach zmarłej osoby było elementem żydowskiego obrządku pogrzebowego. Zamknięte powieki chroniły duszę aż do momentu rozkładu ciała. Po rozpadzie tkanki monety wpadały do wnętrza czaszki.

- Hm.

Bersei sięgnął do skrzynki, pogrzebał w niej przez chwilę, po czym wyłowił coś z pyłu. Druga moneta.

- Dwoje oczu, dwie monety - obejrzał ją z obu stron. - Strzał w dziesiątkę.

Charlotte zadumała się na moment.

- Czyli kości złożono w ossuarium w tym samym roku, tak?

- Niekoniecznie. Ale to dość prawdopodobne.

Charlotte spojrzała w zamyśleniu na szkielet i znów na monetę.

- Poncjusz Piłat i ukrzyżowane ciało. Chyba nie sądzisz...

Bersei natychmiast podniósł rękę w geście protestu. Wiedział, co chce powiedzieć.

- Nie posuwajmy się za daleko - zaznaczył. - Jak już mówiłem, Rzymianie stracili na krzyżu tysiące ludzi. A ja sam jestem porządnym

katolickim uczonym - dodał z uśmiechem.

Kiedy spojrzała mu w oczy i zobaczyła malującą się w nich pewność, nie miała wątpliwości, że chce za wszelką cenę pozostać obiektywny.

- Skończyłaś już skanować szkielet? - Tak.

- Świetnie - wstał i wyjął z drukarki wydruk ze strony internetowej.

- Pokażę ci, jak to wszystko poskładać - machnął ręką w kierunku rozłożonego na blacie szkieletu. - Zobaczymy, jak naprawdę wyglądał nasz nieznajomy.

WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

W samo południe Razak zjawił się w niewielkiej kawiarence na otwartym powietrzu, gdzie przy kwadratowym drewnianym stoliku siedział już Barton, popijając kawę i czytając „Jerusalem Post”. Na widok Razaka złożył gazetę i wstał, żeby go przywitać. Razak uśmiechnął się z szacunkiem.

- Witam cię.

Barton wyciągnął rękę, a Razak odpowiedział tym samym. - *As-salam alajkum* - powiedział Barton całkiem przyzwoitym arabskim.

Razak był wyraźnie pod wrażeniem.

- *Wa-alajkum as-salam*. Jeszcze trzeba będzie nad tym popracować, ale i tak całkiem nieźle jak na niewiernego - stwierdził z uśmiechem.

- Dziękuję. Liczę się z twoim zdaniem. Siadaj, proszę - archeolog wskazał krzesło po drugiej stronie stolika.

- Niezły wybór.

- Tak też pomyślałem - Barton celowo zdecydował się na tę ruchliwą, małą kawiarnię w części muzułmańskiej, ponieważ ostatnio dotarły go słuchy, że restauratorzy z dzielnicy żydowskiej nie pałają sympatią do muzułmanów. Kolejny uboczny skutek kradzieży na Wzgórzu Świątynnym.

Gdy tylko Razak zajął miejsce, natychmiast podszedł do niego kelner, miody, chuderlawy Palestyńczyk z ledwie kielkującym rzadkim zarostem.

- Zamawiasz coś do jedzenia? - spytał Razak.

- Chętnie. Chyba że ci się spieszy.

- Co sobie życzysz?

- Zdam się na ciebie.

Razak odwrócił się do kelnera i wyrecytował kilka nazw potraw: specjalność restauracji - hummus z czarnej fasoli z prażonymi piniolami, chlebek pita (tylko żeby był gorący, zaznaczył), kulki falafel i dwie porcje szoarmy. Poprosił też o dzbanek miętowej

herbaty (i dwie czarki). Celowo mówił po angielsku, żeby Barton nie czuł się nieswojo.

Kelner zanotował zamówienie, powtórzył je dla pewności i zniknął na zapleczu.

- No i czego się dowiedziałeś? Barton aż się rozpromienił.

- Czegoś naprawdę niezwykłego - sięgnął do kieszonki koszuli i niecierpliwym gestem wyjął złożoną kartkę papieru. - Popatrz - rozłożył ją i przesunął w stronę Razaka. - Na górze znajduje się ksero oryginalnego tekstu, a na dole wersja angielska. Proponuję, żebyś sam to przeczytał.

Razak przez krótką chwilę podziwiał piękny krój starożytnego pisma, po czym przeszedł do angielskiego przekładu.

Zgodnie z wolą Bożą ja, Józef z Arymatei, oraz moja najdroższa rodzina oczekujemy tu na wspaniały dzień, w którym nasz stracony Mesjasz powróci w chwale, by odebrać boskie świadectwo spod ołtarza Abrahama, odnowić święty przybytek.

Razak miał nietęgą minę.

- Kto zacz, ten Józef?

Powrócił kelner z dymiącym dzbankiem herbaty. Gdy młodzieniec nalewał napój do czarek, Razak przykrył kartkę dłonią. Barton czekał, aż odejdzie.

- Józef to mężczyzna, którego szkielet znajduje się w dziewiątym ossuarium. Hebrajskie imię „Yosef” to po prostu „Józef - zamilkł na chwilę, a po chwili ciągnął: - Słyszałeś kiedyś o Józefie z Arymatei?

Razak pokręcił głową.

- Nic dziwnego. To mało znana biblijna postać z pierwszego wieku, która pojawia się tam przelotnie, i to tylko w Nowym Testamencie.

Razak sączył herbatę i wyglądał na trochę skrepowanego. -1 co mówi o nim księga? Anglik rozłożył ręce na stole.

- Przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że to co wiemy o Józefie z Arymatei, to w większości legenda. I dlatego to znalezisko jest takie ciekawe - Barton mówił szybko, ale przyciszonym głosem. Nie chciał, żeby ktoś ich usłyszał. - Zdaniem wielu Józef był majątnym kupcem, zaopatrującym żydowską arystokrację i rzymskich urzędników w

metal. Obie te grupy miały zapotrzebowanie na regularne dostawy brązu, cyny i miedzi do wyrobu broni oraz monet.

- Prawdziwa persona.

- Tak - ciągnął Barton, coraz bardziej nieśmiało. - Zgodnie z treścią Ewangelii według świętego Marka i Łukasza Józef był wpływowym członkiem Sanhedrynu, żydowskiej rady siedemdziesięciu jeden mędrców, która w starożytnej Judei pełniła także funkcję sądu najwyższego. Z lektury Ewangelii można też wywnioskować, że ściśle współdziałał z pewnym bardzo znanym, charyzmatycznym Żydem o imieniu Joszua.

To imię nic Razakowi nie mówiło, choć mina Bartona wskazywała, że powinno.

- Mam niby znać tego człowieka?

- Ależ tak, znasz go - odpowiedział z przekonaniem Barton. - W przekazach hebrajskich występuje czasem jako *Yeshua*. W oryginalnym greckim tekście Ewangelii pojawia się imię *Iesous* - widział wyraźnie, że ta gierka zaczyna irytować Razaka. - Na pewno znasz jego arabskie imię... *Isa*.

Razak wybałuszył oczy.

- Jezus?

- Chociaż w pierwszym wieku „Joszua”, inaczej „Jezus”, było tu drugim najczęściej spotykanym imieniem, nie sądzę, bym musiał ci tłumaczyć, o kim mówię.

Razak usadowił się wygodniej.

- Podobno po śmierci Jezusa Józef udał się do Galii, dzisiejszej Francji. W otoczeniu uczniów, Łazarza, Marii Magdaleny i Filipa, głosił nauki Jezusa. Rzekomo około roku 63 przebywał nawet w Glastonbury w Anglii, gdzie kupił ziemię i wybudował pierwszy klasztor w dziejach tego kraju.

Razak wziął łyk herbaty i uniósł brwi.

- Mów dalej.

- W średniowieczu Józef staje się postacią kultu, a monarchowie podszywają się pod jego krewnych, żeby ogrzać się w blasku jego sławy. W tym czasie pojawia się też kolejna historia, zgodnie z którą Józef ma być posiadaczem korony cierniowej Jezusa oraz kielicha, z

którego ten pił podczas Ostatniej Wieczerzy - Barton zawiesił głos, żeby Razak mógł sobie przyswoić wszystkie szczegóły. - Niektórzy wierzyli, że Józef zgromadził w tym kielichu krew z ukrzyżowanego ciała Jezusa - zauważył, że na dźwięk słów „ukrzyżowane ciało” Razak zacisnął mocno wargi. - Według wierzeń ten kielich, znany lepiej pod nazwą „święty Graal”, posiadał leczniczą moc i zapewniał nieśmiertelność temu, do kogo należał.

- To wszystko pozostaje w sferze fantazji - stwierdził Razak. - Chyba nie sądzisz, że złodzieje myśleli, iż w ossuarium znajduje się święty Graal?

Barton zamknął usta i machnął lekceważąco ręką.

- Na świecie nie brakuje fanatyków, ale nie, z pewnością nie upierałbym się przy tej wersji - dodał i ciągnął z wahaniem. - Postanowiłem dowiedzieć się co nieco o Józefie z Arymatei i sięgnąłem do najlepiej dostępnego i najbardziej użytecznego przewodnika - podniósł jakąś książkę.

Razak utkwiał wzrok w tytule: *Nowy Testament*.

- Następna legenda - powiedział z powątpiewaniem.

Barton wiedział, że to może być drażliwy temat, więc poniekąd spodziewał się takiej reakcji. Dyskutując o postaci Jezusa, należało pamiętać, że muzułmanie czczą go jako jednego z licznych proroków i traktują na równi z Abrahamem, Mojżeszem i Mahometem, ostatnim sługą Al-laha. W żadnym wypadku nie dopuszczają myśli, że jakiś człowiek czy prorok ma cechy boskie. To właśnie ze względu na ten filar wiary chrześcijańska koncepcja Trójcy Świętej jest dla muzułmanów absolutnym bluźnierstwem i decyduje o ostatecznym rozłamie między tymi wyznaniem. A Nowy Testament to dla mahometan rażąco błędna interpretacja życia Jezusa.

Barton zignorował tę zjadliwą uwagę i mówił dalej:

- Spośród dwudziestu siedmiu ksiąg Nowego Testamentu tylko cztery przedstawiają dokładny historyczny opis życia proroka Jezusa: księga Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. W każdej z nich przewija się postać

Józefa z Arymatei - Barton otworzył Biblię na stronie oznaczonej samoprzylepną karteczką, starając się powstrzymać drżenie rąk.

Wiedział, że odkrył nie lada sensację. Pochylił się niżej nad stolikiem.
- W zasadzie wszystkie cztery relacje są zgodne, więc zacytuję tylko pierwszy fragment Ewangelii według świętego Mateusza, 27, 57 - powiedział i zaczął wolno czytać:

Pod wieczór, przyszedł zamożny człowiek z Arymatei, imieniem Józef, który też był uczniem Jezusa. Udał się on do Piłata i poprosił o ciało Jezusa. Wówczas Piłat kazał je wydać. Józef zabrał ciało, owinął je w czyste płótno i złożył w swoim nowym grobie, który kazał wykuć w skale. Przed wejściem do grobu zatoczył duży kamień i odszedł*.

Barton skończył i podniósł wzrok.

- Przeczytam to zdanie jeszcze raz: *Józef zabrał ciało, owinął je w czyste płótno i złożył w swoim nowym grobie, który kazał wykuć w skałę.*

Razak rozdziawił szeroko usta.

- Chyba nie sądzisz...

Nagle pojawił się kelner. Razak przerwał w pół zdania i poczekał, aż wyrostek rozstawi talerze i odejdzie. Wreszcie odetchnął głęboko i ciągnął:

- Wiem, do czego zmierzasz, Grahamie. To bardzo niebezpieczna teoria - wziął kawałek chleba i nałożył na talerz trochę hummusu. Jego nozdrza uderzył smakowity zapach.

- Posłuchaj uważnie - powiedział łagodnie Barton - musimy przynajmniej wziąć pod uwagę możliwość, że rabusie naprawdę uwierzyli, iż w ossuarium znajdują się szczątki Jezusa. A tekst zwoju, który znaleźliśmy w dziewiątej skrzynce, wyraźnie nawiązuje do postaci Mesjasza. Nie możemy tego zlekceważyć. Zbyt wiele zbiegów okoliczności.

Kiedy wyjaśniał to Razakowi, zaczął w pełni odczuwać wagę subtelного ostrzeżenia, które usłyszał z ust ojca Demetriososa. Słowa wypisane na tym zwoju mogły podważyć tradycyjny przekaz dotyczący tajemnicze-

* Wszystkie cytaty z Biblii za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w opracowaniu zespołu biblistów polskich, wydanie trzecie poprawione, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań - Warszawa 1980. go dobroczyńcy Chrystusa. Dotychczas uznawano, że do Józefa należały nisze ukryte w podziemiach Bazyliki Grobu Świętego. Razak

spojrzał na archeologa.

- Lepiej jedz swój chleb, bo wystygnie.

- Słuchaj, nie twierdę, że to wszystko kupuję - Barton oderwał kawałek chleba i zgarnął na talerz trochę hummusu. - Po prostu zastanawiam się nad motywem. Jeśli założymy, że mamy do czynienia z fanatykiem, który w to wszystko wierzy, to nie można wykluczyć, że wykradł on największą z relikwii.

Razak przeżuł kęs, przełknął i powiedział.

- Absolutnie nie przyjmuję do wiadomości, że w skradzionym ossuarium znajdowały się szczątki Jezusa i chyba to rozumiesz. Nie możesz zapominać, że w odróżnieniu od tej księgi, której autorzy byli pogrążeni w niewiedzy - tu wskazał Biblię - Koran zawiera prawdziwe słowa Allaha, włożone w usta wielkiego proroka Mahometa, jego posłańca, pokój jego duszy. My, muzułmanie, znamy prawdę. Jezus nie zginął na krzyżu. Allah ocalił go z rąk tych, którzy chcieli jego zguby. Nie umarł jak śmiertelnik, ale trafił na łono Allaha i wstąpił do nieba - Razak spojrział w górę. -1 pamiętaj, że ci, których reprezentuję, zareagują znacznie gwałtowniej niż ja. Nawet nie będą chcieli o tym słyszeć - zanurzył kawałek chleba w hum-musie i wsunął go do ust. - Zresztą czy zdaniem chrześcijan nie jest tak, że Jezus powstał z martwych i wstąpił do nieba? Czy nie o to chodzi w tych całych obchodach Wielkanocy?

- Bezwzględnie - odpowiedział Razak.

Razak przeżuł kolejny kęs i spojrział na niego pytająco. Barton odpowiedział uśmiechem.

- W Biblii można przeczytać wiele różnych rzeczy - przyznał. - Trzeba jednak pamiętać, że Ewangelie spisano dziesiątki lat po posłudze Jezusa i poprzedzała je długa tradycja ustnego przekazu. Chyba nie muszę wyjaśniać, jak to się odbiło na spójności tekstu, który do nas dotarł. Ponieważ uczniowie Jezusa sami byli Żydami, stosowali interpretację określaną jako *midrasz*, która, szczerze mówiąc, koncentruje się raczej na poszukiwaniu znaczenia i zrozumienia, często kosztem prawdy historycznej. Warto też zaznaczyć, że starożytna interpretacja wskrzeszenia dotyczyła raczej transformacji ducha, a nie ciała.

Razak pokręcił głową.

- Nie rozumiem, jak ktoś mógł uwierzyć w takie bajki.

- No cóż - odpowiedział ostrożnie Barton - musisz uwzględnić to, że odbiorcami Ewangelii byli poganie nawróceni na chrześcijaństwo. Ci ludzie wierzyli w boskie istoty, które ginęły tragiczną śmiercią i w chwale powstawały z martwych. Życie, śmierć i ponowne narodziny: te motywy towarzyszyły wielu pogańskim bóstwom, takim jak Ozyrys, Adonis czy Mitra. Wczesnochrześcijańscy przywódcy duchowi, zwłaszcza Paweł z Tarsu, żydowski filozof z kręgu myśli hellenistycznej, wiedział, że Jezus musi wpisać się w te oczekiwania. W końcu sprzedawał tę nową religię w bardzo konkurencyjnym otoczeniu. Nie można odrzucić hipotezy, że trochę upiększył całą opowieść. A to jemu przypisuje się autorstwo aż czternastu z dwudziestu siedmiu ksiąg Nowego Testamentu. Chyba się zgodzisz, że to czyni z niego dość wpływową postać. Tak więc należy rozpatrywać te relacje we właściwym kontekście historycznym i osobistym.

Razak spojrzał na niego z aprobatą.

- Dziwny z ciebie człowiek, Grahamie. Twoja żona musi mieć z ciebie niezłą pociechę - powiedział na poły drwiąco i wskazał złotą obrączkę na palcu archeologa.

- Jeśli sądzisz, że to ja mam dużo do powiedzenia, to powinieneś usłyszeć ją w akcji. Jenny jest adwokatką.

- Prawniczką? - Razak uniósł brwi. - Zawodowa oratorka, tak? Nie chciałbym być świadkiem waszej kłótni.

- Na szczęście nieczęsto miałbyś okazję - prawda była taka, że poza salą sądową Jenny nie miała w sobie nic z rywalki. Ostatnio coraz częściej dzieliła ich przepaść milczenia.

- Macie dzieci?

- Nasz syn John ma dwadzieścia jeden lat. Przystojniak, który ma więcej oleju w głowie niż jego rodzice razem wzięci. Kształci się w mojej Alma Mater w Cambridge. Mamy też cudowną córkę, Josephine, dwu-dziesięcioletkę. Mieszka w Stanach, w Bostonie. Jest prawniczką jak jej matka. A ty? Żona? Dzieci?

Razak uśmiechnął się nieśmiało i pokręcił przecząco głową.

- Niestety, Allah jeszcze nie zesłał mi odpowiedniej kandydatki

na żonę.

Bartonowi wydawało się, że dostrzegł coś w jego oczach. Czyżby ból?

- Może nie chodzi o Allaha, ale o twój upór - powiedział.

Razak udawał obrażonego, ale po chwili parsknął śmiechem.

- No tak, pewnie masz rację.

Kiedy skończyli posiłek, Razak ponownie zainteresował się przekładem.

- A reszta? Co to wszystko znaczy? - odczytał drugą część, - *...by odebrać boskie świadectwo spod ołtarza Abrahama, odnowić święty przybytek.*

Barton skrycie liczył, że to pytanie nie padnie.

- Ach, to - zamilkł na moment. - Ołtarz Abrahama najpewniej odnosi się do góry Moria.

- Na której prorok Ibrahim miał poświęcić Izmaela, syna Hagar - wyrecytował bez mrugnięcia okiem Razak.

- Niech będzie - Barton uznał, że nie warto sprzeczać się o interpretację. Choć w Torze było wyraźnie napisane, że Abraham miał ofiarować Izaaka, urodzonego przez Sarę, jego żonę, muzułmanie utrzymywali, że ich rodowód sięga Izmaela, syna Abrahama i Hagar, służącej Sary. To był kolejny przykład tego, jak wyznawcy dwóch religii rozpaczliwie próbują przywłaszczyć sobie najbardziej szanowanego patriarchę Starego Testamentu; człowieka, któremu przypisywano monoteizm i absolutne oddanie jednemu prawdziwemu Bogu. W końcu słowo *islamo*znacza poddanie się woli Allaha, pomyślał Barton.

- A ta wzmianka o boskim świadectwie? - zapytał Razak. - Można odnieść wrażenie, że pod ołtarzem Abrahama faktycznie coś się znajduje. Nic z tego nie rozumiem.

Bartonowi przeszły ciarki po plecach.

- Jeszcze nie udało mi się ustalić, co to znaczy - skłamał. - Dopiero będę to badał.

Razak przytaknął, choć bez przekonania.

- Mam nadzieję, że podzielisz się ze mną swoim odkryciem.

- Oczywiście.

- To co dalej robimy z tym fantem?

Barton zastanowił się przez chwilę. O dziwo przyszedł mu na myśl ojciec Demetrios i wizyta w krypcie Grobu Pańskiego, która rzekomo należała do Józefa z Arymatei. To z kolei sprawiło, że znów pomyślał o komnacie ukrytej pod Wzgórzem Świątynnym i o tym, że brak w niej pewnych elementów typowych dla krypt z tego okresu.

- Sądzę, że powinniśmy wrócić do krypty. Zdaje się, że coś przeoczyłem. Jak myślisz, kiedy będziemy mogli znów tam wejść?

- Wstrzymajmy się z tym do jutra rana - zaproponował Razak. - Dziś przed południem odebrałem intrygujący telefon od mojego bliskiego przyjaciela z Gazy, który się dowiedział, że uczestniczę w tym śledztwie. Twierdzi, że wie coś, co może nam się przydać.

- Co takiego?

- Nie wiem do końca - powiedział Razak. - Nie chciał o tym mówić przez telefon.

- Czyli to jakaś cenna informacja.

- Miejmy nadzieję. W każdym razie po południu planowałem tam pojechać i z nim porozmawiać. Może dobrze by było, gdybyś do mnie dołączył, jeśli nie masz nic innego do roboty.

- Bardzo chętnie. O której?

- Muszę jeszcze wcześniej coś załatwić. To nie potrwa długo - Razak rzucił okiem na zegarek. - Może spotkamy się na parkingu przed Bramą Jaffy, powiedzmy o drugiej?

- Pasuje.

Razak sięgnął do kieszeni spodni i wyjął portfel.

- Nie, proszę - uparł się Barton i powstrzymał go ruchem ręki. - Ja to zrobię. Załatw swoje sprawy i spotkamy się o drugiej.

- Dziękuję, Grahamie. To bardzo szlachetne z twojej strony.

Na ławce naprzeciw kawiarenki przy El Wad siedział niepozorny młody mężczyzna, który spędzał to przyjemne popołudnie na popijaniu kawy i oddawaniu się lekturze gazety, ale od czasu do czasu dyskretnie zerkał w stronę archeologa i przedstawiciela muzułmańskich władz. Niewielkie słuchawki w jego uszach, na pozór podłączone do iPod'a, przekazywały niezwykłą rozmowę do jerozolimskiej bazy SOI.

WATYKAN

Giovanni Bersei wyświetlał skany szkieletu na pełnym ekranie. Przeskakiwał po siatce miniaturowych obrazów i powiększał niektóre z nich, żeby dokładniej przyjrzeć się kości. - Dobra robota, Charlotte. Wygląda na to, że nie pomyliłaś się nawet przy żebrach. Gratuluję. Teraz musimy tylko wydać polecenie skompletowania szkieletu. Charlotte stała za nim i obserwowała mały pasek postępów.

PROSZĘ CZEKAĆ. TRWA PRZETWARZANIE DANYCH. 25%...

43%..-71%...

Bersei odwrócił się do niej.

- Póki co zero błędów. Nieźle jak na pierwsze podejście.

9896...

100%...

Po dwudziestu sekundach na ekranie wyświetlił się trójwymiarowy obraz szkieletu. Program przeanalizował każdą kość w najdrobniejszym szczególe i odtworzył kształt stawów i połączeń chrząstek. W efekcie powstał wiemy obraz całkowicie zrekonstruowanego szkieletu. Skaner wychwycił nawet te niewielkie, okropne ślady po ukrzyżowaniu - głębokie rysy na żebrach i obrażenia na nadgarstkach, stopach i kolanach.

- Niesamowite - Bersei wpatrywał się w obraz na ekranie, poskładaną wersję tego, co znajdowało się na blacie, tuż za nimi. Znów był pod ogromnym wrażeniem niesłychanych możliwości, jakie daje technologia komputerowa. - Prawdopodobnie tak wyglądał nasz przyjaciel przed pochówkiem w ossuarium.

- A mięśnie?

Bersei wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał zatrzymać pędzący samochód.

- Wolnego. Nie wszystko naraz.

- Wybacz. Chyba przesadziłam z kawą.

- My, Włosi, aż tak bardzo się nie spieszymy - zażartował. - To

sprzyja długowieczności.

Charlotte zrobiło się głupio. Bersei znów operował myszką.

- Teraz wydamy polecenie przypisania masy mięśniowej do szkieletu. Program zmierzy każdą kość, żeby ocenić jej gęstość i odtworzyć punkty łączenia więzadeł.

Charlotte orientowała się mniej więcej, o czym mowa.

- Większe mięśnie wywierają silniejszy nacisk na kości, do których są zamocowane, więc wymagają silniejszych więzadeł i połączeń?

- Otóż to. Taka anatomiczna inżynieria wsteczna. Zgoda, program nie wychwyci wszystkich nieprawidłowości w obrębie tkanki miękkiej, ale potrafi dostrzec ewentualne ubytki kostne. Jeśli tak się zdarzy, podejmie próbę odtworzenia ich lub poinformuje nas o błędzie. No to teraz napa-kujmy trochę tego pana - ponownie spojrzął na ekran.

Pojawił się kolejny pasek postępów:

PROSZĘ CZEKAĆ. TRWA PRZETWARZANIE DANYCH.

77%- 100%...

Na ekranie wyświetlił się nowy obraz.

Tym razem program utkał na powierzchni szkieletu włóknistą tkankę muskulatury szczupłego mężczyzny. Wyglądało to dość makabrycznie, ale pod względem anatomicznym było bez zarzutu: pozbawiona skóry ludzka postać z mięśniami w różnych odcieniach czerwieni i niepokojącymi niebieskawo-białymi więzadłami. Mężczyzna na ekranie był wyjątkowo dobrze zbudowany, a jego sylwetka miała idealne proporcje.

Charlotte przysunęła bliżej głowę.

- Zdaje się, że miał niezłą formę - powiedziała rzeczowo.

- W tamtych czasach nie znali McDonalldów - odparł, przesuwając kursor.

- Ani *osso bucco*. Roześmiali się zgodnie.

Po chwili Bersei znów spojrzął na ekran.

- No dobrze, teraz czas na skórę - kliknął polecenie.

Monitor niemal natychmiast odświeżył obraz i ich oczom ukazała się trójwymiarowa postać ludzka o gładkim „ciele” przypominającym marmurową rzeźbę Berniniego. Na wyretuszowanym obrazie

brakowało tylko owłosienia, włącznie z brwiami. Gałki oczne były jednolite i bezbarwne.

Charlotte nie mogła oderwać oczu od ekranu. Oto badania wkroczyły w nowy, niesamowity etap: bezimienny, anonimowy preparat zaczął przypominać żywego człowieka. Właśnie przywracali te wiekowe kości do świata żywych.

- Tu się przyda twoja analiza DNA - ciągnął Bersei. - Program przetwarza dane genetyczne i rekonstruuje wszystko, co trzeba: kolor oczu, karnację, gęstość i linię włosów, kształt paznokci, owłosienie na ciele i tak dalej. Możemy też dość trafnie oszacować zawartość tkanki tłuszczowej w organizmie. Jak dotąd największe wrażenie zrobiło na mnie to - wskazał kursorem prawy dolny róg ekranu, gdzie wyświetlono podstawowe dane liczbowe, włącznie z następującym wierszem:

WZROST (cal/cm): 73 850/187 579

- Był wyjątkowo wysoki jak na swoją epokę - zauważył Bersei. - Dziwne. Jeśli faktycznie żył na początku pierwszego wieku, musiał naprawdę się wyróżniać.

- Ludzie byli wtedy niższego wzrostu, tak?

- Panuje powszechne przekonanie, że to kwestia niedożywienia, ale nie przychyliłbym się do tej opinii. Wiele osób uważa, że wręcz odżywiano się lepiej. Ale nawet jak na obecne standardy ten człowiek wyróżnia się wzrostem. Może twoje dane genetyczne rozjaśnią tę kwestię.

- Spróbuj powiększyć twarz.

Bersei przytrzymał przycisk myszki, rozciągnął wokół obrazu białą ramkę i kliknął, żeby go powiększyć.

Ekran wypełnił upiorny kształt o wyrazistych, ale łagodnych rysach, długim prostym nosie, pełnych ustach, masywnym podbródku, silnie zarysowanej szczęce, sklepionym czole i szeroko osadzonych oczach.

Bersei wyglądał na zadowolonego.

- Do tej pory to najlepsza rekonstrukcja, jakiej dokonał ten program. Diabło przystojny ten nasz przyjaciel.

Charlotte wpatrywała się w ekran jak zahipnotyzowana.

- Ciekawa jestem, na ile to odpowiada rzeczywistości.

- Za pomocą tego samego programu rekonstruowałem na podstawie szkieletów sylwetki ofiar zabójstw - powiedział z przekonaniem Bersei - i efekt zawsze dokładnie odzwierciedlał ich faktyczne cechy.

Niespodziewanie uruchomił się interkom. Ojciec Donovan przeprosił, że przeszkadza, i dodał, że łączy rozmowę z signore Ciardinim.

- To pewnie nasze wyniki próby węglowej - powiedział Bersei. - Odbierz, proszę, a ja wracam do badania ossuarium.

- W porządku - powiedziała i podeszła do telefonu. Tymczasem Bersei powrócił do swojego stanowiska roboczego. Kiedy usunął już całą warstwę pyłu z dna naczynia, coś przykuło jego wzrok.

Ledwie widoczny kontur na dnie.

Sięgnął po pędzelek, nachylił się niżej i zaczął oczyszczać z pyłu widoczne rowki. Stopniowo wyłaniał się prostokątny kształt.

Bersei wymienił pędzelek na niewielkie ostrze, przyłożył je do krawędzi prostokąta i ostrożnie podważył metalową płytkę. Po jej zdjęciu jego oczom ukazał się wklęsły schowek, a w nim trzy niewyraźne zarysy podłużnych, jakby naostrzonych przedmiotów.

Przez chwilę pomyślał, że wzrok płata mu figla i przysunął bliżej lampę. Włożył rękę do wnętrza ossuarium i przesunął palcami po dnie schowka. Poczuł pod palcami coś metalowego i wyjął jeden z przedmiotów. Był zaskakująco ciężki, długi na jakieś osiemnaście centymetrów, czarny jak węgiel, z tępą, chropowatą końcówką i trzonkiem z wykutymi krawędziami.

Gwóźdź.

Bersei odłożył przedmiot na tacę i popatrzył na niego z niedowierzaniem.

Wyjął z dna ossuarium dwa pozostałe gwoździe i ułożył je na tacy obok pierwszego. Kolejne trzy elementy, które mogą potwierdzić tożsamość ofiary. W jego karierze zdarzały się już chwile, które przypominały mu o jego zamiłowaniu do tajemnic, ale te odkrycia przekraczały ludzkie pojęcie.

- O rany - westchnął i osunął się na fotel. Charlotte właśnie odłożyła słuchawkę.

- Musisz zobaczyć, co znalazłem - zawołał, nie odrywając oczu od

tacy. Charlotte podeszła do blatu. Spojrzawszy na bladą twarz Giovanniego, domyśliła się, że oto ossuarium odsłoniło swoją kolejną tajemnicę. Bersei bez słowa wskazał tacę. Na lśniącej stalowej powierzchni leżały trzy metalowe szpikulce.

- Wyglądają jak nity do podkładów kolejowych - kiedy się wpatrywała w wyszczerbione krawędzie gwoździ, cały potworny proces ukrzyżowania wydał jej się jeszcze bardziej realny.

Bersei przerwał milczenie.

- Według mnie możemy śmiało założyć, że to gwoździe, które wykorzystano do ukrzyżowania tego człowieka...kimkolwiek był.

- Skąd je wzięłeś?

- Zobacz sama - wskazał kierunek podbródkiem.

Charlotte stanęła przy naczyniu i zlustrowała jego wnętrze, włącznie z zagłębieniem w wapiennym dnie.

- Wcześniej zasłaniał to pył.

Nagle jej wzrok padł na kolejny niewyraźny zarys. Wyglądało to jak następna, jeszcze głębsza wnęka w dnie schowka.

- Poczekaj - zawołała gwałtownie i przysunęła bliżej ramię lampy. Jej blask rozświetlił wnętrze naczynia. - Zdaje się, że coś ci umknęło. Widzisz? Wygląda jak... tuleja?

JEROZOLIMA

Razak odnaiazi Faruka w niewielkim pomieszczeniu na piętrze budynku szkoły koranicznej, gdzie się mieściła tymczasowa siedziba Waqf. Strażnik właśnie skończył rozmawiać przez telefon. Zanim Razak zdążył otworzyć usta, Faruk powiedział bez ogródek:- Topól twierdzi, że w ostatnich dniach nikt nie przewoził skrzyni, która odpowiadałaby opisowi ossuarium - zaczął bębnić palcami po blacie. - Czarno to widzę.

Razak usiadł. Faruk odwrócił się do niego tak, że jego twarz rysowała się na tle widocznej za oknem Kopyły Skały, i Razak uznał, że strażnik wygląda, jakby od wielu dni nie zmrużył oka.

- Zarówno Hamas, jak i władze palestyńskie potwierdziły, że śmigłowiec, który zabrał rabusiów z Haram esz-Szarif, bez wątplenia miał izraelskie oznaczenia. Teleksen utrzymuje, że porwano go z bazy lotniczej Sde Dov pod Tel Awiwem. Sikorsky UH-60 Black Hawk.

O ile Razaka pamięć nie myliła, u schyłku lat dziewięćdziesiątych Izrael odkupił od Amerykanów partię śmigłowców szturmowych.

- Zdaje się, że izraelskie siły powietrzne dzielą lotnisko w Sde Dov z liniami pasażerskimi - dodał Faruk.

- Nic dziwnego, że tak łatwo było przedostać się na teren bazy wojskowej.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - powiedział ostrym tonem Faruk. - Zawsze jest możliwość, że śmigłowca w ogóle nie skradziono. dwa tygodnie siły arabskie zajmowały kolejne części regionu i niemal pogrążyły Izraelczyków. Wkrótce jednak szala zwycięstwa przechyliła się na stronę izraelską i ostatecznie ONZ wymusiła zawieszenie broni.

Dłoń Faruka powędrowała na pierś i dotknęła blizny pod tuniką, gdzie utkwiała wystrzelona przez izraelskiego żołnierza kula, która prawie pozbawiła go życia.

Choć od ponad trzydziestu lat nie doszło do konfliktu na równie

wielką skalę, wszczynane przez Palestyńczyków intifady były częste i niejednokrotnie długotrwałe. Izrael umocnił swoją władzę i zmonopolizował handel bronią. Tajemnicą poliszynela było to, że ma do dyspozycji broń jądrową, tymczasem protestującym na ulicach Palestyńczykom pozostaje rzucanie kamieniami.

Jednak wraz z pojawieniem się ekstremistycznych ugrupowań militarnych, takich jak Hamas i Islamski Dżihad, konflikt przeistoczył się w ofensywę psychologiczną, której celem było pozbawienie Izraelczyków poczucia spokoju i bezpieczeństwa. Palestyńskie dążenia do wolności zaczęły wyrażać się w spektakularnych samobójczych zamachach. Terrorysty czy męczennicy - zdania były podzielone, ale przekaz jasny: Izraelczycy są tylko gośćmi na tej ziemi.

Roztropni ludzie, tacy jak Faruk, który czynnie walczył o autonomię, doskonale wiedzieli, dlaczego w Izraelu nigdy nie zapanuje pokój. Porzucenie myśli o wolnej Palestynie oznaczałoby poddanie się zachodniej ideologii. Tak jak Saladyn w dwunastym wieku przepędził krzyżowców z Ziemi Świętej, tak i Palestyńczycy wkrótce ponownie powstaną i odzyskają okupowane ziemie.

Żaden spór nie doprowadził jednak do takiego rozlewu krwi, jak ten, który się wywiązał, gdy Izraelczycy zaczęli wprowadzać zamieszanie wokół Wzgórza Świątynnego. Wykopaliska archeologiczne zapoczątkowane przez obie strony w 1996 roku pociągnęły za sobą wiele dziesiątek ofiar. W 2000 roku Ariel Szaron próbował umocnić władzę Izraela nad Wzgórzem Świątynnym i wkroczył na esplanadę w otoczeniu setek żołnierzy SOI. Palestyńczycy po raz kolejny potraktowali to jako atak o podłożu religijnym i znów połała się krew.

Choć Faruk już nie dzierżył broni, działał teraz na nowym froncie. Wzgórze Świątynne - najcenniejszy skarb regionu - było archeologicznym cudem, uniwersalnym duchowym i politycznym wehikułem czasu.

I wiedział, że bez względu na to, jak zaawansowaną bronią posłużą się Izraelczycy, póki żyje i oddycha nie dopuści do tego, by odzyskali to miejsce. Z szacunku dla idei, za które walczył na froncie, wolałby umrzeć, niż doczekać tego dnia.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer działu informacji telewizji palestyńskiej z siedzibą w Gazie. Stacja ta, należąca do władz palestyńskich i działająca pod ich egidą, otwarcie podkreślała niezadowolenie z powodu izraelskiej okupacji. Jej przekaz do tego stopnia rozjuszył prawicowe kręgi izraelskie, że dyrektor stacji został zamordowany. W jego kierunku oddano z niewielkiej odległości strzały w klatkę piersiową i głowę. Podejrzenie padło na Mossad.

Rozmowę przełączono do informatora Faruka - młodego muzułmanina o imieniu Alfar. Faruk dokładnie streścił to, co wiedział na temat śmigłowca - jak się później okazało, dostarczając tym samym największej sensacji medialnej w dziejach tej sieci.

Odłożył słuchawkę.

Z sieci głośników zamontowanych w różnych miejscach esplanady Haram esz-Szarif dobiegły do nawoływania muezina. Czas na południową modlitwę.

Strażnik osunął się na kolana i zwróciwszy twarz w stronę Mekki, rozpoczął recytację.

WATYKAN

Bersei wstał, żeby lepiej się przyjrzeć temu, co znalazła Charlotte. W wyłobjonej niszy na samym dnie ossuarium był ukryty przedmiot przypominający metalową probówkę. Naukowcy wymienili spojrzenia znad białych masek.- Jak dla mnie na razie wystarczy tych rewelacji - powiedział Giovanni. - Nie pozbawię cię tej przyjemności.

Charlotte zanurzyła rękę w otchłani naczynia i jej palce zacisnęły się na gładkiej metalowej powierzchni. Powoli, z wielkim namaszczeniem wyjęła przedmiot z ossuarium.

Odwróciła dłoń, po której potoczyła się zaśnieżona tuleja, dziwnie kontrastująca z lateksową białą rękawiczki i zamknięta z obu stron metalowymi wieczkami. Nie widać było żadnych znaków ani inskrypcji.

- Czyżby to był pojemnik? - obejrzała uważnie obydwą końce. Spojrzała na Włocha, szukając wyjaśnienia, ale ten nie mógł wydobyć słowa. - Myślę, że ty powinienesz to otworzyć - powiedziała.

Bersei zamachał rękami w geście protestu.

Charlotte odwróciła tuleję. Materiał przypominał ten, z którego wykonano monetę. Brąz?

- No dobra. Nie ma na co czekać - trzymając tuleję nad pustą powierzchnią tacy, zacisnęła zęby, chwyciła wieko i przekreśliła je. Początkowo ani drgnęło, ale już chwilę później usłyszeli stłumiony trzask świadczący o tym, że pękła woskowa pieczęć.

Wieko odpadło.

Naukowcy wymienili znaczące spojrzenia. Charlotte przekrzywiła tuleję w stronę źródła światła i przekonała się, że w środku znajduje się jakiś rulonik.

- Co tam widzisz? - Bersei aż zachrypnął z emocji.

- Wygląda na zwój.

Bersei zwinął dłoń w pięść i oparł na niej podbródek.

- Tylko uważaj, bardzo cię proszę - powiedział podniesionym

głosem. - Prawdopodobnie jest bardzo kruchy.

Najpierw monety, a teraz to, pomyślał. Zaczynało go to przerastać.

Charlotte delikatnie postukała w dno tulei, próbując wysunąć jej zawartość. Zwój, początkowo oporny, wysunął się niespodziewanie i z cichym stukotem wylądował na tacy. Oboje zamarli.

- Cholera! Nie sądziłam, że tak łatwo pójdzie.

Bersei wyciągnął rękę i ostrożnie przeturlał rulonik palcem wskazującym, żeby ocenić ewentualne szkody.

- Nic się nie stało - odetchnął z ulgą. - Wygląda na to, że jest w doskonałym stanie.

- Co to takiego? Pergamin?

Bersei przyjrzał się uważnie zwojowi.

- Prawdopodobnie skóra cieleca.

- Miałeś kiedyś do czynienia ze starożytnymi tekstami?

- Osobiście nie - przyznał.

- Myślisz, że możemy go po prostu rozwinąć?

- Trzeba by kogoś zapytać. Sprawia wrażenie idealnie zachowanego, ale na pewno jest bardzo delikatny. Na pewno trzeba umieć się obchodzić z czymś takim. Nie możemy ryzykować uszkodzenia - próbował sobie wyobrazić, jakie tajemnice kryje rulon.

- Nie sądzisz, że za dużo tych dowodów? - jego twarz stężała.

- Możliwe. A ja mam jeszcze dla ciebie bardzo ciekawą wiadomość. Bersei zamienił się w słuch.

- Wyniki datowania? Przytaknęła.

- Tak, tej próbki kości, którą wysłałam Ciardiniemu. Nie spuszczał oka z jej twarzy.

-1 czego się dowiedział?

- Lepiej usiądź. Próbka była w nienaruszonym stanie i na 98,7% pochodzi z okresu od 5 do 71 roku.

Bersei miał coraz bardziej sceptyczną minę. To, że w grę wchodzi tak krótki okres, wydawało mu się wręcz niewiarygodne. Poczł, jak sztywnieje mu kark i rozmasował go prawą dłonią. Za duże napięcie.

- To ci dopiero nowina.

- Jest jeszcze drzazga, nawiasem mówiąc, z drewna orzecha typowego dla regionu Izraela. Mamy 89,6% pewności, że pochodzi z

okresu od 18 do 34 roku.

Bersei spojrzał szybko na szkielet, jakby ten gwałtownie ożył.

- Jak myślisz, kiedy będą gotowe wyniki analizy genetycznej?

- Możliwe, że jutro. Spojrzał na zwiniętą skórę.

- To dobrze. Teraz proponuję zrobić dokumentację - dodał. Charlotte przyniosła aparat cyfrowy, włączyła go i zaczęła robić zdjęcia wnętrza ossuarium.

Bersei, pogrążony w zadumie, czuł, że coś tu nie gra. Nic dziwnego, że ojciec Donovan chciał wezwać do zbadania tej sprawy czołowych ekspertów. Musiał o czymś wiedzieć.

Tymczasem Charlotte skończyła fotografować zwój. Bersei ostrożnie wsunął go do metalowego pojemnika i z powrotem założył wieko.

PRZEJŚCIE GRANICZNE W EREZ, IZRAEL

- Razak jechał autostradą numer 4 na południowy zachód, w stronę granicy ze Strefą Gazy. Po godzinie jazdy izraelskie pola uprawne utworzone na pustynnych gruntach zaczęły na powrót zmieniać się w jałowe krajobrazy. Byłeś kiedyś po tamtej stronie? - Barton wskazał spojrzeniem widoczne na horyzoncie wysokie słupy i stalowe druty ogrodzenia ciągnącego się wzdłuż pięćdziesięciokilometrowej granicy Strefy Gazy, zajmującej maleńki skrawek południowego krańca wybrzeża Izraela.

- Tylko raz - mruknął Razak. Nie był zbyt rozmowny.

Barton poczuł się nieswojo. Wiedząc, że będzie jednym z garstki Europejczyków przebywających na tym maleńkim obszarze zamieszkałym przez prawie półtora miliona Palestyńczyków, wolałby usłyszeć od Razaka coś bardziej pocieszającego - zwłaszcza że właśnie przybysze z Zachodu byli najczęściej uprowadzani przez islamskie bojówki, takie jak Brygady Męczenników Al-Aksa.

Drogę przed nimi na odcinku trzech kilometrów blokował sznur pojazdów - taksówek, prywatnych samochodów i furgonetek oczekujących na przekroczenie granicy w Erez. W wielu stojących na poboczu przegrzały się silniki. Wokół nie było ani śladu cienia i ostre promienie słońca bezlitośnie paliły udręczonych kierowców.

Mimo szczelnie zamkniętych okien do klimatyzowanego wnętrza mercedesa przenikały odgłosy płaczących dzieci i duszący smród spalin.

- Kim właściwie jest ten informator, z którym się spotkamy? - spytał Barton.

- To mój przyjaciel jeszcze z czasów szkolnych, człowiek, który podziela wiele moich obaw co do przyszłych losów Bliskiego Wschodu - wyjaśnił Razak. - Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym cię poprosić, żebyś raczej nie zabierał głosu w rozmowie.

- Jak sobie życzysz.

Po prawie dwóch godzinach dotarli do rozległej blaszanej wiaty przypominającej pozbawiony bram hangar i chroniącej patrol strażnicy granicznej SOI przed promieniami słońca. Drogę pokrywały betonowe bariery i zwoje drutu kolczastego. Po obu stronach przejścia stały czołgi i wozy opancerzone.

Razak obrócił się do Bartona.

- Masz jeszcze ten list polecający z policji?

- Oczywiście.

- To dobrze. Coś mi się zdaje, że *może* nam się przydać - Razak starał się nie zwracać uwagi na arabskiego taksówkarza przesłuchiwanego przez grupę żołnierzy SOI przy przejściu granicznym w odwrotnym kierunku. Dwa owczarki niemieckie obwąchiwały samochód w poszukiwaniu materiałów wybuchowych. Wiedział, że Izraelczycy szczególnie podejrzliwie traktują wyjeżdżających ze Strefy Gazy samotnych kierowców, z których wielu to zamachowcy-samobójcy.

Wreszcie żołnierze SOI w pełnym ekwipunku bojowym dali Razakowi znak, by podjechał do przejścia. Nawet nie starali się skierować w dół luf karabinów. Ze stalowych dźwigarów podtrzymujących wiatę obserwowały ich kamery przemysłowe. Podszedł do nich młody, wychudły żołnierz izraelski.

- Proszę okazać dokumenty i otworzyć bagażnik - oznajmił chropowatą arabszczyzną i przez moment podziwiał gładką linię mercedesa.

Razak nacisnął przycisk otwierający bagażnik i wręczył strażnikowi paszporty.

Dwaj żołnierze zaczęli powoli obchodzić samochód. Przejrzeli podwozie używając lusterek, spenetrowali wzrokiem wnętrze i przeszli na tył, żeby sprawdzić bagażnik.

Strażnik nachylił się i spojrzał na Bartona, po czym pokręcił głową.

- Pan nietutejszy, jak widzę - skrzywił się, spojrzał ponownie na Razaka i powiedział. - To szaleństwo się tam pakować, zwłaszcza teraz.

Tym samochodem. Z nim - powiedział i spojrzał z satysfakcją na Bartona. - Czego tam właściwie szukacie?

Rozległ się huk zamykanego bagażnika i Anglik aż poderwał się z miejsca.

Razak podał mu list polecający i wyjaśnił, że współpracują z izraelską policją w ramach śledztwa dotyczącego incydentu na Wzgórzu Świątynnym. To mu wystarczyło.

- Jedźcie, ale uważajcie na siebie - ostrzegł. - Od teraz jesteście zdani tylko na siebie.

Razak z powagą skinął głową i dopiero gdy ruszył z miejsca, odetchnął z ulgą. Przeprowadził mercedesa przez labirynt kolejnych barier ustawionych u podnóża wieży strażniczej z betonu.

Po kwadransie podróży główną szosą na południe ich oczom ukazała się dość nijaka panorama Gazy. Zabudowa coraz bardziej się zagęszczała. Razak specjalnie przejeżdżał przez przeludnione uliczki śródmieścia, gdzie wciąż jeszcze widniały zniszczone przez bomby ruiny fasad. Trwałe ślady częstych ataków rakietowych Izraela.

Przed dłuższą chwilę obaj mężczyźni milczeli. Każdy na swój sposób przeżywał to, co zobaczył.

- Okropność - odezwał się wreszcie Barton.

- Ponad milion ludzi ściśniętych na małym skrawku ziemi - odpowiedział ponuro Razak. Beznadziejne warunki sanitarne, brak stabilności politycznej, gospodarka w gruzach...

- Słowem, bunt nieunikniony.

Razak zaparkował przy krawężniku i wręczył pyzatemu palestyńskiemu chłopcu czterdzieści szekli za dogłądanie samochodu. Ulicami przelewał się tłum. W dusznym stojącym powietrzu unosił się odór ścieków.

Barton wysiadł z samochodu, starając się unikać zaciekawionych spojrzeń przechodniów.

- Tu się umówiliśmy - powiedział Razak i dyskretnie wskazał wzrokiem małą kawiarnię na powietrzu, usytuowaną na rogu ruchliwej ulicy, w cieniu potężnego minaretu dumnie przesywającego błękitne niebo. - Chodźmy.

Informator - silnie zbudowany brodaty Palestyńczyk o gładkiej karnacji - siedział już przy stoliku i popijał ze szklanki herbatę miętową. Na widok Razaka zawołał go po imieniu.

Razak uśmiechnął się i przywitał go błogosławieństwem i uściskiem dłoni, a następnie przedstawił go Bartonowi. Nieznajomy miał na imię Tahim.

Barton z uśmiechem podał mu rękę. Zauważył mimochodem, że czterdziestokilkuletni informator ma na sobie odprasowany lniany garnitur, czym wyraźnie odróżnia się od większości tubylców ubranych w tradycyjne islamskie szaty. Wiele kobiet nosiło nawet burki, okrywające je od stóp do głów.

Tahim nie uśmiechał się już tak serdecznie i zanim odwzajemnił gest, bacznie się rozejrzał.

- Siadajcie, proszę.

- Możemy rozmawiać po angielsku? - zapytał Razak.

Tahim ponownie obrzucił Bartona surowym spojrzeniem i przez chwilę się wahał.

- Oczywiście - powiedział w końcu.

- Powiedz, przyjacielu, jak tam wasza sytuacja? Tahim przewrócił oczami i pokręcił głową.

- Wydawałoby się, że wycofanie Izraelczyków w czymś pomoże. Gdzie tam. Parlament opanowali fundamentaliści, którzy liczą na formalną wojnę z Izraelem. Fundusze napływające z Zachodu i ONZ-etu już się wyczerpały. A teraz jeszcze ta sprawa w Jerozolimie... - Tahim utkwiał wzrok w dali.

- Na pewno jest wam bardzo ciężko.

- Aż się cieszę, że nie mam tu rodziny - dodał Tahim. - A ty? Jak ci leci? Sądząc po tej gablocie, chyba nieźle sobie radzisz? - ruchem głowy wskazał ulicę, gdzie w odległości jakichś trzydziestu metrów chłopiec odpędzał przechodniów od mercedesa.

Razak odpowiedział uśmiechem.

- U mnie wszystko w porządku.

- Cieszę się, że tak mówisz - wezwał kelnera i zamówił jeszcze dwie herbaty.

- Jak się pewnie domyślasz - powiedział Razak ściszonego głosem - bardzo mnie ciekawi, co słyszałeś o kradzieży.

Tahim znów spojrział wymownie na Bartona.

- Spokojnie - zapewnił go Razak. - Graham nie jest

Izraelczykiem. Chce nam pomóc.

Tahim poczekał, aż kelner postawi przed Razakiem i Bartonem szklanki z herbatą i zniknie im z oczu, po czym ciągnął dalej:

- Domyślam się, że słyszałeś o śmigłowcu.

- Słyszałem - potwierdził Razak. - Izraelczycy nie mogą go znaleźć.

Tahim wyglądał na zdziwionego.

- Czyli nic nie wiesz.

Twarz Razaka wyrażała konsternację.

- Już go znaleźli - dodał Tahim.

- Co takiego?

Oślupiały Barton w milczeniu sączył herbatę i starał się nie zwracać uwagi na otwory po pociskach rozmieszczone w równym rzędzie na pustakach tworzących fasadę kawiarenki.

- Podobno trzy dni temu palestyński rybak wyłowił coś siecią kilka kilometrów od brzegu. Fragmenty śmigłowca - elementy siedzeń, kamizelki ratunkowe... i głowę martwego pilota razem z hełmem lotniczym.

Razakowi na moment odebrało mowę.

- Jak to możliwe, że nie zrobiło się o tym głośno? - był przekonany, że przynajmniej Al-Dżazira zainteresowałaby się tą historią, bez względu na to, czy była ona prawdziwa.

Tahim najpierw zlustrował uważnie otoczenie.

- Chodzą słuchy, że Szin Bet zlikwidowała rybaka, zanim podzielił się tą informacją z mediami. Zdążył jednak powiedzieć o tym swojemu bratu, a mojemu serdecznemu przyjacielowi, który z oczywistych powodów wolałby się nie ujawniać.

- Ale dlaczego śmigłowiec był w kawałkach?

- Tej nocy, gdy dokonano kradzieży, wiele osób słyszało helikopter przelatujący nisko nad dachami i obserwowało, jak znika nad taflą morza. Kilka minut później niektórzy dostrzegli nawet na horyzoncie coś, co wyglądało jak wybuch.

Razak nagle poczuł się bezradny. Opowieść Tahima potwierdzała tylko jego ciągłe obawy, że zarówno ossuarium, jak i śmigłowiec bezpowrotnie zaginęły. Wymienili z Bartonem niespokojne spojrzenia.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział Tahim. - Jak wiesz,

Izraelczycy wycofując się z Gazy powierzyli władzom palestyńskim kontrolę nad południowym przejściem granicznym łączącym region z Egiptem. Od tej pory do Gazy zaczęły napływać spore ilości broni i materiałów wybuchowych. Wiele z nich trafiło tu przez mur.

Razak miał wątpliwości.

- Myślałem, że mur jest naszpikowany czujnikami, które uruchamiają ładunki elektryczne detonujące materiały wybuchowe? - O ile dobrze pamiętał, taka metoda skutecznie udaremniała misje większości zamachowców-samobójców, planujących przedrzeć się do Izraela.

- Już wyjaśniam.

Barton zauważył, że Tahim coraz bardziej się poci.

- Niedługo przed kradzieżą w Jerozolimie nad granicznym murem pojawił się śmigłowiec - Palestyńczyk wskazał ręką kierunek zachodni i nieznacznie zarysował palcem linię lotu. - To codzienny widok - przyznał. - Jednak zgodnie z relacjami świadków tym razem zawisł na parę minut nad murem... po stronie strefy. Można by sądzić, że jak na izraelski helikopter to bardzo zuchwały krok. Taki łatwy cel mógł szybko przyciągnąć granat o napędzie raketowym - tu głos mu się załamał i wziął łyk herbaty. Odchrząknął i ciągnął dalej. - W każdym razie słyszałem, że załoga śmigłowca podniosła z ziemi jakiś ładunek i wciągnęła go na pokład.

Oczy Razaka rozszerzyły się ze strachu. To oczywiste! Jedynym sposobem na przechytrzenie pograniczników jest ominięcie posterunków. Tahim nachylił się nad stolikiem.

- Słyszałem też, że ktoś koordynował tę operację z Jerozolimy.

- Przecież...

Razak nie zdążył dokończyć. Nagle twarz Tahima eksplodowała, rozbryzgując wokół krew i skrawki ciała. Coś odbiło się rykoszetem od ściany. Razak instynktownie poderwał się z krzesła i padł na ziemię, pociągając za sobą Bartona. Tymczasem bezwładne ciało Tahima zachwiało się i ciężko osunęło na blat stolika.

Rozległ się krzyk rozpierzchających się w popłochu przechodniów.

- Chryste Panie! - krzyknął Barton. Trząśł się jak osika. - Co jest, do cholery!

Bezszelestny strzał był tak precyzyjny, że Razak nie miał wątpliwości.

- Snajper.

Następny pocisk uderzył w masywny drewniany blat stolika, niemalże go przebijając tuż nad głową Razaka. Mężczyźni wzdrygnęli się gwałtownie. Trzeci pocisk, zanim wylądował na chodniku, prawie otarł się o ramię Razaka.

- Musimy się stąd wydostać, i to już - Razak odwrócił głowę w stronę samochodu. - Będziemy musieli tam dobiec.

Barton oddychał ciężko. Po brodzie spływały mu krople potu.

- Dobra - skinął głową.

Razak szamotał się z zaplątanymi w kieszeni kluczykami.

- Rozdzielimy się i spotkamy przy samochodzie. Schyl się i przedzieraj przez tłum - powiedział i wskazał ręką chodnik. Większość przechodniów nie zdążyła jeszcze zorientować się, że ktoś strzela. - Ja pobiegnę drugą stroną. To nasza jedyna szansa. Już!

Wyskoczyli spod stołu i rozbiegli się w przeciwnych kierunkach. Pokonując ulicę, Razak ledwo uszedł spod kół zdezelowanego forda.

Barton kluczył w panice między przechodniami, targany wyrzutami sumienia, że przez niego są na celowniku snajpera. Spodziewał się, że lada chwila oberwie i zdziwił się, że nie padł kolejny strzał. Zbliżał się już do samochodu. Kątem oka dostrzegł Razaka, zwinnie lawirującego w tłumie po drugiej stronie ulicy.

Błysnęły światła mercedesa. To Razak otworzył drzwiczki pilotem.

Barton szarpał się z klamką. Gdy wreszcie zanurzył się we wnętrzu samochodu, zobaczył palestyńskiego chłopca - jak na przykładowego parkingowego przystało, uchylił drzwiczki po stronie kierowcy. Nie minęła chwila, a Razak przemknął między pojazdami i wpadł z rozmachem do samochodu. Wepchnął kluczyk do stacyjki, a chłopiec, nieświadom zagrożenia, zatrzasnął za nim drzwiczki. Razak przepędził go ruchem ręki, ale w tym samym momencie skroń chłopca przeszył celny strzał, który powalił go na chodnik.

Teraz przechodnie zrozumieli już, co się dzieje, i wybuchła panika. Ludzie rozbiegali się chaotycznie we wszystkich kierunkach.

Razak wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

To był już ostatni strzał.

Obaj mężczyźni, zadyszani i skrajnie spięci od przyływu adrenaliny, wymienili szybkie spojrzenia.

- Co się właściwie dzieje? - zapytał Barton, próbując opanować drżenie rąk. Razak nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Przez kilka kolejnych minut skupiony kluczył wąskimi uliczkami, podążając w stronę głównej szosy.

Niespodziewanie tył mercedesa zarzuciło gwałtownie w prawo i jednocześnie rozległ się ogłuszający huk tłuczonego szkła i zmiażdżonej karoserii. Razak i Barton poczuli silne szarpnięcie i prawie wypadli z foteli.

Samochód wjechał na krawężnik, ale Razak zdołał jakoś odzyskać panowanie nad kierownicą i skierował wóz z powrotem na szosę. Gdy odwrócił głowę, przed oczami mignął mu nowy model fiata, sedana z rozbitym przodem. Samochód wpadł w poślizg na skrzyżowaniu, ale właśnie wychodził na prostą i kontynuował pościg. Obok kierowcy siedział ktoś jeszcze; obaj mieli zamaskowane twarze. Razak zobaczył, że pasażer wychyla się z okna i celuje w nich z AK 47.

- Kryj się! - krzyknął do Bartona.

Archeolog ledwo zdążył dać nura na podłogę i przycupnąć pod deską rozdzielczą, gdy spadł na niego grad szklanych odłamków. Seria pocisków przebiła tylną i przednią szybę samochodu. Dwa trafiły w panel radia, wzbijając deszcz iskier.

Razak pochylił głowę i pędem minął dwa skrzyżowania, po czym zjechał szerokim łukiem na główną szosę biegnącą na północ. Kilka następnych pocisków wystrzelonych w niewielkich odstępach czasu trafiło teraz w karoserię po stronie kierowcy i Razak poczuł, jak jeden wbił się w fotel, prawie ocierając się o jego pachę.

Przed nimi rozpościerała się pusta szosa. Adrenalina dała o sobie znać i Razak wcisnął do oporu pedał gazu. Silnik mercedesa gwałtownie zwiększył obroty i nagły zryw wtłoczył ich w oparcia foteli.

Jakimś cudem tył samochodu nie ucierpiał zbyt wiele wskutek zderzenia, choć kierownica silnie skręcała w lewo i drgała niebezpiecznie. Razak spojrzał przelotnie na Bartona, który - co

zrozumiałe - był kompletnie roztrzęsiony.

- Nic ci nie jest?

- Są tam jeszcze?

Razak zerknął w lusterko.

- Są, ale wątpię, że za nami nadążą.

Dobiegł ich brzdęk kolejnych pocisków uderzających w tył samochodu.

Mijając pędem betonowe bariery ustawione przy opuszczonych posterunkach, Razak nie spuszczał prześladowców z oczu. Zgodnie z jego przewidywaniami fiat szybko tracił dystans, a spod jego roztrzaskanej maski unosiły się kłęby szarego dymu.

Razak odetchnął z ulgą i próbował uspokoić oddech. Przez moment pomyślał o Faruku i o tym, że na pewno nie będzie zachwycony stanem swojego ukochanego mercedesa.

Od granicy dzieliło ich jakieś pół kilometra. Razak spojrzął w lusterko i zauważył, że pościg ustał. Przejście graniczne nie było zatłoczone, co prawdopodobnie popsło szyki napastnikom, pomyślał Razak. To byłaby ich ostatnia okazja do oddania celnego strzału.

- Możesz już wyjść - powiedział do Bartona.

- Teraz już rozumiem, dlaczego nie tęskniłeś za tym miejscem - stwierdził Barton, sadowiąc się na powrót w fotelu i ostrożnie strząsając z włosów odłamki szkła.

Razak zwolnił, przejechał wzdłuż betonowych barier u podnóża wieży strażniczej i zatrzymał się przed wiatą. Stał, dopóki żołnierze nie dali mu znaku. Zaniepokojeni stanem mercedesa, ostrożnie otoczyli samochód z rękami na opuszczonych karabinach i polecieli pasażerom pozostać na miejscu.

Młody żołnierz, który zezwolił im na wjazd do Gazy, podszedł bliżej. Zrobił głupawą minę, przewiesił broń przez ramię i podparł się pod boki, taksując wzrokiem uszkodzony samochód. Schylił się, spojrzął na Razaka przez otwór po szybie i powiedział z satysfakcją.

- Widzę, że poszło raz-dwa. Mam nadzieję, że wycieczka się udała.

WATYKAN

Minęła piąta, gdy ojciec Donovan wkroczył do laboratorium. - Prawdziwie z was pracusie - powiedział z życzliwym uśmiechem.- Chcemy mieć pewność, że Watykan nie wyrzucił pieniędzy w błoto - odpowiedział Bersei.

- Czy niczego wam nie brakuje? Mógłbym w czymś pomóc? Badacze wymienili spojrzenia.

- Nie - odpowiedziała Charlotte. - Laboratorium jest doskonale wyposażone.

- Znakomicie - Donovan spojrzał z zainteresowaniem na szkielet i otwarte ossuarium.

Bersei rozłożył ręce.

- Czy chciałby ojciec poznać nasze wstępne ustalenia? Duchowny wyraźnie się ożywił.

- Bardzo chętnie.

Przez kolejny kwadrans naukowcy w skrócie przedstawiali Donovanowi wyniki oględzin i datowania węglowego oraz pokazywali mu pozostałe relikty ukryte w tajnym schowku ossuarium. Bersei mówił obiektywnie i rzeczowo, a Charlotte poszła w jego ślady.

Obserwując reakcję duchownego na wstępne wnioski - od autentycznego zaskoczenia i ciekawości po z trudem ukrywany niepokój w związku z widocznymi na szkielecie charakterystycznymi śladami ukrzyżowania - Charlotte wyczuła, że być może nie miała rozległej wiedzy na temat zawartości ossuarium. Zauważyła, że szczególnie zainteresowała go tulleja z brązu. Jej widok bardziej go zaniepokoił, niż zdziwił. Spojrzała na Bersei, próbując ocenić jego zdanie na ten temat, i wyczuła, że odniósł podobne wrażenie.

- Jeśli mam być z ojcem szczery - dodał Bersei - to jest to jedno z najbardziej niezwykłych odkryć archeologicznych, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie wiem do końca, jaką kwotę wyłożył Watykan, żeby zdobyć to wszystko, ale według mnie mamy tu do

czynienia z bezcenną relikwią.

Charlotte, która obserwowała bacznie Donovana, zauważyła, że te słowa sprawiły mu wyraźną przyjemność, a wręcz przyniosły ulgę.

- Jestem przekonany, że moim przełożonym będzie miło to słyszeć - powiedział duchowny i ponownie spojrzął na szkielet. - Nie chciałbym naciskać, ale czy myślicie, że moglibyście w piątek przedstawić oficjalne wnioski z badań?

Bersei popatrzył pytająco na Charlotte. Skinęła głową.

- To będzie wymagało trochę zachodu, ale da się zrobić - powiedział, zwracając się ponownie do Donovana.

- To świetnie - odpowiedział duchowny.

- Jeśli ojciec nie ma nic przeciwko, chciałbym skończyć na dziś - oznajmił Bersei. - Nie chcę, żeby żona się o mnie martwiła.

- Ależ oczywiście, nie zatrzymuję pana. Bardzo dziękuję, że poświęciliście trochę czasu, żeby przekazać mi te nowiny.

Bersei zniknął na zapleczu, żeby zdjąć roboczy strój.

- Rodzina przede wszystkim - szepnęła Charlotte do Donovana.

- Jego żona to prawdziwa szczęściara.

- O, tak - zgodził się Donovan. - Doktor Bersei to dobry człowiek... do rany przyłóż. Pomaga nam od lat - duchowny zamilkł na chwilę, po czym zapytał: - Czy to pani pierwsza wizyta w Rzymie?

- Tak. I szczerze mówiąc nie miałam jeszcze czasu wybrać się na drugi brzeg Tybru.

- Chętnie polecę pani ciekawą trasę.

- Byłabym wdzięczna - szczerze doceniała gościnność Donovana. Ponieważ jako duchowny spędzał wiele czasu w odosobnieniu, wiedział, czego może potrzebować samotny podróżny.

- Jeśli nie ma pani planów na wieczór, gorąco polecam wycieczkę „Rzym wieczorową porą” - powiedział z przekonaniem. - Początek o wpół do siódmej przy Piazza Navona, tuż za Mostem św. Anioła. Przejście całej trasy zajmuje jakieś trzy godziny. Przewodnicy naprawdę znają się na rzeczy, a turyści mają doskonały przegląd najważniejszych atrakcji Starówki - zerknął na zegarek. - Jeśli pójdzie pani bezpośrednio na plac, powinna pani zdążyć.

- Tego mi było trzeba.

- Na te wycieczki zazwyczaj trzeba się zapisywać z dwudniowym wyprzedzeniem, zwłaszcza o tej porze roku, ale jeśli to panią interesuje, mogę zadzwonić i zarezerwować pani miejsce.

- To bardzo miło z ojca strony - odpowiedziała. Bersei właśnie opuszczał zaplecze.

- Doktor Hennesey, ojciec Donovane, życzę państwu miłego wieczoru - spojrzął na nich kolejno i uklonił się lekko, po czym dodał, zwracając się do Charlotte. - Do zobaczenia rano. Tylko nie siedź do późna.

RZYM

Charlotte przeszła Most św. Anioła, skręciła w lewo i dalej podążyła Via Zanardelli do samego końca, pokonała parę zaułków i weszła na rozległą Piazza Navona, przypominającą kształtem wydłużony tor wyścigowy. Maszerując w stronę stojącej w centralnym punkcie ogromnej barokowej Fontana dei Quattro Fiumi dostrzegła uczestników wieczornej wycieczki gromadzących się wokół tyczkowatego „Włocha z identyfikatorem na szyi - prawdopodobnie przewodnika. Poczekała cierpliwie wśród tłumu, podziwiając w międzyczasie obelisk fontanny i cztery marmurowe rzeźby umieszczonych olbrzymów, z których każdy symbolizuje jedną z wielkich rzek świata: Ganges, Dunaj, Nil i La Platę. Kilka chwil później podszedł do niej wysoki przewodnik z listą uczestników w ręce. Spojrzał na nią i uśmiechnął się promiennie. Nie mógł oderwać wzroku od jej niezwykłych oczu.

- Doktor Charlotte Hennesey, jak sędzę - powiedział wesoło prawie doskonałą angielszczyzną i postawił znaczek obok dopisanego odręcznie nazwiska u dołu listy.

- Zgadza się - odpowiedziała. Przewodnik miał przyjemną młodą twarz o łagodnych oczach, piękny uśmiech i gęstą burzę długich zadbanych włosów.

- Mam na imię Marco - powiedział. - Ojciec Donovan już panią zapowiedział. Bardzo mi miło, że pani do nas dołączy.

- Dziękuję, że dopisał mnie pan w ostatniej chwili.

Nagle zza jej lewego ramienia dobiegł ich mocny głos z silnym włoskim akcentem.

- A może i dla mnie znajdzie się miejsce?

Odwrócili się jak na zawołanie. Uśmiech zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła wyszczerzoną gębę Salvatore Contego. Marco nie był zadowolony, że ktoś im przerwał.

- Pańska godność?

- Nie twoja sprawa - zgasił go Conte. - Ile za bilet?

Marco zmierzył go wzrokiem, wskazał listę i powiedział ostro.

- Niestety, nie ma miejsc. Jeśli chce pan się zapisać, mogę pana wcisnąć na sobotnią listę.

Conte, teraz już wzburzony, rozłożył ręce, rozejrzał się ostentacyjnie po placu, rzucił okiem na identyfikator przewodnika i powiedział:

- Nie żartuj... Marco, chyba mi nie powiesz, że nie zmieścisz jeszcze jednej osoby. Miejsca jest dość, co nie, Charlotte? - uniósł brew i spojrzał na nią wyczekująco.

Charlotte, zniesmaczona jego prostackim zachowaniem, odwróciła wzrok i nic nie odpowiedziała. Conte sięgnął po portfel.

- No to ile?

Marco pokręcił głową i splótł ręce za plecami. Widział wyraźnie, że obecność intruza niepokoi gościa z Watykanu. Nawet nie chciała napotkać jego wzroku.

- To nie ja o tym decyduję, signore - powiedział spokojnie, już po włosku. - Jeśli ma pan jakieś uwagi, uprzejmie proszę skontaktować się z naszym biurem. Trafił pan pod niewłaściwy adres.

Conte wetknął język pod policzek, zrobił przebiegłą minę, dźgnął przewodnika palcem w pierś i powiedział po włosku:

- Powinieneś bardziej szanować swoich ziomków, kolego. Nic dziwnego, że zarabiasz na życie, włócząc się po ulicach i opowiadając historyjki turystom. Teraz posłuchaj, co ja mam do powiedzenia - zbliżył twarz do twarzy Marca. - Lepiej uważaj, bo nocą w Rzymie może być niebezpiecznie. Nigdy nie wiadomo, kogo można spotkać w ciemnej uliczce - teraz Marco był w kropce i o to właśnie mu chodziło. - Do cholery, chcę tylko bilet, a nie sztabkę złota.

Charlotte nie rozumiała słów Contego, ale twarz przewodnika zdradzała coraz większy niepokój.

Wzrok Contego zatrzymał się na Charlotte.

- Pomyślałem sobie tylko, że przyda się pani towarzystwo - powiedział, zgrywając cierpiętника. - Życzę dobrej nocy, pani doktor.

Cofnął się o dwa kroki, odwrócił na pięcie i oddalił w głąb placu.

- Przepraszam - powiedziała do przewodnika.

Marco kilkakrotnie przełknął nerwowo ślinę i dopiero wtedy odzyskał głos.

- To pani znajomy?

- Wprost przeciwnie - odpowiedziała szybko. - Dziękuję, że pan się nie poddał. Miałabym wieczór z głowy.

- No to załatwione - Marco przeczesał palcami gęstą grzywę. Powoli dochodził już do siebie. - Chyba czas ruszać w drogę.

Podczas gdy Marco oficjalnie zapoznawał się z grupą i streszczał plan wycieczki, Charlotte uważnie lustrowała plac w poszukiwaniu Contego. Westchnęła z ulgą, gdy się przekonała, że zniknął. Kim właściwie jest ten osobnik? Jak to możliwe, że taki odrażający typ ma coś wspólnego z Watykanem?

Charlotte potrzebowała prawie godziny, żeby zapomnieć o dziwnym spotkaniu na Piazza Navona. Jednak z minuty na minutę coraz bardziej zatracala się w niezwykłej historii Rzymu, którą ze swadą relacjonował Marco. Przewodnik wziął grupę w niezwykłą podróż do Panteonu, słynnej okrągłej świątyni, wybudowanej z inicjatywy cesarza Hadriana i ukończonej w 125 roku. Charlotte zachwyciła się ogromnym sklepieniem, które przedzielone miękkimi promieniami słońca wpadającymi przez *oculus* zdawało się przeczyć prawom fizyki.

Następnie udali się na skrzyżowanie trzech dróg - *tre vie* - żeby podziwiać potężną fontannę di Trevi Niccolò Salviego, z trytonami prowadzącymi konie zaprzężone do rydwana w kształcie muszli, unoszącego samego Neptuna. Potem przeszli przez Piazza di Spagna u stóp 138 stopni prowadzących stromo do bliźniaczych wież kościoła Trinita dei Monti.

Kilka przecznic dalej czekał na nich II Vittoriano, efektowny (choć niekoniecznie zdaniem Włochów) pomnik z białego marmuru, przez wielu porównywany do gigantycznego tortu weselnego ustawionego w sercu Starego Rzymu. Budowlę tę odsłonięto w 1925 roku ku czci Wiktora Em-manuela II - pierwszego króla zjednoczonych Włoch.

Gdy grupa dotarła na Kapitol - jedyną widoczną pozostałość po słynnych rzymskich siedmiu wzgórzach - i przeszła między zrujnowanymi łukami oraz kolumnami forów cesarskich, słońce

znikło za horyzontem i na czystym nocnym niebie ukazał się księżyc w nowiu. Charlotte Hennesey ostatecznie zatraciła się w mrokach starożytnego imperium.

Zanim przecięli Stare Miasto i znaleźli się w Koloseum, rozświetlone miasto przybrało całkiem nową postać. Spacerując wokół wysokiego na prawie pięćdziesiąt metrów, okrągłego amfiteatru z arkadami rozmieszczonymi na trzech kondygnacjach, Charlotte mogłaby przysiąc, że słyszy szczęk broni gladiatorów i porykiwanie lwów.

A potem fantazja musiała ustąpić miejsca twardej rzeczywistości, gdy w mroku mignęła jej twarz współczesnego gladiatora. Choć chciała wierzyć, że wzrok ją myli, nie miała wątpliwości, że jest inaczej. Salvatore Conte we własnej osobie.

CZWARTEK
WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

- Tuż po dziewiątej rano po pertraktacjach z Akbarem Barton przeszedł przez wyłom i znalazł się w krypcie. Zastał już tam Razaka. Czekał na niego z rękami skrzyżowanymi na piersi, ubrany w odprasowane letnie spodnie i białą koszulę. Gdyby nie to, że zdążył trochę poznać Razaka, uznałby, że próbuje on na swój sposób pogodzić się z istnieniem tego miejsca. Robi się paskudnie.

- To prawda.

Barton otrzepał spodnie z pyłu.

- Ciekaw jestem, jak zareagował Faruk na widok samochodu.

- Nie najlepiej - odpowiedział z niezadowoleniem Razak. Ujął to dość oględnie. Gdy poprzedniego wieczoru Faruk zobaczył, że jego hołubiony mercedes nie nadaje się już do naprawy, ostro go zbeształ. *I po co pozwoliłem ci tam jechać! Zero odpowiedzialności! Mogłeś to przewidzieć! Ina co ci to było? Co dzięki temu zyskałeś?* Razak czuł się jak niesforny nastolatek. - Na szczęście auto było ubezpieczone, co, możesz mi wierzyć, nie jest przywilejem wszystkich Palestyńczyków.

- Powiedziałeś mi, czego się dowiedzieliśmy?

Razak pokręcił głową i położył palec na ustach, wskazując wzrokiem Akbara, po czym chwycił Bartona za ramię i pociągnął go w odległy kąt krypty.

- Nie wydaje mi się, żeby był na to gotowy - wyszeptał. Tej nocy Razak prawie nie zmrużył oka, próbując dojść, na czyje zlecenie działał snajper. Mógł się jedynie domyślać, że Szin Bet próbuje jakoś dojść do ładu z tą całą sytuacją. Było dość prawdopodobne, że jeśli szybko czegoś się nie dowiedzą, obaj mogą podzielić los Tahima. - Pamiętaj, co ci mówiłem. Nie wolno ci puścić pary z ust o tym, co usłyszałeś i co się wczoraj zdarzyło. Nie wiemy, jak to się może skończyć.

Barton przytaknął. Razak puścił jego ramię.

- To co nas tu w końcu sprowadza? Archeolog próbował zebrać myśli.

- Jak już wspominałem wczoraj, poważnie się zastanawiałem nad samym pojęciem krypty. Coś mi tu nie pasuje - Barton przeszedł na środek pomieszczenia i rozejrzał się po ścianach. - Rozmyślałem o postaci Józefa z Arymatei; o jego pozycji, majątku i władzy. Niepokoi mnie, że tej krypcie brakuje wielu elementów typowych dla grobowców zamożnej rodziny.

- Na przykład?

- Choćby pewnego wyrafinowania. W tym pomieszczeniu nie ma niczego, co świadczyłoby o wysokim statusie czy bogactwie. To prosta pieczara bez wymyślnych reliefów, pilastrów, fresków czy mozaik. Nic z tych rzeczy.

Razak spuścił głowę. Zaczynał tracić cierpliwość. Z punktu widzenia muzułmanina nie było w tym niczego niezwykłego.

- Może ten cały Józef był skromnym człowiekiem?

- Może. A czy pamiętasz, jak opowiadałem ci, że szczątki składano w ossuarium dopiero dwanaście miesięcy po śmierci delikwenta?

- Trudno tego nie pamiętać. Mam nadzieję, że do czegoś zmierzasz.

- Zaufaj mi. W starożytnych kryptach żydowskich znajduje się przeważnie co najmniej jedna wnęka zwana *loculusem*: wąska wnęka o głębokości jakichś dwóch metrów - przyszedł mu na myśl grobowiec z podziemi Bazyliki Grobu Pańskiego, który pokazywał mu ojciec Demetrios. - Właśnie tam składano szczątki.

Razak przebiegł wzrokiem po ścianach.

- Nie widzę tu niczego takiego.

- Właśnie - przytaknął Barton, wymachując palcem wskazującym. - I właśnie dlatego mam pewne wątpliwości co do budowy krypty. Skoro mamy tu dziesięć ossuariów, to znaczy, że często tu zagładano. Pierwsza wyprawa: złożenie ciała do grobu tuż po śmierci, druga: odprawienie rytuału *tahara* i trzecia: przeniesienie odkupionego ciała do ossuarium. To znaczy, że na każdego zmarłego przypadają co najmniej trzy wizyty.

- Zgadza się.

- A kiedy badałem te szczątki - Barton wskazał ossuaria - odnosiłem wrażenie, że ta rodzina zmarła w tym samym czasie.

Razak ściągnął brwi.

- Skąd ten wniosek?

- Wprawdzie nie jestem specjalistą od antropologii sądowej, ale te szczątki szkieletów składają się na coś w rodzaju fotografii rodzinnej - popatrzył na dziewięć pozostałych ossuariów. - Różnice wieku wydają się zgodne ze stanem faktycznym i nic nie wskazuje na to, by wiek tych osób w jakiś sposób się pokrywał: ojciec w podeszłym wieku, nieco młodsza matka i dzieci, z których żadne nie dożyło trzydziestki. Można by się spodziewać, że członkowie tak licznej rodziny będą odchodzić w bardziej przypadkowej kolejności. Co najmniej część dzieci powinna dożyć późniejszego wieku.

- To rzeczywiście dziwne.

- I jeszcze jedno - Barton zmierzył wzrokiem ściany. - Widzisz tu gdzie ślady wejścia?

Razak zlustrował otaczające ich z trzech stron skalne ściany.

- Wygląda na to, że można było się tu dostać tylko przez wylot, który później zamurowano - wskazał otwór po wybuchu.

Barton skinął głową.

- Otóż to. A teraz spójrz na to - podszedł do otworu i gestem przywołał Razaka. - Widzisz? - rozpostarł ręce, mierząc grubość muru. - Jakies pół metra głębokości. A teraz popatrz tu. Widzisz, że cegły po obu stronach są bardzo podobne? - popukał w mur, najpierw od strony krypty, a potem od strony meczetu, a następnie wskazał całe przepastne, zwieńczone łukowatym sklepieniem pomieszczenie. Razak podążył za nim wzrokiem. -1 to jest ten sam typ cegły, który wykorzystano w konstrukcji całego tego wnętrza. Przypadek? Chyba nie.

Razak zaczął rozumieć.

- Poczekaj - podszedł bliżej i pochylił się, a następnie przesunął głowę wzdłuż krawędzi otworu. Z pewnością tych ścian nie postawiono przypadkowo.

- Chodzi ci o to, że obie strony muru zbudowano w tym samym czasie?

- Zdecydowanie tak. I stawiając tę ścianę, budowniczy musieli stać po tej stronie - powiedział, wskazując ponownie wewnątrz meczetu Al-Mar-wani. - Spójrz tylko na wylot samej pieczary - Barton cofnął się o krok i rozpostarł ramiona, obejmując umownie przestrzeń od skały do skały, teraz wypełnioną ceglami.

Razak także się cofnął, żeby zrozumieć, co Barton chce przez to powiedzieć. Spojrzał ponownie na wylom i ocenił rozmiar ceglanoego muru. Istotnie był dość rozległy, mniej więcej dwa razy szerszy niż przeciętny otwór drzwiowy.

- Jak sądzisz, co to oznacza?

- Nie ma wątpliwości, że złodzieje nie byli tu pierwszymi nieproszonymi gośćmi. To oczywiste, że to pomieszczenie nie miało pełnić funkcji krypty.

Po Razaku było widać, że nic z tego nie rozumie.

- To tajna komnata zbudowana jako bezpieczna kryjówka - wyjaśnił Barton. - Jakimś sposobem przyłączono ją do tak zwanej stajni Salomona. I chyba wiem, czyja to sprawka - oczyma wyobraźni zobaczył wyryte w skale krzyże, jakie widział nad głową ojca Demetriososa. To właśnie ten obraz podsunął mu tę nową hipotezę.

Razak próbował sobie przypomnieć, co wie o historii tego miejsca. Przyszło mu do głowy tylko to, że podobno wewnątrz przekształcone w meczet Al-Marwani wieki wcześniej pełniło funkcję stajni. I ponoć zbudowali ją... nagle jego rysy się wygładziły.

- Templariusze?

Barton uśmiechnął się i skinął porozumiewawczo głową.

- Tak jest! To ryzykowne stwierdzenie, ale mimo wszystko większość archeologów właśnie im przypisuje skonstruowanie stajni Salomona. Na ile dobrze znasz historię zakonu templariuszy?

Choć Razak nie był zachwycony, że archeolog znów sięga do kontrowersyjnych tematów historycznych, streścił to, czego się dowiedział na podstawie lektury licznych dzieł poświęconych tej tematyce. W końcu, jak sam twierdził, żeby zrozumieć współczesny konflikt między Wschodem a Zachodem, trzeba czasem otworzyć książkę do historii.

Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona został

założony w 1118 roku, po pierwszej wyprawie krzyżowej. Zakon templariuszy składał się z rycerzy, którzy otrzymali od papieża misję obrony odzyskanego Królestwa Jerozolimskiego przed sąsiednimi plemionami muzułmańskimi oraz zapewnienia bezpieczeństwa pielgrzymom z Europy. Templariusze cieszyli się złą sławą i budzili powszechny lęk ze względu na zabójcze metody walki i fanatyczną przysięgę, która im zabraniała wycofywać się z pola bitwy i nakazywała walczyć na śmierć i życie w imię Jezusa Chrystusa. Utrzymali władzę nad Wzgórzem Świątynnym do schyłku dwunastego wieku, gdy zostali rozgromieni przez dowodzone przez Saladyna siły muzułmańskie w bitwie pod Hattin. Zanim do tego doszło, rycerze zaadaptowali nawet na swoją kwaterę meczet Al-Aksa. Nazywali go łacińską nazwą *Templum Domini*, czyli „Świątynia Pańska”.

Barton był pod wrażeniem erudycji Razaka i nie omieszkał mu o tym powiedzieć. Niewielu żydów, ani nawet chrześcijan, mogłoby na poczekaniu popisać się tak szczegółową wiedzą historyczną.

- Te ossuaria przeniesiono tu z innego miejsca, w którym odprawiono właściwe rytuały. Jeśli założymy, że to tajna komnata - ciągnął Barton - to jest prawdopodobne, że templariusze skonstruowali ją, by chronić ossuaria.

- Albo jakiś skarb - odpowiedział natychmiast Razak i rozłożył ręce.
- Nie zapominajmy, że istnieje też taka możliwość.

Wcale mu się nie uśmiechało, że archeolog z takim uporem łączy kradzież ze szczątkami szanowanego proroka.

- Przecież templariusze nie należeli do nędzarzy, prawda? Złupione meczety i domy muzułmanów, łapówki dla urzędników państwowych...

- To fakt, zgromadzili pokaźny majątek, w większości zrabowany od pokonanych wrogów. Władza papieska zezwalała im nawet nakładać podatki i pobierać dziesięcinę. Koniec końców stali się kimś w rodzaju bankierów. Taki średniowieczny odpowiednik... powiedzmy American Express. Europejscy pielgrzymi przed wyruszeniem w drogę do Ziemi Świętej powierzali pieniądze lokalnemu bractwu i otrzymywali w zamian zaszyfrowany dowód wpłaty. Po przybyciu do Jerozolimy wymieniali dokument na miejscową walutę.

- Wobec tego skąd pewność, że nie ukryli w tej komnacie łupów?

- Nigdy nie wiadomo - zgodził się Barton. - Ale wydaje mi się mało prawdopodobne, by opłacało im się zamurowywać drogocenne przedmioty, skoro wiedzieli, że będą ich potrzebować do częstych transakcji.

- No tak, to by nie służyło płynności - przyznał Razak. - ale w ten sposób mogli zabezpieczać te środki, których nie potrzebowali na bieżąco.

- Owszem - potwierdził Barton - tylko że napisy na tylnej ścianie w ogóle o tym nie wspominają. Są tam tylko imiona osób, których szczątki znajdują się w skrzynkach.

Ponownie podszedł do ossuariów i przestudiował je uważnie, jakby poszukując odpowiedzi.

- Skoro przeniesiono je tutaj i zamurowano, to gdzie były wcześniej?

- zastanawiał się głośno.

- Nadal jestem w kropce - Razak rozpostarł bezradnie ramiona.

- Jak to możliwe, że pod tak uczęszczanym miejscem wykopano tajną komnatę?

- Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do bardzo ciekawych wniosków - Barton spojrzał na niego uważnie. - W pierwszym wieku bezpośrednio nad stajnią Salomona mieściła się Izba Sanhedrynu, gdzie się odbywały procesy sądowe. Już wtedy chodziły słuchy, że platforma poniżej jest poprzecinana tajnymi przejściami - z których wiele prowadziło do wewnętrznego sanktuarium, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- Józef, jako członek rady, miał swobodny dostęp do tych miejsc, a także do schodów wiodących do ukrytych pod powierzchnią platformy podziemnych komnat. Mógł więc sam niezauważenie skonstruować jedną z nich.

- Józef z Arymatei... o ile dobrze rozumiem, Arymatea to nazwa miejsca, z którego pochodził, tak?

Barton skinął głową.

- Tak mówią księgi.

- To może sama krypta znajdowała się w rejonie, z którego

pochodził Józef i gdzie mieszkała jego rodzina?

- Niewykluczone - odpowiedział Barton bez entuzjazmu. To nasunęło mu pewną myśl: czy to możliwe, że właściwy grobowiec naprawdę mieścił się w podziemiach Bazyliki Grobu Pańskiego? To chyba niemożliwe. Przecież bazylikę zbudowano na długo przed przybyciem krzyżowców. - Sęk w tym, że nikt nie wie, gdzie właściwie znajdowała się Arymatea. Zdaniem niektórych było to miasto położone gdzieś pośród wzgórz Judei, ale to tylko domysły.

- Nawet jeśli założymy, że jesteś na właściwym tropie, to jak według ciebie znaleźli to miejsce złodzieje? - Razak nagle przypomniał sobie potworny obraz zmasakrowanej twarzy Tahima i poczuł, że to wydarzenie mogłoby zainteresować władze i doprowadzić do szybszego zamknięcia śledztwa.

Barton odetchnął głęboko i przeczesał włosy palcami. Same znaki zapytania.

- Chyba jedyne wytłumaczenie jest takie, że złodziej dotarł do jakiegoś dokumentu. To miejsce pochówku niewątpliwie zostało dokładnie opisane w starożytnym tekście. Wejście było zbyt dobrze ukryte; rabusie musieli znać jego dokładne położenie.

- Ale kto mógłby wejść w posiadanie takiego dokumentu?

- Nie wiadomo. Niektóre starożytne zwoje i księgi leżą nie przetłumaczone w salach muzealnych przez wiele dziesiątków lat. Może jakiś nawiedzony pracownik muzeum - powiedział bez przekonania, ale potem zaczął się zastanawiać, czy ta teoria faktycznie jest taka naciągana.

Po minie Razaka wyraźnie było widać, że w to nie wierzy.

- A rynek antyków? Jeszcze nikt nie wystawił na sprzedaż ossuarium? Barton pokręcił głową.

- Sprawdzalem to nawet dziś rano. Nic nowego.

Nagle poczuli, że podłoga trzęsie im się pod stopami i usłyszeli, jak mury podziemia niosą odległy warkot. Instynktownie wyciągnęli ręce, żeby się czegoś złapać.

Hałas ustał tak nagle, jak się pojawił. Choć mogło być to przypadkowe tąpnięcie, obaj doskonale wiedzieli, że jest inaczej.

WATYKAN

Parę minut po dziewiątej w interkomie na terenie laboratorium odezwał się głos ojca Donovana, który zapowiedział rozmowę telefoniczną ze Stanami Zjednoczonymi.- Śmiało, odbierz - zachęcił Bersei.

Charlotte podeszła do telefonu, ściągnając po drodze maseczkę. Wcisnęła przycisk odsłuchu.

- Charlotte Henney, słucham. - To ja, Evan.

Gdy usłyszała jego głos dobiegający z niewielkiego głośnika, poczuła motylki w brzuchu.

- Cześć, Evan. Która u ciebie godzina?

- Bardzo wcześnie, albo raczej bardzo późno, zależy jak na to spojrzeć. W każdym razie właśnie skończyłem skanować twoją próbkę.

Ton jego głosu nie wróżył niczego dobrego. Charlotte usłyszała szelest papierów.

- Chwileczkę - powiedziała. - Włączyłam funkcję głośnomówiącą. Poczekaj, odbiorę - zdarła rękawiczki i złapała słuchawkę. - Już jestem - dodała.

Aldrich od razu przeszedł do rzeczy.

- Zacząłem od prostej analizy widmowej kariotypu, żeby wstępnie ocenić jakość DNA. Wiesz, co i jak...podstawowy układ par chromosomów. Już tu znalazłem coś bardzo dziwnego.

- Co takiego? Coś nie pasuje?

- Tak, Charlotte. 48 XY.

W analizie widmowej kariotypu zwarte nici DNA zwane chromosomami są oznaczone jaskrawymi kolorami i sortowane w pary, co pozwala wykryć ewentualne aberracje genetyczne. Ponieważ człowiek dziedziczy po każdym z rodziców dwadzieścia dwa chromosomy, chromosom płci X od matki i dodatkowy chromosom płci od ojca, typowy wynik wynosi odpowiednio u kobiet 46 XX, a u

mężczyzn 46 XY.

48 XY? Hennesey ścisnęła kolczyk między kciukiem a palcem wskazującym, próbując się oswoić z tą informacją. Dobra wiadomość była taka, że był to bez wątpienia mężczyzna, co pokrywało się ze wszystkimi dowodami z oględzin. Aldrich twierdził jednak, że w strukturze molekularnej próbki wykrył dodatkową parę chromosomów innych niż chromosomy płciowe, tzw. autosomów. Takie anomalie wiązały się przeważnie z poważnymi chorobami, takimi jak zespół Downa, o którym decydował dodatkowy chromosom 21.

- Czyli aneuploidia? - wyszeptała.

- Tak jest. Mamy do czynienia z mutacją.

- Jakiego typu? - mówiła cicho, żeby nie ściągnąć uwagi Berseiego. Zerknęła na niego i przekonała się, że jest zajęty swoimi sprawami: z uwagą studiuje skany szkieletu.

- Tego jeszcze nie wiem. Muszę wyregulować skaner, żeby zbadać kolejne nici. Nie spodziewałem się czegoś takiego w pierwszym rzucie, ale chyba nie potrwa to już długo. Udało mi się uzyskać podstawowy kod do sporządzenia profilu genetycznego. Wysłałem go na twoje konto e-mailowe.

- Świetnie. Będę do przodu.

- Jak myślisz, jak długo zostaniesz w Rzymie?

- Nie wiem. Chyba większość roboty za nami. Oczywiście czeka mnie jeszcze prezentacja. To może potrwać parę dni. Możliwe, że zostanę trochę dłużej, żeby zwiedzić Rzym. Przepiękne miasto.

- Czy otrzymałaś dokładne wytyczne?

- Tak, ale wszystko, czego się dowiadujemy, jest ściśle tajne. Musiałam podpisać zobowiązanie do zachowania poufności, więc nie za bardzo mogę o tym rozmawiać.

- Rozumiem to doskonale, Charlie. Nie muszę tego wiedzieć. Zresztą komu zaufać, jak nie Watykanowi? Po prostu nie chcę, żeby BMS wplątała się w coś podejrzanego.

Co odkrył, że tak się niepokoi? - zastanawiała się Charlotte.

- Chciałam cię jeszcze o coś spytać. Czy nie wrzuciłeś przypadkiem profilu genetycznego do naszej bazy danych, żeby określić tożsamość

etniczną?

Chwila wahania.

- Tak, zrobiłem to.

- Naprawdę? - zdziwiło ją, że o tym nie wspomniał. -1 czego się dowiedziałeś?

- To kolejna dziwna rzecz. Nic nie znalazłem.

- Co ty opowiadasz? - to niemal zakrawało na absurd. Choć u dziewięćdziesięciu pięciu procent populacji występuje ten sam kod genetyczny, za różnice związane z płcią i tożsamością etniczną odpowiada mniej niż pięć procent genomu. Nietrudno wykryć zmiany.

- Poważnie. Nic nie pasuje.

- Przecież to niemożliwe. Sprawdziłeś profile z Bliskiego Wschodu? - Tak.

Ossuaria były typowe dla żydowskiego obrządku pogrzebowego. Może niezbyt jasno się wyraziła.

- A żydowskie?

- Też. Nic z tego.

Jak to? Taka informacja zupełnie nie zgadzała się z ich wcześniejszymi wnioskami.

- Czy to może mieć coś wspólnego z anomalią, którą wykryłeś?

- Tak mi się zdaje. Dam ci znać, gdy się czegoś dowiem. Coś jeszcze? Zawahała się na moment i przywarła mocniej do ściany.

- Tęsknię za tobą - wyszeptła. -1 naprawdę mi przykro, że rozstaliśmy się w takich nastrojach. Chodzi o to, że...chciałabym z tobą porozmawiać po powrocie. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Nie odpowiedział od razu.

- Byłoby miło.

- Do zobaczenia wkrótce. Nie zapomnij o mnie.

- Jakżebyś mógł. - Pa.

Gdy odkładała słuchawkę na widełki, stanął za nią Bersei.

- Wszystko w porządku?

- Chyba tak - odpowiedziała z uśmiechem. - Mam profil DNA z laboratorium.

- No i?

- Mamy to, czego nam brakowało.

Bersei patrzył jej przez ramię, gdy uruchamiała przeglądarkę i wchodziła na swoje konto. Po paru sekundach wyszukała plik i otworzyła go. Arkusz był gęsto zapisany danymi.

- Proszę bardzo. Gotowe - zamienili się miejscami.

Bersei przewinął arkusz. W trzech kolumnach określono kolejno uniwersalny kod dla każdego ciągu genów, wersję dla laika, np. „kolor włosów” oraz wartość liczbowa poszczególnych atrybutów. W przypadku koloru włosów wartość liczbowa w trzeciej kolumnie odpowiadała określonemu odcieniowi na standardowym wzorcu kolorów.

- I jak to wygląda?

- Bardzo szczegółowe dane. Wygląda na to, że mogę je załadować prosto do programu.

Uśmiechnęła się pod nosem. Dziękuję, Evan.

Bersei otworzył program graficzny i wyszukał plik ze skanami szkieletu oraz rekonstrukcją tkanki - upiorną marmurową figurę oczekującą na ostatni zabieg: genetyczną „charakteryzację”.

- Zacznę od podstaw. Komputer nada barwę włosom, ale oczywiście nie określi fryzury - wyjaśnił, przygotowując plik do importu.

Mutacja odkryta przez Aldricha skłoniła Charlotte do namysłu nad przeróżnymi możliwymi chorobami. Ponieważ większość z nich atakowała tkanki miękkie i w przeciwieństwie do tego diabelstwa, które rozpanoszyło się w jej kościach, żeby zostawić po sobie trwały ślad, nie wpływała na stan tkanki kostnej, nawet nie mogła sobie wyobrazić, co wykrył. Nagle przemożne pragnienie, by zobaczyć gotowy obraz, zastąpiły złe przeczucia.

Bersei zaimportował dane genetyczne i jednym kliknięciem zaktualizował profil.

Minęło kilka sekund pełnych niepokoju i wydawało się, że nic już się nie zmieni.

A potem na ekranie wyświetlił się udoskonalony efekt rekonstrukcji.

Tego się nie spodziewali.

JEROZOLIMA

Gdy zadzwonił telefon, Ari Teleksen wiedział już, co usłyszy. Stał przy szerokim oknie w swoim biurze na ósmym piętrze kwatery głównej SOI w centrum Jerozolimy, a przed nim rozpościerała się panorama miasta. Nie spuszczał oczu z kłębu gęstego czarnego dymu, który jak oddech diabła buchał z poziomu ulicy zaledwie kilka przecznic dalej.- Za pięć minut będę na miejscu - powiedział ponuro do słuchawki.

Poprzedniego wieczoru dotarła do niego pierwsza fala doniesień medialnych na temat kradzieży izraelskiego helikoptera dokonanej przez złodziei ze Wzgórza Świątynnego. Odtąd nie opuszczały go złe przeczucia. Wiedział, że odzew Palestyńczyków właśnie się rozpoczął.

Mimo że nie znał jeszcze skali zamachu, potrafił bezbłędnie przewidzieć jego następstwa, a odgłosy wybuchu, które kilka minut temu przyprawiły go o palpacje serca, najpewniej świadczyły o tym, że można się spodziewać wielu ofiar.

Pospieszył na podziemny parking i wskoczył do złocistego BMW. Przekręciwszy kluczyk w stacyjce, chwycił leżącego na podłodze niebieskiego koguta policyjnego i wystawił go na dach samochodu. Wypadł z parkingu i nie zdejmując nogi z gazu, popędził ulicą Hillela.

Gdy dojechał do Wielkiej Synagogi przy ulicy Króla Jerzego, jego oczom ukazał się dobrze znany widok: ogarnięty paniką tłum powstrzymywany przez policję i żołnierzy SOI, miejsce tragedii odgródzone drewnianymi barierami. Obok stał już konwój karettek, a ratownicy medyczni w pośpiechu zajmowali się rannymi.

Młody żołnierz SOI utorował mu drogę. Teleksen przedarł się samochodem przez tłum i zaparkował w bezpiecznej odległości. Kiedy otworzył drzwiczki, poczuł, że powietrze przesiąknięte jest wonią spalonych ciał.

Mimo że od miejsca wybuchu dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów, już z daleka widział strzępy ciał i kawałki kości, które

przywarły do ścian pobliskich budynków i wyglądały jak makabryczne konfetti. Wybuch zniszczył konary drzew i rozrzucił odłamki, znacząc całe otoczenie. Prawie wszystkie szyby w okolicy były roztrzaskane.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że eksplozja nie uszkodziła żadnego z budynków. W porównaniu z innymi zamachami, jakie widział, ten był stosunkowo łagodny. Wiedział jednak doskonale, że jeśli nie uda się szybko powstrzymać narastającej fali niezadowolenia, jakie wzbudziła kradzież na Wzgórzu Świątynnym, czekają ich kolejne ataki.

Jeden z oficerów śledczych, pięćdziesięcikilkulatek z siwą czupryną, rozpoznał go i przedstawił się.

- Detektyw Aaron Schomberg - mimo woli spojrzął na oszpeconą lewą dłoń Teleksena.

- Czy coś już wiadomo? - Teleksen zapalił papierosa.

- Świadkowie twierdzą, że młoda Arabka w cywilnym stroju wbiegła w tłum ludzi wychodzących z synagogi i wysadziła się w powietrze.

Obaj mężczyźni podeszli do miejsca tragedii. Teleksen zobaczył, jak służby medyczne zbierają do worka kończyny i fragmenty ciała, zbyt drobne, by umieścić je na noszach - najprawdopodobniej szczątki ciała samobójcy.

- Ile trupów? - Teleksen wypuścił dym nosem.

- Na razie jedenaście, do tego około pięćdziesięciu rannych. Zaciągnął się mocno.

- Nikt nie widział, jak się zbliżała?

- Ładunki miała przymocowane pod ubraniem. To była kwestia sekund.

Telesken zatęsknił za czasami, gdy terroryści nie kamuflowali się tak dobrze.

- Co powiedziała? - zapytał.

Oficer nie zrozumiał.

- Kto, dowódca?

- Ofiarna śmierć domaga się inwokacji - przekładając papierosa do kalekiej ręki, skierował rozżarzoną końcówką w stronę oficera. -

Męczennicy nie giną w milczeniu. Czy nikt nie słyszał, co powiedziała przed odpaleniem ładunku?

Schomberg przekartkował notes.

- „Allah ukarze tych, którzy mu grożą”, czy coś w tym stylu.

- Po arabsku czy po angielsku?

- Po angielsku.

Doszli do miejsca oddalonego zaledwie o kilka metrów od wejścia do synagogi. Według świadków to właśnie tam ustawiła się samobójczyni. Początkowo wydawało się, że decyzja o przeprowadzeniu zamachu właśnie tu nie była zbyt przemyślana, ponieważ materiały wybuchowe mają największą siłę rażenia w zamkniętej przestrzeni, np. w kawiarni lub autobusie. Zmierzywszy wzrokiem odległość od zniszczonej betonowej fasady budynku, który nawiasem mówiąc, przypominał raczej bank niż miejsce kultu, Teleksen szybko zdał sobie sprawę, że zamachowcy wiedzieli, co robią. Tłum ludzi został odcięty, a wyłaniająca się zza ich pleców betonowa ściana tylko wzmocniła siłę wybuchu. Nawet jeśli odłamki pocisku ich nie zabiły, reszty dokonała gwałtowna fala uderzeniowa, która zmiażdżyła ich narządy wewnętrzne i kości.

Rozległ się dzwonek telefonu komórkowego i Teleksen spojrzął na wyświetlacz. Topól. Pstryknął niedopałkiem na chodnik.

- Halo?

- Bardzo źle? - spytał nagłym tonem komendant.

- Bywało gorzej, ale tym bardziej musimy szybko się z tym uporać. Kiedy dojedziesz?

- Jestem kilka ulic dalej.

- Pospiesz się - Teleksen rozłączył się. Zastanawiał się, co jeszcze się wydarzy, zanim uda im się odkryć prawdziwe tło piątkowej kradzieży.

Na moment jego uwagę odwróciło skupisko wozów transmisyjnych. Szczególnie nieznośna była telewizja palestyńska. Do eskalacji nienawiści i niezadowolenia nie brakowało dużo. Atmosfera była zbyt napięta.

Zamordowano trzynastu żołnierzy izraelskich i dwóch pilotów śmigłowca. Do tego zginęło trzynastu niewinnych cywilów. I po co to

wszystko?

- rozmyślał. Angielski archeolog, podobno najlepszy specjalista w swojej dziedzinie, utrzymywał, że chodziło o jakąś relikwię. Teleksen wiedział, że starożytne znaleziska, zwłaszcza te pochodzące z Ziemi Świętej, osiągają astronomiczne ceny. Niektórzy pewnie byli gotowi na wiele, by je upłynnić. Ale żeby porywać śmigłowce? Zabijać żołnierzy? Jak to możliwe, że jakieś ossuarium jest ryle warte? W salach izraelskich muzeów widział wiele podobnych naczyń i żadne z nich nie było tak dokładnie ukryte i równie ściśle strzeżone. Za czyją sprawą ta relikwia stała się tak szczególna? To wszystko zakrawało na absurd.

Jego najlepsi agenci wywiadu upierali się, że tak skomplikowany skok mógł zorganizować tylko ktoś miejscowy. Przemycenie broni do Jerozolimy graniczyło z cudem. Trzeba by ominąć punkty kontrolne, wykrywacze metali i inne niezliczone przeszkody logistyczne. Niewielu to potrafi.

Oczywiście okazało się, że śmigłowiec to doskonała broń taktyczna. Czyjego kradzież miała na celu ośmieszenie izraelskiego systemu bezpieczeństwa wewnętrznego? Na szczęście agenci zdołali powstrzymać Palestyńczyków i środki masowego przekazu przed ujawnieniem prawdziwego losu śmigłowca Black Hawk. Wiedząc jednak, że poza granicami kraju wiele osób niechętnie współpracuje z agentami wywiadu izraelskiego, Teleksen bardzo się niepokoił tym, że złodzieje tak szybko się przedostali na wody międzynarodowe. Skoro relikwię zrzucano na łódź...

Nagle sobie uświadomił, że stoi na czymś miękkim. Spojrzał w dół, podniósł nogę i zdał sobie sprawę, że nadepnął na ludzkie ucho. Rozeźlony, przeszedł nieco dalej.

Czy to kiedyś się skończy? Barton miał pomóc w rozwikłaniu tej zagadki, ale jedyne co go interesowało, to opowiadanie bajeczek o historii starożytnej. Zaczynał naprawdę działać mu na nerwy.

I wtedy Teleksenowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Był pewien, że Topól na to przystanie. Może Barton wcale nie musi być ciężarem. Może przy jego pomocy uda się znaleźć ostateczne rozwiązanie.

WATYKAN

Naukowcy wpatrywali się w ekran w osłupieniu. Zeskanowany obraz szkieletu został wcześniej skalibrowany i na ekranie widniała rekonstrukcja tkanki mięśniowej pokrytej bezbarwną skórą. Teraz nowe dane przekształciły posągową postać w kompletny trójwymiarowy obraz ludzkiego ciała. Bersei z wrażenia zasłonił usta dłonią.- Jak myślisz, jakie jest jego pochodzenie etniczne?

Charlotte wzruszyła ramionami. Wszystko wskazywało na to, że Aldrich miał rację.

- Nie jestem pewna, czy da się to określić. Zabrzmiało to mało przekonująco.

Przypisany kolor skóry - mieszanka ciemnej i jasnej karnacji - nadał obrazowi niesamowity, realistyczny wygląd, podkreślając budowę mięśni i wyostrzając rysy.

Giovanni powiększył twarz.

Choć nie było wątpliwości, że to mężczyzna, na twarzy można było się dopatrzeć subtelnych cech kobiecych. Szeroko osadzone oczy o niebiesko-zielonych tęczówkach i hipnotyzującym spojrzeniu miały lekko uniesione zewnętrzne kąciaki. Brwi były smukłe, a długi nos poszerzał się lekko nad pełnymi ustami w kolorze mokki. Włosy były ciemnobrązowe i tworzyły na skroniach kąty ostre. Gęsty zarost miał podobną barwę i był najbardziej widoczny na linii szczęk.

- Całkiem przystojny osobnik - skomentował Bersei rzeczowym **tonent**

- Powiedziałałabym, ideał - odparła Charlotte. - Może nie nadawałby się na modela ani aktora... ale nigdy nie widziałam nikogo podobnego.

Przyjrzała mu się uważnie w poszukiwaniu ewentualnych defektów, ale nie znalazła żadnych oznak wad genetycznych, chyba że doskonałość można uznać za mankament. Była ciekawa, co takiego wykrył Aldrich. Czyżby prototyp urządzenia źle działał? A może

oprogramowanie niewłaściwie odczytało dane?

Bersei przechylił głowę w prawo i w lewo, po czym powiedział:

- Gdybyśmy wymieszali wszystkie charakterystyczne cechy etniczne poszczególnych ludów, prawdopodobnie uzyskalibyśmy coś takiego.

Jakby nie wierząc własnym oczom, wyciągnął rękę w stronę komputera.

- To niesłychanie fascynujące, że jakaś istota ludzka może mieć tak złożoną budowę.

- To co teraz zrobimy?

Bersei wyglądał na umęczonego, jakby nie mógł znieść widoku tej twarzy.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Oderwał wzrok od monitora i obrzucił ją zmęczonym spojrzeniem.

- Dokonałiśmy kompleksowych oględzin - zaczął odliczać na palcach - mamy wyniki datowania węglowego i odtworzyliśmy pełny profil genetyczny. Z ważniejszych rzeczy musimy jeszcze przeanalizować symbol ze ścianki ossuarium.

- Gdybyś zechciał się tym zająć - zaproponowała Charlotte. - Ja tymczasem zacznę przygotowywać szkic prezentacji dla ojca Donovana. Zbiore wszystkie dane oraz zdjęcia i zacznę pisać sprawozdanie. Może jutro mu powiemy, czego się dowiedzieliśmy do tej pory. Zobaczymy, co on na to.

- Niezły plan. Kto wie, może ten symbol powie nam coś o naszym przyjacielu.

Bersei wrócił do swojego stanowiska roboczego i włączył aparat cyfrowy. Mruczając coś pod nosem, sfotografował relief z kilku różnych perspektyw i załadował zdjęcia do komputera.

Podziwiając kunszt snycerza, przesunął palcem po krawędzi symbolu wyrytego na ściance ossuarium:





Ten obraz od początku go zdumiewał. Ossuaria wykorzystywali wyłącznie Żydzi w starożytnej Judei. O ile dobrze pamiętał, zarówno delfin, jak i trójzęb były przede wszystkim symbolami pogańskimi, występującymi w wielu religiach wczesnego Rzymu. Pozostawały w wyraźnej sprzeczności z rzekomym pochodzeniem relikwii.

Bersei wrócił do komputera i otworzył okno przeglądarki. Zaczął od wpisania prostego hasła „trójzęb” i niemal natychmiast został zasypany wynikami. Przejrzał witryny, które najbardziej go interesowały.

Sam trójzęb miał wiele znaczeń. Hindusi nazywają

go *triśula*, czyli „święte drzewo”, i uznają, że przedstawia narodziny, życie oraz śmierć. Na Bliskim Wschodzie kojarzono go z błyskawicą. W późniejszym okresie bliźniaczy znak - widły - trafił do ikonografii chrześcijańskiej i reprezentował szatana. W ten sposób próbowano zdyskredytować symbolikę pogańską.

Co ciekawe, symbol delfina był równie zagadkowy. W zamierzchłych czasach człowiek czcił te inteligentne ssaki za ich poświęcenie dla ratowania życia rozbitków. Dla Rzymian delfiny oznaczały także ostatnią morską podróż, w którą wyruszały dusze: do miejsca wiecznego spoczynku na wyspach szczęśliwości. Postać delfina łączono też z Erosem, Afrodytą i Apollinem.

Jednak symbol widniejący na ścianie ossuarium łączył rzecz jasna oba te elementy i miał jakiś głębszy sens. Tylko jaki?

Bersei próbował znaleźć więcej źródeł objaśniających znaczenie delfina oplatającego trójząb.

Prawdopodobnie delfin i trójząb po raz pierwszy pojawiły się razem w mitologii greckiej jako atrybuty władzy Posejdona, boga morza. Trójząb był darem od jednookich tytanów, Cyklopów. Kiedy bóg wpadał w gniew, uderzał trójzębem w dno oceanu i w ten sposób wywoływał sztorm. Posejdon, który potrafił zmieniać się w różne istoty, często objawiał się ludziom pod postacią delfina. Rzymianie nazywali boga morza Neptunem.

Bersei był przekonany, że to zdecydowanie za mało.

Kolejny wyświetlony wynik doprowadził go do witryny ze starożytnymi monetami wykutymi przez rzymskiego generała Pompejusza w połowie pierwszego wieku. Na awersie srebrnej monety widniała podobizna generała przybranego w wieniec laurowy, a obok niej obrazy trójzębu i delfina - wprawdzie nie złączone, ale bez wątplenia przedstawione razem. Bersei przypomniał sobie, że w początkach swojej kariery Pompejusz dowodził atakiem na Jerozolimę.

Pochylił się nad ekranem.

Po oblężeniu Jerozolimy w 64 roku Pompejusz rozkazał ukrzyżować tysiące Żelotów - i to w ciągu jednego dnia. Podobno potrzeba było tak wielu krzyży, że generał nakazał wyciąć wszystkie

drzewa w okolicznych górach.

Ukrzyżowania. Jerozolima.

Czy to właśnie było brakujące ogniwo? Czy to możliwe, że ossuarium miało coś wspólnego ze słynnym rzymskim generałem?

Bersei rozmyślał nad tym przez dłuższą chwilę, ale nadal coś mu nie pasowało. Wciąż jeszcze miał wrażenie, że widział już gdzieś identyczny obraz. I nie wiedzieć czemu, był głęboko przekonany, że ma on związek z Rzymem.

Kontynuował poszukiwania.

Po wpisaniu różnych fraz, między innymi „delfin wokół trójnogu”, znalazł wreszcie trafny wynik. Kliknął odnośnik i ze zdumieniem obserwował, jak na ekranie wyświetla się idealne odwzorowanie reliefu ze ścianki ossuarium.

Twarz antropologa rozjaśnił uśmiech.

- To rozumiem - mruknął.

Przewinął stronę i przeczytał tekst umieszczony pod rysunkiem.

Poczuł się, jakby dostał obuchem w łeb. Kompletnie oniemiały przeczytał tekst jeszcze raz. W tej chwili świat poza konturami ekranu mógłby dla niego nie istnieć.

- Charlotte! - zawołał. - Musisz to zobaczyć.

Opadł na krzesło i z niedowierzaniem położył dłoń na ustach. Nie minęły dwie sekundy, a Charlotte już stała obok. Spojrzała na wycieńczoną twarz Włocha, a on wskazał jej ekran.

- Co to takiego?

- Ukryty sens reliefu ze ścianki ossuarium - powiedział cicho Bersei i ponownie wycelował palcem w monitor.

Na widok jego oszołomionej miny, zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Czyli ten symbol jednak coś znaczy.

- Na to wygląda - mruknął, pocierając powieki. Charlotte pochyliła się i głośno odczytała tekst:

- Spotykany u pierwszych chrześcijan symbol delfina owiniętego wokół trójzębu to przedstawienie... - urwała raptownie.

Przytłumiony szum systemu wentylacji nagle rozbrzmiał głośniejsze.

- ...ukrzyżowania Chrystusa - głos jej zadrzał, gdy wypowiadała te słowa. Atmosfera natychmiast się zagęściła.

Do Charlotte dopiero po chwili dotarło to, co przeczytała.

- Wielki Boże - poczuła ścisk w żołądku i musiała odwrócić wzrok od ekranu.

- To było do przewidzenia - powiedział Bersei słabym udreńczonym głosem. - Delfin towarzyszy duszom udającym się w zaświaty. Trójzab symbolizuje Trójkę Świętą.

- Nie ma mowy. To jakieś nieporozumienie - spojrzała na niego.

- Jestem przekonany że patyna jest w nienaruszonym stanie - sprzeciwił się Bersei. - Co do kawałeczka. Warstwa jest jednolita, włącznie z osadem pokrywającym relief. Poza tym na podstawie jej składu mineralnego ustaliłem, że ossuarium może pochodzić tylko z jednego miejsca: z Izraela. A dowody z oględzin kości potwierdzają tę teorię. Biczowanie. Ukrzyżowanie. Mamy nawet gwoździe i drzazgi - podkreślił i wyrzucił w górę ręce w geście kapitulacji. - Czego nam jeszcze trzeba?

Przez chwilę czuła pustkę w głowie, jakby coś odebrało jej zdrowy rozsądek.

- Jeśli to rzeczywiście są szczątki... Jezusa Chrystusa - wymówienie tych słów przyszło jej z ogromnym trudem - to tylko pomyśl, jak wielkiej wagi jest to odkrycie.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła krzyż zawieszony nad jej łóżkiem.

- Nie, to niemożliwe. Każde dziecko wie, jak przebiegało ukrzyżowanie. Biblia przedstawia je minuta po minucie i ten opis nie zgadza się z naszymi wnioskami. Zbyt wiele sprzeczności - podeszła szybkim krokiem do stanowiska roboczego.

- Co robisz? - Bersei poderwał się z krzesła.

- Zobacz sam - wysunęła drżący palec i dźgnęła kość czołową czaszki. - Widzisz jakieś ślady cierni?

Spojrzał na nią, a potem na czaszkę. Wiedział, o czym mowa. Przystudiował bacznie preparat i nie znalazł nawet najmniejszej rysy.

- Ale to chyba mało prawdopodobne, żeby kolce uszkodziły samą kość? Charlotte obeszła blat i patrzyła teraz na nogi.

- A to? Złamania w kolanach? Nie pamiętam, żeby Biblia o tym wspominała.

Oto próbowała odzyskać utraconą wiarę w momencie, gdy

najbardziej chciała wierzyć w istnienie istoty potężniejszej niż ona sama, a Bersei - czemu właśnie on? - znów niweczył jej wysiłki. Co gorsza, za pomocą naukowych argumentów.

Antropolog rozłożył bezradnie ręce.

- Słuchaj, doskonale wiem, o co ci chodzi. Ja też już sam nie wiem, co o tym sądzić.

Spojrzała na niego bacznie.

- Giovanni, ty chyba nie myślisz, że to naprawdę szczątki Chrystusa? Bersei przecesał palcami włosy i westchnął.

- Zawsze jest szansa, że ten symbol umieszczono tu ku jego czci - powiedział. - Może ten człowiek - wskazał szkielet - był tylko jednym z pierwszych chrześcijan, na przykład jakimś męczennikiem. Może to wszystko jest hołdem złożonym Chrystusowi - wzruszył ramionami. - W gruncie rzeczy skrzynka nie jest podpisana imieniem. Ale jest jeszcze coś. Sama widziałaś profil genetyczny i wiesz, że różni się od profilu przeciętnego człowieka. Muszę przyznać, że jestem skłonny w to uwierzyć.

- Ale to tylko symbol - zaprotestowała. - To ci wystarczy?

Bersei był zaskoczony, że Charlotte tak żarliwie zaprzecza jego teorii. Pomyślał, że sam chciałby tak mocno zaangażować się w tę pracę.

- Chodź, coś ci pokażę - skinął ręką.

- Dokąd idziemy? - zawołała, próbując dotrzymać mu kroku. Odwrócił się, nie zwalniając kroku.

- Zaraz sama się przekonasz.

Lawirując między stanowiskami z aparaturą badawczą, Evan Aldrich zmierzał w stronę przeszklonego pomieszczenia w kącie laboratorium BMS. Wszedłszy do środka, zamknął za sobą drzwi, sięgnął po kitel, wyjął szklaną zamykaną fiolkę i postawił ją obok nowoczesnego mikroskopu. Na sąsiednim blacie stał prototyp skanera, który wyglądał jak opływowa kserokopiarka. Aldrich wyjął parę lateksowych rękawiczek. Rozległo się pukanie i ktoś otworzył drzwi.- Cześć, Evan. Co jest grane?

Podniósł wzrok. Lydia Campbell, szefowa pionu technicznego w dziale badań genetycznych, wsunęła głowę przez drzwi. Aldrich błyskawicznie przykrył dłonią fiolkę.

- Muszę przejrzeć kilka próbek.

- Tych, które badałeś wczoraj? - zerknęła na fiolkę. - Myślałam, że już skończyłeś.

- Tak, tak, muszę tylko coś sprawdzić. Pokręciła z uśmiechem głowę i zamknęła drzwi.

Po godzinie wsunął fiolkę, wypełnioną teraz przejrzystą surowicą, z powrotem do kieszeni. Poczuł nagłą potrzebę opowiedzenia Charlotte o swoim odkryciu i sięgnął po słuchawkę telefonu, żeby po chwili ją odłożyć. Takie rzeczy załatwia się osobiście. Ta sprawa była zbyt delikatna zbyt niesłychana - żeby wspominać o niej w rozmowie telefonicznej albo łatwym do odszyfrowania e-mailu. Przypomniawszy sobie, co powiedziała możliwe, że przedłuży pobyt o kilka dni. Przecież to nie może czekać.

Opuściwszy laboratorium, skierował się prosto do biura i zasiadł za biurkiem. Uruchomił przeglądarkę, zalogował się na stronie Continental Airlines przeznaczonej dla stałych klientów i zarezerwował bilet na pierwszy wolny lot do Rzymu.

JEROZOLIMA

Faruk drżącymi rękami odłożył słuchawkę. Nie mógł w to uwierzyć. To nie był przypadek, że odebrał taki telefon zaledwie parę godzin po porannym zamachu przed Wielką Synagogą. Znał głos rozmówcy z zamierzchłych czasów - z mrocznej przeszłości, która wciąż spędzała mu sen z powiek. Ostatni raz słyszał ten charakterystyczny baryton jedenastego listopada 1995 roku, kwadrans po szóstej. Tego dnia Szin Bet - najtajniejsza i najniebezpieczniejsza jednostka izraelskiego wywiadu - uprowadziła go na jednej z bocznych uliczek Gazy, wciągając do bagażnika furgonetki. Skrępowali mu kończyny i zarzucili na głowę czarny worek. Furgonetka ruszyła pędem i zaczęło się przesłuchanie. Prowadził je człowiek zajmujący obecnie drugie najważniejsze stanowisko w strukturach władzy SOI. W owych czasach temu ambitnemu Izraelczykowi zlecono niewykonalne zadanie: miał wytropić niejakiego Inżyniera - palestyńskiego buntownika o nazwisku Yahya Ayyash, który wspierany przez ugrupowania militarne werbował zamachowców samobójców przeprowadzających w połowie lat dziewięćdziesiątych liczne ataki na izraelską ludność cywilną. Dzięki informacjom wymuszonym od czołowych informatorów Izraelczycy zawężali grono podejrzanych. Jednym z nich był Faruk, który rzekomo miał powiązania z Hamasem - najważniejszą organizacją współpracującą z Inżynierem.

Zanim porywacze wyrzucili Faruka z furgonetki na pustkowiu w pobliżu granicy z Izraelem, zdążyli złamać mu trzy żebra i cztery palce oraz przypalić papierosami klatkę piersiową i wybić siedem zębów.

Z rozbitych warg płynęła mu krew, ale uśmiechnął się, wiedząc, że nie pisnął ani słowa na temat miejsca pobytu Inżyniera. Niestraszny mu żaden Izraelczyk.

Czerpał też niemałą satysfakcję ze świadomości, że krew na jego twarzy nie należała tylko do niego. Choć zakapturzony i skrępowany,

zdołał ugryźć Teleksena w rękę. Wbijał zęby w ciało znienawidzonego Izraelczyka coraz mocniej i mocniej, rzucając głową na boki, aż zerwały się nerwy i rozległ trzask pękniętej kości. Teleksen zawył jak pies.

Niedługo po tym, jak Inżynier został zamordowany w zaciszu własnego domu w Gazie za pomocą naszpikowanego ładunkami wybuchowymi telefonu komórkowego, Ari Teleksen otrzymał stopień generała brygady -Tat-Aluf. Od tamtej pory Faruk widział go zaledwie parę razy, najczęściej na ekranie telewizora. Ze względu na dłoń okaleczoną w Gazie tej pamiętnej nocy nietrudno było go rozpoznać.

A teraz Teleksen miał czelność dzwonić do niego i prosić o przysługę - przynajmniej tak to z początku brzmiało. Po obszernych wyjaśnieniach stało się jednak jasne, że spełnienie tej prośby równie dobrze przysłuży się sprawie, o którą walczył Faruk.

- Akbar! - zawołał w stronę korytarza, powoli dochodząc do siebie. Chwilę później w drzwiach stanął potężny ochroniarz.

Faruk przelotnie zmierzył go wzrokiem.

- Kawał chłopa z ciebie. Mam do ciebie pewną sprawę.

WATYKAN

- Naukowcy wjechali windą na wyższy poziom i drzwi otworzyły się na największą galerię mieszczącą się nad laboratorium - Museo Pio Cristiano. Gdy wyszli z windy, Bersei wyjaśnił półgłosem: Widzisz, Charlotte, przez trzy wieki po śmierci Jezusa pierwsi chrześcijanie w ogóle go nie portretowali. Przedstawiali go jednak za pomocą innych znanych im obrazów.

- Skąd o tym wiesz?

- Istnieją stosowne dowody archeologiczne. I wiele z nich można znaleźć właśnie tu - powiedział, wskazując wzrokiem otaczające ich eksponaty. - Coś ci pokażę.

Krocząc u jego boku, Charlotte wpatrywała się w płaskorzeźby o tematyce chrześcijańskiej, umocowane na ścianach jak potężne kamienne obrazy.

- Znasz tę kolekcję? - zapytał Bersei. Pokręciła głową.

- To relikty z początku czwartego wieku - wyjaśnił. - Wtedy to cesarz Dioklecjan rozpoczął kampanię prześladowań: masowo palił kościoły i zabijał chrześcijan, którzy nie chcieli się wyrzec swojej wiary. Były to również czasy, gdy pierwsi chrześcijanie potajemnie gromadzili się w katakumbach na przedmieściach Rzymu, żeby wspólnie się modlić wśród złożonych tam ciał męczenników i świętych. Niektórzy z nich spoczywali w ozdobnych kamiennych trumnach - wskazał eksponat ustawiony na solidnym podwyższeniu.

- Sarkofag - zauważyła Charlotte, z podziwem przyglądając się zdobieniom.

- Właśnie. Poniekąd krewny żydowskiego ossuarium, które badamy. Wielu wczesnych chrześcijan stanowili nawróceni żydzi. To niewątpliwie za ich sprawą rozwinęły się późniejsze chrześcijańskie obrządki pogrzebowe.

Zatrzymali się przed wysokim na metr marmurowym posągiem.

- Jesteśmy na miejscu - Bersei zwrócił się do Charlotte. -

Wiesz, kogo przedstawia ta rzeźba?

Charlotte zobaczyła młodego mężczyznę o długich kręconych włosach, odzianego w tunikę. Na jego ramionach spoczywała owieczka; mężczyzna oburącz trzymał ją za nogi. Z ramienia zwiślała mu sakwa z lirą.

- Wygląda mi na pasterza.

- Nieźle. To „Dobry Pasterz”, posąg znaleziony w katakumbach. Tak pierwsi chrześcijanie wyobrażali sobie Jezusa.

Charlotte ponownie zmierzyła rzeźbę wzrokiem.

- Chyba żartujesz.

Pasterz miał chłopięcą twarz o łagodnych rysach. Przypominał postać grecką lub rzymską, ale na pewno nie biblijną.

- Bynajmniej. Zakrawa na ironię, co? Pamiętaj jednak, że w tym wyobrażeniu historia Jezusa łączy się z mitologią. Ten posąg nie miał go przypominać. To była próba ukazania ideału, który ucieleśniał: obrońcy, pasterza. W tej rzeźbie można też odnaleźć cechy Orfeusza, greckiego boga sztuki i tańca. Jak niebiańska muzyka Orfeusza oswajała i kołła najdziksze bestie - tu wskazał lirę u boku pasterza - tak i słowa Jezusa poruszały serca nawet najbardziej zatwardziałych grzeszników.

- Tak jak delfin i trójząb reprezentują zbawienie i boskość - teraz już wiedziała, dlaczego ją tu przyprowadził.

- Otóż to.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie oddawali czci ikonom albo krzyżom? Przecież wszędzie ich pełno, pomyślała. Zwłaszcza w Watykanie.

Trudno by było sobie wyobrazić katolicyzm bez wszechobecnego makabrycznego krzyża.

- Po pierwsze, w ten sposób daliby wyraźnie do zrozumienia Rzymianom, że naprawdę są chrześcijanami. W epoce nieustannych prześladowań nie byłoby to zbyt rozsądne z ich strony. Po drugie, pierwsi chrześcijanie nie uznawali ikonografii. Piotr i Paweł wręcz zakazywali takich praktyk. Właśnie dlatego nie istniały wówczas wyobrażenia krzyża. Tak było aż do epoki Konstantyna.

- Znowu on.

- Jak najbardziej. To prekursor współczesnego chrześcijaństwa. To on zmienił reguły. Gdy doszedł do władzy, a było to w czwartym wieku, ukrzyżowania, a nawet instytucje katakumb odeszły w zapomnienie. Właśnie wtedy Chrystus stał się bohaterem zbiorowej wyobraźni: boską istotą. W tym czasie wzniesiono liczne krzyże, zbudowano wielkie katedry i oficjalnie zredagowano Biblię. Mówiąc dosłownie, chrześcijaństwo wyszło z podziemia na światło dzienne.

- Nie do wiary. Program historii w mojej szkole w ogóle nie obejmował tej postaci. I pomyśleć, że to była szkoła katolicka! Szczerze mówiąc, niewiele wiem na ten temat.

Bersei rozluźnił barki i wziął głęboki oddech.

- W 312 roku Cesarstwo Rzymskie było podzielone między dwóch władców: zachodnią częścią rządził Konstantyn, a wschodnią Maksencjusz, jego kuzyn. Konstantyn wierzył, że Sol, bóg słońca, wyznaczył go na jedyne go władcę całego imperium. Dlatego zwołał armię, którą tworzyła grupa bliżej nieokreślonych chrześcijan, i stoczywszy liczne bitwy, przedarł się przez północne Włochy aż na przedmieścia Rzymu, w okolice jedyne go wówczas mostu na Tybrze... Mostu Mulwijskiego. Gdy rozeszły się pogłoski, że armia Maksencjusza jest dziesięciokrotnie liczniejsza, morale chrześcijan gwałtownie opadło. W dniu ostatecznej inwazji na Rzym Konstantyn oddawał o świcie cześć bóstwu solarnemu, gdy ujrzał na niebie cudowny znak w kształcie krzyża: nakładające się na siebie litery X i P, greckie chi i rho, czyli dwie pierwsze litery słowa „Chrystus”. Konstantyn natychmiast obudził swoje wojska i ogłosił, że ich zbawca, Jezus Chrystus, powiedział mu, iż z tym znakiem odniesie zwycięstwo. Władca nakazał kowalom wykuć symbol na wszystkich tarczach i w żołnierzy znów wstąpił bojowy duch. Tego samego dnia dwie armie starły się w krwawej bitwie i jakimś cudem zwyciężył Konstantyn.

- A jego armia przypisała zwycięstwo interwencji Chrystusa?

- Tak. A ponieważ chciał podziękować swoim żołnierzom, a kto wie, może nawet sam poczuł się natchniony upajającą mocą i skutecznością ich żarliwej wiary, zaszczepił chrześcijaństwo na gruncie narodowym. Oczywiście trzba dodać, że chrześcijańskie pojęcie „Boga jedyne go” pasowało Konstantynowi, który sam uważał

się za jedyne go cesarza. Żeby jednak nie rozgniewać boga słońca i uspokoić licznych pogan, którzy dopiero musieli przyswoić sobie nową religię, umiejętnie wplótł we wczesne dogmaty chrześcijańskie wiele pogańskich koncepcji.

- Na przykład?

- Zaczniemy od najprostszych rzeczy - Bersei splótł palce i rozejrzał się wokół - Weźmy taką aureolę. Konstantyn, tak jak Poncjusz Piłat, wybijał własne monety i tak na przykład te wykute w 315 roku, jeszcze przed przejściem całego cesarstwa, przedstawiają bóstwo Sol w aureoli i w powłóczystej szacie. To wyobrażenie natychmiast kojarzy się z późniejszymi obrazami Jezusa.

- Ciekawe.

- Konstantyn połączył też sprytnie święto narodzin Chrystusa z obchodzonym przez pogan przesileniem zimowym, czyli urodzinami Sol, przypadającymi na dwudziesty piąty grudnia. Chyba nie zdziwi cię, jeśli dodam, że chrześcijański dzień święty, kiedyś sobotę (żydowski szabas) także przeniesiono na inny dzień tygodnia.

- Na niedzielę.

- Tak. W czasach Konstantyna była znana jako *dies Solis*, czyli dzień słońca - przytaknął i nagle spochmurniał. - Rządy Konstantyna wiążą się zresztą z czymś znacznie poważniejszym: przejściem od duchowego do materialnego wymiaru zmartwychwstania.

- Co przez to rozumiesz?

- We wczesnych pismach greckich pojawiają się sformułowania, że ciało Chrystusa nie zostało wskrzeszone, lecz uległo transformacji.

- Przecież według Biblii Jezus wyszedł z grobu i ukazał się uczniom, prawda? - wiele lat nauki w szkole katolickiej i wkuwania katechizmu nie poszło na marne.

- Zgoda, Jezus zniknął z grobu - przytaknął, ale po chwili na jego twarzy pojawił się znaczący uśmiech. - Zauważ jednak, że w żadnej z Ewangelii nie jest napisane, jak do tego doszło. W ewangelicznych opisach, w których jest pusty grób, Jezus potrafił też przenikać przez ściany i pojawiać się znikąd. I jak pewnie pamiętasz z Biblii, wielu ludzi, którym się ukazał, w ogóle go nie rozpoznało. To raczej nie są cechy, które można przypisać wskrzeszonemu człowiekowi.

- To dlaczego Kościół kładzie taki nacisk na jego fizyczną śmierć i zmartwychwstanie?

Bersei odpowiedział uśmiechem.

- Oto moja teoria: wpływowym ośrodkiem kulturalnym Cesarstwa Rzymskiego był Egipt, zwłaszcza Aleksandria. Oddawano tam cześć Ozyrysowi, bogu podziemi, który zginął okropną śmiercią z rąk innego boga, Seta. Ściśle mówiąc, został porąbany na kawałki. Małżonka Ozyrysa, bogini życia o imieniu Izyda, pozbierała szczątki jego ciała, odniosła je do świątyni i przez trzy dni odprawiała nad nimi rytuały. Po tym czasie bóg ożył.

- Prawie jak Wielkanoc - przyznała. - Chcesz przez to powiedzieć, że treść Ewangelii została zmieniona?

Obok nich niespiesznie przechadzało się dwoje starszych ludzi, zaciekawionych obecnością pary w białych kitlach. Bersei przysunął się do Charlotte.

- W dużej części są nietknięte, ale pewne kluczowe kwestie zostały poddane nowej interpretacji - objaśnił. - Przypuszczam, że to może być zbieg okoliczności - dodał i wzruszył ramionami. - W każdym razie zmierzam do tego, że w czwartym wieku w Cesarstwie Rzymskim wizja chrześcijaństwa nie była spójna. W obiegu znajdowały się setki ksiąg mniej lub bardziej wiarygodnych.

- Czyli należało rozprawić się z tymi księgami, które nie pasowały do kanonu - domyśliła się Charlotte.

- Tak. Ale ja bym go nie potępiał w czambuł - powiedział Bersei. - Konstantyn próbował zjednoczyć imperium. Konflikty wewnątrz Kościoła na pewno nie pomagały mu zrealizować tej wizji.

- To ma sens - przyznała Charlotte. Odniosła wrażenie, że Bersei wręcz podziwiał Konstantyna.

- Tak czy inaczej, od tego wszystko się zaczęło. Kościół i cesarstwo połączyły nierozzerwalne więzy, korzystne dla obu stron. Przydrożne krzyże, na których wieszano skazańców, zastąpił jeden potężny krzyż nad ołtarzem i Rzym nie musiał już zdobywać posłuchu przemocą. Wystarczyło umiejętnie sterować lękiem przed wiecznym potępieniem. A to wszystko za sprawą genialnego rzymskiego cesarza, który przekształcił oblicze zachodniej cywilizacji.

Charlotte westchnęła i pokręciła głową.

- A mówiłeś, że jesteś porządnym katolickim uczonym.

- Bo jestem - zapewnił.

- Mimo całej tej wiedzy?

- Dzięki całej tej wiedzy. Musisz zrozumieć, że nawet jeśli mamy do czynienia ze szczątkami Chrystusa, nie pozostaje to w sprzeczności z pierwszymi pismami. Na pewno jednak stanowi poważny problem dla Kościoła, który się posunął dość daleko w interpretacjach biblijnych.

- Nie da się ukryć - przytaknęła. - Jak sądzisz, jak zareagowałoby chrześcijaństwo, gdyby ujawniono wyniki badań?

- Zinterpretowałoby to po swojemu. Tak jak każde z nas. Dowody są dość mocne, ale niejednolite. Wierzący nadal by wierzyli, w końcu to nie pierwsza kontrowersyjna kwestia. Nie zrozum mnie źle, świat chrześcijański miałby z pewnością ogromny dylemat. No i poważny problem z wizerunkiem, gdyby dorwała się do tego prasa.

- Nie ma możliwości, że to fałszywka? Bersei ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- To musiałyby być cholernie sprytna mistyfikacja, ale nigdy nic nie wiadomo.

JEROZOLIMA

Gdy Graham Barton wrócił do wynajmowanego apartamentu na drugim piętrze luksusowego wieżowca przy ulicy Żabotyńskiego w nowej części Jerozolimy, było już wpół do dziewiątej. Po tym wszystkim co dzisiaj przeżył, marzył tylko o pełnym kieliszku cabernet sauvignon, telefonie do żony z zapewnieniem, że jest cały i zdrowy, oraz o długim nocnym odpoczynku. Zamach przed Wielką Synagogą pokrzyżował mu plany na cały dzień. Gdy doniesienia o ataku się potwierdziły, Razak natychmiast udał się na naradę z członkami Waqf, żeby ustalić, co robić dalej. W Jerozolimie niemal każdy spędził dzień przed telewizorem w oczekiwaniu na najświeższe informacje. Barton spędził więc resztę dnia w swoim biurze i nadrabiał zaległości w papierkowej robocie. Gdy o szóstej Rachel zapytała go, czy nie ma ochoty przejść się z nią i jej przyjacielem na drinka, musiał użyć całej siły woli, żeby odmówić. Prawda była taka, że marzył o odrobinie rozrywki.

Przez cały dzień niemiłosiernie prześladowały go obrazy krzyży templariuszy, jakby coś próbowało przebić się do jego świadomości i pomóc mu odtworzyć cudowną historię, która tylko czekała na to, by wyjść na światło dzienne.

Dotknąwszy kości Jezusowego dobroczyńcy, zadrećzał się spekulacjami na temat zawartości zaginionego ossuarium i domysłami, kto mógł wiedzieć, jak je odnaleźć.

Teraz, gdy przemoc zataczała coraz szersze kręgi, czuł się w obowiązku znaleźć skuteczne rozwiązanie, które uratuje sytuację. Jednak po wstrząsających doświadczeniach z Gazy zastanawiał się, czy przypadkiem Izraelczycy nie wiedzą więcej, niż utrzymują. Obawiał się także, że bandytom wciąż zależy na tym, by ich odnaleźć - jego i Razaka. Na czyje zlecenie działają? To pytanie nie dawało mu spokoju.

W rzeczywistości do tej pory nie odkrył niczego, co miałyby

znaczenie dla śledztwa - przynajmniej z punktu widzenia władz. Zgodnie z obietnicą na bieżąco kontaktował się ze swoimi informatorami zorientowanymi w światowym rynku antyków, ale jak dotąd nie wykrył niczego podejrzanego.

Był przekonany, że Topól i Teleksen rychło zaczną go nachodzić i dokręcać śrubę.

Gdy wkładał klucz do zamka, na klatce schodowej za rogiem mignęły mu jakieś trzy postacie. Wychylił się i wtedy zza węgła wyszedł zamaszystym krokiem Topól w towarzystwie dwóch krzepkich tajniaków.

Generał skinął pobłaźliwie głową.

- Dobry wieczór, panie Barton.

Anglika ogarnęły złe przeczucia. To stało się szybciej, niż przypuszczał. Wieczorna wizyta policjantów, w dodatku w prywatnym mieszkaniu - to nie wróżyło niczego dobrego. Rzucił okiem na kabury z pistoletami. Jako obywatel Wielkiej Brytanii nie był przyzwyczajony do afiszowania się bronią, więc ten widok zbił go z pantałyku.

- Dobry wieczór, komendancie.

- Dobrze, że pana zastaliśmy - Topól spojrzął na niego nieruchomym wzrokiem. - Nasza wizyta będzie bardziej konstruktywna.

Barton poczuł, jak serce kołacze mu w piersi.

- Niby z jakiej racji?

- Wejźmy do środka - generał pokazał ręką drzwi.

Barton z ociąganiem wszedł do mieszkania i zaświecił światło, a policjanci wtłoczyli się za nim.

W skład apartamentu wliczonego w sowite honorarium zaoferowane przez Izraelską Administrację Zabytków Starożytności wchodził obszerny salon. Barton zaproponował intruzom, by usiedli, ale tylko Topól skorzystał z propozycji. Jego kumple podparli ściany przy drzwiach.

Topól od razu przeszedł do rzeczy.

- Mam nakaz przeszukania apartamentu i liczę na pańską współpracę w tej sprawie.

Barton, kompletnie oszołomiony, nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Jak to? A to w jakim celu?

- Na razie wolałbym nie wdawać się w szczegóły. W każdym razie mam stosowne upoważnienie - machnął urzędowo wyglądającym dokumentem, po czym wręczył go Bartonowi. - Może pan sobie poczytać, a my zajmiemy się swoimi sprawami.

Naturalnie pismo było napisane po hebrajsku. Topól skinął na goryli, a ci zniknęli w sąsiednim pomieszczeniu.

- Muszę pana prosić o opróżnienie kieszeni.

- Co to ma znaczyć? Jestem aresztowany? - Barton nie spodziewał się, że jego telefon do żony będzie się wiązał z prośbą o pomoc prawną. Nie miał pojęcia, jakie są jego prawa w tym kraju. Czy powinien protestować?

- Na razie tylko rozmawiamy - wyjaśnił Topól. - Jeśli sądzi pan, że poczuje się swobodniej na komisariacie, zawsze możemy tam pójść.

Barton ulegle skinął głową.

- Otrzymałem bardzo niepokojący telefon od przedstawicieli Waqf.

- Ach, tak?

- Kieszenie - powiedział stanowczo Topól i gestem wskazał stół. Barton zdał sobie sprawę, że tak czy inaczej generał dopnie swego.

Próbując zachować spokój, zaczął wykladać na stół zawartość kieszeni: portfel, paszport Zjednoczonego Królestwa, klucze do Muzeum Wohla, bilety autobusowe.

- Są podejrzenia, że coś zginęło - ciągnął Topól.

Odgłosy dobiegające z drugiej części apartamentu nie należały do najsubtelniejszych: trzask szuflad i szuranie przesuwanych mebli świadczyły o tym, że przed drobiazgową kontrolą Topola nic się nie ukryje.

Barton z wielką obawą sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął brązową tubę, przekonany, że wzbudzi ona zainteresowanie policjanta. W końcu wy dobył zapakowany w folię welin i złożoną kartkę z transkrypcją tekstu. Wyłożywszy wszystko na stół, spojrzał wyczekująco na Topola.

Generał uniósł brwi i na widok welinu z obcym tekstem przechylił głowę w bok jak zaciekawiony pies, ale na razie na tym poprzestał.

- Od momentu wszczęcia śledztwa podejrzewałem, że w zorganizowaniu skoku musiał pomagać ktoś dobrze poinformowany. Podobne obawy ma zresztą prezes zarządu Waqf. I muszę przyznać, że po usłyszeniu tego, co miał mi dziś do powiedzenia, jestem skłonny przyznać mu rację - Topól przypomniał sobie nocną rozmowę z Teleksenem. Żeby zapobiec dalszemu rozlewowi krwi, trzeba było szybko znaleźć rozwiązanie. Barton ukrył głowę w ramionach.

- Chyba nie bardzo rozumiem, co pan insynuuje.

- Kradzież wymagała niezwykle sprytnego przerzutu broni i materiałów wybuchowych - powiedział Topól z szyderstwem w głosie.

- Nie wspominam już nawet o wyszkolonej ekipie. Takie transakcje mogła koordynować tylko osoba uprzywilejowana. Ktoś, kto ma znajomości na granicy. Ktoś doskonale zorientowany w historii Wzgórza Świątynnego. No i ktoś, kto dokładnie wiedział, jakie skarby kryje ta komnata. Waqf sugeruje, że tą osobą jest pan.

Barton poczuł, że brak mu tchu.

- Pan chyba żartuje. Ja wszystko rozumiem. Wiem, że w związku z tym zamachem trzeba działać szybko, ale...

Dłoń Topola przecięła powietrze.

- Wciąż jeszcze nie odnaleziono izraelskiego śmigłowca i dwóch pilotów...

Barton zauważył, że mówiąc to, Topól nie patrzy mu w oczy. Czyżby wiedział o spotkaniu w Gazie? Czy dotarły do niego informacje o rybaku i wydobytych szczątkach śmigłowca?

- Pewne źródła wskazują, że piloci byli zamieszani w kradzież... pomogli ją zorganizować - dodał Topól. - Może ktoś zwrócił się do nich w tej sprawie. Jakoś ich zachęcił.

- Dobrze pan wie, że nie ma szans, żebym był w to zamieszany - powiedział stanowczo Barton.

Generałowi nawet nie drgnęła powieka.

- Doszły mnie słuchy, że wyrobił pan sobie niezłą renomę, pozyskując rzadkie antyki dla klientów w Europie.

- Dla muzeów - uściślił archeolog.

- To całkiem intratny interes. Mam rację?

Barton nie zamierzał wdawać się w tę dyskusję. Przynajmniej nie pod nieobecność prawnika.

- Zważając na charakter pańskiej pracy dla IAZS ma pan też sporo przywilejów, jeśli chodzi o poruszanie się po Starym Mieście. Wielokrotnie wnosił pan i wyciągał sprzęt bez żadnych ograniczeń... i często bez kontroli.

- Jak mógłbym wnieść do miasta bombę? - ton Grahama Bartona był już pewniejszy. - Przecież wszędzie są wykrywacze.

- To nie takie trudne. Nasi chemicy zbadali pozostałości materiałów wybuchowych. Wszystko wskazuje na to, że w ich składzie brakowało substancji znakującej DMDNB, co uniemożliwiło ich wykrycie. Widzi pan, panie Barton... to materiały wybuchowe stosowane przez wojsko. Może dostarczyli je panu nasi zaginieni piloci.

Jeden z policjantów wpadł nagle do pokoju i na moment rozładował napięcie. W ręce triumfalnie niósł sporych rozmiarów plastikowy futerał.

Barton nieufnie przypatrywał się pudełku. Co to takiego, u licha? Rozmiary wskazywały, że sprawa jest poważna.

Nie ruszając się z miejsca, Topól otworzył futerał i odczytał nazwę wypisaną na czarnej obudowie silnika: Flex BHI822 VR.

- Co ja widzę. Europejska robota - Topól przesunął palcem po długim bębenu zamocowanym do uchwyty. Okrągła nasadka była ostra jak brzytwa. - Nawiertnica. To pańska zabawka?

Gdy powołany przez Topola zespół kryminologów wkrótce po kradzieży badał obszar wybuchu, na posadzce znaleźli porzuconą nawiertnicę. Bez odcisków. Tego ranka Topól postarał się, by z akt sprawy usunięto wszelką dokumentację związaną z tym incydentem.

Twarz archeologa poszarzała.

- W życiu tego nie widziałem - powiedział słabym głosem. Wydawało mu się, że odgłosy stają się coraz bardziej przytłumione, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Czy to przypadkiem nie jest sen?

- A co my tu mamy? - Topól nachylił się i podniósł ze stołu welin, przyglądając mu się uważnie. - Czyżby starożytny dokument? -

rozłożył kartkę papieru, na której była kopia i transkrypcja tekstu. - Bibliista ze mnie żaden, panie Barton, ale jak na mój gust to jest tu coś o grobowcu pod górą Moria. Sam już nie wiem, czy to pamięć mnie zawodzi, czy Józef z Arymatei miał coś wspólnego z Jezusem Chrystusem? A nie jest przypadkiem bohaterem legend o świętym Graalu, relikwii bezcennej dla chrześcijan?

Sarkazm w głosie Topola tylko potwierdził jego podejrzenia, że komendant wie już o zwoju. Pot wystąpił mu na czoło. Wydawało mu się, że ściany zaciskają się wokół niego.

- Dostał pan zezwolenie na prowadzenie prac na miejscu przestępstwa, a w zamian zafałszował pan kluczowe dowody - zdrapał inskrypcje ze ściany i wyniósł pozostałe ossuaria.

- Co takiego? - Barton był przerażony. - Czy pan całkiem oszalał?

- Niech pan nie udaje. Waqf twierdzi, że pozostałe dziewięć ossuariów zapadło się pod ziemię. Wygląda na to, że złodziej jest jeszcze wśród nas.

Zniknięcie ossuariów naprawdę go zaniepokoiło, ale jeszcze większe wrażenie zrobiła na nim pierwsza część oskarżenia.

- Zdrapałem ze ściany inskrypcje? O czym pan mówi?

Topól był na to przygotowany. Wyjął zza pazuchy zdjęcie i podał je Bartonowi.

- Proszę bardzo. To zdjęcie zrobili moi kryminolodzy dzień przed pana przybyciem.

Barton spojrział zdumiony na zdjęcie przedstawiające obramowaną kamienną tablicę przymocowaną do ściany krypty. Widniało na niej dziewięć imion... i bardzo wyraźny relief przedstawiający delfina owiniętego wokół trójzębu. Widział już ten symbol i doskonale znał jego pochodzenie, ale teraz nie miał do tego głowy. Najpierw musiał się pozbierać.

- Kiedy się zgodziłem uczestniczyć w tym projekcie, nie oczekiwałem, że ktoś mnie tak paskudnie wrobi.

Topól pominął tę uwagę milczeniem. Tymczasem zjawił się drugi policjant i komendant bez słowa wskazał Bartona.

PARYŻ, FRANCJA 18 MARCA, 1314

Jakub de Molay, ze skrępowanymi z tyłu rękami i pod eskortą strażników, piął się po stopniach na drewniany szafot ustawiony przed katedrą Notre Dame. Spojrzawszy na budowlę, którą niegdyś uznawał za wspaniałe, monumentalne dzieło architektury, de Molay dostrzegł jedynie kamienny szkielet gigantycznego demona - łuki przyporowe wyglądały jak potężne żebra, bliźniacze iglice jak rogi, a przeszklona rozeta jak olbrzymie, złowrogie oko. Słyszał szmer Sekwany opływającej tle de la Cité; odcinała maleńką wyspę od reszty Paryża, jakby ją opanowała epidemia. Popatrzył na wejście do katedry, gdzie siedzieli zgromadzeni prałaci papiescy, i próbował odszukać wzrokiem szpetną gębę Klemensa. Przekłętemu zdrajcy, który nawet nie próbował nic wskórać u króla Filipa w sprawie odbudowania zakonu, najwyraźniej zabrakło odwagi albo przyzwoitości, żeby się tu zjawić. Pośrodku zasiadało trzech kardynałów, pełniących rolę egzekutorów.

Sfingowany proces przyciągnął tłumy, które tylko czekały na to, by zobaczyć upadłego bohatera w obliczu ostatecznej klęski. De Molay, stojąc na złowieszczym podium, czuł się jak aktor monodramu, dopóki strażnicy nie wpełchnęli po schodach kolejnych wysoko postawionych dostojników zakonnych.

Jakub de Molay spojrzał na nich z dumą. Oto u jego boku stali: God-fryd de Charnay, Hugo de Pairaud i Godfryd de Gonnevillle - ludzie honoru, którzy godnie służyli zakonowi. Niestety oni także przebywali we Francji siedem lat wcześniej, gdy wojska Filipa przeprowadziły podstępłą obławę na templariuszy.

Farsa rozpoczęła się od ognistych przemów wygłaszanych przez księży o ciętych językach, podburzających tłum stekiem oskarżeń i fałszywych zarzutów pod adresem templariuszy. Szczególną uwagę poświęcono drastycznym opisom aktów sodomii i satanizmu, ponieważ właśnie takimi zmyślonymi opowieściami najlepiej karmiła

się wyobraźnia motłochu. Następnie, ku kompletnemu zdumieniu de Molaya, duchowny głośno odczytał rzekomo podpisany przez winowajcę dokument z wyznaniem winy. Dokument, który wielki mistrz widział po raz pierwszy w życiu.

Te wszystkie oszczerstwa paliły go w uszy jak rozżarzone węgle, ale zachował spokój. Tylko od czasu do czasu zerkał na kamienne gargulce łypiące krzywo z fasady katedry Notre Dame.

Zapadła cisza jak makiem zasiał, gdy jeden z kardynałów powstał, wymierzył palec w wielkiego mistrza i wykrzyknął:

- A ty, Jakubie de Molay, diabelskie nasienie stojące na czele tego bezbożnego zakonu, cóż odrzekniesz na te oskarżenia? Czy pragniesz raz na zawsze wyznać swoją winę i potwierdzić, że te wyznania padły z twoich ust, a tym samym odzyskać godność przed Bogiem?

De Molay patrzył na kardynała, zdumiony, że kiedyś tak lojalnie służył ludziom takim jak on. Tak wielu templariuszy zginęło na Ziemi Świętej w imię Chrystusa. Miał ochotę wykrzyknąć wszystkie kłamstwa, które szerzyli od wieków ci świętoszkowaci dranie, by zakwestionować poświęcenie zakonników. Wiedział jednak, że nikt nie uwierzy w niesłychane opowieści, które zasłyszał, i w istnienie równie niezwykłych relikwii, wciąż jeszcze ukrytych pod fundamentami Świątyni Salomona w Jerozolimie i stanowiących potwierdzenie tych niesamowitych historii. Ponieważ nie mógł tego w żaden sposób udowodnić, sprzeciw jeszcze bardziej zszargałby jego reputację i zaprowadził prosto w ręce katów. Jedyłą jego pociechą była świadomość, że pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw... i biada tym, którzy próbowali jej zaprzeczać, pomyślał. Był pewien, że ci ludzie nie ustąpią, dopóki go nie zniszczą. Wiedział, że bez względu na to, czy zginie dziś, czy będzie powoli konał w jakiejś zatechłej celi, jest zgubiony, ponieważ król musi zrealizować swój nikczemny plan.

Wielki mistrz spojrzał trzem przyjaciółom w oczy i za cienką zasłoną lęku dostrzegł ich determinację. Więzy braterskie przetrwały do samego końca.

De Molay odchrząknął i przeniósł wzrok na kardynała.

- Gdy ci, którym tak wiernie służyłem, chcą teraz odebrać mi życie, mam prawo sprostować wszystkie kłamstwa, które tu padły, i

poświadczyć osobiście jedyną prawdę. Przed Bogiem i tymi wszystkimi, którzy są świadkami tej niesprawiedliwości - powiódł wzrokiem po tłumie - chcę dać świadectwo niecnym występkom. Ale nie tych zmyślonych przez moich oskarżycieli - jego spojrzenie powędrowało w stronę kardynała. - Jestem winien tylko wstydu i hańby, które znosiłem, cierpiąc katusze pod groźbą śmierci po to, żeby obecni tu kaci mogli przedstawić swoje ohydne zarzuty przeciwko zakonowi templariuszy. Oznajmiam zatem, że ci oto szlachetni rycerze, którzy służyli Kościołowi w obronie chrześcijaństwa, zostali niezasłużenie oczernieni. Ani myślę przynosić hańbę moim braciom i dokładać kolejne wierutne kłamstwo.

Kardynał, zdumiony bezczelnością skazańca, przez dłuższą chwilę stał jak wryty i wreszcie oświadczył:

- Skoro cofasz zeznanie złożone pod przysięgą, nie pozostawiasz mi wyboru. W imieniu króla Filipa skazuję cię na śmierć w płomieniach.

De Molay uśmiechnął się blado. Wreszcie nadejdzie kres.

Kardynał zwrócił się do pozostałych templariuszy, skazując ich na dożywotnie więzienie. De Molay nie wierzył własnym uszom, gdy Hugo de Pairaud i Godfryd de Gonnevillle przyznali się do zarzutów.

Wtedy kardynał zażądał tego samego od Godfryda de Charnay.

A w niego jakby coś wstąpiło. Wyszczrzył zęby i krzyknął:

- Wszystkie zarzuty przeciwko mnie to oszczerstwa! Bóg mi świadkiem, te kłamstwa mają jedynie służyć interesom godnego wzgardy papieża i tego łajdaka, króla. Jedyńm prawym człowiekiem, jakiego tu widzicie, jest Jakub de Molay. Poszedłem za nim na pole bitwy i teraz pójdę za nim do królestwa niebieskiego.

W kardynale aż się zagotowało.

- Jak sobie życzysz, panie!

Jakuba i Godfryda przewieziono łodzią na sąsiednią f le des Javiaux, do miejsca, w którym spalono już żywcem wiele dziesiątków templariuszy.

Słońce znikło w oddali i Paryż spowiły ciemności.

Gdy skazańców doprowadzono do dwóch pali, poczerniałych od zwęglonych ciał, de Molay odwrócił się do drugiego zakonnika. Po

latach tortur i niewoli po de Charnayu został tylko cień dawnego mocarnego wojownika, którego znał z Ziemi Świętej, ale jego twarz była nadspodziewanie stanowcza.

- Nie zapomnij, co pozostało po nas w Jerozolimie - powiedział de Molay. - Wkrótce Pan sprawiedliwie wynagrodzi ci twą posługę i ofiarę. A jego dzień sądu nadejdzie już wkrótce, Godfrydzie. Spełniłeś najszlachetniejszy z uczynków. Służyłeś Bogu. Opuść to marne ciało i nie oglądaj się za siebie. Jeszcze dziś twoja dusza będzie wolna.

- Niech cię Bóg błogosławi, Jakubie - odpowiedział de Charnay. - Posługa u twego boku była dla mnie zaszczytem.

Gdy zbrojni przyparli de Molaya do słupa, zwrócił się do nich.

- Nic wam już nie grozi z mojej strony - powiedział. - Rozwiążcie mi ręce, bo chcę spędzić ostatnie chwile na modlitwie.

Strażnicy niechętnie przecięli mu więzy na nadgarstkach, a ciało przywiązali do słupa ciężkimi łańcuchami. Drewno spiętrzone wokół de Molaya było jeszcze świeże. Na wyraźny rozkaz króla Filipa agonía de Molaya miała być długa.

Obejrzawszy się przez ramię, de Molay po raz ostatni podziękował de Charnayowi, przykutemu po drugiej stronie słupa. Gdy wzniecono ogień, odezwały się dzwony katedry Notre Dame.

Fala gorąca uderzyła stopy i nogi starego człowieka, a potem języki ognia zaczęły powoli ogarniać dolną część jego ciała. Kiedy płomień rozpalił się mocniej, jego stopy poczerniały i pokazały się na nich czerwone pęcherze. Ogień buchnął ze zdwojoną siłą i gdy płomień powoli pełzły po jego nogach, de Molay zaczął krzyczeć w męczarniach. Splótł dłonie, wznosił je do nieba i zawołał:

- Niechaj zło dosięgnie tych, którzy nas fałszywie potępili! Niechaj Bóg nas pomści i wtrąci ich do piekieł!

De Molay poczuł, jak uchodzi z niego duch. Morze ognia pochłonięło wielkiego mistrza zakonu templariuszy, a jego ziemskie szczątki jaśniały na nocnym niebie jak oślepiająca pochodnia.

PIĄTEK
RZYM

Giovanni Bersei, bosy i odziany tylko w szlafrok, otworzył drzwi przyjemnego domu położonego naprzeciw wypielegnowanego parku Villa Borghese i podniósł z progu poranne wydanie „Il Messaggero”. Słońce zaczynało dopiero rzucać niebieskawy blask na dachy okolicznych budynków, a latarnie wzdłuż pustej ulicy nie zdążyły jeszcze zgasnąć. Jego ulubiona pora dnia. Już miał zamknąć za sobą drzwi, gdy jego wzrok padł na fragment metalowej balustrady zwisający smętnie przy pokrytej stiukami elewacji. Car-mela od dobrych trzech tygodni prosiła go, żeby to naprawił. Obiecał sobie, że dziś wreszcie się tym zajmie. Zamknął drzwi i pomaszerował prosto do kuchni.

Minutnik zadziałał i dzbanek z kawą był już pełny. Bersei nalał sobie kawy do kubka i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, rozkoszując się błogą ciszą. Trzymał oburącz ciężki ceramiczny kubek, powoli sączył kawę i delectował się jej bogatym głębokim aromatem. Dlaczego łyk dobrej kawy jest taki szczególny? Według niego był to najlepszy eliksir na świecie.

Tej nocy nie spał zbyt dobrze. Jego myśli bezustannie krążyły wokół ossuarium, szkieletu i przedziwnego symbolu. Myśl, że być może dotykał szczątków ciała Jezusa Chrystusa, sprawiła, że poczuł się zawstydzony i niemal bezbronny, i tym gorliwiej szukał wyjaśnienia. Bersei był praktykującym katolikiem - wierzył w najbardziej przejmującą opowieść w dziejach ludzkości. Co niedzielę chodził do kościoła i często się modlił. A dziś rano miał opowiedzieć władzom Watykanu, czego się dowiedział. Czytokołwiek zdołałby wyjaśnić to, co mu się przydarzyło w ostatnich dniach?

Podrapał się po zarośniętym policzku, założył okulary i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę gazety. Nagłówek u dołu głosił: „Echa kradzieży na Wzgórzu Świętynnym. Muzułmanie i Żydzi oburzeni”.

Zignorował to i przeszedł do dowcipów rysunkowych. Po chwili coś go tknęło i spojrzął znów na pierwszą stronę.

Choć bliżej niesprecyzowane polityczne napięcia na Ziemi Świętej od dawna dostarczały pożywki mediom, zauważył, że w ostatnich dniach pojawiają się częściej niż zwykle. A może po prostu przez te wszystkie opowieści o starożytnej Judei, Poncjuszu Piłacie i ukrzyżowaniu zaczął zwracać na nie baczniejszą uwagę. Ten artykuł zilustrowano zdjęciem Izraelskich żołnierzy i policjantów odpierających tłum agresywnych demonstrantów tuż przy słynnej Ścianie Płaczu - zachodnim murze Wzgórza Świątynnego.

Rzucił okiem na treść.

Po piątkowym incydencie na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie muzułmańskie władze żądają od izraelskiego rządu ujawnienia szczegółów tajemniczego wybuchu, który spowodował znaczne straty. Także żydowska opinia publiczna domaga się wyjaśnień w związku ze śmiercią trzynastu żołnierzy Sił Obronnych Izraela, zabitych w strzelaninie, która się rozpętała wkrótce po wybuchu. Jak dotąd władze potwierdziły jedynie, że rzekomi napastnicy zbiegli ze Wzgórza Świątynnego, korzystając z izraelskiego śmigłowca wojskowego...

- Nie podoba mi się to - mruknął pod nosem.

...Władze Izraela są krytykowane za lekceważenie pogłosek mówiących, że incydent ma coś wspólnego ze zniknięciem religijnych artefaktów.

- Religijnych artefaktów?

- Mówiłeś coś, skarbie? - Carmela pojawiła się w drzwiach w białoniebieskiej podomce zarzuconej na jedwabną pizamę. Pochyliła się i cmoknęła go w głowę, po czym podeszła do kredensu po kubek, szurając po kafelkach włochatymi różowymi kapciami.

- Nic takiego. Czytam o tym całym zamieszaniu w Izraelu.

- Ci to chyba nigdy się nie dogadają - powiedziała i naląła sobie kawy do ulubionego kubka w kształcie głowy słonia z trąbą w charakterze uchwytu. - Tylko by się zabijali.

- Na to wygląda - przytaknął. Widząc ją bez makijażu i z potarganymi włosami, uśmiechnął się sam do siebie. Niejedno już

razem przeżyli.

Przeniósł uwagę z powrotem na gazetę. W dalszej części artykułu pojawiła się informacja, że po raz kolejny podjęto starania o zawarcie bardziej oficjalnego i długotrwałego porozumienia pokojowego między Izraelczykami i Palestyńczykami.

- Wrócisz dziś wcześniej?

- Postaram się - powiedział nieprzytomnie.

Carmela obniżyła brzeg gazety, żeby przyciągnąć jego uwagę.

- Pomyślałam sobie, że może wybierzemy się do tego nowego bistro, o którym wspominali Claudio i Anna-Maria.

- Oczywiście, kochanie. Już się cieszę. Zarezerwujesz stolik na ósmą?

- A może przed wyjściem uda ci się jeszcze naprawić balustradkę?

- Zobaczymy, co da się zrobić - odpowiedział Bersei z uśmiechem.

- Idę na górę wziąć prysznic - łyknęła kawy i odeszła, szurając kapciami.

Bersei wrócił do artykułu i natychmiast poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pięścią w brzuch. Ze szpalty spoglądał na niego portret pamięciowy człowieka, który aż nazbyt wyraźnie kogoś mu przypominał.

Zerknął na podpis pod zdjęciem i głośno przeczytał jego treść:

- Podejrzany to biały mężczyzna o wzroście około 180 centymetrów i wadze około 88 kilogramów. Zdaniem władz podróżuje pod przybranym nazwiskiem Daniel Marrone. Ktokolwiek zna miejsce pobytu...

Nagle poczuł się jak w filmie. Opadł z powrotem na krzesło.

Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mu do głowy, było takie, że Watykan jest w jakiś sposób zamieszany w wydarzenia w Jerozolimie. Ale to przecież było niemożliwe. A może się mylił?

Próbował zrekonstruować zdarzenia z ostatnich dni. Według doniesień do kradzieży doszło w piątek. Dokładnie tydzień temu. Charlotte i on przybyli do Watykanu niedługo potem. Ona przyleciała w sobotę po południu, a on pojawił się tam w poniedziałek rano, niedługo przed tym, jak ojciec Donovan i Salvatore Conte powrócili z tajemniczą skrzynią.

Wszystko jasne. Przypomni sobie lady tkaniny odbite na patynie pokrywajcej ossuarium i nie podejrzewa ju nikogo o niedbalstwo. Chodzio raczej o popiech. Czyby kradzie?

Pamita min ojca Donovana, gdy otwiera skrzyni. Na jego twarzy malowa si niepokj... i co jeszcze. Bersei mia przed oczami etykiet ze skrzyni. Bari, miejsce ostatniego spoczynku witego Mikoaja. Ruchliwy kurort na wschodnim wybrzeu Woch, nad Adriatykiem, z poaczeniami morskimi do krajw basenu Morza ródziemnego...czyli take z Izraelem. Bari dzielio od Rzymu jakie picset kilometrw - prawdopodobnie niecae pic godzin jazdy pocigiem. Inaczej wygldaa sprawa z odlegoci od wybrzey Izraela. Dobrze dwa tysiące kilometrw.

Kto musiaby mie niesychanie szybk od, pomyla. Zakadajc, e podroowa z prdkoci dwudziestu wzw - czyli jakichs trzydziestu siedmiu kilometrw na godzin, mg przebyc ten dystans w dwa dni. Dwa i p dnia na morzu plus p dnia podroy przez Wochy - wszystko si zgadzao.

Wroci do artykuu. Trzynacie ofiar wród onierzy izraelskich. lodzieje nie byli amatorami. Nie zostawili adnych znaczących ladw.

Czy Watykan naprawd byby zdolny do przeprowadzenia podobnej operacji? A izraelski migowiec, którym si posuono? Nie, to nie miao sensu. Ojciec Donovan - na litoc bosk, w koncu duchowny - nigdy by si do tego nie posun..

Ale ten Salvatore Conte... znw spojrz na portret pamiciowy i nagle ogarn go lk.

Przysza mu do gowy jeszcze inna wersja zdarze. Moe Watykan odkupi ossuarium od lodzieja, kimkolwiek by, i przypadkowo wplta si w t historię? Nawet jeli tak si stao, to podobna sytuacja moga szybko obroci si przeciwko Stolicy Apostolskiej. Podejrzenie o wspudzia byo cakiem realne. Co do jednego nie mia watpliwoci: relikwie znajdujce si w watykaskim podziemiu zdobyto w bardzo niejasnych okolicznociach.

Bersei toczy wewntrzn walk. Co dalej? Czy powinien si poradzi Charlotte? A moe zgosic to wadzom?

Nie można stawiać niedorzecznych tez bez odpowiednich dowodów, uznał w końcu.

Odłożył gazetę, podszedł do telefonu i poprosił o połączenie z miejscowym posterunkiem *carabinieri* - włoskiej żandarmerii wojskowej, której funkcjonariusze przechadzają się ulicami Rzymu z pistoletami maszynowymi, jakby w kraju panował wieczny stan wojenny. Gdy usłyszał w słuchawce głos młodego mężczyzny, poprosił o rozmowę z miejscowym oficerem śledczym. Bersei odpowiedział na kilka krótkich pytań i dowiedział się, że powinien się skontaktować z detektywem Armandem Perardim, który najpewniej pojawi się na posterunku około dziewiątej trzydzieści.

- Czy mógłbym nagrać dla niego wiadomość? - zapytał Giovanni po włosku.

Rozległ się trzask i przez kilka sekund było cicho, po czym w słuchawce dał się słyszeć ponury głos detektywa Perardiego. Giovanni poczekał na sygnał i nagrał zwięzły komunikat z prośbą o poranne spotkanie w sprawie możliwych związków Rzymu z kradzieżą w Jerozolimie. Zostawił numer telefonu komórkowego. Na razie nie wspominał nic o Watykanie. To niewątpliwie skomplikowałoby sprawę, ponieważ Watykan jest niezależnym państwem. Odłożył słuchawkę i popędził się ubrać. Musiał działać szybko.

Zostawił skuter na zastrzeżonym parkingu przed gmachem Muzeów Watykańskich i szybko wszedł tylnymi drzwiami do Museo Pio Cristiano.

Drzwi windy otwały się i gdy zobaczył korytarz sutereny, na moment ogarnęła go panika. Miał nadzieję, że nikomu nie przyszło do głowy kręcić się tu tak wcześnie. Spojrzał na zegarek - była 7:32.

Musiał zrobić to sam. Nie mógł wciągać w to Charlotte Hennesey. W końcu mógł się mylić.

Gdy wyszedł z windy, wydawało mu się, że korytarz nagle ożył. Tak chyba musiał czuć się Jonasz w brzuchu wieloryba. Stąpając ostrożnie, doszedł do drzwi laboratorium i otworzył je za pomocą karty magnetycznej. Obejrzał się przez ramię i upewniwszy się, że korytarz nadal jest pusty, dał susa do środka, po czym skierował się prosto w stronę ossuarium.

Gwoździe i monety leżały na tacce, tak jak je zostawił. Obok nich spoczywała tuleja ze zwojem - ostatnia z tajemnic ossuarium. Było w niej coś szczególnie intrygującego. Jeśli jego przeczucia się sprawdzą, nie będzie miał już możliwości odczytania dokumentu. A coś nakazywało mu sądzić, że zawiera on ważne wskazówki dotyczące pochodzenia relikwii.

Po zbadaniu ossuarium i jego zawartości nabrał przekonania, że skrzynka pochodzi z terytorium Izraela. Zarówno typ skały, jak i patyna pokrywająca ossuarium były charakterystyczne dla tego regionu. Spojrzał na szkielet rozłożony na blacie - także kości zdawały się potwierdzać pochodzenie relikwii. W pierwszym wieku w Judei ukrzyżowania były na porządku dziennym. Bersei jeszcze raz przyjrzał się ossuarium. Przesunął palcami po wczesnochrześcijańskim symbolu Chrystusa - elemencie, który ostatecznie rozwiął wątpliwości.

Wszystkie te fakty świadczyły na niekorzyść Watykanu. Bersei zganił się w duchu, że nie pomyślał o tym wcześniej. To wszystko brzmiało jednak zbyt nieprawdopodobnie.

Podniósł tuleję, zdjął jej wieczko i wydobył zwój. Gdy delikatnie rozwijał kawałek wyprawionej skóry, serce waliło mu jak oszalałe. Szybko rozejrzał się po wnętrzu laboratorium. Miał wrażenie, że wpatrują się w niego niewidzialne oczy.

Dręczyły go uporczywe pytania. Jak to możliwe, że znalezisko o tak doniosłym znaczeniu tak długo było okryte tajemnicą? Jeśli rzeczywiście były to kości Jezusa - albo nawet kogoś innego z jego epoki - to dlaczego nie wskazywały na to żadne dokumenty? I bez względu na to, kim był ten człowiek, jak to się stało, że Watykan odkrył tajemnicę dopiero teraz, po dwóch tysiącach lat?

Ocknął się z zadumy i znów spojrzął na zwój.

Gdy delikatnie wygładził cielecą skórę, poczuł gwałtowny przypływ sprzecznych emocji. Był przekonany, że to starożytne pismo może stanowić ostateczny trop, a nawet potwierdzić lub zweryfikować prawdziwą tożsamość zmarłego.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że podobnie jak kości i pozostałe relikwie, zwój jest w znakomitym stanie. Co zawiera? Możliwości było wiele. Ostatnią wolę i testament zmarłego? Modlitwę

żałobną, zamkniętą w tubie przez osoby, które dokonywały pochówku? Kto wie, może nawet orzeczenie wyjaśniające, dlaczego ten człowiek został ukrzyżowany.

Podnosząc pismo, nie mógł opanować drżenia rąk.

Tekst napisano czymś w rodzaju inkaustu. Gdy Bersei przyjrzał mu się bliżej, zorientował się, że autor posługiwał się *koine* - greckim dialektem, określanym czasem jako greka nowotestamentowa. W Cesarstwie Rzymskim język ten funkcjonował jako nieoficjalny *lingua franca* aż do czwartego wieku.

Nasuwał się więc pierwszy oczywisty wniosek, że autor - prawdopodobnie Rzymianin - był człowiekiem wykształconym.

Pod tekstem znajdował się niezwykle szczegółowy rysunek, wyglądający bardzo znajomo.

Kiedy Bersei przeczytał zwięzły i logiczny komunikat, poczuł, że skrajne napięcie zaczyna opadać. Przez chwilę siedział w milczeniu.

Przeniósł wzrok na rysunek i znów odniósł wrażenie, że już go gdzieś widział. Zmarszczył czoło i wpatrywał się weń uważnie. Skup się. Skup się.

Wtedy go olśniło i aż pobladł. Ależ oczywiście.

Z pewnością zetknął się już z tym obrazem, a miejsce, które na nim odwzorowano, znajdowało się na peryferiach Rzymu, zaledwie kilka kilometrów od centrum. Nie miał wątpliwości, że gdy tylko zrobi swoje, musi się tam bezzwłocznie udać.

Podskoczył do stojącej w kącie kserokopiarki, rozprostował dokument na szkle, zamknął pokrywę i wcisnął przycisk. Gdy kopia była gotowa, wsunął zwój z powrotem do tulei i odłożył ją na tacę, obok pozostałych relikwii. Złożył kartkę papieru i wsunął ją do kieszeni.

Gdy zabrał się za gromadzenie dowodów potwierdzających zarzuty pod adresem Watykanu, natychmiast poczuł paniczny lęk o własne bezpieczeństwo. Wiedział jednak, że do wszczęcia dochodzenia karabinierzy będą potrzebowali szczegółowych informacji.

Ledwie panując nad nerwami, podłączył laptop do głównego terminalu i zaczął kopiować pliki na twardy dysk: pełną charakterystykę szkieletu, zdjęcia ossuarium i pozostałych relikwii,

wyniki analizy węglowej - wszystkie dostępne dane.

Znów spojrzął na zegarek - 7:46. Czas go naglił.

Po zakończeniu kopiowania wyłączył laptop i zapakował do torby. Wynoszenie czegokolwiek innego byłoby zbyt podejrzane.

- Cześć, Giovanni - dobiegł go znajomy głos.

Obejrzał się gwałtownie. Charlotte. Nawet nie słyszał, kiedy weszła. Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że Bersei źle wygląda.

- Stało się coś?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Wcześniej dziś przyszłaś.

- Nie mogłam spać. Wybierasz się gdzieś? - Wygląda na skrajnie roztrzęsionego, pomyślała.

- Tak, umówiłem się z kimś. Charlotte spojrzała na zegarek.

- Ale zdążysz na spotkanie? Wyprostował się i przewiesił przez ramię torbę.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Wypadło mi coś ważnego.

- Ważniejszego niż nasza prezentacja? Unikał jej spojrzenia.

- Widzę, że coś jest nie tak, Giovanni. Powiedz mi, co się dzieje. Omiótł wzrokiem ściany, jakby słyszał wokół jakieś głosy.

- Nie tu - powiedział. - Chodźmy na zewnątrz.

Otworzył drzwi i wystawił głowę na korytarz. Pusto. Dał jej znak ręką. Wymknął się bezszelestnie z laboratorium, a Charlotte poszła w jego ślady i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Salvatore Conte siedzący w prowizorycznym pokoju monitoringu ani drgnął. Dopiero gdy w korytarzu ucichły kroki, sięgnął po słuchawkę.

Santelli odebrał po drugim sygnale i półprzytomny głos wskazywał, że dzwonek wyrwał go ze snu.

- Mamy poważny problem.

Kardynał spodziewał się, co usłyszy. Odchrząknął i zapytał:

- Zorientowali się?

- Tylko Bersei. Właśnie kieruje się do drzwi z kopią wszystkich materiałów. Idzie na spotkanie z *carabinieri*.

- Wielka szkoda - w słuchawce przez chwilę panowała cisza, po czym rozległo się westchnienie. - Wiesz, co masz zrobić.

- Póki się znajdowali w murach muzeum, Bersei nie puścił pary z ust. Po wyjściu skierował się prosto na parking, a Charlotte drobila za nim pospiesznie, próbując dotrzymać mu kroku. Wydaje mi się, że Watykan jest zamieszany w jakąś podejrzaną historię - powiedział ściszym głosem. - Mam na myśli ossuarium.

- Co ty opowiadasz?

- Nie mam czasu teraz ci tego wyjaśniać, zresztą nawet nie wiem, czy się nie mylę - wsunął torbę z laptopem do schowka z tyłu skutera i założył kask.

- Ale w związku z czym? - zaczynała ją to przerażać.

- Lepiej będzie, jeśli na razie się nie dowiesz. Zaufaj mi i nie martw się, na razie nic ci tu nie grozi.

- Giovanni, bardzo cię proszę.

Bersei bez słowa wsiadł na skuter, włożył kluczyk do stacyjki i zapuścił silnik.

Charlotte złapała go za ramię.

- Nigdzie się nie ruszysz - oznajmiła w huku rozklekotanego silnika - dopóki nie powiesz mi, co tu jest grane.

Bersei spojrzał na nią i westchnął ciężko. Był wyraźnie zmartwiony.

- Według mnie ossuarium pochodzi z kradzieży. To może mieć coś wspólnego z napadem w Jerozolimie, w którym zginęło wiele osób. Muszę z kimś pogadać o tym, czego się dowiedziałem.

Charlotte zastanawiała się przez chwilę.

- Jesteś pewien? To bardzo odważna teza, nie sądzisz?

- Nie, nie jestem pewien. Właśnie dlatego na razie chcę cię przed tym uchronić. Wiem, że podpisaliśmy zobowiązania. Jeśli się okaże, że nie mam racji, będę miał problemy. Nie chcę cię w to wciągać.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Bersei wzdrygnął się na widok twarzy, która się pojawiła za szybą muzealnych drzwi.

- Najlepiej udawaj, że o niczym nie wiesz. Mam nadzieję, że to wszystko okaże się pomyłką - spojrzał na jej rękę. - A teraz puść mnie,

proszę.

Charlotte rozluźniła uścisk.

- Uważaj na siebie.

- Nie martw się.

Patrzyła, jak znika za węglem.

Gdy drzwi windy się rozsunęły, Charlotte zawahała się przez chwilę i w końcu wyszła na korytarz w podziemiu. Szła z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nie wiedzieć czemu, nagle zrobiło jej się zimno.

To niemożliwe, żeby Watykan był zamieszany w kradzież, tłumaczyła sobie. Ale po co w takim razie zadaje się z takim ciemnym typem jak Salva-tore Conte? Nie ulegało wątpliwości, że akurat on byłby zdolny do przemocy i innych paskudnych zachowań. A jeśli Giovanni ma rację? Co wtedy?

W połowie drogi do laboratorium zobaczyła, że jedne z rzędu masywnych metalowych drzwi są lekko uchylone. Wcześniej wyglądało to inaczej - była o tym przekonana. Dotychczas wszystkie drzwi w tym korytarzu były pozamykane, przypuszczalnie na zamek. Czyżby oprócz nich ktoś tu jeszcze urzędował?

Zaintrygowana, podeszła do drzwi i zapukała.

- Halo! Jest tam kto? Cisza.

Zawołała ponownie. Nic.

Wyciągnęła lewą rękę i pchnęła drzwi. Otworzyły się bez sprzeciwu.

Widok był zastanawiający.

Weszła do ciasnego pomieszczenia i stanęła przed bardzo osobliwą stacją roboczą - rzędy monitorów, komputer, zestaw słuchawek. Podążyła wzrokiem za plątaniną kabli, które wychodziły z komputera, pięły się po ścianie i znikwały w ciemnym otworze pod sufitem, skąd wyjęto jeden panel.

Urządzenia pozostawały w trybie czuwania. Na ekranie wyświetlał się pokaz slajdów przedstawiających nagie kobiety w mocno wyzywających pozach. Coś pięknego.

Usiadła w fotelu przy komputerze i zaczęła się zastanawiać, czemu to wszystko ma służyć. Najwyraźniej ktoś podłączył te urządzenia na szybko, bo pomieszczenie przypominało bardziej wnękę niż biuro.

Nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła rękę i wcisnęła klawisz klawiatury.

Błysnęły monitory, wygaszacz ekranu znikł i rozległo się buczenie komputera.

Kilka sekund później na ekranie pokazał się ostatnio używany program. Minęła dłuższa chwila, zanim Charlotte zorientowała się w układance obrazów z kamery, które się wyświetliły przed jej oczami. W jednym z okien podglądu było widać pokojówkę sprzątającą niewielki pokój. Charlotte poczuła ścisk w żołądku, gdy rozpoznała obok własny bagaż - prostokątną czerwoną walizkę na kółkach i podobny pokrowiec na ubrania. Pokojówka przeniosła się do łazienki, o czym można było się przekonać, śledząc jej ruchy w sąsiednim okienku. Na toalecie stały znajome przybory i pokaźna fiolka witamin.

- Conte - aż zadrżała z oburzenia. - Co za pieprzony zboczek.

Przejrzała nagrania z innych kamer ukrytych w laboratorium i na zapleczu. Sądząc po datach i licznikach czasu u dołu każdego okna, kamery rejestrowały obraz na żywo. Conte bezustannie ich podsłuchuje i podgląda.

Teraz wiedziała już, że Giovanni się nie myli.

Tymczasem w Tajnym Archiwum ojciec Donovan postawił kodeks Ephemeris Conclusio obok laminowanego dokumentu oznaczonego jako Archiwum Arcis, Arm. D 217 - tak zwany pergamin z Chinon - i zamknął drzwiczki. Rozległ się cichy syk: to pompa próżniowa zaczęła odsysać powietrze z wnętrza przegrody. Tajemnice. Dla Donovana to nie pierwszyna. Może właśnie dlatego tak go ciągnęło do ksiązek i odosobnienia. Może to archiwum w pewnym sensie odzwierciedla jego stan ducha, pomyślał.

Wiele osób wstępujących do seminarium tłumaczyło tę decyzję swoistym powołaniem - pewnym szczególnym związkiem z Bogiem. Donovan szukał schronienia w Kościele z bardziej przyziemnych względów: żeby przeżyć.

Dorastał w Belfaście w burzliwych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy krwawy konflikt między katolickimi nacjonalistami domagającymi się wyzwolenia kraju spod brytyjskich rządów a protestanckimi unionistami, którzy pozostawali wierni królowej, osiągnęły punkt krytyczny. Podczas zamieszek w 1969 roku lojaliści na jego oczach doszczętnie spalili kilka domów, w tym jego własny. Pamiętał też doskonale odwet IRA: regularne zamachy bombowe (w samym 1972 roku było ich tysiąc trzysta), które pochłonęły setki ofiar.

Gdy skończył piętnaście lat, wraz z przyjaciółmi został zwerbowany do ulicznego gangu, który działał na polecenie IRA i pełnił rolę nieformalnej grupy wywiadowczej. Pewnego pamiętnego dnia Donovan miał podzucić jakąś paczkę pod witrynę sklepu w dzielnicy protestanckiej. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, że wewnątrz znajduje się bomba. Naszczęście w wyniku wybuchu, który zrównał z ziemią cały budynek, nikt nie zginął. Jakimś cudem udało mu się nawet uniknąć aresztowania.

Jednak najlepiej zapisał mu się w pamięci dzień jego siedemnastych urodzin. Właściwie ten wieczór spędzony w miejscowym pubie w towarzystwie najlepszych kumpli, Seana i Michaela, na zawsze

odmienił jego życie. W pewnym momencie wdali się w ordynarną pyskówkę z grupą pijanych protestantów. Po godzinie postanowili opuścić pub, ale protestanci, pięcioosobowa banda, ruszyli za nimi i kontynuowali zaczepki. Nie trzeba było wiele, by w ruch poszły pięści.

Choć Donovan nie po raz pierwszy uczestniczył w ulicznej burdzie, w starciu z dwoma napastnikami nie pomogła mu ani barczysta postura, ani zwinne ręce. Jeden z protestantów przycisnął go do ziemi, a drugi wymierzał dotkliwe ciosy, najwyraźniej z zamiarem wysłania go na tamten świat.

Tłumiona wściekłość, która ogarniała go na widok ognia trawiącego ściany jego domu, musiała znaleźć ujście. Powodowany instynktem, z ogromnym wysiłkiem stanął na równe nogi, jednym ruchem otworzył składany nóż i zanurzył go w brzuchu napastnika, który wcześniej go obezwładnił. Mężczyzna upadł na chodnik i przerażony próbował zatamować tryskającą z brzucha krew. Gdy jego kolega spojrział w płonące z wściekłości oczy Donovana, natychmiast się wycofał.

Donovan, całkowicie oszołomiony, odwrócił się i zobaczył, jak Sean, z twarzą zalaną krwią i z obnażonymi zębami, wbija swój nóż w ciało jednego z mężczyzn. Pozostali protestanci stali jak wryci, patrząc na to z niedowierzaniem. Donovan i reszta wzięli nogi za pas.

Pamiętał potworny strach, który czuł następnego dnia, gdy prasa i telewizja doniosły, że jeden z mieszkańców dzielnicy protestanckiej zginął od pchnięcia nożem. Choć nie było jasne, który z dwóch ciosów okazał się śmiertelny, Donovan od razu zdał sobie sprawę, że jeśli nie chce stać się następną ofiarą, musi opuścić Belfast.

Seminarium dało mu bezpieczne schronienie przed ulicą i nadzieję” że Bóg przebaczy mu wszystkie okropieństwa, jakich się dopuścił. Mimo to każdego dnia towarzyszyła mu świadomość, że ma krew na rękach.

Mimo swojej przeszłości był wzorowym studentem, a samotniczy tryb życia duchownego ponownie rozbudził w nim zamiłowanie do książek. W Piśmie Świętym i historycznych księgach odnalazł spokój i oparcie. Widząc jego niezwykle oddanie nauce, arcybiskup Dublina postanowił sfinansować jego dalszą naukę na wyższym poziomie. Być

może, pomyślał Donovan, ocalił go właśnie pociąg do książek.

A teraz zdawało się, że to jedna z nich zagraża wszystkiemu, co było dla niego święte. Instytucja, która go chroniła, w tym momencie sama była w niebezpieczeństwie.

Przez dłuższą chwilę patrzył przez szybę na *Ephemeris Conclusio* - zaginioną księgę, która zapoczątkowała ciąg doniosłych wydarzeń, których finałem była kradzież w Jerozolimie. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie dwa tygodnie wcześniej podzielił się tym niesłychanym odkryciem z watykańskim sekretarzem stanu. Spotkanie z Santellim pamiętał jak dziś. Jakby odtwarzał w pamięci film krótkometrażowy.

- Nieczęsto się zdarza, żeby bibliotekarz tak pilnie domagał się spotkania.

Ręce Santellego spoczywały na biurku.

Siedzący naprzeciwko niego Donovan kurczowo zacisnął dłonie na skórzanym chlebaku.

- Przepraszam za ten pośpiech, Wasza Eminencjo, ale chyba się zgodzisz, że cel mojej wizyty zasługuje na twoją uwagę... oraz tłumaczy, dlaczego zwracam się z tym do ciebie, a nie do kardynała Giancome'a.

Vincenzo Giancome, *Cardinale Archivista e Bibliotecario*, był bezpośrednim przełożonym Donovana i naczelnym kustoszem Tajnego Archiwum Watykańskiego. Był także człowiekiem, który lekceważył usilne prośby Donovana o uzupełnienie zbiorów o Ewangelię Judasza. Właśnie dlatego po długim namyśle Donovan podjął dość nietypową decyzję o nieinformowaniu Giancome'a o tej sprawie. Ten śmiały krok mógł łatwo obrócić się przeciwko niemu, a nawet kosztować go utratę stanowiska. Jednak Donovan był pewien, że informacje, jakie planuje ujawnić, dotyczą bezpośrednio kwestii bezpieczeństwa narodowego, a nie tylko tajnych dokumentów. Co więcej, tajemniczy rozmówca specjalnie wybrał Donovana do wypełnienia tego zadania i nie było czasu na opóźnienia albo biurokratyczne przepychanki.

- Ale o co chodzi? - Santelli wyglądał na znużonego. Donovan nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

- Czy przypominasz sobie, jak kilka lat temu w Tajnych Archiwach

odkryto pergamin z Chinon?

- Postanowienie Klemensa o oczyszczeniu templariuszy z zarzutów?

- Właśnie. Wpadły mi w ręce następne dokumenty opisujące potajemne spotkanie Klemensa V i Jakuba de Molaya, wielkiego mistrza templariuszy - Donovan przełknął ślinę. - W relacji papieża szczególną uwagę przyciąga manuskrypt określany jako *Ephemeris Conclusio*, rzekomo zawierający informacje o ukrytych skarbach templariuszy.

- Próba odbudowania zakonu - wtrącił Santelli. -1 to dość nieudolna.

- Ale chyba zgodzisz się ze mną, że skoro Klemens uniewinnił templariuszy po formalnym rozwiązaniu zakonu, to jego negocjacje z de Mo-layem musiały być interesujące.

- To wytwór ludzkiej fantazji. Jakub de Molay nigdy niczego nie napisał.

- Nie przeczę - Donovan sięgnął do chlebaka i wydobył księgę. - Wcale nie powiedziałem, że znaleziono to przy nim.

Santelli przysunął bliżej fotel.

- Co tam masz?

- To *Ephemeris Conclusio*.

Santelli nie wierzył własnym oczom. Od zawsze żywił nadzieję, że ta opowieść to czysta legenda. Nawet najbardziej mroczne tajemnice Watykanu nie mogły się z nią równać. Chciał, aby bibliotekarz był w błędzie, ale zdecydowane spojrzenie Donovana zdawało się potwierdzać jego najgorsze obawy.

- Chyba nie sądzisz...

- Owszem - odpowiedział z przekonaniem. - Już wyjaśniam.

Opowiedział o uwięzieniu de Molaya, jego tajnej rozmowie z Klemensem, procesie przed katedrą Notre Dame i wreszcie o egzekucji na Ile des Javiaux. - Wygląda na to, że klątwa rzucona w agonii spełniła się - stwierdził. - Miesiąc później Klemens zmarł okropną śmiercią. Według licznych relacji zapadł na ostrą czerwonkę. Siedem miesięcy później w trakcie łowów zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach król Filip IV. Świadkowie utrzymują, że cierpiał na jakąś przewlekłą chorobę, która spowodowała gwałtowny krwotok.

Pojawiły się spekulacje, że to odwet templariuszy.

Santelli miał minę, jakby zobaczył ducha.

- Zatrucie?

- Kto wie - Donovan wzruszył ramionami. - W międzyczasie muzułmanie odzyskali panowanie nad Wzgórzem Świątynnym. Kraje Europy i sam Kościół były zbyt biedne, żeby zorganizować kolejne wyprawy krzyżowe i odzyskać utracone ziemie. Dokumenty papieża Klemensa i pergamin z Chinon wylądowały w Tajnym Archiwum, a zgromadzeni na konklawe kardynałowie przez dwa lata borykali się z kłopotami finansowymi Kościoła. *Ephemeris Conlusio*, księga, którą trzymam w rękach, odeszło w niepamięć aż do dnia, w którym odebrałem pewien telefon - tu Donovan streścił przebieg rozmowy z tajemniczym darczyńcą i opisał transakcję zawartą z jego posłańcem w Cafe Greco. Santelli słuchał uważnie, zasłaniając usta dłonią. Donovan skończył i spojrzał na niego wyczekująco.

- Zaglądałeś do środka?

Donovan przytaknął. Jako kustosz Archiwum był poliglotą: biegle władał językiem aramejskim, o grece i łacinie nie wspominając. -1 co wyczytałeś?

- Wiele niepokojących rzeczy. Najwyraźniej nie jest to dokument sporządzony przez samych templariuszy. To dziennik Józefa z Arymatei.

- Nie rozumiem.

- Poszczególne wpisy składają się na kronikę zdarzeń z czasów Chrystusa. Znajdują się tam bezpośrednie opisy cudów, na przykład uzdrowienia chorych i trędowatych, a także nauki i relacje z podróży z uczniami. Po przeanalizowaniu języka mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że ta księga to samo źródło Q.

Bibliści już od dawna podejrzewali, że ewangelie synoptyczne - czyli księgi Mateusza, Marka i Łukasza - opierają się na tym samym źródle, ponieważ wszystkie trzy opisują dzieje Jezusa w podobnej kolejności i zbliżonym językiem. Każda z ewangelii synoptycznych, prawdopodobnie spisanych między rokiem 60 a 70, nosi imię ucznia, którego opowieści były inspiracją do powstania pism. Sami autorzy pozostali nieznani.

Santelli chwilowo odzyskał spokój, ale mina ojca Donovanana nie wróżyła nic dobrego.

- To jeszcze nie wszystko - ostrzegł bibliotekarz. - W księdze opisano zdarzenia, które doprowadziły do pojmania i ukrzyżowania Jezusa. I tym razem większość wspomnień Józefa, poza drobnymi rozbieżnościami, pokrywa się z synopsą. Według Józefa z Arymateri to on sam potajemnie wynegocjował z Poncjuszem Piłatem, by ten w zamian za sporą sumkę zgodził się zdjąć Jezusa z krzyża.

- Przekupił go?

- Na to wygląda. Pewnie Piłat potraktował to jako dodatek do skromnej emerytury - Donovan wziął głęboki oddech i zebrał się w sobie. - Zgodnie z Nowym Testamentem ciało Jezusa złożono w rodzinnym grobowcu Józefa.

- Zanim skończysz, muszę cię o coś zapytać. Chodzi o tę księgę templariuszy... myślisz, że jest autentyczna?

- Zleciłem datowanie pergaminu, skóry i inkaustu. Księga bez wątplenia pochodzi z pierwszego wieku. Ale to nie jest relikwia, o której wspominał Jakub de Molay. To zaledwie trop na drodze do odnalezienia prawdziwego skarbu, o którym wspominał.

Santelli spojrział na niego bez słowa.

- Józef z Arymatei niezwykle szczegółowo opisuje przebieg obrządku pogrzebowego: mycie ciała Jezusa, namaszczenie go wonnościami, owijanie w płótno i związywanie. Na jego powiekach położono monety - Do-novan zniżył głos. - Z księgi wynika też, że ciało spoczywało w grobowcu Józefa... przez dwanaście miesięcy.

- Okrąży rok? - Santelli nie posiadał się ze zdumienia. - Słuchaj, to chyba nie jest kolejna gnostycka księga?

W przeszłości Donovan regularnie donosił mu o licznych pismach, które powstały przed zredagowaniem Biblii i ukazywały Jezusa w zupełnie innym świetle. Dzięki tym dziełom wczesnochrześcijańscy przywódcy zachęcali pogan do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Te historie były często przejawskrawione i przesiąknięte filozoficznymi interpretacjami nauk Jezusa.

- Według Józefa, człowieka, któremu powierzono pogrzebanie Jezusa, wskreszenie ciała w ogóle nie miało miejsca. Chodzi o to... -

nie wiedział, jak najogólniej ująć to, co miał do powiedzenia. Utkwił nieruchomo wzrok w twarzy kardynała. - Chodzi o to, że Chrystus zginął jak śmiertelnik.

Santelli nie po raz pierwszy słyszał ten argument.

- Przecież już to przerabialiśmy. Pierwsi chrześcijanie postrzegali wskrzeszenie w kategoriach duchowych, a nie materialnych, i tak dalej - machnął lekceważąco w stronę księgi. - To całe *Ephemeris Conclusio* stoi w jaskrawej sprzeczności z pismem. Całe szczęście, że je znalazłeś.

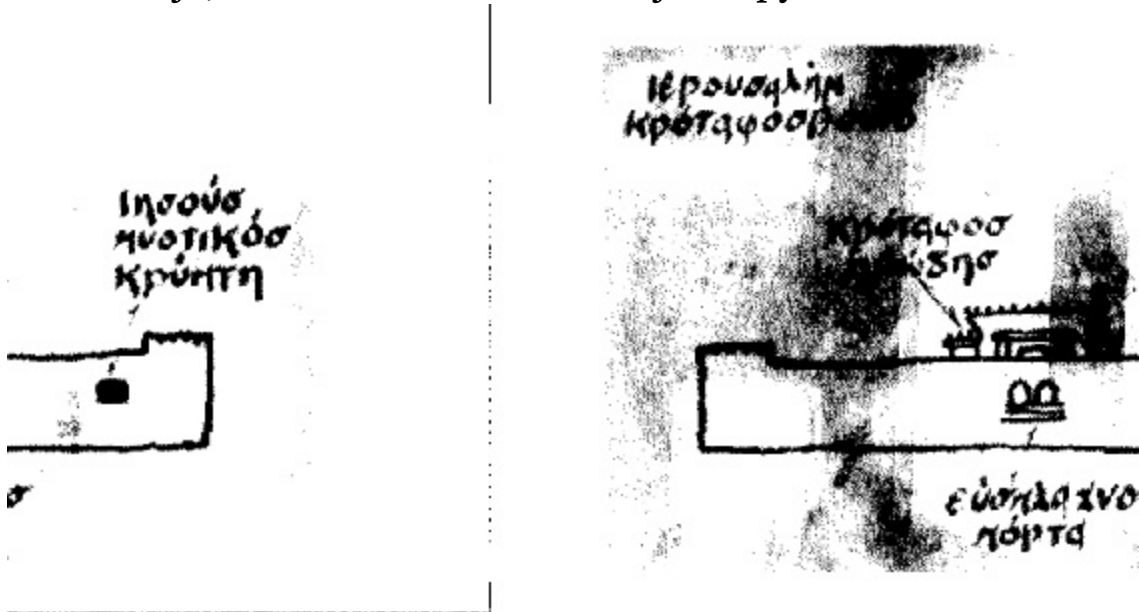
Musimy teraz się postarać, żeby nie wpadło w niepowołane ręce. Lepiej, żeby żaden wróg Chrystusa nie popędził z tym do mediów.

- Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko.

Santelli patrzył w milczeniu, jak Donovan sięga do chlebaka, wyjmując poząłkę zwój i kładzie go na biurku. Kardynał pochylił się nad blatem.

- A to co znowu?

- Instrukcja, a właściwie coś w rodzaju mapy.



- Instrukcja? Akurat. Przecież to wygląda jak dziecięcy rysunek - skrzywił się Santelli.

Donovan nie przeczył, że jednowymiarowy szkic jest nadto uproszczony, ale tak naprawdę trójwymiarowe ilustracje pojawiły się dopiero w epoce renesansu. Nie miał teraz zamiaru się nad tym rozwodzić.

- To fakt, nie jest zbyt dokładny, ale mimo to zawiera kilka ważnych informacji - wyjaśnił Donovan i wskazał wydłużoną prostokątną podstawę. - To Wzgórze Świątynne w Jerozolimie, a to - przesunął palec wyżej - żydowska świątynia wzniesiona przez Heroda Wielkiego i zniszczona przez Rzymian w 70 roku. Jak wiesz, w tym miejscu stoi teraz Kopała Skały.

Santelli gwałtownie podniósł wzrok.

- Wzgórze Świątynne?

- Właśnie - potwierdził Donovan. - Tak Józef z Arymatei przedstawił ówczesny wygląd tego miejsca.

Wyjaśnił, że w tych pismach Józef bardzo szczegółowo opisał wygląd świątyni: prostokątne dziedzińce i święty przybytek, spiżarnie, gdzie przechowywano wodę i oliwę, zbiorniki z wodą do rytualnych ablucji i stopy, na których w czasie Paschy palono szczątki zwierząt. Powiedział, że Józef wspomniał nawet o świętym progu, którego nie wolno było przekraczać poganom. Następnie pojawiał się opis rzymskiego garnizonu przylegającego do Wzgórza Świątynnego - to tam Jezus stanął przed Poncjuszem Piłatem.

- Ale najważniejsze jest to miejsce - Donovan wskazał mały ciemny kwadrat na powierzchni platformy. - W ten sposób Józef oznaczył kryptę Jezusa. W tekście opisał zaś w przybliżeniu jej odległość od zewnętrznych murów Wzgórza Świątynnego.

Santelli znów oparł łokieć na blacie i zasłonił usta dłonią. Przez moment w gabinecie panowała absolutna cisza.

Ciemne chmury, które od pewnego czasu gromadziły się za oknem, spełniły wreszcie swą ponurą obietnicę.

- Po tym, jak *Ephemeris Conclusio* trafiła w moje ręce, szczegółowo przestudiowałem Wzgórze Świątynne. Jestem głęboko przekonany, że krypta wciąż tam jest. Sądzę, że krzyżowcy, a ściślej mówiąc templariusze, mogli ją odkryć i zamurować.

- Skąd ta pewność?

Donovan sięgnął przez biurko, ostrożnie przewrócił parę stron i zatrzymał się przy kilku rysunkach.

- Proszę.

Kardynał nie bardzo umiał się rozeznać w prymitywnych szkicach,

składających się na coś w rodzaju skatalogowanej kolekcji.

- Te przedmioty - ciągnął Donovan - to relikwie, które Józef z Arymatei ukrył w krypcie. Kości, monety i gwoździe. Naturalnie do tego dochodzi jeszcze ossuarium. To te przedmioty miał na myśli Jakub de Molay.

Kardynał siedział nieruchomo jak rażony gromem. Jego wzrok padł na obraz delfina owiniętego wokół trójzębu.

- A ten symbol? Co oznacza?

- Właśnie ze względu na niego jestem pewien, że te przedmioty nadal tam są - odpowiedział i wyjaśnił jego znaczenie.

Santelli przeżegnał się, po czym odrysował symbol.

- Gdyby ktoś kiedykolwiek odkrył te relikwie, z pewnością by to odnotowano. Gdyby tak było, prawdopodobnie w ogóle nie byłoby tej rozmowy - powiedział Donovan i wyjął jeszcze coś z chlebaka. - Proszę. Ostatni artykuł z „Jerusalem Post”. Nasz tajemniczy darczyńca dołączył go do książki.

Santelli chwycił wycinek i przeczytał głośno nagłówek artykułu: „Żydowscy i muzułmańscy archeolodzy usunięci ze stanowisk pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego”.

Donovan pozwolił mu w spokoju przeczytać artykuł, po czym powiedział:

- Skoro porozumienia pokojowe wykluczają prowadzenie wykopalisk w tym miejscu, to po templariuszach nikt inny tam nie dotarł. Jednak w 1996 roku opiekujący się tym miejscem zarząd muzułmański dostał pozwolenie na usunięcie gruzu z obszernej komnaty pod powierzchnią platformy - pomieszczenia, które templariusze zmienili w stajnię i które od dwunastego wieku było całkowicie niedostępne. Poślaniec, który dostarczył mi tę książkę, jest Arabem, więc mogę mieć niemal całkowitą pewność, że *Ephemeris Contusio* odnaleźli muzułmanie podczas prac wykopaliskowych.

- To dlaczego dopiero teraz ją ujawnili?

- Początkowo też wzbudziło to moje podejrzenia - przyznał Donovan. - Ale teraz wydaje mi się, że znam odpowiedź na to pytanie - wyjął z chlebaka sporządzony przez siebie rysunek. Ostatni eksponat. - Po opróżnieniu komnaty muzułmanie zaadaptowali ją na miejsce

określane teraz jako meczet Al-Marwani. Oto dzisiejszy widok Wzgórza Świątynnego z lotu ptaka. Posłużyłem się danymi, które podał Józef, i dokładnie określiłem położenie krypty.

Donovan nie tylko sporządził rysunek, ale i przeliczył obok starożytne jednostki miary (rzymski *gradus* czyli mniej więcej trzy czwarte metra) na jednostki współczesne.

- Na czerwono zaznaczyłem obszar, w którym się mieści obecnie meczet Al-Marwani, usytuowany jakieś jednaście metrów pod powierzchnią platformy.

Podziemny meczet przypominał kształtem histogram. Santelli zrozumiał, do czego zmierza Donovan.

- Wielki Boże. Meczet sąsiaduje z kryptą.

- Tak. Przylega bezpośrednio do tylnej ściany. Muzułmańscy i żydowscy archeolodzy już podejrzewają, że pod Wzgórzem Świątynnym znajdują się komnaty, i badają powierzchnię, żeby je zlokalizować.

Santelli zbladł.

- A więc prędzej czy później znajdą to miejsce.

- Trudno byłoby je przeoczyć - potwierdził Donovan ponuro. - Jeśli relikwie opisane w *Ephemeris Conclusion* naprawdę istnieją, jest bardzo prawdopodobne, że za kilka tygodni szczątki Chrystusa ujrzą światło dzienne. Właśnie dlatego tu dziś przyszedłem. Żeby się dowiedzieć, co możemy zrobić.

- To chyba oczywiste - odpowiedział ożywionym głosem Santelli. - Musimy wydobyć te relikwie spod Wzgórza Świątynnego. Ponad miliard ludzi na całym świecie wierzy w przekaz ewangelii. Naruszenie podstaw ich wiary to jak naruszenie porządku społecznego. Spoczywa na nas olbrzymia odpowiedzialność. Tym razem to coś więcej niż dylemat teologiczny.

- Ale przecież nie zdobędziemy ich drogą dyplomatyczną - przypomniał Donovan. - Sytuacja polityczna w Izraelu jest nazbyt powikłana.

- A kto tu mówi o dyplomacji? - Santelli wcisnął przycisk interkomu zamontowanego na jego biurku. - Ojczy? Proszę odszukać w mojej książce telefonicznej pozycję „Salvatore Conte” i bezzwłocznie

wezwać tego człowieka do mojego gabinetu.

Giovanni skręcił ostro z zakorkowanej Via Nomentana i przejechał przez bramę parku Villa Torlonia. Zwolnił i z cichym warkotem silnika jechał ścieżką rowerową. To właśnie tu, pod powierzchnią angielskich ogrodów, gdzie tłumy rowerzystów i amatorów joggingu wytrwale poddawały się narzuconemu reżimowi, rozciągał się labirynt żydowskich krypt - ponad dziewięć kilometrów korytarzy prowadzących do najstarszych, jak się niedawno okazało, katakumb na terenie Rzymu. Katakumb, które według starożytnych wytycznych musiały się znajdować poza murami miasta. I Bersei był pewien, że w tym podziemnym królestwie częściowo kryje się tajemnica związana z osobą Jezusa Chrystusa.

Spoglądając na podniszczony gmach, który rozświetlił to miejsce - okazała willę, gdzie rezydował swego czasu Benito Mussolini - skręcił w stronę skupiska niskich budynków przylegających do tylnego dziedzińca willi. W mieszczących się tu stajniach w 1918 roku podczas prac wykopaliskowych archeolodzy przypadkowo natknęli się na pierwsze grobowce.

Przed wejściem do katakumb zgasił silnik, zszedł ze skutera i postawił go na podpórce. Otworzył tylny schowek, wyjął torbę z laptopem oraz okazałych rozmiarów latarkę, i na ich miejsce włożył kask.

Choć ostatnie czterdzieści minut spędził w porannych korkach i tak było dość wcześnie - dopiero za dziesięć dziewiąta. Najprawdopodobniej jeszcze nikogo nie zastanie.

Nacisnął klamkę. O dziwo ustąpiła.

W skromnym holu za pulpitem recepcji siedział niemłody już przewodnik muzealny, pogrążony w lekturze powieści Clive'a Cusslera. Na okładce książki widniał potężny statek wciągany przez wir wodny. Głęboko osadzone zamglone oczy staruszka zezowały znad grubych szkielek okularów. Bersei uśmiechnął się do siebie - fizjonomia tego człowieka świadczyła o tym, że podobnie jak budynek, w którym urzęduje, widział już w życiu niejedno.

- *Ah, signore Bersei* - staruszek odłożył książkę i przyjaźnie rozłożył ręce. - *Come sta?*

- *Bene, grazie, Mario. E lei?*

- Co dzień lepiej - odpowiedział z silnym włoskim akcentem. - Kopę lat.

- To prawda. Całe szczęście, że ranny z ciebie ptaszek. Obawiałem się, że pocałuję klamkę.

- Każą mi przychodzić na ósmą, na wypadek gdyby komuś jednak zechciało się ruszyć z robotą. Próbują przyspieszyć renowację.

Soprintendenza Archeologica di Roma nadal nie otworzyła katakumb dla turystów ze względu na intensywne prace konserwatorskie, które trwały już ponad dziesięć lat. Trujące gazy nadal obecne w najgłębszych zakamarkach podziemnego labiryntu z pewnością nie ułatwiały tego zadania.

Bersei wskazał książkę.

- Praca wre, jak widzę. Przewodnik wzruszył ramionami.

- Nadrabiam zaległości. Nic nie wskazuje na to, żeby coś tu się wydarzyło w najbliższym czasie. Muszę szukać wrażeń gdzie indziej.

Bersei parsknął śmiechem.

- Co cię tu sprowadza? - staruszek wstał i wepchnął wątle ręce do kieszeni. Miał kościstą sylwetkę i z racji wieku był bardzo przygarbiony.

Od ostatniej wizyty Berseiego minęło trochę czasu. Dwa lata. To było tylko jedno z ponad sześćdziesięciu rzymskich stanowisk archeologicznych z grobowcami, które badał na przestrzeni lat na zlecenie komisji papieskiej.

- Wyniki ostatnich prób węglowych sprawiły, że zacząłem wątpić w swoje początkowe założenia. Chciałbym zerknąć jeszcze raz na niektóre hypogea.

To była niezła historia. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej grupa archeologów przebadła metodą węglową kawałki węgla drzewnego i drewna wydobyte ze ścian krypty. Wyniki były niezwykle: okazało się, że katakumby są datowane na 50 rok przed naszą erą, czyli są starsze od najnowszych katakumb chrześcijańskich o ponad wiek. Konsekwencje tego odkrycia były doniosłe i stanowczo potwierdzały

wcześniejsze teorie dotyczące wpływu Żydów na chrześcijańskie obrządku pogrzebowe. Najbardziej fascynujące było jednak to, że motywy judaistyczne przeplatały się z symbolami wyraźnie kojarzonymi z wczesnym chrześcijaństwem. Giovanniego przywiodło tu mgliste wspomnienie tych powiązań.

- Widzę, że pomyślałeś nawet o latarce. Antropolog pokazał ją z dumą.

- Zawsze gotowy. Mam pokazać kartę? - wyjął portfel i otworzył go, prezentując laminowany identyfikator, który umożliwił mu wstęp do większości stanowisk archeologicznych w mieście. Niewielu naukowców miało takie przywileje.

Mario zbył go ruchem ręki.

- Wpiszę cię na listę - powiedział i wskazał podkładkę z kartką.

- Nikogo tam jeszcze nie ma?

- Masz całe katakumby dla siebie.

Ta wiadomość niezbyt go uradowała, ale zatuszował niepokój uśmiechem.

Przewodnik podał mu kartkę papieru.

- Proszę. To aktualna mapa.

Bersei spojrział na poprawiony plan tuneli i komór. Teraz jeszcze wyraźniej było widać, że na przestrzeni wieków korytarze rozbudowywano w dość chaotyczny sposób. Skomplikowany plan przypominał raczej wzór splecia na szklonie jakiegoś naczynia. Istniała sieć.

- To nie potrwa długo. Czy mogę to u ciebie zostawić? - podniósł torbę z laptopem.

- Nie ma sprawy. Będzie za pulpitem.

Bersei podał staruszkowi torbę, przeszedł przez hol i włączywszy latarkę, skierował snop światła na kamienne schody, za którymi widniała jedynie czarna czeluść.

Gdy znalazł się u podnóża schodów, z trudem zwalczył dreszcze i zatrzymał się na moment, żeby przywyknąć do chłodnego wilgotnego powietrza, tak utrudniającego renowację. To niezwykle, że w tym bezwzględnym środowisku, całkowicie wyniszczającym ciała zajmujące kiedyś tysiące ściennych niszy, zachowało się tak wiele

fresków i rytów.

Podczas prac wykopaliskowych nie odnaleziono tu prawie żadnych kości. Większość została wykradzona wiele wieków wcześniej przez pozbawionych skrupułów szarlatanów, którzy upłyniali je jako relikwie męczenników i świętych. Paradoksalnie, katakumby zbudowano na kształt labiryntu właśnie po to, by nie buszowali po nich szabrownicy. Próżne nadzieje na wskrzeszenie. W dniu Sądu Ostatecznego będzie wiele rozczarowanych dusz, pomyślał.

Skierował snop światła w głąb wąskiego przejścia, szerokiego zaledwie na metr i wysokiego na niecałe trzy metry, które już parę kroków dalej tonęło w całkowitych ciemnościach. Prawie dwa tysiące lat temu przedstawiciele cechu grabarzy, tzw./*ossos*, ręcznie wykuli labirynt korytarzy w tufie - miękkiej skale wulkanicznej, na której wyrastał Rzym. Po obu stronach znajdowały się wnęki grobowców - *loculi*. Ciała zmarłych owijano w całun i układano w niszach, gdzie oczekiwały ekskarnacji - rytualnego rozkładu i odkupienia ziemskich grzechów. Teraz wnęki były puste.

Podziemne korytarze ciągnęły się na kilku poziomach i pod jego stopami znajdowały się jeszcze trzy warstwy podobnych tuneli. Na szczęście komora, która najbardziej go interesowała, była na najwyższym poziomie katakumb.

Necropolis - miasto umarłych. Bersei zasłonił nos, żeby nie czuć stęchlizny, przełknął ślinę i ruszył przed siebie z nadzieją, że wszyscy mieszkańcy już się wyprowadzili.

- *Desidera qualcosa?* - Mario znów odłożył książkę i zmierzył wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę o grubo ciosanych rysach. Nieznajomy wyglądał na zmieszanego. Mario przeszedł na angielski: - Czym mogę służyć?

Conte, zirytowany tym oficjalnym przywitaniem, nie raczył odpowiedzieć. Śledząc Bersei, zastanawiał się, po co, do cholery, naukowiec wjeżdża do tego parku. Czytając teraz tablice zawieszona za plecami staruszka, zaczynał rozumieć. Żydowskie katakumby? Jego spojrzenie powędrowało w stronę drugich drzwi, za którymi biegły ciemne schody. Prawdopodobnie służyły też jako wyjście. Bardzo dobrze.

- Nie ma tam światła? - zapytał po włosku.

- Trzeba mieć latarkę - odpowiedział starzec.

To też było po jego myśli.

- Ale ekspozycja nie jest dostępna dla zwiedzających - ciągnął staruszek z cierpkim uśmiechem. - Jeśli nie ma pan upoważnienia, będę musiał poprosić pana o opuszczenie muzeum.

I kto to mówi. Conte zlekceważył tę prośbę. Na pulpicie zobaczył plastikową podkładkę z wpiętą kartką. Księga wejść. Figurowało w niej tylko jedno nazwisko - jedyne, które się liczyło. Poza ściganym nie było tam nikogo. Sprawa była prostsza, niż podejrzewał. Wsunął lewą dłoń do kieszeni kurtki i powoli wyjął małą strzykawkę.

Dopiero gdy intruz okrążył pulpit trzema szybkimi susami, Mario Beneditti zdał sobie sprawę, w jak wielkim jest niebezpieczeństwie. Osaczony, zmarł bez ruchu.

- Żałosny widok - mruknął Conte. Wyciągnął prawą rękę i chwycił starca za kark. Druga ręka zatoczyła w powietrzu łuk i z rozmachem wbiła igłę w mięsień szyi. Wciskając tłok strzykawki, Conte zaaplikował stróżowikoncentrat tubarine - stosowanego w kardiochirurgii leku wpływającego na kurczliwość mięśnia sercowego. Conte zawsze miał przy sobie śmiertelną dawkę tego środka. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Gdy starzec padł na podłogę, Conte szybko się odsunął.

Toksyny momentalnie zaatakowały krwiobieg i starzec złapał się za pierś palcami jak z ołowiu. Serce, jak spalony silnik, nagle odmówiło mu posłuszeństwa, a twarz wykrzywił straszny grymas. Ciałem wstrząsnął ostatni dreszcz i zapadła cisza.

Contego zawsze zdumiewała skuteczność tej metody. Ten, kto znajdzie zwłoki staruszka, uzna, że zmarł na zawał serca. Podstawowa sekcja zwłok tylko potwierdzi tę hipotezę.

Czysto. Czyściuteńko.

Zamknął na zasuwkę drzwi wejściowe, schował do kieszeni pustą strzykawkę i przeczesał szuflady w poszukiwaniu latarki - z powodzeniem. W pewnym momencie dostrzegł laptopa Bersei i zanotował sobie w pamięci, że trzeba go wziąć w drodze powrotnej. Schylił się nad ciałem i odpiął pęk kluczy.

Wyjął zza pazuchy dziewięćmilimetrowego glocka. Wolałby uniknąć strzelaniny. To brudna robota. Nie trzeba mu było kłopotów.

Zapalił latarkę, zanurzył się w mrok i pociągnąwszy za sobą drzwi, zatrzaskał solidny zamek.

Giovanni Bersei od kwadransa kluczył po katakumbach Villa Torlonia, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zerknąć na mapę. Przemarzał do szpiku kości, a przejmująca cisza aż dzwoniła mu w uszach. Czuł, jak na każdym kroku czyha na niego wielowiekowe dziedzictwo śmierci. Nie najlepsze warunki do pracy, pomyślał. Gdyby nie schemat, z pewnością zgubiłby się w plątaninie zygzakowatych korytarzy, często ślepych. Wiele z nich wyglądało identycznie, a ponieważ znajdował się pod ziemią, miał problemy z orientacją w terenie. Nie znał uczucia klaustrofobii: odwiedził w życiu wiele podziemnych kryjówek, często bardziej nieprzyjemnych niż ta, ale nigdy wcześniej nie był sam... w olbrzymim grobowcu.

Sądząc po skali planu, od wejścia dzieliło go niecałe pół kilometra. Zbliżał się już do celu.

Po lewej stronie zobaczył sklepione przejście prowadzące do komnaty zwanej *cubiculum*. Zatrzymał się przy wejściu i ponownie spojrzął na plan, żeby się upewnić, że znalazł właściwą celę. Schował plan do kieszeni, odetchnął głęboko i wszedł do komnaty.

Przesunął światłem po ścianach. Znajdował się w przestronnym, sześciennym pomieszczeniu wykutym w porowatym tufie. Zamiast *locu-li* mieściły się tu stanowiska, gdzie wykładano ciała przygotowywane do pochówku. W kącie stał rząd starożytnych amfor, w których kiedyś przechowywano zapewne wonne olejki i korzenie.

Posadzka była wyłożona zdobioną terakotą, a ściany otynkowane i pokryte wzorami z motywami judaistycznymi, przede wszystkim różnymi wyobrażeniami menory, ale znalazły się tam też sugestywne obrazy Drugiej Świątyni i Arki Przymierza.

Bersei stanął w centralnym punkcie komnaty, zadarł głowę i skierował snop światła na sklepienie. O ile dobrze pamiętał, właśnie tam znajdowało się to, czego szukał. Gdy jego wzrok spoczął na niezwyklej fresku pokrywającym wysokie sklepienie, z piersi wydobyło się westchnienie ulgi.

Salvatore Conte wyłączył na chwilę latarkę i uważnie słuchał

dalekich dźwięków rozbrzmiewających echem w skalnym labiryncie. W ciemności czuł się jak ryba w wodzie, a to że znajduje się w grobowcu, i to już drugi raz w ciągu tygodnia, nie robiło na nim żadnego wrażenia.

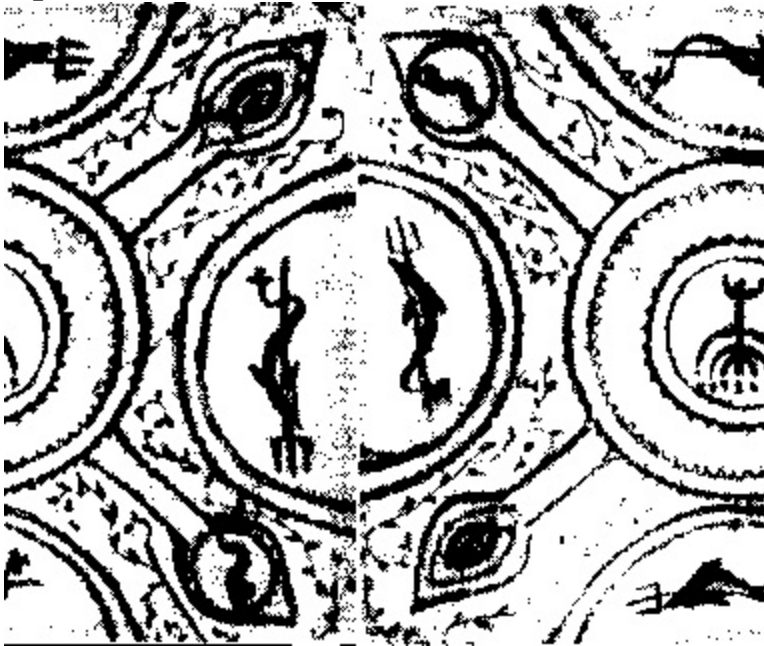
Antropolog, całkowicie nieświadomy obecności prześladowcy, nawet nie starał się tłumić odgłosów kroków na twardej posadzce korytarza. Fakt, że co chwilę się zatrzymywał i oglądał plan, tylko pogarszał jego położenie.

Conte był już blisko. Bardzo blisko.

Wystawił głowę zza węgła. W odległości jakichś czterdziestu metrów, ze sklepionego przejścia przy wąskim korytarzu sączyło się wątłe światło.

Sięgnął do tyłu i zatknął broń za pasek. Zgasił latarkę, bezszelestnie zdjął kurtkę oraz buty i położył wszystko pod ścianą. Nadeszła godzina Minotaura.

Giovanni Bersei nie mógł oderwać wzroku od obrazu zdobiącego sklepienie.



Centrum obrazu wytyczała menora otoczona koncentrycznymi, jakby świetlnymi kręgami i umieszczona pośrodku masywnego równoramiennego krzyża owiniętego gałązkami winorośli.

Na szerokich ramionach krzyża znajdowały się okrągłe elementy, a wewnątrz nich inne symbole: szofar, róg obrzędowy używany w dniu

żydowskiego Nowego Roku, i etrog, owoc w kształcie cytryny spożywany podczas Sukkotu - Święta Szałasów. Wszystkie te symbole upamiętniały nieistniejącą świątynię.

Między równymi ramionami krzyża znajdowały się półkola - jego zdaniem nieprzypadkowo wskazywały one cztery strony świata. Każde z nich zawierało symbol, który widniał na ścianie ossuarium: delfina owiniętego wokół trójzębu. Wczesnochrześcijański symbol Jezusa Chrystusa, Zbawiciela - delfina eskortującego dusze do drugiego świata wraz z towarzyszącym mu narzędziem: wyobrażeniem Trójcy Świętej.

Bersei drżał z przejęcia, gdy wkładał latarkę pod pachę i sięgał do kieszonki po kopię zwoju.

- Wielki Boże - wymamrotał. Identyczny obraz, wierna reprodukcja fresku widocznego na sklepieniu, widniał pod greckim tekstem napisanym prawie dwa tysiące lat temu przez Józefa z Arymatei. To ten obraz go tu przywiódł. O ile było mu wiadomo, ten fresk był jedyny w swoim rodzaju.

Niebywałe.

Połączenie motywów żydowskich i chrześcijańskich było wystarczająco wstrząsające. To, że postać Józefa w jakiś sposób wiązała się z tym miejscem, było już całkiem niepojęte. Bersei przesunął snop światła po ścianie i zatrzymał się na fresku przedstawiającym Arkę Przymierza. Te obrazy niewątpliwie miały ze sobą związek. Przesłanie Józefa było oczywiste, ale co on i Jezus mieli wspólnego ze świętym przybytkiem i Arką Przymierza? Do głowy przychodziło mu wiele kuszących interpretacji.

Zwrócił uwagę na otwór w tylnej ścianie *cubiculum* i ruszył w stronę kolejnej komnaty. Jeśli to miejsce miało przypominać typową kryptę, to do pomieszczenia, w którym przygotowywano zwłoki do pochówku, powinien przylegać grobowiec. Można było zatem śmiało zakładać, że w grobowcu spoczywają ciała rodziny, do której należało *cubiculum*.

Bersei ledwie panował nad emocjami. Czyżby odkrył kryptę Józefa z Arymatei?

Wszedł do komnaty. Zgodnie z jego przewidywaniami wzdłuż ścian

ciągnęły się liczne *loculi*.

Coś podobnego.

Wzrok Bersei podążał za snopem światła przesuwającym się od niszy do niszy. Dziesięć.

Dziewięć wnek było dość jednolitych, pomijając ozdobne kamienne listwy, ale jedno z *loculi* wykutych w tylnej ścianie grobowca wyraźnie różniło się od pozostałych. Większość antropologów bez namysłu wysnułaby przypuszczenie, że to miejsce pochówku patriarchy rodu. Ponieważ jednak Bersei widział z bliska ossurium Jezusa, natychmiast zwrócił uwagę na misterne rozety i łuki zdobiące tę niszę. Nie miał cienia wątpliwości, że jest to dzieło tego samego snycerza, który ozdobił ossuarium.

Bersei podszedł z rozdziawionymi ustami do wnęki, oniemiały z wrażenia. Jego wyobraźnia zaczęła działać. Skierował światło latarki na wykutą niszę, której rozmiar wskazywał, że ledwo pomieściłaby leżące ciało. Naturalnie, teraz była już pusta. Światło padło na symbol wyryty na górnej listwie okalającej wnękę. Delfin owinięty wokół trójzębu.

Niewiarygodne.

Czy to możliwe, że po ukrzyżowaniu Jezusa Józef z Arymateri przetransportował jego ciało do Rzymu? A jeśli tak, to po co? Bersei głowił się nad tą wielką zagadką. Czyżby zdecydowały o tym względy bezpieczeństwa? Ale czyż w Jerozolimie, w pobliżu Golgoty, nie znaleziono pustego grobu? Może właśnie dlatego wspominały o tym ewangelie.

Wszystko zaczynało się układać w całość. Jeśli rodzina Józefa żyła w żydowskim getcie w Rzymie, to z pewnością znacznie bezpieczniej było ukryć ciało Jezusa tutaj, z dala od Rady Żydów i czujnego oka Poncjusza Piłata, zwłaszcza jeśli pochówkowi Jezusa miały towarzyszyć tradycyjne rytuały pogrzebowe, czyli między innymi przechowywanie ciała w niszy przez dwanaście miesięcy.

- Panie doktorze! - martwą ciszę gwałtownie przerwał donośny głos.

Przestraszony Bersei zerwał się na równe nogi i obrócił gwałtownie, kierując przed siebie światło latarki. Choć w głębi duszy spodziewał się ujrzeć koszmarną zjawę tylko czekającą na to, by ukarać go za

wtargnięcie do grobowca, widok wyeksponowanych w snopie światła ostrych rysów Contego był jeszcze bardziej przerażający. Miał wrażenie, że ten podejrzany typ, poruszający się bezszelestnie i ubrany od stóp do głów w czerń, po prostu wynurzył się ze ściany krypty.

- Mógłby pan...? - Conte stał ze zmrużonymi oczami i wskazywał latarkę. Bersei skierował snop światła na podłogę. Serce kołatało mu w piersi jak oszalałe. Zauważył, że Conte nie ma butów. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało też, by był uzbrojony.

- Jak pan tu wszedł? Obawiał się, że zna odpowiedź. Conte zignorował to pytanie.

- Czego pan szuka? Bersei milczał.

Conte podszedł i wyrwał mu z ręki kartkę z kserokopią.

- To tylko badania. Nic więcej - przeklinając się w duchu za to wierutne kłamstwo, Bersei cofnął się o krok. Za plecami miał już tylko ścianę krypty.

- Niech pan nie zgrywa idioty. Wiem, że wyniósł pan dokumentację z laboratorium. Zamierza pan podzielić się nią z detektywem Perardim?

Antropologa zamurowało. Skąd Conte wiedział o Perardim? Przecież dzwonił na posterunek z własnego domu. Ogarnęły go złe przeczucia. Czyżby Watykan był zdolny do założenia podsłuchu w jego domu?

- Kradzież to jedno, ale okradanie Watykanu... To już niegodne porządnego chrześcijanina. Nie spodziewałem się tego po panu, ale w każdym razie niezły z pana spryciarz, muszę to przyznać - Conte odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia z komnaty, celowo demonstrując glocka zatkniętego za pasek spodni. - Chodź pan tu i poświeć latarką - stanął w centralnym punkcie *cubiculum*.

Giovanni Bersei niechętnie powlókł się do przedsionka i oświetlił sklepienie. Plama światła drgała, tak jak jego ręka.

Conte przez kilka sekund wpatrywał się w bogatą symbolikę fresku, po czym porównał go z obrazem na kartce papieru.

- A więc to jest pańskie odkrycie - powiedział z uznaniem. - Dobra robota. Kto by pomyślał, że skrzynka ma coś wspólnego z

Rzymem? No, ale w końcu z tego Józefa był niezły obieżyświat.

Bersei zmarszczył brwi.

- Mogę się założyć, że pańskim zdaniem przywiózł tu ciało Jezusa, a potem złożył jego szczątki w urnie i zawiózł je z powrotem do tej piaskownicy w Ziemi Świętej. Myślę, że na to nie wpadłby nawet bibliotekarz i kolesie papieża.

Giovanniego zdumiewała szczerść Contego i typowy dla niego brak poszanowania dla doniosłości tego odkrycia. Co więcej, stwierdził z przerażeniem, że Conte właśnie potwierdził jego podejrzenia co do wiedzy Watykanu na temat włamania. Teraz nie miał już wątpliwości, że Stolica Apostolska jest w to uwikłana, a całą tę operację sobie tylko znanym sposobem przeprowadził Conte. Geniusz wśród złodziei. Cichy prześladowca. Bersei przypomniał sobie liczbę izraelskich ofiar. Trzyście trupów. Czymże byłoby dla niego kolejne morderstwo? Zwłaszcza że właśnie przyznał się do przestępstwa i wiedział, jakie będą tego skutki.

Nagle Bersei pomyślał o swojej żonie i trzech córkach. Zaszło mu w ustach.

Conte bez mrugnięcia okiem złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni. Następnie powoli sięgnął do tyłu.

Trafnie przewidując, co się święci, Bersei instynktownie cisnął latarką o ścianę za swoimi plecami. Rozległ się głośny brzdęk metalu i szkła i latarka rozpadła się na części, pogrążając pomieszczenie w kompletnych ciemnościach.

Chwilę później Conte strzelił. Błysk pocisku na moment rozświetlił mrok i to wystarczyło, żeby się przekonać, że Bersei ucieka na czworakach w stronę wyjścia. Conte mierzył przez chwilę, próbując ocenić odległość po odgłosach, po czym oddał kolejny strzał. Jeszcze jeden błysk. Pocisk odbił się rykoszetem i przeleciał niebezpiecznie blisko jego ucha. Choć Conte chciał tylko nastraszyć naukowca, a nie go zabić, niewątpliwie powinien bardziej uważać.

- Wystarczy! - krzyknął - Dość tych gier!

Miał oczywiście na myśli daremną próbę podjętą przez tę drobną zwierzynek, która naiwnie sądziła, że ujdzie tak wytrawnemu myśliwemu jak Salvatore Conte. Zaczął znów nasłuchiwać, z nadzieją

że Bersei zawróci do wyjścia z katakumb. Ku własnemu zaskoczeniu usłyszał odgłos niezgrabnego upadku i szybki tupot nóg. A to znaczyło, że antropolog pobiegł w odwrotną stronę - w głąb labiryntu.

Zanim przystąpił do pościgu, po omacku dotarł do miejsca, gdzie zostawił swoje rzeczy. Założył buty, włączył latarkę i popędził wąskim tunelem. Plama światła poruszała się gwałtownie z każdym ruchem jego ramion.

Giovanni Bersei miał przewagę, ale nieznajomość katakumb, pełnych długich tuneli ciągnących się przez setki metrów tylko po to, by nagle zmienić się w ślepe zaułki, wywoływała u niego panikę. Musiał zachować zimną krew, a przede wszystkim nie dopuścić do tego, by obraz mapy zatarł mu się w pamięci. W przeciwnym razie... Wolał o tym nie myśleć.

Gdy biegł nierównymi skalnymi korytarzami, każdy jego krok odbijał się głośnym echem i zostawiał dźwiękowy ślad dla Contego.

W tym szaleńczym pędzie przez gęsty mrok było coś niezwykłego. Bersei całkiem stracił orientację. Nie mając na czym zaczepić wzroku, biegł z wyciągniętą ręką jak zawodnik futbolu amerykańskiego, modląc się, żeby nie wpaść twarzą na ścianę. Jakby tego było mało, oddychanie sprawiało mu coraz większą trudność. Powietrze było gęste, przesiąknięte ostrym zapachem wilgotnej ziemi i czegoś jeszcze, czego nie potrafił określić - prawdopodobnie trujących gazów, największego naturalnego zagrożenia, jakie może spotkać człowiek w katakumbach.

Prawy bark odbił się od ściany - Bersei zatoczył się lekko i prawie zaplątał we własne nogi. Zatrzymał się na moment, żeby odzyskać równowagę, po czym ruszył dalej, by po chwili napotkać ścianę. Dysząc ciężko, zaczął ją obmacywać z prawej strony, desperacko szukając jakiegoś otworu i modląc się, aby to nie był ślepy zaułek. Nic z tego. Znalazł tylko puste wnęki po ciałach. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie ukryć się w jednej z nich, ale wiedział, że zdradzi go ciężki oddech. Obrócił się na pięcie i sięgnął do drugiej ściany. Lita skała.

Jezu, ratuj.

Idąc po omacku wzdłuż ściany, trafił dłonią na otwór. Korytarz się

nie skończył. Po prostu skręcał ostro w lewo.

Gdy obchodził węgiel, dałby głowę, że w oddali mignęło mu światło, wyglądające jak pojedyncza gwiazda na nocnym niebie. Usłyszał miarowy tupot nóg Contego, głośniejszy z każdą sekundą.

Bersei rzucił się pędem w ciemność. Biegł po omacku z nadzieją, że nie trafi na kolejną ścianę. Po paru sekundach poczuł, że się zaplątał w coś leżącego na posadzce. Nogi się pod nim ugięły i runął na kamienne podłoże. Wylądował na czymś w rodzaju puszek z farbą i uderzył głową w jakiś metalowy przedmiot.

Na moment go oślepiło, a głowę zaczął mu rozsadzać tępy ból. Zaklął z wściekłością, myśląc, że go zaćmiło od uderzenia w głowę, ale gdy otworzył oczy, okazało się, że tuż przed jego oczami stoi jaskrawo świecący reflektor. Mrugając z niedowierzaniem oczami, zorientował się, że wbiegł do fragmentu tunelu, który dopiero restaurowano. Korytarz był zagracony pędzlami, szczotkami i puszkami z farbą. Po prostu zaplątał się w gruby kabel i przewrócił stojącą lampę, a ta upadła na włącznik. Jednym ruchem odgarnął rupiecie i zerwał się na równe nogi, ledwie omiatając wzrokiem wspaniałe freski będące w trakcie prac konserwatorskich.

Słyszał coraz szybsze kroki za swoimi plecami. Conte był blisko.

Skrzynka z narzędziami, na którą się przewrócił, była otwarta, a na górze leżał młotek ślusarski. Bersei chwycił go i pobiegł dalej.

Conte skręcił gwałtownie w korytarz, z którego sączyło się dziwne światło. Czuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie - nie z wysiłku, ale z powodu duszącego powietrza wypełniającego mu płuca. Zwolnił, żeby wyminąć rozrzucone na posadzce narzędzia, i z impetem kopnął lampę - natychmiast zgasła.

Korytarz przed nim rozgałęział się w trzech kierunkach. Dobiegł do rozwidlenia, zatrzymał się i próbując stłumić ciężki oddech, uważnie nasłuchiwał.

Obniżył latarkę i oświetlił środkowy tunel. Okazało się, że na końcu jest ściana. Skierował snop światła w prawo i oświetlił korytarz, który delikatnie zakręcał. Tunel po lewej stronie również biegł łagodnym łukiem.

Znów wyteżył słuch. Cisza. Trzeba podjąć decyzję.

JEROZOLIMA

Siedzący w ciasnej celi na posterunku Syjon Graham Barton wpatrywał się beznadziejnie w solidne stalowe drzwi. Nie wiedzieć czemu, nagle został mózgiem operacji na Wzgórzu Świątynnym. W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jest jakiś powód, dla którego wszyscy sprzyśleli się przeciwko niemu - prawdopodobnie jakiś doraźny interes polityczny. Tego ranka izraelska policja po raz pierwszy pozwoliła mu zadzwonić do żony. Dzielili ich ośmiogodzinna różnica czasu i Jenny była wściekła, gdy wyrwał ją ze snu, ale gdy wyjaśnił jej swoje kłopotliwe położenie, szybko złagodniała.

W jej głosie wyczuł coś, czego dawno nie słyszał - autentyczną troskę. Gdy jej powiedział, że jest niewinny, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Daj spokój, Grahamie. Przecież wiem, że nigdy nie posunąłbyś się do czegoś podobnego.

Zapewniła go, że bezzwłocznie przygotuje plan działania, a na koniec powiedziała:

- Pamiętaj, że cię kocham. Jestem z tobą.

Niewiele brakowało, żeby się rozplakał, słysząc te słowa. W chwili, w której otaczał go tylko mrok i zwątpienie, odzyskał coś cenniejszego niż sama wolność.

Drzwi otwały się nagle i Barton zobaczył znajomą postać. Razak.

Wyraźnie zmartwiony podszedł do drugiego krzesła. Drzwi zamknęły się za nim i usłyszeli szcęk zamka.

- Chyba wpakowałeś się w niezłe tarapaty - powiedział z rozczarowaniem w głosie.

Razak potrafił przejrzeć człowieka na wylot, ale policja przedstawiła mu tak mocne dowody przeciwko Bartonowi, że nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż został wystrychnięty na dudka.

- To pułapka - stwierdził Barton. - Nie mam nic wspólnego z tą

zbrodnią. Akurat ty nie powinieneś w to wątpić.

- Polubiłem cię. Wyglądasz mi na dobrego człowieka, ale szczerze mówiąc, sam już nie wiem, co myśleć. Podobno w twoim mieszkaniu odkryto mocne dowody. Przedmioty, które mogły należeć tylko do rabusiów.

- Ktoś je tam podrzucił - bronił się Barton. - A co do zwoju, to wiesz równie dobrze jak ja, że był w ossuarium.

Dostrzegł niedowierzenie na twarzy Razaka.

- Na litość boską, przecież musisz im powiedzieć, że zwój był w ossuarium.

Razak rozłożył ręce.

- Przecież stałem tyłem - przypomniał.

Nie mógł wykluczyć, że Barton odegrał całą tę komedię z otwieraniem pozostałych ossuariów po to, żeby wytłumaczyć się z posiadania zwoju. Ale czemu to miało służyć? Czyżby liczył na rozgłos? Na to, że podważy prawo muzułmanów do Wzgórza Świątynnego? Odwróci uwagę policji od śledztwa i skieruje ją na konflikt terytorialny? Zrzuci winę na jakiegoś chrześcijanina fanatyka?

- Aha. Rozumiem - na twarzy archeologa malowało się rozczarowanie. - Jesteś po ich stronie.

- A co z pozostałymi ossuariami? Teraz Barton się zachnął.

- Jak człowiek mojej postury zdołałby wynieść dziewięć czterdziestopięciokilowych skrzynek pod okiem Waqf i policji? Przecież to nie jest coś, co można włożyć do kieszeni - powiedział sarkastycznie. - Nie widziałeś, co od paru dni dzieje się na mieście? Co krok kamery. Wystarczy odtwo* rzyć nagrania, żeby się przekonać, że pod twoją nieobecność w ogóle nie wchodziłem do krypty.

Razak wpatrywał się w milczeniu w podłogę.

- A nawet gdyby mi się udało je wynieść, to gdzie bym je ukrył? W mieszkaniu? Przecież to już sprawdzili. Zaraz jeszcze powiesz, że zamazałem inskrypcję na ścianie, bo widziałem ją wcześniej niż ty.

Razak gwałtownie podniósł wzrok.

- O czym ty mówisz?

- O dziesiątej pozycji na tablicy. Pamiętasz, że była zamazana? Teraz skojarzył.

- Faktycznie.

- Dzisiaj Topól niby przypadkiem pokazał mi zdjęcie zrobione, zanim mnie sprowadzono. Było tam widać symbol, który wcześniej znajdował się na tablicy.

Razakowi to się nie spodobało.

- Jaki symbol?

Barton nie miał nastroju na kolejny wykład.

- Pogański. Delfin owinięty wokół trójzębu. Razak niewiele z tego rozumiał.

- To wczesnochrześcijański symbol Jezusa, przedstawiający ukrzyżowanie i zmartwychwstanie.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Jeśli Barton nie kłamał, było to kolejne potwierdzenie jego teorii na temat właściciela krypty i domniemanej zawartości skradzionego ossuarium. Pokręcił głową.

- Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

- Musisz mi pomóc. Oprócz ciebie nikt nie wie, jak było naprawdę.

- W tej części świata prawdy to ze świecą szukać - Razak odwrócił wzrok. - Nawet gdyby istniała, nie jestem pewien, czy bym ją rozpoznał.

Mimo wszystko czuł się odpowiedzialny za losy Anglika. Jego domysły co do kradzieży były praktycznie bez zarzutu i Barton odkrywał wątki, na które nikt inny nie zwróciłby uwagi. A jednak teraz czekał na postawienie zarzutów. Razak wielokrotnie był świadkiem sytuacji, w których izraelskie władze posługiwały się takimi taktykami. Ale czy naprawdę Barton był dla nich odpowiednim kozłem ofiarnym? Jeśli tak, to sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej.

- Jest dla mnie jakaś nadzieja?

Razak rozłożył ręce.

- Nadzieja jest zawsze - w głębi duszy wiedział jednak, że Barton nie wywinie się z tego tak łatwo.

- Chyba nie masz zamiaru zeznawać przeciwko mnie?

- Musisz zrozumieć naszą sytuację - Razak zaczynał się zastanawiać,

czy sam wie, o czym mówi.

- Jaką sytuację?

- Potrzeba nam pokoju. Stabilizacji. Wiesz, co się wczoraj stało - powiedział, mając na myśli zamach. - Jeśli nic się nie zmieni, wszystko zacznie się od początku. Gdy rozniosły się wieści o twoim aresztowaniu, napięcie trochę opadło. Wznowiono rozmowy. Ludzie mają kogo winić: i to człowieka, który nie jest ani żydem, ani muzułmaninem.

- Sprytnie pomyślane - archeolog wiedział, że nic już nie można zrobić.

- To przede wszystkim sprawa polityczna - Razak pochylił się do przodu. - Wiem, że to okropne, ale jeśli nie znajdzie się wspólny wróg, sytuacja będzie patowa. Jeśli wina spadnie na jednego człowieka, polecą głowy. Jeśli na cały naród, to znaczy, że nie był to odosobniony przypadek.

-1 pozwolisz, żeby to się tak skończyło?

- To się nie skończy - Razak wstał i zapukał w drzwi celi. Przed wyjściem zawahał się na moment i odwrócił do Bartona. - Muszę to wszystko przetrwać. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, ale nie mogę ręczyć za coś, czego nie jestem pewien. Wiem, że to uszanujesz - powiedział i wyszedł z celi. Miał złe przeczucia.

Kiedy Razak dziesięć minut wcześniej wchodził na posterunek, na zewnątrz było pusto. Gdy teraz wyszedł na słońce, jego oczom ukazał się zgoła odmienny widok.

Na miejscu było już kilkunastu reporterów. Sądząc po ich żywiołowych reakcjach, Razak domyślił się, że zjawili się tu ze względu na niego. Natychmiast wymierzono w niego obiektywy kamer, a reporterzy otoczyli go całą chmarą, podtykając mu mikrofony jak szpady.

- Panie al-Tahini! - jednemu z reporterów udało się wyrwać przed innych i przyciągnąć jego uwagę.

Razak zeszytniał. Wiedział, że konfrontacja jest nieunikniona i poniekąd konieczna. W końcu był rzecznikiem Waqf.

- Słucham.

- Czy to prawda, że policja aresztowała człowieka

odpowiedzialnego za kradzież na Wzgórzu Świątynnym?

Jak na zawołanie, cała grupa ucichła i z niepokojeni czekała na odpowiedź.

Razak odchrząknął.

- To jeszcze nic pewnego. O ile wiem, policja nadal bada tę sprawę. Do głosu doszedł kolejny reporter.

- Czy pan nie współpracował z tym człowiekiem? Angielskim archeologiem Grahamem Bartonem?

- To prawda, że wyznaczono mnie do tego śledztwa, podobnie jak pana Bartona. Uznaliśmy, że ze względu na swoje wysokie kwalifikacje może nam pomóc lepiej zrozumieć motywy złodziei.

Pierwszy z reporterów przypuścił kolejny szturm.

- A jakie jest pańskie zdanie po tym, jak uznano go za osobę, która stała za tym wszystkim?

Ostrożnie, powiedział sobie Razak. Nie pogrążaj Grahama. I nie naraż się muzułmańskim i palestyńskim wyborcom.

- Choć bardzo zależy mi na tym, by możliwie szybko rozwiązać tę sprawę, sądzę, że trzeba jeszcze odpowiedzieć na wiele pytań, zanim przeciwko temu człowiekowi zostanie wniesione oskarżenie - spojrzał na reportera. - To wszystko. Jeśli państwo pozwolą... - zakończył i zaczął się przeciskać przez tłum.

Giovanni Bersei, skulony we wnęce nad korytarzem, rozpaczliwie próbował uspokoić urywany oddech z nadzieją, że Conte wybierze niewłaściwy tunel i zacznie błąkać się po katakumbach. Może nawet jego organizm nie wytrzyma trujących wyziewów i Conte straci przytomność. Bersei miał tylko nadzieję, że wcześniej nie spotka to jego. Zacisnął palce na trzonku młotka. Ale czymże jest młotek w porównaniu z pistoletem. Mijały minuty. Już się uspokoił. Zaczął się zastanawiać, czy nie odczekać jeszcze chwili i nie wygramolić się z wnęki. Szybko jednak zmienił zdanie. Na przeciwległej stromej ścianie tunelu pojawiło się bowiem blade światło. Nadchodził Conte.

Przeszukawszy bez powodzenia dwa tunele, Conte ponownie znalazł w miejscu, gdzie Bersei potknął się o narzędzia. Nie miał wątpliwości, że jego ofiara jeszcze się nie wymknęła. Gdyby Bersei zechciał przedrzeć się po ciemku przez tę rupieciarnię, z pewnością narobiłby rabanu.

Maszerując trzecim tunelem, Conte czuł na twarzy lekki powiew. Powietrze nie cuchnęło tu tak mocno. Może gdzieś w pobliżu znajdował się szyb wentylacyjny.

Zaczynał już brać pod uwagę możliwość, że Bersei go przechytrzył. Nawet jeśli tak się stało, to ta strategia była skuteczna tylko na krótką metę, ponieważ jedyne drzwi prowadzące na zewnątrz pozostawały zamknięte.

Powoli sunąc korytarzem, w pewnym momencie zobaczył w oddali przytłumiony blask. Czyżby światło dzienne?

Ogarnęła go panika. Może to po prostu szyb wentylacyjny, ale na tyle szeroki, że równie dobrze może posłużyć jako droga ucieczki. Conte puścił się pędem w tamtą stronę.

Nagle jakieś dziesięć metrów przed nim wysoko na ścianie, pokazał się jakiś ciemny kształt, który zatoczywszy łuk, wylądował na jego skroni, zanim Conte zdążył zorientować się w sytuacji. Upadł na plecy

i mocno wyrznął głową o posadzkę.

Latarka potoczyła się po ziemi, ale glocka ciągle mocno trzymał w dłoni. W takich przypadkach instynkt go nie zawodził.

Conte ogłuszony ciosem, ledwo dostrzegł ciemną postać wyczołgującą się ze ściany niczym ożywiony trup. Bersei zeskoczył na ziemię i rzucił się po latarkę.

Nieoczekiwanie jak przez mgłę Conte zobaczył, że coś przecina powietrze. Poczł uderzenie w pierś. Młotek? Conte podniósł rękę i strzelił na oślep na wypadek, gdyby napastnikowi przyszło do głowy rzucić coś jeszcze.

Próbował dojsć do siebie, a tymczasem światło latarki znikło w głębi korytarza.

Pędząc w kierunku źródła światła widocznego przy końcu korytarza, Bersei dziękował Bogu, że kule Contego go ominęły. Dręczyła go myśl, że być może jest to ślepy korytarz, ale starał się koncentrować na widocznym na końcu jasnym stożku słonecznego światła, dającym jakąś nadzieję ucieczki. Poczł silniejszy powiew. Może przy odrobinie szczęścia zdoła wyjść żywy z tego potwornego podziemia.

W odległości kilku metrów od szybu musiał gwałtownie wyhamować. Stał tuż przy krawędzi ziejącego otworu w podłodze. Promienie słońca wypełniały szeroki nieregularny szyb. Bersei zajrzał do wlotu i zobaczył, że od skalistego dna dzielą go jeszcze najwyżej cztery kondygnacje.

Dolne galerie, przypomniał sobie, że pod jego stopami powinny się znajdować jeszcze co najmniej trzy poziomy. Konserwatorzy musieli otworzyć szyb wentylacyjny, żeby pozbyć się uporczywych podziemnych gazów.

Chryste, ratuj.

Spojrzał w górę, w kierunku źródła światła. Szyb był zbyt szeroki, żeby się po nim wdrapać. Co gorsza, na samej górze tkwiła ciężka stalowa krata. Człł, jak ogarnia go skrajna rozpacz.

Nagle usłyszał za plecami jakiś szelest.

Odwrócił się właśnie w momencie, gdy Conte odbijał się od ziemi i leciał poziomo w jego stronę jak pocisk. Stopy napastnika z impetem

pchnęły go w sam środek klatki piersiowej. Ciało Berseiego przeleciało bezwładnie nad otworem szybu i z hukiem uderzyło w ścianę.

Latarka wpadła do otworu i stoczyła się na sam dół, po czym roztrzaskała na dnie szybu.

Na ułamek sekundy Bersei przywarł do ściany, znajdując oparcie na wąskiej skalnej półce dzielącej ścianę od otworu, ale jego ciało natychmiast zachwiało się niebezpiecznie pod wpływem impetu. W nagłym przypływie adrenaliny próbował odepchnąć się nogami i przerzucić ciało nad szybem. Rozpostarte palce uderzyły w krawędź otworu i zacisnęły się mocno. Nic z tego.

Drobne kamyki wirowały wokół niego, gdy spadał głową w dół na dno szybu.

Conte spojrzął w przepaść. Ciało leżało w nienaturalnej pozycji na dnie. Z roztrzaskanej czaszki sączyła się krew, a z kończyn sterczały połamane kości.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Czysta robota. Wszyscy pomyślą, że to był nieszczęśliwy wypadek. Miną całe dni, a może nawet tygodnie, zanim ktoś znajdzie ciało. Nie musiał nawet się martwić, że ktoś zwróci uwagę na smród zgnilizny. W końcu właśnie po to wybudowano katakumby.

Odwrócił się i skierował do wyjścia, zbierając po drodze buty, pistolet i kurtkę. Udało mu się nawet znaleźć wystrzelone pociski i łuski. Z zasady starał się nie zostawiać za sobą tak oczywistych dowodów. Właśnie dlatego podczas skoku w Jerozolimie posługiwał się XM8. Śledztwo pewnie stanęło w martwym punkcie i policja do dziś się głowi, jak to się stało, że prototypowa broń, która powinna bezpiecznie spoczywać w jakimś amerykańskim bunkrze, trafiła w ręce anonimowych najemników.

Otworzył drzwi i wyszedł do holu. Odłożył klucze tam, skąd je wziął, chwycił torbę z laptopem, odsunął zasuwkę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę przyzwyczajał oczy do ostrego słonecznego światła, a następnie przystąpił do przenoszenia skutera antropologa do wynajętej furgonetki. Wprowadził go do bagażnika, zatrzasnął drzwiczki i wskoczył za kierownicę. Przez moment

studiował swoje odbicie w lusterku. Na skroni zdążył wyrosnąć mu siny guz wielkości orzecha włoskiego. Na szczęście Bersei niezbyt precyzyjnie wymierzył odległość. W przeciwnym razie Con-te prawdopodobnie straciłby przytomność.

Koniec końców wykonał kawał dobrej roboty.

WATYKAN

Za dziesięć dziesiąta ojciec Donovan wszedł do laboratorium. Wyglądał, jakby od wielu dni nie zmrużył oka. Z ramienia zwisał mu skórzany chlebak.- Dzień dobry, pani doktor.

Siedząca przy ossuarium Charlotte z trudem oderwała od niego wzrok.

Donovan rozejrzał się po laboratorium w poszukiwaniu antropologa.

- A gdzie się podział doktor Bersei?

- Miałam dzwonić do ojca w tej sprawie - powiedziała. - Jeszcze się nie pojawił.

Rozmijanie się z prawdą nie przychodziło jej lekko, ale tym razem z sympatii do Giovanniego wyjątkowo postarała się, by jej słowa zabrzmiały przekonująco.

- Dziwne - natychmiast przyszło mu na myśl, że Conte coś kombinuje. Idąc korytarzem, zauważył, że prowizoryczny pokój monitoringu jest otwarty i pusty. Najwyraźniej Contemu gdzieś się spieszyło. - Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Ja też. To do niego niepodobne.

- Zwłaszcza w tak ważnym dniu - dodał Donovan. - Naprawdę na niego liczyłem, jeśli chodzi o tę prezentację. Poradzi sobie pani bez niego?

- Oczywiście - odpowiedziała, ale poczuła ucisk w dołku. Jak sama przebrnie przez to wszystko? A jeśli Bersei ma rację? A jeśli wcale nie jest tu bezpieczna? Jedyłą jej pociechą było wewnętrzne przecucie, że ten ksiądz dopilnuje, by włos nie spadł jej z głowy. A Charlotte znała się na ludziach.

Donovan zerknął na zegarek.

- Na nas już czas. Wolałbym się nie spóźnić.

Charlotte zdobyła się na wymuszony uśmiech, zawiesiła na ramieniu torbę z laptopem, wzięła pokaźną teczkę z materiałami do

prezentacji i podążyła za Donovanem.

- To dokąd właściwie się wybieramy? Obdarzył ją przelotnym spojrzeniem.

- Do gabinetu sekretarza stanu, kardynała Antonia Carla Santellego.

- Przemierzając wspaniałe korytarze w Pałacu Apostolskim, Donovan zerknął ukradkiem na Charlotte kroczącą u jego boku i dostrzegł w jej oczach ten sam podziw, który sam odczuwał podczas pierwszej wizyty w tym miejscu. Robi wrażenie, prawda?

- Owszem - Charlotte próbowała zachować spokój, widząc uzbrojonych po zęby gwardzistów porozmieszczanych w całym korytarzu. - Coś wspaniałego.

Donovan wskazał wysoki sufit.

- Papież urzęduje piętro wyżej.

Żołnierze Gwardii Szwajcarskiej, stojący przy wejściu do gabinetu kardynała Santellego, przepuścili ich bez zbędnych formalności. Donovan i Charlotte w asyście jednego ze strażników weszli do przedpokoju, gdzie powitał ich ojciec Martin.

Donovan nie był zachwycony, że spotykają się właśnie tu. Czym kierował się Santelli? Czyżby chciał pokazać, jak wiele jest do stracenia na wypadek, gdyby Charlotte zaczęła coś podejrzewać?

- Miło cię widzieć, James - Donovan uścisnął dłoń młodego księdza, udając, że nie widzi ciemnych obwódok pod jego oczami. Przedstawił Charlotte i poprosił kleryka o telefon do laboratorium, żeby się przekonać, czy nie dotarł tam Bersei.

Ksiądz Martin podszedł do biurka i sięgnął po słuchawkę. Sygnał rozbrzmiewał przez dobrych kilkanaście sekund, ale nikt się nie zgłaszał. Martin pokręcił głową.

- Przykro mi. Nic z tego. Donovan zwrócił się do Charlotte.

- Wygląda na to, że jest pani zdana na siebie - powiedział przepaszającym tonem.

Nagle z małego głośnika interkomu na biurku księdza odezwał się szorstki głos:

- James, prosiłem cię o to sprawozdanie dziesięć minut temu. Na co jeszcze czekasz, do cholery?

Kleryk przewrócił oczami i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Przepraszam na moment - pochylił się nad biurkiem i wcisnął

przycisk. - Sprawozdanie jest gotowe, Wasza Eminencjo. Przepraszam za opóźnienie. I jeszcze jedno. Właśnie przyszli ojciec Donovan i doktor Hennesey.

- No to na co czekasz? Przyślij ich tu zaraz!

Ojciec Martin ze złością porwał z blatu teczkę i wprowadził ich do gabinetu Santellego.

Kardynał siedział przy biurku i właśnie kończył rozmowę telefoniczną. Pozdrowił gości ruchem głowy i skinął ręką na teczkę w ręce Martina. Gdy już ją otrzymał, odpędził asystenta jak muchę.

- Witamy w paszczy lwa - szepnął Martin do Donovana, wracając do swojego biura.

Na widok budzącej respekt postaci Santellego Charlotte nagle sobie uświadomiła, że była tak zaabsorbowana podejrzeniami Giovan-niego i odrażającą szpiegowską norą Contego, że zapomniała omówić z Donovanem kwestie etykiety. Tymczasem kardynał skończył rozmowę i podniósł się z fotela: wysoki wyprostowany mężczyzna o przyjemnej, ale stanowczej twarzy. Kiedy obchodził ciężkie biurko, Charlotte odniosła wrażenie, że wykazuje wyraźne oznaki lekkiego upojenia alkoholowego, choć nie mogła zaprzeczyć, że w jego sposobie bycia jest coś, co budzi szacunek.

- Dzień dobry, ojcze - kardynał wyciągnął prawą rękę, jakby chciał złapać niewidzialną laskę.

- Wasza Eminencjo - Donovan zrobił krok w przód i nachylił się lekko, żeby ucałować święty pierścień Santellego, kryjąc niechęć dla tego gestu poddaństwa. - Eminencja Antonio Carlo Santelli, doktor Charlotte Hennesey, znana specjalistka od genetyki z Phoenbc.

- A, tak - Santelli uśmiechnął się szeroko. - Wiele o pani słyszałem, pani doktor.

Charlotte podeszła bliżej, nieco zalekniona. Być może to wyczuł, bo po prostu podał jej dłoń na przywitanie. Przyjęła to z ulgą i odwzajemniła uścisk. Przez moment poczuła piżmową woń wody kolońskiej.

- To dla mnie zaszczyt, Wasza Eminencjo.

- Miło mi to słyszeć, droga pani - kardynał, nieco oszołomiony jej niezwykłą urodą, przytrzymał przez chwilę jej rękę. - Usiądźmy -

położył jej dłoń na ramieniu i wskazał okrągły mahoniowy stół konferencyjny stojący po drugiej stronie gabinetu.

Santelli dotrzymywał kroku Charlotte, nie zdejmując ręki z jej ramienia, a Donovan, który podążał za nimi, nie mógł się nadziwić, jak czarujący potrafi być kardynał, gdy sytuacja tego wymaga. Istny wilk w owczej skórze.

- Szalenie mi zależy na omówieniu rezultatów tego niesamowitego projektu, nad którym państwo pracowali - powiedział z werwą w głosie Santelli. - Ojciec Donovan zdradził mi już wiele fascynujących informacji.

Gdy zasiedli w skórzanych fotelach, Donovan krótko omówił założenia projektu, żeby przypomnieć Santellemu, jakie przedmioty trafiły w ręce naukowców. Następnie przeprosił w imieniu doktora Bersei, który nie mógł przyjść na spotkanie z przyczyn osobistych.

Kardynał wyglądał na zaniepokojonego.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego. Ja też, pomyślał bibliotekarz.

- Jestem pewien, że da sobie radę.

- Wobec tego oddaję pani głos, pani doktor.

Charlotte wręczyła Santellemu zabindowane sprawozdanie, a kopię podała Donovanowi. Otworzyła laptopa i czekała, aż się uruchomi.

- Pierwszy etap badań obejmował analizę patologiczną szkieletu - zaczęła, na nowo przybierając zasadniczą maskę naukowca.

Włączyła pokaz slajdów w programie PowerPoint i krok po kroku demonstrowała uczestnikom spotkania powiększenia wyraźnych, barwnych fotografii zaobserwowanych nieprawidłowości: żłobień, złamań w kolanach oraz uszkodzonych nadgarstków i stóp.

- Na podstawie tego co tu widzimy, oboje doszliśmy do wniosku, że mężczyzna, którego szczątki pochowano w ossuarium, zmarł niedługo po ukończeniu trzydziestego roku życia. Zmarł, a właściwie... został stracony.

- Stracony? - Santelli umiejętnie udawał zdziwienie.

Spojrzała na Donovana. On też sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale skinął głową na znak, że może mówić dalej. Ponownie skierowała wzrok na kardynała i od razu przeszła do rzeczy. - Zginął na krzyżu.

Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowała cisza.

Santelli pochylił się, oparł łokcie na stole i wytrzymał spojrzenie Charlotte.

- Mówi pani, na krzyżu...

- Dowody z oględzin jednoznacznie potwierdzają tę tezę - ciągnęła.

- Ponadto w schowku ukrytym w dnie ossuarium znaleźliśmy te przedmioty - ledwie panując nad drżeniem rąk, Charlotte wyjęła z podręcznej torby trzy plastikowe woreczki. Położyła pierwszy na stole, starając się nie porysować gwoździami wypolerowanego blatu. Obok położyła zamkniętą torebkę z dwoma monetami. W trzeciej znajdowała się metalowa tuleja.

Santelli i Donovan uważnie przyjrzeni się znaleziskom.

Największe zainteresowanie wzbudziły gwoździe. Dodatkowe wyjaśnienia były tu zbędne. Obaj duchowni najpewniej myśleli o tym samym co ona, gdy zobaczyła je po raz pierwszy: o tym, jak potworny ból musi czuć człowiek przybijany do krzyża.

Charlotte obszernie omówiła znaczenie monet. O dziwo, ani Donovan, ani Santelli nie zadawali żadnych pytań. Czyżby już to wszystko wiedzieli? Czy Conte, ten sukinsyn, informował ich na bieżąco o wynikach szpiegowania? Próbując odpędzić od siebie te podejrzenia, dodała, że w tulei znajduje się zwój, którego jeszcze nie przebadali. Ta relikwia także wzbudziła szczególne zainteresowanie ojca Donovana.

- Wysłaliśmy próbkę kości i kawałek drewna do laboratorium radiowęglowego - podała rozmówcom nadesłane przez Ciardiniego wydruki z wynikami badań. - Jak widać, obie próbki są datowane na początek pierwszego wieku. Okazuje się, że drewno pochodzi z orzecha występującego w rejonie starożytnej Judei. Na dnie naczynia znaleźliśmy również substancje organiczne: cząsteczki lnu i kwiatów używanych podczas obrządku pogrzebowego. I tym razem mamy do czynienia z substancjami typowymi dla obszaru Judei - jednym ruchem wyświetliła na ekranie kolejne obrazy i dane.

- Dlaczego len, pani doktor? - zapytał Donovan.

- Najprawdopodobniej pozostałości całunu i lnianych pasów, którymi owijano ciało podczas pogrzebu - zawiesiła na chwilę głos. - Doktor Bersei przeprowadził analizę mikroskopową patyny

pokrywającej ossuarium.

Wyświetliła obrazy mikroskopowe patyny w różnej skali.

- Struktura biologiczna jest jednakowa w obrębie całej próbki. Ponadto skład mineralny patyny pokrywa się ze składem podobnych relikwii odnalezionych w pieczarach w tym samym regionie. Co ważniejsze, nie wykryliśmy żadnych oznak fizycznej ingerencji.

- Przepraszam, że przerywam, ale co to oznacza? - zapytał kardynał.

- Po prostu, że nie jest to fałszywka. Patyna nie została sfabrykowana za pomocą współczesnych metod chemicznych, a to wskazuje na autentyczność ossuarium i widocznych na nim śladów. - Ale to już pewnie wiecie, pomyślała. Otworzyła plik z trójwymiarowymi skanami szkieletu i obróciła laptop w stronę słuchaczy. - Po zeskanowaniu szkieletu odtworzyliśmy masę mięśniową osobnika - jeden ruch myszką i na ekranie wyświetlił się cyfrowy obraz krwistoczerwonej muskulatury. Charlotte dała im trochę czasu na przyjrzenie się tej warstwie, po czym kliknęła odpowiednie polecenie i przypisała do obrazu bezbarwną „skórę”. - Za pomocą podstawowego profilu genetycznego odtworzyliśmy wygląd tego osobnika w chwili śmierci. A oto i on.

Jedno kliknięcie i kolejny obraz: zabarwiona skóra, barwne tęczówki, ciemne gęste włosy.

To zrobiło na nich wrażenie.

- Nie do wiary - wymamrotał Santelli.

Dotychczas ani kardynał, ani bibliotekarz nie dali po sobie poznać, że wiedzieli wcześniej o tożsamości człowieka, którego szczątki znajdowały się w ossuarium, ani o pochodzeniu samego naczynia. Nie spuszczała wzroku z ich twarzy. Czy ci dwaj duchowni naprawdę mogą być zamieszani w napad, który pociągnął za sobą tyle ofiar?

- Ostatnio doktorowi Bersei udało się rozszyfrować symbol, który wyryto na ścianie skrzynki.

Wiedziała, że następny eksponat wywoła żywe reakcje. Otworzyła zdjęcie, na którym widniał delfin owinięty wokół trójzębu, i wyjaśniła z osobna znaczenie obu elementów. - Połączenie tych dwóch symboli pogańskich to dla pierwszych chrześcijan wyobrażenie... Jezusa Chrystusa.

Santelli i Donovan spojrzeli na siebie z niepokojem.
Zadanie wykonane, pomyślała.
Gabinet kardynała Santellego wypełniła grobowa cisza.

Pierwszy odezwał się kardynał Santelli. - Czy chce pani przez to powiedzieć, że w ossuarium znajdują się szczątki Jezusa Chrystusa? Choć Charlotte na ogół odpowiadało jasne stawianie sprawy, tym razem czuła, że sytuacja ją przerasta. Przełknęła ślinę. Poczowała nagły przypływ energii i instynktowny odruch - walczyć albo uciekać. Musiała zwalczyć pokusę spoglądania w stronę otwartych drzwi.

Na szczęście rano, przed wyjściem z hotelu, poświęciła godzinę na lekturę pewnej księgi, która akurat w Watykanie była zawsze pod ręką. Ściśle mówiąc, znajdowała się w szufladzie nocnej szafki. Jeśli jej sprawozdanie miało choć delikatnie sugerować, że mogą to być kości Jezusa Chrystusa, warto było sobie przypomnieć odpowiednie ustępy Nowego Testamentu.

- Na pierwszy rzut oka dowody robią wrażenie - zaczęła. - Jednak w raporcie patologicznym można znaleźć pewne rozbieżności, a niektóre wnioski są sprzeczne z kanonem biblijnym. Przykładowo, nie natrafiliśmy na żadne dowody wskazujące, że bok przebito włócznią, a tak przecież przedstawia to Biblia. Poza tym temu człowiekowi złamano nogi w kolanach - dodała i opowiedziała ze szczegółami, jak Rzymianie przyspieszali zgon za pomocą metalowej maczugi.

Ojciec Donovan patrzył na nią nieobecny wzrokiem i zastanawiał się nad niezgodnością, o której wspomniała. Wiedział, że Charlotte ma na myśli ustęp dziewiętnasty Ewangelii św. Jana, gdzie jest napisane, że centurion przebił bok Chrystusa włócznią:

Przyszli więc żołnierze i połamali gołenie tak pierwszemu, jak i drugiemu, którzy z nim byli ukrzyżowani. Lecz gdy podeszli do Jezusa i zobaczyli, że już umarł, nie łamali Mu gołeni.

Donovan często myślał o tym, że dwa wersety z tego ustępu - trzydziesty szósty i trzydziesty siódmy - w zwięzły sposób wyjaśniają tę niezgodność.

Stało się to bowiem, aby się wypełniło Pismo: *Kość jego nie będzie złamana*. I znowu winnym miejscu mówi Pismo: *Będą patrzeć na Tego, którego przebili*.

Co ciekawe, o tym zdarzeniu nie wspomina żadna z ewangelii synoptycznych - Mateusza, Marka i Łukasza. Donovan mógł się jedynie domyślać, że w Ewangelii św. Jana ubarwiono scenę ukrzyżowania, żeby przekonać Żydów, że zgodnie ze Starym Testamentem to Jezus jest prawdziwym Mesjaszem („stało się to bowiem, aby się wypełniło Pismo”). Był przeświadczony, że szkielet spoczywający w podziemiach Muzeów Watykańskich nie kłamie: Poncjusz Piłat i Rzymianie traktowali Jezusa jak wszystkich innych bezimiennych złoczyńców zagrażających porządkowi społecznemu cesarstwa. Zgładzili go bezlitośnie, a ponieważ nie dość szybko umierał, zmiądzili mu kolana, żeby przyspieszyć ten proces. Charlotte mówiła dalej.

- Jestem pewna, że wiecie znacznie lepiej niż ja, czym zajmował się Jezus, zanim zaczął pełnić swoją posługę.

- Od dzieciństwa parał się ciesielstwem - odpowiedział Donovan. W istocie w Biblii nie ma wyraźnych wzmianek o zawodzie Chrystusa. Uznaje się, że był cieślą tylko dlatego, że Ewangelia św. Mateusza przedstawia go jako „syna cieśli”, więc zakładano, że pracował u boku ojca. W rzeczywistości użyte w Ewangelii św. Mateusza greckie słowo *tektonou*, przełożone swobodnie jako „cieśla”, może oznaczać każdego, kto wykonuje prace manualne: budowniczego, robotnika czy rolnika.

Charlotte przytaknęła.

- Taka praca wykonywana przez wiele lat skutkuje widocznymi zmianami stawów palców i przegubów. Kości i otaczające je tkanki rozrastają się, żeby sprostać zwiększonemu obciążeniu. Stawy co najmniej jednej ręki powinny być przedwcześnie wyniszczone - wyświetliła na ekranie zbliżenia rąk. - Tymczasem u tego człowieka nie widać żadnych wyraźnych zmian.

- Fascynujące - stwierdził Donovan. Brzmiało to niemal szczerze.

- Co najważniejsze - Charlotte wskazała monitor - skład genetyczny nie wskazuje na osobę urodzoną w starożytnej Judei. Uważnie przestudiowałam sekwencję DNA i nie odpowiada ona żadnemu z udokumentowanych bliskowschodnich profilów arabskich ani żydowskich. Według Biblii Jezus Chrystus pochodził z tradycyjnego

rodu żydowskiego. Jak obaj panowie wiedzą, Ewangelia według św. Mateusza rozpoczyna się od prześledzenia linii tego rodu. Wspomina o czterdziestu dwóch pokoleniach Żydów i sięga aż do czasów Abrahama. Jezus był więc czystej krwi Żydem, tymczasem na podstawie analizy DNA tego osobnika nie można jasno określić jego pochodzenia.

Santelli i Donovan wyglądali na zbitych z tropu. Kardynał przechylił głowę w bok.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że według pani to nie są szczątki Jezusa?

Ich spojrzenia się spotkały.

Charlotte wróciła myślami do rozmowy z Bersei. Przypomniała sobie, jak powiedział, że być może te relikwie zdobyto kosztem ludzkiego życia. Miała zaufanie do Donovana, ale rozbiegany wzrok kardynała sprawił, że zaczęła dopuszczać do siebie myśl, iż podejrzenia Giovanniego nie były bezpodstawne.

- Z tego, co tu widzę, twierdzenie, że faktycznie są to szczątki Jezusa Chrystusa byłoby ryzykowne. Metody naukowe, jakimi dziś dysponujemy, pozostawiają dość szeroką furtkę. Jest bardzo prawdopodobne, że jest to jakaś wczesnośredniowieczna mistyfikacja.

- Co za ulga - powiedział ojciec Donovan.

- Ulga? Dlaczego? - Charlotte spojrzała na niego z zaskoczeniem. Bibliotekarz otworzył chlebak i wyjął *Ephemeris Conclusio*.

- Należą się pani wyjaśnienia.

Ojciec Donovan złożył starożytny podniszczony manuskrypt na błyszczącym mahoniowym blacie i zwrócił się do Charlotte: - Naturalnie zauważyła pani, że Watykan jest bardzo zainteresowany pochodzeniem tego ossuarium. Kardynał Santelli rozsiadł się na fotelu i skrzyżował ręce na piersi. Charlotte spojrzała z zaciekawieniem na księgę.

- I nie bez powodu - dodał Donovan. - To, co pani teraz powiem, nie dotarło do nikogo spoza wąskiego kręgu najwyższych hierarchów Kościoła.

Sądząc po postawie Santellego, szczerze w to wątpiła.

- Na początek krótko nakreślę tło historyczne - powiedział bibliotekarz. - Wielu Żydów, zwłaszcza tych żyjących w starożytnej Judei, utrzymywało, że Jezus, samozwańczy Syn Boży, nie odpowiadał biblijnym opisom Mesjasza. I mieli rację.

To dziwne, że takie słowa padają z jego ust, pomyślała.

- Zdaniem proroków Mesjasz miał być wojownikiem pochodzącym w prostej linii od króla Dawida, upoważnionym przez Boga do zbrojnego zjednoczenia plemion Izraela i wyzwolenia Ziemi Obiecanej z jarzma tyranii i ucisku - Donovan był ożywiony; mówił szybko i zamasyście gestykulował. - Mesjasz miał odbudować Świątynię. Miał też podbić Rzym. Żydzi przez całe wieki byli prześladowani i podporządkowani największym imperiom: Persom, Grekom i Rzymianom. W pierwszym tysiącleciu istnienia Jerozolimy przelano tam wiele krwi.

Obraz martwych żołnierzy izraelskich przypomniawszy mu, że pod tym względem niewiele się zmieniło.

- A jednak według ksiąg Jezus był orędownikiem pokoju. Człowiekiem, który tłumaczył Żydom, by płacili podatki i pogodzili się ze swoją dolą. W zamian obiecywał im życie wieczne w królestwie niebieskim. Był przekonany, że odpowiadanie złem na zło tylko napędza odwieczny cykl.

Charlotte uświadomiła sobie, że Donovan musi opowiedzieć tę

historię, a ona powinna go do tego zachęcić.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, tak?

- Właśnie. Jezus wiedział, że nie da się pokonać Rzymu. Chciał powstrzymać bunt Żydów, który mógł się zakończyć ich masową rzezią. Byli i tacy, którzy mu nie uwierzyli - powiedział z powagą w głosie. - Niecałe trzydzieści lat po śmierci Chrystusa Żydzi wreszcie się zbuntowali. Reakcja Rzymu była natychmiastowa i brutalna. Rozpoczęło się od oblężenia, a po zdobyciu miasta Rzymianie wymordowali wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, co do jednego, Tysiące ludzi zginęło na krzyżach, w ogniu i pod toporem. Jerozolima wraz z Drugą Świątynią została zrównana z ziemią. Tak jak przewidział Jezus - Donovan zawiesił na chwilę głos. - Czy zdaje sobie pani sprawę, że zdaniem większości teologów Jezus pełnił swoją posługę zaledwie przez rok?

Charlotte wiedziała tylko, że w chwili śmierci Chrystus miał trzydzieści parę lat.

- Nie, nie miałam o tym pojęcia. Donovan pochylił się nad stołem.

- Chyba zgodzi się pani ze mną, że bez względu na wyznanie, a nawet stopień wiary, trzeba przyznać, iż Jezus był człowiekiem niezwykłym, filozofem i nauczycielem, bliżej nieokreśloną osobistością, niosącą przesłanie nadziei, dobroci i wiary, które mimo upływu dwóch tysięcy lat wciąż jest aktualne. Żadna inna postać historyczna nie pozostawiła po sobie takiego śladu - nie spuszczając z niej wzroku, Donovan przykrył dłońmi *Ephemeris Conclusio*, jakby chciał osłonić księgę.

- Czy ten manuskrypt ma z tym coś wspólnego? - Charlotte zauważyła, że Donovan ani razu nie spojrzął na Santellego, co utwierdziło ją w przekonaniu, że obaj zawczasu wyreżyserowali tę rozmowę.

Donovan odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Zna pani, jak sędzę, historię zmartwychwstania? Mam na myśli kwestię pustego grobu.

- Oczywiście - Charlotte uczęszczała na lekcje religii w szkole podstawowej i ukończyła liceum katolickie dla dziewcząt, więc chcąc nie chcąc, doskonale знаła Pismo Święte. Udzieliła Donovanowi

jednoznacznej odpowiedzi zgodnej z jego oczekiwaniami, czyli takiej, która nie uwzględniała subtelnych różnic w treści Nowego Testamentu: - Jezus został ukrzyżowany i pogrzebany. Trzeciego dnia zmartwychwstał i objawił się uczniom - w jakiej postaci, to już inna historia - a następnie wstąpił do nieba.

Takie podsumowanie chyba wystarczy, pomyślała.

- Nic dodać, nic ująć - ucieszył się Donovan. -1 tym sposobem dochodzimy do tej niesłychanej historii - delikatnie poklepał okładkę księgi. - To co pani tu widzi, to kronika Józefa z Arymatei, biblijnej postaci ściśle powiązanej ze śmiercią i zmartwychwstaniem Jezusa.

Charlotte popatrzyła ze zdumieniem na sekretny skarb Watykanu. Czy tę księgę też ukradli?

- Czy myślimy o tej samej osobie?

- Tak. O człowieku, który pochował Chrystusa - ojciec Donovan otworzył księgę i ich oczom ukazała się stronica zapisana greką. - Watykan od wieków bał się, że ktoś podważy rolę Chrystusa jako Mesjasza. A ta księga pokazuje, że te obawy nie były bezpodstawne.

Donovan spojrzawszy ukradkiem na Santellego. Starał się, jak mógł, mówić pewnym opanowanym głosem. Z miny kardynała wynioskował, że radzi sobie całkiem nieźle.

- Chociaż Nowy Testament przedstawia Józefa jako zwolennika Chrystusa, w rzeczywistości usiłował on podważyć jego nauki. Jezus stanowił zagrożenie dla interesów wpływowych środowisk żydowskich. Wprawdzie wolał nie poruszać wprost kwestii okupacji rzymskiej, ale za to surowo krytykował władze żydowskie, a szczególnie kapłanów, którzy profanowali Dom Boży. W zamian za hojne datki kapłani żydowscy pozwalali poganom składać ofiary na ołtarzach świątyni, święte dziedzińce przekształcili zaś w bazyliki. Świątynia była symbolem wiary. Dla pobożnych Żydów, takich jak Jezus, jej stopniowy upadek był równoznaczny z powolnym zanikiem tradycji religijnej.

Charlotte przypomniała sobie scenę z Ewangelii św. Mateusza, opisującą, jak Jezus wkracza do żydowskiej świątyni i przewraca stoły kupców i wekslarzy. To zupełnie zrozumiałe, że nie był zwolennikiem przekształcania świątyni w targowisko.

- Jezus faktycznie krytykował żydowską klasę rządzącą - ciągnął Donovan. - I nie obawiał się głośno do tego przyznać. Nic dziwnego, że to żydowscy kapłani wysłali własną straż, by go pojmała. Po straceniu Chrystusa Sanhedryn zlecił Józefowi z Arymatei wynegocjować z Poncjuszem Piłatem warunki oddania ciała. Piłat przystał na tę prośbę, ponieważ Józef go przekonał, że w przeciwnym razie ciało Jezusa trafi do rąk jego fanatycznych naśladowców.

Charlotte potrafiła odczytywać mowę ciała. Donovan mówił pewnym głosem, ale jego wzrok był rozbiegany. Przypomniała sobie słowa Gio-vanniego, który twierdził, że nie zdarzało się, by złoczyńców zdejmowano z krzyża. Nigdy wcześniej nie odzyskano ciała żadnego ukrzyżowanego. Jednak zważywszy na zagrożenie, jakie stwarzał Jezus z punktu widzenia przedstawicieli żydowskich elit, którzy prawdopodobnie mieli wiele do stracenia, wyjaśnienia Donovan brzmiały wiarygodnie.

- Ale po co naśladowcy Chrystusa mieliby wykradać jego ciało?

- Żeby ogłosić zmartwychwstanie i przedstawić Jezusa jako Boga.

- Tak więc Józef z Arymatei wystarał się o ciało, żeby je chronić?

- Tak - Donovan z trudem zmusił się do spojrzenia jej w oczy. Charlotte czuła się wewnętrznie rozdarta. W tym punkcie nasuwało się oczywiste pytanie. Jej wzrok powędrował w stronę laptopa. Zdawało jej się, że mężczyzna na ekranie jest milczącym świadkiem tej rozmowy.

- A co ze wskrzeszeniem? - przełknęła ślinę. - Czy naprawdę miało miejsce?

Donovan odpowiedział uśmiechem.

- Naturalnie. Ciało złożono potajemnie w grobowcu Józefa, w miejscu, o którym nie wiedzieli jego uczniowie. Ale trzy dni później ciało znikło.

- Zostało skradzione?

Donovan poczuł na sobie świdrujący wzrok Santellego.

-1 tu, pani doktor, Biblia się nie myli. W Nowym Testamencie znajdują się cztery niezależne opisy, według których trzy dni później Jezus powstał z grobu. Następnie ukazał się uczniom i wstąpił do nieba.

Charlotte była w kropce. Nie należała do osób, które bezkrytycznie przyjmują wszystko, co mówi Biblia, a fragmenty, które czytała dla przypomnienia dziś rano, tylko pogłębiły jej sceptycyzm. Szczególną uwagę zwróciła na ustęp z Ewangelii św. Mateusza (27,50), opisujący moment śmierci Jezusa:

A Jezus raz jeszcze zawołał donośnym głosem i wyzionął ducha. A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać. Groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy umarli, powstało. I wyszedłszy z grobów po Jego zmartwychwstaniu, weszli oni do Miasta Świętego i ukazali się wielu.

Rozmyślając nad tym fragmentem, dostrzegła jaskrawą sprzeczność z wersją znaną z katechizmu. To w tym ustępie po raz pierwszy pojawiły się słowa „Jego zmartwychwstanie”. Ani słowa o pochówku, czy o trzydniowym oczekiwaniu. A to nasunęło jej następujące pytanie: skoro w chwili śmierci na krzyżu dusza Chrystusa uleciała, to co się wyłoniło z grobu trzy dni później? Martwa bezduszna skorupa? Czy nikogo nie zdziwiło to, że zostały po nim kości? A co z tymi wskrzeszonymi ciałami świętych? Dlaczego w innych historycznych opisach nie pojawia się wzmianka o tylu wskrzeszonych ciałach? Zdawało jej się, że zna odpowiedź. Zmartwychwstania nie można odczytywać dosłownie. Słowa Ewangelii zostały opacznie zrozumiane.

- Spoglądając na najważniejszego po papieżu hierarchę Kościoła, zobaczyła wytrawnego biurokrate, któremu obce są teologiczne dysputy. Choć wiedziała, że stąpa po grząskim gruncie, musiała zadać oczywiste pytanie:

- A ossuarium, ukrzyżowane ciało... i ten symbol Chrystusa? Czy księga mówi, co to wszystko znaczy?

Donovan, uspokoiony, przekartkował *Ephemeris Conclusio* prawie do samego końca i ostrożnie obrócił ją w stronę Charlotte.

- Józef zawarł tajną umowę z Piłatem - wyjaśnił opanowanym głosem - tymczasem uczniowie Jezusa, znalazłszy pusty grób, narobili niezłego zamieszania w Jerozolimie. Ponieważ ciało znikło, rozgłaszali, że Jezus zmartwychwstał. Oczywiście Piłat naciskał Józefa z Arymatei, by rozwiązał ten problem - Donovan przerwał i wskazał ossuarium. - Wtedy Józef wpadł na genialny pomysł.

Charlotte próbowała wydedukować, co to znaczy.

- Skoro nie są to kości Chrystusa...

Donovan uśmiechnął się i gestem zachęcił ją, by dobrze to przemyślała.

- ...to znaczy, że Józef z Arymatei podmienił ciało? - Otóż to.

Zdawało jej się, że usłyszała, jak Santelli odetchnął z ulgą.

- Jak donosi Józef, udało mu się zdobyć inne ukrzyżowane ciało, jedno z dwóch, które pozostały na szczycie Golgoty... ciało złoczyńcy, który zginął tego samego dnia. Oporządzono je zgodnie z żydowskim obrządkiem pogrzebowym i pozostawiono na dwanaście miesięcy.

- Uniemożliwiając tym samym jego identyfikację - dodała Charlotte. Jeśli Donovan to wszystko wymyślił, to naprawdę miał łeb na karku.

- Właśnie. Genialna mistyfikacja, której celem było udowodnienie, że Chrystus nie opuścił grobu. Rozpaczliwa próba zdyskredytowania wczesnego chrześcijaństwa w obronie interesów arystokracji żydowskiej.

Charlotte pogrążyła się w zadumie. Argumentacja przedstawiona przez Donovana była dość logiczna, poza tym miał przed sobą autentyczny, tak przynajmniej twierdził, dokument na poparcie tej opowieści. To łączyło się w jedną całość z rozbieżnościami odkrytymi podczas badań, a zwłaszcza z takimi elementami, jak nietypowy profil genetyczny i połamane kolana. Szkielet mógł należeć do jakiegoś rzezimieszka z odległej rzymskiej prowincji. Z drugiej strony treść rzekomych zapisków Józefa była dla niej całkowicie niezrozumiała. Musiała zadowolić się tłumaczeniami Donovana. Może to nie był przypadek. Ale do czego zmierzali? Spojrzała surowo na bibliotekarza.

- Wiemy już, że plan Józefa spalił na panewce. Jak to możliwe, że dopiero my odkryliśmy to wszystko?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, spięła się w sobie. Czy przypadkiem nie przeciąga struny?

Donovan wzruszył ramionami.

- Myślę, że Józef z Arymatei zmarł albo został zamordowany w ciągu tych pierwszych dwunastu miesięcy, zanim ostatecznie spreparowano zwłoki. Kto wie, może pozbyli się go Rzymianie albo

Sanhedryn. Tego już się nie dowiemy. Należy tylko się cieszyć, że nie udało się zrealizować tego planu. Dziś utalentowani naukowcy, jak na przykład pani, potrafią rozpoznać falsyfikat, ale w dawnych czasach zidentyfikowanie szczątków mogło stanowić nie lada kłopot.

- A czy ossuarium znaleziono niedawno? - wreszcie zdobyła się na to pytanie.

- Watykan jest w posiadaniu *Ephemeris Conclusio* od początku czternastego wieku. Nikt jednak nie traktował jej poważnie, aż parę tygodni temu pewien archeolog odkrył grobowiec położony na północ od Jerozolimy. Na szczęście nie był głupi i wiedział, że jeśli dyskretnie zwróci się z tym do nas, sownie go za to wynagrodzimy.

Charlotte była skonsternowana i dała sobie trochę czasu na przemyślenie tego wyjaśnienia. Jeśli Donovan nie kłamie, to by znaczyło, że ów anonimowy archeolog mógł zamordować trzynaście osób po to, by zdobyć ossuarium, a Watykan wcale nie musiał o tym wiedzieć. Możliwe, że Ber-sei wyciągnął pochopne wnioski. Ale przecież inteligentny z niego facet. Przekonała się osobiście, że nie należy do osób, które podejmują nieprzemyślane decyzje. Co takiego odkrył, że był tak zdeterminowany?

- Relikwia z pierwszego wieku, szczątki ukrzyżowanego mężczyzny, symbol Chrystusa - wymamrotała. - Niby bezcenny artefakt... a to wszystko oszustwo.

- Niestety. Pozornie wyglądało to na autentyczne odkrycie, które niezbadane mogło niepotrzebnie wstrząsnąć całym chrześcijańskim światem. Przed zamknięciem transakcji musieliśmy się upewnić, że wszystko się zgadza z opisem Józefa. I jestem pewien, że dzięki waszej ciężkiej pracy sprawa ostatecznie się wyjaśniła.

Charlotte popatrzyła na otwarty manuskrypt i wykonane przed Józefa rysunki przedstawiające zawartość ossuarium. Nagle coś ją tknęło. Nie mogła znaleźć rysunku tulei ze zwojem. Zmarszczyła brwi.

- Coś nie tak? - zapytał Donovan. Wzięła do ręki torebkę z tuleją i zapytała:

- Dlaczego tu tego nie ma? - wskazała rysunki. Donovan nagle zaniemówił z zakłopotania.

- Nie wiem - odpowiedział, kręcąc głową. Spojrzał z wahaniem

na Santellego. Wiedział, do czego zmierza Charlotte, i chciał tego uniknąć. Nie znał treści zwoju.

- Zajrzyjmy do środka - zaproponował śmiało Santelli. Charlotte nie spodziewała się tego.

- Nie miałam nigdy do czynienia ze starożytnymi dokumentami. Czekaliśmy z tym...

- Nie ma się czym przejmować, droga pani - przerwał jej Santelli. - Ojciec Donovan doskonale wie, jak obchodzić się z takimi rzeczami. Poza tym wątpię, żebyśmy planowali wystawiać to w Muzeach Watykańskich.

- Dobrze więc - wręczyła woreczek bibliotekarzowi, który pobladł jak ściana.

- Śmiało, otwórz - zachęcił go Santelli.

Donovan był zadziwiony bezczelnością kardynała. Otworzył torebkę, wyjął tuleję, zdjął wieczko i wysunąwszy zwój na blat stołu, spojrzał z przejęciem na kardynała i Charlotte.

- Zobaczmy, co to takiego - z największą ostrożnością rozwinął zwój na foliowej torebce i rozprostował go oburącz. Napięcie natychmiast znikło z jego twarzy i przesunął zwój w stronę pozostałych.

Spojrzenia wszystkich utkwily w tekście widocznym na starożytnym welinie. Osobliwy rysunek łączył wiele różnych elementów. W centralnym punkcie widniała menora nałożona na krzyż opleciony liściastymi gałązkami. Symbol, który się znajdował na ścianie ossuarium, tu pojawiał się czterokrotnie, na każdym z ramion krzyża.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Santellego Donovan.

- Trudno powiedzieć - stwierdził. Choć nie przyznał się do tego, zauważył, że krawędź zwoju, znajdująca się najbliżej niego, wyglądała na świeżo naderwaną. Czyżby ktoś celowo odciął fragment zwoju? Położył na krawędzi kciuki, żeby ukryć ślady.

- Cokolwiek to znaczy, robi wrażenie - wtrąciła Charlotte.

- Zgadza się - odpowiedział z uśmiechem Donovan.

- No cóż, droga pani - odezwał się Santelli. - Gratuluję dobrze wykonanej pracy. Jesteśmy pani bezgranicznie wdzięczni. Ojciec Święty kazał osobiście pani podziękować. Muszę tylko prosić, by

dotrzymała pani umowy i nie dzieliła się z nikim swoimi odkryciami. Ani z własną rodziną, ani z prasą.

- Oczywiście, Eminencjo - zapewniła go.

- Doskonale. A teraz, jeśli pani pozwoli, ojciec Martin odprowadzi ją do drzwi. Muszę jeszcze omówić parę spraw z ojcem Donovanem. I jeszcze jedno. Wprawdzie nie ma już pani żadnych obowiązków, ale proszę łaskawie zostać z nami tak długo, jak pani zechce.

Charlotte opuściła Pałac Apostolski i skierowała się prosto do laboratorium, żeby się przekonać, czy jest tam Bersei. Gdy szła korytarzem w suterenie, jej wzrok padł na drzwi pokoju ze sprzętem do szpiegowania. Nadal były uchylone. Wbrew rozsądkowi podeszła i zapukała.- Panie Conte. Mam do pana sprawę.

Żadnej odpowiedzi.

Otworzyła drzwi jednym pchnięciem i wsunęła do środka głowę. Pokój był zupełnie pusty - tylko wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy półek. Nawet panel na suficie wrócił na swoje miejsce. Aż zaparło jej dech.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła dziwnie cichym korytarzem, ostrożnie stawiając kroki. Przesunęła kartą przez czytnik obok drzwi do laboratorium, chociaż była prawie pewna, że nic nie wskóra. O dziwo, zamek elektromechaniczny zadziałał i weszła do środka.

Pierwszy raz odkąd tu przyjechała, w laboratorium było ciemno. Nie działała też klimatyzacja. Sięgnęła po omacku i pstryknęła kilkoma przełącznikami.

Nie wierzyła własnym oczom. Laboratorium było puste. Ossuarium, kości, relikwie - wszystko przepadło bez śladu. Ktoś nawet wyjął procesory z komputerów.

Przeczuwając najgorsze, nawet nie wchodziła do środka. Pogasiła światła i skierowała się do drzwi. I właśnie wtedy usłyszała w korytarzu czyjeś kroki. Coraz głośniejsze.

Co dalej? W drzwiach nie było szyby, więc nie mogła sprawdzić, kto nadchodzi. Ojciec Donovan? Bersei? Przysunęła ucho do drzwi. Nie przypominała sobie, żeby któryś z nich tak płynnie i sprężysto stawiał kroki.

A jeśli to Conte?

Skoro schowek i laboratorium zostały opróżnione, laptop, który miała przy sobie - jedyny zachowany dowód poufnego projektu - był bardzo łakomym kąskiem. Charlotte zeszywniała ze strachu i modliła się, żeby intruz otworzył inne drzwi albo zawrócił w połowie drogi.

Kroki ucichły i w wąskiej struzce światła wpadającego pod

drzwiami zobaczyła jakiś cień.

Rzuciła się w głąb ciemnego laboratorium, dopadła pierwszego lepszego stanowiska roboczego i ukryła się pod nim właśnie w chwili, gdy ktoś przekręcił zamek.

Ciarki przebiegły jej po plecach, gdy drzwi otwarły się z cichym skrzypnięciem i posadzkę zalało światło z korytarza. Była przekonana, że jest poza zasięgiem jego wzroku, kimkolwiek był. Intruz zatrzymał się. Czyżby nasłuchiwał?

Charlotte wstrzymała oddech i ścisnąwszy oburącz torbę z laptopem, zamarła bez ruchu. Po dłuższej chwili usłyszała pstryknięcie i laboratorium wypełniło się rześistym światłem.

Nie ruszać się.

Poczuła, że drętwieją jej nogi.

Intruz zamknął za sobą drzwi, wolno wszedł do pomieszczenia i klucząc między stanowiskami roboczymi, zmierzał w stronę zaplecza.

Choć nie widziała, co się dzieje, wydawało jej się, że już tam wszedł. Zerwała się i rzuciła w stronę drzwi. Gdy przekręcała gałkę, kątem oka dostrzegła Contego, który właśnie wszedł z powrotem do laboratorium. Jego twarz skrzywiła się w okropnym grymasie.

Charlotte biegła co sił korytarzem, aż gumowe podeszwy jej butów skrzypiały, odbijając się od winylowej posadzki. Nie musiała oglądać się wstecz. Słyszała, że Conte biegnie za nią. Drzwi windy były zamknięte. Wiedząc, że nie może sobie pozwolić na zwłokę, rzuciła się prosto do wyjścia ewakuacyjnego, z całej siły odpychając za siebie wahadłowe drzwi. Przyciskała do boku torbę z laptopem i biegła po trzy stopnie, jak gnana niewidzialnym podmuchem. Gdy była w połowie drugiego rzędu schodów, usłyszała, jak Conte z hukiem wpada na drzwi od piwnicy. Biegła dalej, widząc kątem oka jego sylwetkę wspinającą się po schodach.

Gdy znalazła się na piętrze, wiedziała, że ma do wyboru dwie możliwości: szerokie drzwi prowadzące na zewnątrz albo wejście dla personelu, za którym znajdowała się sala muzealna. Jednym ruchem pchnęła szerokie drzwi, otwierając je na oścież, ale zamiast wybiec na zewnątrz, cofnęła się do wejścia dla personelu i znalazłszy się w muzeum, delikatnie przyciągnęła do siebie drzwi.

Biegając krętymi schodami, Conte usłyszał szcęk zamka drzwi prowadzących na parking. Jeszcze parę kroków i wypadł z impetem na zewnątrz.

Rozejrzał się, ale nigdzie jej nie było. Alejki były puste i nikt nie czmychał za róg budynku. Wokół nie było też miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do budynku.

Przemierzając szybko galerię Museo Pio Cristiano, Charlotte zdecydowała, że musi jak najszybciej wydostać się z Watykanu. A to oznaczało, że powinna skierować się prosto do Bramy Świętej Anny. Ponieważ gotówkę, karty kredytowe i paszport miała przy sobie, ukryte w torebce przypiętej w pasie, była skłonna poświęcić rzeczy, które zostały w hotelu.

Poczuła zawroty głowy - to krążący po krwiobiegu melfalan dawał o sobie znać. Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Naszła ją przelotna fala mdłości.

Wiedziała, że tylko na chwilę zgubiła Contego, i zastanawiała się

gorączkowo, co dalej robić. Czy warto błądzić po obszernych salach muzealnych? Bez wątpienia kompleks jest olbrzymi, jednak wszędzie zamontowano kamery, a Charlotte nie chciała ryzykować, by Conte skontaktował się z ochroną. Zresztą w długich korytarzach biegnących wzdłuż całego budynku łatwo byłoby ją wypatrzeć: nie zatrzymującą się przy żadnym z eksponatów samotną turystkę o kasztanowych kręconych włosach, w ja-skraworóżowej bluzce i z torbą na laptop.

Na szczęście Museo Pio Cristiano znajdowało się w niewielkiej odległości od głównego wejścia do budynku. Charlotte uważnie zlustrowała okolicę przez przeszklone drzwi i wymknęła się na zewnątrz.

Przedarła się przez tłum ludzi wałęsających się po dziedzińcu, okrążyła róg gmachu i poszła pospiesznie alejką biegnącą wzdłuż wschodniej ściany muzeum. Nie widziała nigdzie sylwetki Contego, ale to wcale nie zmniejszyło jej obaw, bo już na pierwszy rzut oka zorientowała się, że nie należy on do osób, które łatwo się poddają.

Przeszła krótkim tunelem pod starymi murami obronnymi i weszła na teren niewielkiego miasteczka ukrytego na tyłach gmachu Pałacu Apostolskiego. Przez chwilę zastanawiała się, czy Donovan nadal konferuje ze swoim szefem Santellim. Jak to się stało, że taki miły człowiek jest zamieszany w tę sprawę?

Skreśliła na Borgo Pio i widziała już teraz bramę oraz strzegących jej gorliwie żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej. Była ciekawa, czy Conte już ich zaalarmował. Czy będą próbowali ją zatrzymać? Ruszyła śmiało do przodu. Musiała zaryzykować.

Od bramy dzieliło ją już nie więcej niż dwadzieścia metrów i wtedy go zobaczyła. Chociaż wcześniej tego nie zauważyła, mogłaby przysiąc, że Conte ma na twarzy jakąś ranę.

Stał podparty pod boki na drodze prowadzącej do bramy i dyszał ciężko. Myślał, że Charlotte nie odważy się stawić mu czoła.

A jednak to zrobiła. Wiedziała, że nie ma już odwrotu i musi brnąć dalej. Wkońcu znajdują się w miejscu publicznym. Nieopodal stoją strażnicy. Z pewnością zareagują na sprzeczkę, nawet jeśli są po jego stronie.

Puściła się pędem w stronę bramy.

Reakcja Contego była błyskawiczna: wyskoczył na drogę i ledwo uszedł spod kół samochodu dostawczego wjeżdżającego do Watykanu. Zatrąbił klakson, ale Conte nie zwrócił na to uwagi. W tej chwili najważniejsza była ofiara.

Charlotte przebiegła jeszcze dziesięć metrów i Conte był już niebezpiecznie blisko. Wiedziała, że mu się nie wywinie.

Conte gwałtownym ruchem zagroził jej drogę, musiała się więc zatrzymać.

- Nigdzie pani z tym nie pójdzie - warknął, patrząc na jej torbę. Nie wiedzieć dlaczego, badaczka nie wyglądała na przestraszoną. Zauważył, że patrzy na solidnego, sinego guza na jego skroni, a następnie zerka przez jego ramię w stronę bramy.

I wtedy zrobiła coś, czego się nie spodziewał. Zaczęła krzyczeć.

Przez krótką chwilę Conte stał jak sparaliżowany.

- Na pomoc! - krzyknęła jeszcze głośniej.

Tym razem strażnicy ją usłyszeli. Dwóch gwardzistów w błękitnych mundurach i czarnych beretach biegło w ich stronę, sięgając do kabur i przepychając się przez tłum zdezorientowanych turystów.

W pierwszym odruchu Conte chciał wyrwać jej torbę. Ale dokąd miałyby uciec? Skarcił się w duchu, że nie wziął ze sobą broni.

- Niech pani pamięta o umowie - powiedział spokojnie. - Albo jeszcze panią dorwę.

Spojrzał na nadbiegających strażników. Charlotte wykorzystała ten moment nieuwagi i zrobiła coś, na co miała ochotę odkąd poznała tego drania. Ugięła lekko kolana i lewą nogą wymierzyła mu potężnego kopniaka w krocze. Nie chybiła.

Conte zwinął się z bólu. Musiał podeprzeć się dłońmi, żeby nie upaść na twarz.

- Przeklęta zdiro! - spojrzał na nią z nienawiścią; na jego purpurowej twarzy było widać żyły.

Żołnierze dobiegli do nich i ustawili się po obu stronach, mierząc z broni w jego głowę.

- Nie ruszać się! - rozkazał jeden z nich, najpierw po angielsku, a następnie po włosku.

Conte natychmiast zauważył, że to ów *cacasenno*, mądrała, który

strzegł bramy w dniu, w którym przyjechał do Watykanu z Donovanem. Strażnik również go rozpoznał i na jego twarzy pojawił się uśmiech satysfakcji.

- Co tu się dzieje? - spytał Charlotte drugi żołnierz.

- Ten człowiek mi grozi i próbuje odebrać mi torbę - powiedziała nagłym tonem.

Pierwszy gwardzista zażądał od Contego dokumentów. Conte wypluł resztkę wymiocin.

- Nie... nie noszę ich przy sobie - wykrztusił.

Był przekonany, że w tej sytuacji nie może powołać się na Santellego. Później zażąda, by połączono go telefonicznie z sekretarzem. Doszedł też do wniosku, że nie warto wspominać gwardzistom o ważnych danych w pamięci laptopa, bo mógłby tylko wpakować się w jeszcze większe kłopoty, gdyby zaczęli wypytywać o szczegóły. Wyglądało więc na to, że na razie musi robić dobrą minę do złej gry.

Drugi żołnierz poprosił też Charlotte o dokumenty, a ona bezzwłocznie mu je wręczyła. Herb papieski widniejący na jej plakietce świadczył jednoznacznie o rym, że kobieta jest oficjalnym gościem.

- Dziękuję, jest pani wolna.

- A pan pójdzie z nami, signore - zwrócił się do Contego. Conte nie miał wyboru.

Gwardziści pomogli mu się podnieść i nie odstępowali go na krok. Nawet nie schowali pistoletów.

Idąc w stronę bramy, Charlotte odetchnęła ciężko. Gdy znalazła się za bramą, okrążyła kilka budynków i dotarła na Via Della Concilazione, gdzie zatrzymała taksówkę i poprosiła kierowcę, by zawiózł ją prosto na lotnisko Fumicino. *Rapidamente!* Taksówkarz posłusznie dodał gazu i poczuła silne szarpnięcie, ale tym razem nie zamierzała narzekać na dzikie obyczaje rzymskich kierowców. Marzyła tylko, żeby jak najszybciej się stąd wydostać.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że trzęsie się jak galareta.

Zaciskając kurczowo palce na torbie, wyjrzała przez tylną szybę i patrzyła, jak kopuła Bazyliki Świętego Piotra coraz bardziej się kurczy.

Taksówka wyskoczyła na autostradę i Charlotte dostrzegła, że wskazówka prędkościomierza pokazuje już liczbę 160. Oparła się wygodniej i sięgnęła po pasy. Była już bezpieczna. Wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Evana Aldricha. I co z tego, że w Phoenix jest środek nocy?

Odebrał prawie natychmiast.

- Evan?

- Cześć, Charlie. Właśnie o tobie myślałem. Jego głos podziałał na nią kojąco.

- Hej - powiedziała drżącym głosem.

- Wszystko w porządku?

- Nie. Wprost przeciwnie - zniżyła głos i odwróciwszy się tyłem do kierowcy, szybko opowiedziała, co się stało. - Jestem w drodze na lotnisko - zakończyła.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę, ale w takiej sytuacji... właśnie miałem jechać do Watykanu. Mój samolot parę minut temu wylądował na Fumicino.

- Mówisz serio? - natychmiast się rozluźniła.

- Właśnie odbieram bagaż. Spotkajmy się na miejscu.

ABRUZZO, WŁOCHY

Godzinę jazdy na północny wschód od Rzymu wynajęte przez Contego czarne alfa romeo pięło się drogą SS5 wzdłuż łańcucha Apeninów w stronę Monte Scuncole. Popielate popołudniowe niebo skrywało słońce w odcieniu mlecznej bieli. Na przedniej szybie pojawiły się pierwsze krople deszczu. Siedzący obok kierowcy Patrick Donovan obserwował przez zaparowane okno szachownicę winnic w sąsiedniej dolinie i próbował uporządkować myśli.

Po niespodziewanym i pośpiesznym wyjeździe Charlotte i po zenującym epizodzie, jakim było wyciągnięcie Contego z izby zatrzymań Gwardii Szwajcarskiej, szczerze zaniepokojony kardynał Santelli udzielił mu dokładnych instrukcji dotyczących dalszych działań: Musisz dopilnować, żeby ostatni rozdział w historii Kościoła zniknął bez śladu - bez względu na koszty. Conte pomoże ci zniszczyć ossuarium i całą jego zawartość... a także manuskrypt. Bez materialnych dowodów to wszystko stanie się legendą. Zrozumiano?

Równie dobrze można było zniszczyć księgę i relikwie w laboratorium w Watykanie, więc Donovan miał przeczucie, że głównym celem tej przejażdżki nie jest bynajmniej pozbycie się ossuarium. Spojrzał ukradkiem na najemnika. Był przekonany, że tajemnicze zniknięcie doktora Bersei ma bezpośredni związek z raną na skroni Contego.

Samochód zwolnił i skręcił w wąską polną drogę. Ostre trawy i niskie krzaki drapały o podwozie samochodu. Jechali w milczeniu, aż droga poszerzyła się nieco przy niewielkim buczynowym zagajniku. Conte zatrzymał się i zgasił silnik. Nie wyjmując kluczyków ze stacyjki, wcisnął przycisk otwierania bagażnika.

Mężczyźni wysiedli i podeszli do tyłu samochodu. W bagażniku za ossuarium leżały łopaty i kilofy. Conte wyjął je i wcisnął szpadel w rękę Donovana.

- Potrzebny jest nam głęboki dół.

- Skoro mamy to już za sobą - Conte otarł pot z czoła wierzchem ubłoconej dłoni - chcę cię o coś zapytać.

Wbił łopatę w ziemię i oparł się na niej. Wilgotne powietrze wypełniała woń świeżo rozkopanej ziemi. Znow zaczął mżyć.

Donovan spojrział na niego znad zamglonych szkieł okularów.

- Myślę, że widział pan już dość, by wyciągnąć własne wnioski. Najemnik pokręcił głową.

- Jak sądzisz, czyje kości naprawdę zawierało ossuarium?

Salvatore Conte nie utwierdzał się w swojej wierze. Stracił ją już dawno temu. Jednak kradzież ossuarium, analiza naukowa i odkrycie dokonane przez Bersei w katakumbach Torlonia naprawdę pobudziły jego ciekawość.

- Przecież widział pan dowody - Donovan rozłożył ręce. - Co pan o tym myśli?

- Myślenie to nie jest moja specjalność - uśmiechnął się kwaśno.

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem, co o tym sądzić.

- To po co to całe zamieszanie? Donovan zamyślił się na moment.

- Dowody są dość mocne. O ile nam wiadomo, to kości Jezusa Chrystusa. Naszym obowiązkiem jest stawanie w obronie Kościoła. Z pewnością pan rozumie, że musieliśmy tak postąpić.

- Wiem jedno. Jeśli to Jezus - najemnik wskazał bagażnik samochodu - to stajecie w obronie gigantycznego oszustwa.

Donovan nie łudził się, że człowiek pokroju Salvatore Contego pojmie szersze znaczenie tej misji. Ossuarium i jego zawartość diametralnie odmieniłyby historię ludzkości. Zamiast kontrowersji potrzeba prawd, które łączą ludzi. Tego nauczyły go ulice Belfastu. Patrick Donovan doskonale znał dzieje Kościoła katolickiego, ale to, w obronie czego stawał, nie miało zbyt wiele wspólnego z wiekowymi księgami. Należało przestrzegać pewnych nakazów moralnych, by pierwiastek duchowości, który przetrwał w tym chaotycznym, materialistycznym świecie, zachował swoją moc.

- Kto to mówi? Do tej pory byłem święcie przekonany, że nie ma to dla pana żadnego znaczenia.

Conte, zaskoczony tą zmianą stylu, spojrział na Donovana uważnie. Nagle zadanie, które go czekało, wydało się łatwiejsze.

- To nieprawda. Zresztą, gdyby Bóg istniał - dodał sarkastycznie - ludzi takich jak pan i ja w ogóle nie byłoby na świecie.

Chwycił łopatę i kopał dalej.

Donovana odrzucało na myśl, że on i Conte mogliby być podobni pod jakimś względem, ale wiedział, że w pewnym sensie najemnik się nie myli. Siedzę w tym po uszy, pomyślał. W końcu Conte nie działał na własną rękę - był tylko żołnierzem. I to nie Conte błagał Santellego, by odzyskać ossu-arium, ale on sam. Zgoda, nie przewidział, że Santelli zastosuje tak ostateczne środki, ale też nie zrobił nic, by go powstrzymać.

- A co właściwie przydarzyło się doktorowi Bersei? - spytał ostro. Coś nakazywało mu wierzyć, że od odpowiedzi Contego będą zależały jego własne losy.

- Lepiej pilnuj swojego nosa - odpowiedział Conte z okropnym grymasem. - Dostał to, na co sobie zasłużył. Przynajmniej oszczędziłem wam brudnej roboty. Nie musisz wiedzieć nic więcej.

- Co robił w katakumbach? - Donovan czuł, jak wzbiera w nim złość. Początkowo Conte chciał uchylić się od odpowiedzi, ale wiedział, że na tym etapie Donovan nie stanowi już żadnego zagrożenia.

- Na zwoju ukrytym na dnie ossuarium znajdował się rysunek, który jak się zorientował Bersei, odpowiadał freskowi w katakumbach Torlonia. Najwyraźniej ten cały Józef z Arymatei miał własną kryptę w Rzymie. Bersei myślał chyba, że właśnie tam zwłoki Jezusa zmieniły się w kupę kości. Kto by pomyślał?

Donovan wybałuszył oczy. Czy to możliwe? Czyżby Bersei znalazł właściwy grobowiec?

-1 jeszcze jedno - dodał Conte. - Do dziewczyny też się zanadto nie przywiązuj - z przyjemnością obserwował, jak każda kolejna sensacja osłabia determinację duchownego. - Jeszcze zamierzam się do niej dostać.

- Niby jak mam to rozumieć?

- Santelli opowiedział mi tę bajeczkę o manuskrypcie, którą jej wcisnąłeś. Niezły kit, ale chyba nie dotarło do ciebie, że nasza pani doktor i tak już za dużo wie. Czy kardynał mówił ci, że ulotniła się

razem ze swoim laptopem, w którym była cała dokumentacja?

- Nic o tym nie wspomniał.

Nic dziwnego, że Santelli był teraz kłębkim nerwów. Lada chwila wszystko mogło się wydać. Conte dał plamę - wśród doniesień z Jerozolimy pojawił się teraz cyfrowy portret pamięciowy człowieka, który do złudzenia przypominał Włocha. Giovanni Bersei nie żył. A teraz jeszcze Hennesey zdołała uciec z dowodami, które wystarczyły do pogrążenia Watykanu.

- To niedobrze. Tym też muszę się zająć, więc jej krew będzie też na twoich rękach.

Donovan obrzucił go nienawistnym spojrzeniem.

- Nie patrz tak na mnie. To ty nalegałeś, żeby sprowadzić osoby z zewnątrz.

- Nie było innego wyjścia. - Otóż to.

- Co chcesz jej zrobić?

Conte tylko uśmiechał się przebiegle. W końcu powiedział:

- Żebyś tylko nie wyskoczył ze skóry. Do licha, zachowujesz się jak zadurzony szczeniak. Santelli uważa, że dwa morderstwa w otoczeniu Watykanu wzbudziłyby zbyt dużo podejrzeń, ale jeśli po powrocie do Ameryki naszej uroczej pani doktor przydarzy się nieszczęśliwy wypadek, władze nie będą miały o tym pojęcia. Oczywiście wcześniej dopilnuję, żeby miała trochę przyjemności z życia - bo ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, dodał już w duchu, po czym westchnął z udawanym znudzeniem. - No nic, trzeba kopać dalej.

Donovan zacisnął zęby i mocno wbił szpadel w ziemię. Głęboko skrywana wściekłość zaczynała szukać ujścia.

Wykopanie prostokątnego dołu głębokiego na pięć stóp zajęło im prawie trzy godziny.

W takiej jamie swobodnie zmieściłoby się nie tylko ossuarium, ale i ludzkie ciało, pomyślał Donovan.

Conte cisnął łopatę na ziemię.

- Myślę, że wystarczy - spojrzeli na siebie, spoceni i umorusani. - Chodźmy po skrzynkę.

Podeszli do samochodu.

- Po co ją zakopujemy? Nie wystarczyłoby jej roztrzaskać?

Conte nie odpowiedział. Sięgnął do bagażnika i podniósł wieko naczynia. Na stercie kości było widać *Ephemeris Conclusio* i dwie spore kostki substancji przypominającej glinę.

Donovan wyciągnął rękę.

- Czy to jest...?

- Chyba człowiek o takiej przeszłości jak ty nie powinien mieć wątpliwości. A może IRA używała innych ładunków do wysadzania protestanckich sklepów w Belfaście? Bum! - Conte otworzył szeroko oczy, udając zdziwionego, i rozczapierzył palce.

Skąd o tym wie, do cholery? Przecież minęło wiele lat. Całe wieki.

- No to jak? Chyba najlepiej odpalić to pod ziemią, jak myślisz?

Donovan zastanawiał się, czy Conte planuje zdzielić go w głowę łopatą, wepchnąć do dołu i zdetonować ładunki. Czy ukrywał gdzieś broń? A może chciał go załatwić gołymi rękami?

Conte był gotowy.

- Chwyć z drugiej strony - powiedział, podszedł do skrzynki i chwycił jej podstawę. Donovan podszedł bliżej i podniósł ossuarium z drugiej strony.

Wynieśli je z bagażnika i z wysiłkiem dotaszczyli do jamy.

- Zrzucamy na trzy - powiedział Conte i zaczął odliczać.

Gdy ojciec Donovan patrzył, jak ossuarium z głuchym trzaskiem spada na dno, nagle poczuł strach. Pokrywa naczynia się przekrzywiła i na rytach pojawiło się pęknięcie. Donovan pomyślał o Santellim broniącym zza biurka interesów potężnej instytucji stworzonej przez człowieka, do którego być może należą te kości. Sięgnął pamięcią parę tygodni wstecz do swojego spotkania z Santellim, kiedy to stworzyli pierwotny plan. Wszystko wskazuje na to, że Watykan jak zwykle wyjdzie z tej potyczki obronną ręką.

Conte odwrócił się i sięgnął po łopatę. Zacisnąwszy palce na trzonku, uważnie studiował ostre krawędzie. Chyba jeden silny cios w głowę Donovana powinien wystarczyć. Ciało wrzuci do dołu, na wieko skrzynki. Przysypie je ziemią, a reszty dokona C4. Kątem oka zobaczył, że duchowny kuca, jakby chciał zasznurować but.

Kiedy się podniósł, Conte zobaczył przed sobą zupełnie innego

człowieka. Ksiądz mierzył w jego klatkę piersiową ze srebrzystego pistoletu. Conte popatrzył na niego z politowaniem, jakby widok uzbrojonego kustosza niemal go rozbawił, po czym przeniósł spojrzenie na broń - standardową berettę, ukradzioną zapewne z bazy Gwardii Szwajcarskiej. Broń była odbezpieczona.

Donovan wiedział, że musi żyć. Nie chodziło już nawet o niego, ale o życie Bogu ducha winnej Charlotte i wszystkich innych osób nieświadomie uwikłanych w tę kompromitującą sprawę.

- Rzuć łopatę - zażądał.

Conte, kręcąc z dezaprobatą głową, przykucnął, żeby położyć szpadel na miękkiej trawie, i błyskawicznie sięgnął po glocka przymocowanego do prawego golenia pod nogawką spodni.

Pierwszy strzał był nadspodziewanie donośny i z niezwykłą siłą ugodził Contego w prawą rękę. Kulka przebiła mięśnie i kości, po czym wychodząc otarła się o kostkę najemnika. Conte wzdrygnął się, ale nie wydał żadnego dźwięku. Z rany popłynęła krew i kurczowo zgiął rękę. Podniósł wzrok na Donovana.

- Zapłacisz mi za to, skurwielu.

- Wstawaj - zażądał Donovan. Ośmielił się podejść bliżej i wymierzył w głowę Contego. Zabicie tego sukinsyna będzie łatwiejsze, niż podejrzewał. *Panie, daj mi siłę. Obym się nie mylił.*

Wszystko wskazywało na to, że Conte pogodził się ze swoim losem, ale to, co stało się później, całkowicie zaskoczyło Donovana. Conte poderwał się jak sprężyna i wbiwszy łokieć w jego splot słoneczny, odepchnął go i powalił na ziemię.

O dziwo ksiądz nie wypuścił z ręki beretty. Conte sięgnął po nią lewą ręką, ale źle trafił i przykrył dłonią lufę. Powietrze przeszył kolejny strzał i Conte wydał z siebie wściekły wrzask. Teraz obie ręce miał już niesprawne.

Mimo poważnych ran zdołał przygwoździć do ziemi rękę, w której Donovan trzymał broń. Uniósł łokieć i z rozmachem wymierzył nim cios tuż poniżej nadgarstka księdza, wytrącając mu z ręki pistolet. Następnie łokieć z impetem wylądował na twarzy księdza i zmiażdżył mu kości i chrząstki. Z nosa Donovana natychmiast trysnęła krew i ksiądz zawył z bólu.

Rzucając się rozpaczliwie, próbował wyrwać się napastnikowi, ale daremnie. Conte na moment puścił jego rękę i gdy się szykował do zadania kolejnego ciosu łokciem, Donovan miał ułamek sekundy na uderzenie w jedyny czuły punkt, jaki dostrzegł przez zalane krwią szkła okularów. Zwinął rękę w pięść i z całej siły zdzielił Contego w ranną skroń.

Udało się. Gdy Conte zachwiał się ogłuszony, Donovan poderwał się i stanął na chwiejnych nogach. Widząc, że nie ma szans na odzyskanie beretty, zaczął uciekać.

Minęło parę sekund i tępy ból ustąpił, ale Conte nadal był zamroczony i ledwo widział na prawe oko przesłonięte mgiełką czerwieni. Z rany po uderzeniu młotkiem, teraz rozjątrzonej przez pierścień kapłana, płynęła krew. Potrząsnął gwałtownie głową i po chwili wypatrzył Donovana biegnącego połą drogą w stronę szosy.

Beretta, którą upuścił, leżała pod ramieniem Contego. Próbował ją złapać, ale dłonie odmówiły mu posłuszeństwa. Nie potrafił sobie nawet poradzić z podniesieniem tego cholernego pistoletu, a co dopiero wcisnąć spust.

- *Affanculo! Sticchiu!* - Zostawił broń i rzucił się w pościg.

Donovan biegł jak oszalały. Był już mniej więcej w połowie drogi do szosy, gdy się obejrzał i zobaczył, że Conte nie tylko stanął na nogi, ale pędzi za nim co sił i jest coraz bliżej. Prędzej czy później z pewnością go dopadnie. Donovan wiedział, że bez broni nie ma szans w starciu z zawodowym mordercą, nawet rannym. *Panie, błagam cię, pomóż mi w potrzebie.* Słyszał już za sobą chrapliwy oddech Contego - był tuż za jego plecami, gotowy do skoku. Donovan resztką sił zmusił ciało do nadludzkiego wysiłku.

Pięć metrów.

Dwa metry.

Uderzył stopą w nawierzchnię szosy i ledwie zarejestrował obraz rozpędzonego samochodu. Dźwięk klaksonu. Niebezpiecznie bliskie światła. Pisk opon. Jak przez mgłę zobaczył żółtą linię na środku szosy. Jakimś cudem samochód śmignął za jego plecami... właśnie w chwili, gdy na jezdnię wbiegał Conte.

Donovan padł na ziemię i patrzył, jak po zderzeniu z samochodem

nogi jego prześladowcy zginają się w odwrotnym niż zwykle kierunku, a ciało rzuca się na maskę, uderza w przednią szybę, toczy po dachu i spada na jezdnię.

Wskutek gwałtownego manewru w mercedesie aktywował się ABS i system kontroli trakcji, jednak nawet te zabezpieczenia nie sprostają kombinacji takich czynników jak nadmierna szybkość, nagły skręt i mokra nawierzchnia szosy. Mercedes uderzył w wysoką jodłę i karoseria wgniotła się aż po bagażnik w ogłuszającej kakofonii miażdżonej blachy i pękającego szkła. Kierowca - młoda długowłosa blondynka, która najwyraźniej nie była przypięta pasem, wypadła przez przednią szybę i zakrwawiona, ze skrzyconym karkiem zwiślała bezwładnie na masce samochodu. Dźwiękowi wirującego tylnego koła i sykowi pękniętej chłodnicy wtórowało radio samochodowe, które wciąż nadawało skoczny utwór techno.

Donovan nie mógł już dla niej nic zrobić.

Conte leżał na jezdni, ale jeszcze się ruszał.

Donovan zatoczył się w stronę rannego najemnika, nadal święcie przekonany o zagrożeniu z jego strony. Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić do sytuacji, w której Conte będzie miał choćby najmniejszą szansę wyjść cało z tego wypadku. Spojrzał w prawo i lewo na pustą szosę i sięgnąwszy po pistolet przypięty do prawej nogi Contego, wyszarpnął go gwałtownie. Broń była naładowana i odbezpieczona. Gdy Donovan przystawił ją do zakrwawionej skroni Contego, mógłby przysiąc, że słyszy dźwięk dzwonów kościelnych unoszący się nad dachami Belfastu.

- Przebacz mi, Boże.

Nacisnął spust.

Donovan wciągnął zmasakrowane zwłoki Contego w gęste zarośla na poboczu i prowizorycznie przykrył je gałęziami i liśćmi. Wyjął portfel najemnika i wraz ze znalezioną strzykawką oraz fiolką przezroczystego płynu schował go do kieszeni. Następnie pobiegł połą drogą w stronę samochodu i powoli wszedł do wykopanego dołu. Przeniósł na ziemię pęknięte połówki wieka i wyjął ostrożnie kostki C4.

Szeroko rozstawiwszy nogi, pochylił się i pochwycił skrzynkę od spodu. W jamie było ciasno i minęło trochę czasu, zanim udało mu się równomiernie przesunąć ossuarium wzdłuż ścianki. Większy kłopot niż ciężar sprawiły mu nietypowe wymiary. W końcu wypchnął naczynie i ustawił je na krawędzi dziury. Pocił się obficie i z trudem oddychał, ale jakoś wygramolił się na zewnątrz.

Wsiadł do samochodu, podjechał bliżej i dźwignąwszy resztką sił ossuarium, umieścił je w bagażniku, a z nim szpadle i kilofy. Zatrzasnął klapę i usadowił się na miejscu kierowcy, brudny i zakrwawiony. Poczuł, jak ogarnia go ogromne zmęczenie. Bolały go mięśnie, a zmiądzony nos pulsował dotkliwie, ale w gruncie rzeczy czuł się nie najgorzej, nadal lekko odurzony adrenaliną. Ogólnie był z siebie zadowolony. Już od wielu lat nie trzymał w rękach pistoletu ani nie walczył w obronie własnej. Ale jak mawiał jego ojciec: Irlandczycy wybaczą swoim bohaterom, dopiero gdy ci spoczywają w grobie.

Bóg go chronił... i Donovan wiedział dlaczego. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Wytarł krew i odciski palców z beretty oraz glocka, które pachniały spalonym prochem i ukrył je w schowku. Miał zamiar wrzucić glocka do pierwszej przekraczanej rzeki, ale berettę na razie planował zachować. Przekręcił kluczyk w stacyjce i zawrócił na polnej drodze.

Gdy dojechał do szosy, zatrzymał się na chwilę, zdumiony, że jeszcze nikt nie przybył na miejsce wypadku. Wyglądało na to, że nikt nawet tędy nie przejeżdżał.

Patrząc na zamaskowane chrustem zwłoki na poboczu, wiedział, że zidentyfikowanie ciała najemnika nie będzie łatwe, a może nawet okaże się niemożliwe. Odciski palców, stan uzębienia i inne, nawet najbardziej wyszukane elementy badane przez specjalistów medycyny sądowej bez wątpienia niczego nie wykażą. Równie pewne było to, że nikt nie skojarzy Contego z Watykanem. Był wolnym ptakiem, tak po prostu. Człowiekiem, który przybył znikąd i tam powrócił.

Zastanawiał się, w którą stronę jechać.

Nie myśląc długo, skręcił w prawo i skierował się na południowy zachód. Gdy nie widział już w lusterku miejsca wypadku, zaczął gorliwie się modlić za duszę młodej kobiety za kierownicą mercedesa.

JEROZOLIMA

Późnym popołudniem Razak siedział przy kuchennym stole i popijał herbatę, gdy usłyszał sygnał telefonu komórkowego. Zerknął na wyświetlacz - numer zastrzeżony. Odebrał niepewnie. - As-salam?
- Widziałem pana w telewizji.

Mężczyzna mówił po angielsku. Jego głos wydawał się dziwnie znajomy.

- Kim pan jest?

- Przyjacielem.

Razak odstawił czarkę. Może jakiś reporter, pomyślał. Albo informator. Mimo to dałby sobie głowę uciąć, że już gdzieś słyszał ten śpiewny akcent.

- Wiem, kto ukradł ossuarium - powiedział beznamiętnym głosem rozmówca.

- Nie wiem, o czym pan mówi - Razak wyprostował się na krześle. Rozmówca musiałby podać więcej szczegółów, zanim on sam potwierdzi, co skradziono.

- Owszem, wie pan doskonale. Poznaliśmy się kilka tygodni temu w Rzymie. Dostarczył pan paczkę do Cafe Greco. Dał mi pan wizytówkę i podkreślił, żeby się skontaktować z nim w razie kłopotów.

Razak przypomniał sobie łysego mężczyznę w okularach i jego żylaste dłonie zaciśnięte na szklance z piwem. Człowiek ten był ubrany na czarno i miał koloratkę, więc musiał być chrześcijańskim kapłanem. Razak skojarzył też, że w skórzanym chlebaku, który wręczył księdzu, znajdowały się poufne akta, ale nie mógł zrozumieć, co to wszystko ma wspólnego z ossuarium.

- Ma pan rację - odpowiedział z wahaniem. - Słucham.

- Księga zawiera bardzo dokładne informacje na temat ossuarium ukrytego w tajnej komnacie pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego.

- Jaka księga?

- Było tam jeszcze dziewięć innych ossuariów. Zgadza się?

- Proszę mówić dalej - w głosie Razaka dało się słyszeć pewien entuzjizm, ale on sam jeszcze niczego nie potwierdził.

- To ja mam dziesiąte ossuarium.

Razak oniemiał. Zaczął żałować, że nie nagrywa tej rozmowy.

- Zamordował pan trzynastu ludzi i sprofanował najświętsze miejsce - wstał zza stołu i zaczął przechadzać się po mieszkaniu.

- Nie - przerwał stanowczo rozmówca. - To nie ja... Razak wyczuł szczerłość w jego głosie.

- ...ale wiem kto. - dodał mężczyzna.

- A jaką mam pewność, że pan nie kłamie?

- Ponieważ zamierzam oddać panu ossuarium... aby mógł pan zamknąć tę sprawę tak, jak uzna pan to za stosowne.

Początkowo Razak nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Dlaczego pan to robi?

- Wiem, co się dzieje teraz w Jerozolimie - ciągnął mężczyzna. - Cierpi zbyt wielu niewinnych ludzi. Wiem, że myśli pan podobnie, bo jest pan prawym człowiekiem. Wiedziałem o tym, gdy tylko się poznaliśmy.

Razak miał kompletny mętlik w głowie.

- Jak podejrzewam, nie dostarczy pan ossuarium osobiście?

- Niestety, mam jeszcze coś do zrobienia. Z pewnością rozumie pan, że nie mogę ryzykować.

- Chyba tak. Cisza.

Razak nie mógł się powstrzymać.

- Dlaczego ossuarium jest takie cenne? Co w nim jest? Długie milczenie.

- Coś o niezwykle doniosłym znaczeniu.

Razak aż zadrżał na wspomnienie wybujałych opowieści Bartona o chrześcijańskich fanatykach. Czy w zaginionym ossuarium faktycznie znajdowały się szczątki Jezusa? Czy tajemnicza księga wskazywała pochodzenie relikwii?

- A zawartość skrzynki? Czy też do nas wróci?

- Niestety nie mogę do tego dopuścić. Razak odważył się na kolejne pytanie.

- Czy w ossuarium naprawdę znajdowały się jego szczątki? - próbował przygotować się na to, co usłyszy.

Rozmówca zawahał się. Niewątpliwie wiedział, co Razak ma na myśli.

- Nie wiemy tego na pewno. Dla własnego bezpieczeństwa proszę mnie już o nic nie pytać. Muszę tylko wiedzieć, gdzie doręczyć przesyłkę.

Razak się zamyślił. W głowie pojawił mu się obraz Bartona siedzącego w izraelskiej celi więziennej i czekającego na proces. Potem pomyślał o tym, że Faruk - bo to wyłącznie z jego inicjatywy doręczył księgę, od której wszystko się zaczęło - prawdopodobnie zrobił z niego głupca i nie tylko naraził życie wielu ludzi, ale i pokrzyżował plany pokojowe. Razak postanowił podać rozmówcy nazwisko i adres, pod który ma doręczyć przesyłkę.

- Kiedy mogę się jej spodziewać?

- Zapewniam pana, że nadam ją jeszcze dziś. Zostanie doręczona możliwie najszybciej, bez względu na koszty.

- A księga? - dopytywał Razak.

- Ją także dołączę.

- A czy można ją przesłać komuś innemu?

- Naturalnie.

Razak podyktował drugi adres.

- A tak na marginesie - dodał rozmówca - archeolog z Anglii zatrzymany przez izraelską policję nie ma z tym nic wspólnego.

- Tak podejrzewałem - odparł Razak. - A prawdziwi złodzieje? Co z nimi będzie?

Kolejna pauza.

- Pan Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Chyba tu się pan ze mną zgodzi.

Połączenie zostało przerwane.

SOBOTA
WZGÓRZE ŚWIĄTYNNE

Po wieczornych modłach Razak udał się prosto do meczetu Al-Aksa. Poprzedniej nocy nie zmrużył oka - na okrągło odtwarzał w pamięci przebieg wstrząsającej rozmowy z księdzem, którego poznał w Rzymie trzy tygodnie temu. Izraelska policja miała słuszność. W dokonaniu tego przestępstwa mógł pomóc tylko ktoś dobrze poinformowany. I było już wiadomo, że na pewno nie jest to Graham Barton. Wszedł od tyłu i podążył służbowym korytarzem, na końcu którego znajdowały się świeżo zamontowane stalowe drzwi przeciwpożarowe. Umieszczony nad nimi arabski napis głosił: „Wyjście awaryjne”.

Razak przekreślił gałkę.

Świeżo odmalowane spiralne schody zakręcały na głębokość dwunastu metrów i prowadziły prosto do podziemnego meczetu Al-Marwani. Czyżby tajne przejście? Czy to współczesny odpowiednik wejścia, z którego korzystał Józef z Arymatei dwa tysiące lat temu?

Po obu stronach korytarza znajdowały się magazyny z zaopatrzeniem dla meczetu.

Serce dudniło mu w piersi, gdy podszedł do pierwszych drzwi i otworzył je na oścież. W środku widniały spiętrzone pod ścianą kartonowe pudła i regały ze środkami czystości. Na innej półce było widać nowiutkie kopie Koranu, które miały oświecić świeżo nawróconych muzułmanów. Razak zamknął drzwi i przeszedł do następnego pokoju.

Za drugimi drzwiami zobaczył stosy krzesel, stare biurko i kilka dywanów w orientalne wzory, zapakowanych w folię i ustawionych pod boczną ścianą. Na wprost było widać zwęglone pozostałości *mih-rabu* podpalonego przez młodego australijskiego Żyda, Michaela Rohana 21 sierpnia 1969 roku. Chodziły słuchy, że ów fanatyk poinformował władze izraelskie, iż został natchniony przez Boga, a

jego czyn ma przyspieszyć nadejście Mesjasza i doprowadzić do odbudowania Trzeciej Świątyni.

Razak zamknął drzwi i pomyślał, że prawdopodobnie się pomylił. Wolałby, żeby tak było.

Podszedł do drzwi prowadzących do następnego pomieszczenia gospodarczego. Próbował nacisnąć klamkę, ale przekonał się, że drzwi są zamknięte. Spróbował jeszcze raz. Bez skutku.

Nieco zdezorientowany, przeszedł przez obszerną salę modlitewną meczetu, wynurzył się na zalaną porannym słońcem esplanadę i skierował w stronę szkoły koranicznej z postanowieniem, że jeśli znajdzie tam Strażnika, zażąda od niego otwarcia magazynu.

Gabinet Faruka był jednak pusty.

Razak stał nieruchomo i zastanawiał się, co dalej robić. Wreszcie z wahaniem okrążył biurko i zaczął przetrząsać szuflady.

Znalazł w nich szereg nietypowych przedmiotów, między innymi niewielki pistolet i litr burbonu wild turkey. Koran surowo zakazywał spożywania alkoholu i Razak miał nadzieję, że Faruk po prostu skonfiskował komuś tę butelkę. W dolnej szufladzie po lewej stronie znajdowała się zdobiona szkatuła z brązu; niestety zamknięta. W końcu znalazł to, czego szukał: pęk kluczy. Chwycił je i opuścił budynek.

Szedł esplanadą, nieświadomy, że za jego plecami dyskretnie skrada się Faruk.

Dopełniwszy niezbędnych formalności, przeszedł przez salę modlitewną meczetu Al-Aksa, zatrzymał się przy drzwiach magazynu i wyjął klucze. Kolejno wypróbował każdy, wśród nich mały, podniszczony, kościany. Sprawdził go i pozostałe klucze, aż wreszcie, gdy zostały już tylko dwa i powoli tracił nadzieję, trafił na ten właściwy. Srebrzysty klucz bez oporu wsunął się do zamka - Razak przekręcił go, wstrzymując oddech i w duchu odmawiając modły.

Zamek ustąpił z cichym szcękaniem.

Razak nacisnął klamkę. W pozbawionym okien pokoju było całkiem ciemno. Nie zamykając za sobą drzwi, wszedł do środka i po omacku odnalazł włącznik światła. Pokój sprawiał wrażenie pustego.

Światłówki nad jego głową zabrzęczały i pomieszczenie wypełniły

urywane, drażniące wzrok błyski białego światła, po czym ukazało się w całej krasie.

Razak aż otworzył usta ze zdumienia.

Pod ścianą na wprost wejścia, na winylowej posadzce stało dziewięć ossuariów z wypisanymi po hebrajsku imionami Józefa i członków jego rodziny.

- Niech Allan ma nas w swojej opiece - wymamrotał po arabsku. Kątem oka zobaczył, że ktoś stoi w drzwiach, i odwrócił się gwałtownie. Faruk.

- Brawo, brawo - Faruk skrzyżował ręce na piersi, wsuwając je do luźnych rękawów tuniki. - Ale lepiej się tym nie przejmuj. Niedługo stąd znikną.

Talent Strażnika do sprawiania, że przedmioty znikają w tajemniczych okolicznościach, zaczynał już drażnić Razaka.

- Coś ty najlepszego zrobił?

- Spełniłem szlachetny uczynek na rzecz naszych ludzi - odpowiedział flegmatycznie Strażnik. - Nie zważaj na te drobne ofiary, które musieliśmy ponieść.

- Drobne ofiary? - Razak nie spuszczał wzroku z ossuariów. - Przecież wrobiłeś niewinnego człowieka.

- Barton? Niewinny? Oni wszyscy są winni. Zwłaszcza gdy chcą zagrozić Allahowi.

- Czy pozostali członkowie rady o tym wiedzą? Strażnik lekceważąco machnął ręką.

- A czy to ważne?

- Wysłałeś mnie do Rzymu, żebym dostarczył wysłannikowi Watykanu paczkę; księgę, która skłoniła ich do popełnienia tej okropnej zbrodni. Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie. Zginęło mnóstwo ludzi, a teraz jeszcze policja przetrzymuje niewinnego człowieka. I co ci z tego przyszło?

- Razaku - Faruk pokręcił głową z dezaprobatą. - Widzę, że nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Udało nam się osiągnąć solidarność i jedność. Ludzie nam ufają i wierzą, że będziemy chronić zarówno ich samych, jak i ich wiarę. A nasza wiara musi być wszędzie jednakowo silna. W Jerozolimie bronimy czegoś więcej niż tylko

skrawka ziemi i boskiej świątyni. Islam jest wszędzie. Odrzucenie jego nauk to jak odebranie muzułmaninowi duszy. Nie pojmujesz tego?

- Przecież to nie wojna.

- Mylisz się. To jest wojna i to od samego początku. Od chwili, gdy chrześcijanie i żydzi postanowili wydrzeć nam tę zapomnianą ziemię uświęconą przez wielkiego proroka Mahometa, niech Allah obdarzy go pokojem. Czy muszę ci przypominać, że sam przelewałem krew w obronie naszych ludzi i tego miejsca? Cała masa ludzi zginęła po to, żeby osoby takie jak ty - wymierzył w niego palec - mogły tu stawiać swoje domy.

Razak nic nie odpowiedział. Zasługi ludzi takich jak Faruk, którzy zaciekle sprzeciwiali się izraelskim okupantom, były niepodważalne, ale on sam miał już dość tej retoryki. Był zmęczony plagą nienawiści, nękającą tę ziemię. Szukał odpowiedzi. Przede wszystkim bezwzględnie musiał się dowiedzieć, jak doszło do tego, że księga dostarczona do Rzymu pomogła w określeniu dokładnego położenia starożytnej krypty od wieków ukrytej pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego.

- Co takiego poleciłeś mi doręczyć Watykanowi? Faruk zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Czy jeśli ci powiem, będziesz miał spokojne sumienie w związku z tym, co zaszło?

- Być może.

Faruk odwrócił się do drzwi.

- Wobec tego chodź za mną.

. 64 .

Weszli do gabinetu i Razak rozsiadł się wygodnie, z niecierpliwością czekając na wyjaśnienia, dlaczego Faruk umożliwił chrześcijanom wtargnięcie na Wzgórze Świątynne. Według niego ten czyn był tak nikczemny i podstępny, że nie uzasadniał go żaden argument. Faruk wyciągnął rękę.

- Moje klucze.

Razak wyjął je z kieszeni i upuścił na dłoń starca. Strażnik sięgnął do szuflady, wyjął niewielką prostokątną szkatułkę i położył ją na kolanach.

- Kiedy w 1996 roku zaczęliśmy prace wykopaliskowe w meczecie Al-Marwani - zaczął - na wysypisko śmieci w dolinie Cedronu przewieziono tony gruzu. Zostały one dokładnie przesiane i przebadane. Tylko tego nam brakowało, żeby odnalazła się jakaś relikwia uznana błędnie za pozostałość żydowskiej świątyni.

- Masz na myśli Świątynię Salomona? Faruk przytaknął.

- Na razie nie mamy jeszcze mocnych dowodów archeologicznych potwierdzających nasze prawa do tego miejsca i umacniających naszą pozycję - Faruk mówił teraz lekko podniesionym tonem. - A jak sam wiesz, Żydzi skutecznie przekonali rząd izraelski i niektórych archeologów muzułmańskich do przebadania konstrukcji całego wzgórza. Powoływali się na wybrzuszenie w zewnętrznej ścianie, które się pojawiło w trakcie naszych prac i miało być oznaką naruszenia fundamentów - Faruk usadowił się wygodniej. - Ja sam i inni przedstawiciele zarządu próbowaliśmy ich powstrzymać, ale Izraelska Administracja Zabytków Starożytności przekonała wielu ludzi, także naszych, że trzeba to zrobić. Te badania miały się rozpocząć lada dzień.

Ten spór był szeroko nagłośniony. Razak wiedział, do czego zmierza Faruk.

- Tak więc było jasne, że archeolodzy znajdą ukrytą kryptę? Faruk skinął głową.

- Ale skąd w ogóle wiedziałeś o jej istnieniu? Strażnik przykrył

szkatułę dłonią.

- To nadzwyczajne znalezisko wydobyto kilka lat temu. Prace wykopaliskowe dopiero się zaczynały.

Razak spojrzął na tłoczoną mosiężną powierzchnię skrzyni. Wzory sprawiały wrażenie orientalnych, ale przyglądając się bliżej symbolom, zwłaszcza ozdobnym krzyżom, stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że to motywy chrześcijańskie. Wieko zdobił niezwykle wzór i widząc wyobrażenia żywych istot, Razak wiedział, że to też nie jest symbolika islamska.

- Co przedstawia ta pieczęć?

- Dwóch średniowiecznych rycerzy w pełnym rynsztunku, z tarczami i jedną kopią. Galopujący koń symbolizuje tych, którzy ślubowali wyzwolić tę ziemię spod wpływów muzułmańskich. To pieczęć chrześcijańskiego zakonu rycerzy Świątyni Salomona. Zakonu templariuszy.

Razak spojrzął na niego surowo.

- Więc Graham Barton się nie mylił?

- Nie. Niewierni używali tej pieczęci, gdy w 1099 roku po raz pierwszy zajęli Wzgórze Świątynne. Chyba sobie wyobrażasz, jak bardzo zaskoczyło mnie to znalezisko, nie wspominając nawet o jego pochodzeniu.

- Gdzie dokładnie się znajdowało?

- Było ukryte pod posadzką meczetu Al-Marwani. Maszyna do robót ziemnych naruszyła kamienny blok. Kwestia przypadku.

- A co było w środku?

Faruk delikatnie stuknął w wieko.

- Między innymi starożytny manuskrypt zwany *Ephemeris Conclusio*. Ten, który trzy tygodnie temu zawiozłeś do Rzymu.

Razak przypomniał sobie, że łysy ksiądz, z którym się spotkał w Café Greco, miał przy sobie aktówkę ozdobioną dwoma skrzyżowanymi kluczami i tiarą - herbem Watykanu. *Chrześcijańscy fanatycy*.

- Potrzebowaliśmy pomocy katolików. Razak skrzyżował ramiona.

- Jak rozumiem, w księdze określono położenie krypty?

- Był tam między innymi rysunek z dokładnymi danymi

liczbowymi.

- A pozostała część manuskryptu?

Faruk przedstawił w skrócie treść zapisków Józefa z Arymatei. Opowieść naocznego świadka pojmania, ukrzyżowania i pogrzebania Jezusa. Sensacyjne odkrycie ossuarium i relikwii potwierdzających ukrzyżowanie Jezusa i jego ludzką śmierć.

Gdy skończył, przez chwilę panowała cisza.

Razak myślał o tym, jak wielką intuicją wykazał się Barton.

- Jeśli to prawda, to podważa nauki Koranu.

- Bez wątpienia. Znasz przecież nasz pogląd na temat Jezusa. Allah wziął go do siebie, zanim schwytali go jego wrogowie. Nie było pojmania, procesu, ukrzyżowania... ani tym bardziej pochówku. Czy teraz rozumiesz, że musieliśmy wyeliminować to zagrożenie?

Do Razaka dotarło, że Farukowi zależy na czymś więcej niż tylko na utrzymaniu Wzgórza Świątynnego. Konsekwencje były znacznie poważniejsze.

- Czy nie można było po prostu pójść do krypty i zniszczyć to wszystko, a nie angażować w to katolików? I zabijać niewinnych ludzi?

- To byłoby zdecydowanie zbyt ryzykowne - odpowiedział lekceważąco. - Obaj wiemy, że w IAZS pracuje wielu naszych. Ludzi, dodajmy, którzy regularnie uczestniczą w modłach w meczecie Al-Marwani. Jestem pewien, że to wszystko część chytrego planu. A bez zgody władz izraelskich nie wolno nam prowadzić żadnych prac wykopaliskowych. Gdybyśmy się na to zdecydowali, mielibyśmy znacznie więcej ofiar zamieszek niż teraz.

- Tak więc katolicy odwalili za ciebie brudną robotę. I nikomu nie przyjdzie do głowy cię obwiniać - z każdą kolejną sensacją Razak coraz bardziej podupadał na duchu. Okazało się, że świat, który znał, zawalił się. Po raz kolejny wyszło na jaw, że religia i polityka były ze sobą ściśle powiązane.

- Tylko w ten sposób mogliśmy osiągnąć nasz cel - ciągnął Faruk bez mrugnięcia okiem. - A ponieważ te wieści zagrażały katolikom jeszcze bardziej niż nam, wiedziałem, że nie będą zwlekać z wydobyciem relikwii. W końcu dzięki niej ich instytucja trwała przez

te wszystkie lata. A my tymczasem umocnimy naszą pozycję, pozbywając się zagrożenia, jakim byłoby upowszechnienie informacji niezgodnych z naukami Proroka.

- To nie mógł być jedyny sposób... - powiedział Razak niepewnie.

- Myślisz o tym archeologu, co? - Faruk był wyraźnie rozczarowany.

- Każdy z nas wie, że bez względu na sympatie religijne w Izraelu są tylko dwie strony. I Barton stoi po tej drugiej. Nie zapominaj, po której stronie ty jesteś - ostrzegł go i dodał, pocierając dłonie: - Zanim mnie osądzisz, chcę ci jeszcze coś pokazać - otworzył szufladę w biurku i wyjął gruby plik kartek. Zdjął pierwszą z góry i podał ją Razakowi. - Przyjrzyj się dobrze.

Razak przestudiował nieudolny szkic składający się z kilku prostokątów, obok których widniały urywki tekstu, prawdopodobnie greckiego. Pokręcił bezradnie głową. Nic mu to nie mówiło.

- Co to takiego?

- Plan Wzgórza Świątynnego sporządzony przez Józefa. Ten sam, jakim się posłużyli złodzieje do zlokalizowania ossuarium. Widzisz tę konstrukcję na samej górze?

Razak przytaknął ze strutą miną.

- To żydowska świątynia, którą Józef opisał barwnie w tej księdze - powiedział niespodziewanie słabowitym głosem Faruk i poklepał dłonią stos kartek.

- Czyli ta świątynia jednak istniała - Razak odetchnął głęboko. Faruk się uśmiechnął.

- Możliwe. Można by się nawet spierać, jak czynią to Żydzi, że gruz w dolinie Cedronu to budulec świątyni. Może teraz zrozumiesz, dlaczego tak mi zależało na wstrzymaniu dalszych prac. Po kradzieży wszelkie dyskusje na temat wykopalisk pod Wzgórzem Świątynnym zostały wstrzymane na czas nieokreślony.

-1 nie ma też dowodów archeologicznych.

- Kiedy ostatecznie pozbędziemy się dziewięciu ossuariów, będziemy mogli uznać sprawę za zamkniętą.

Razak był w rozterce. Jeśli Ściana Płaczu istotnie stanowiła kiedyś część świątyni, roszczenia Żydów były całkowicie uzasadnione. To by oznaczało, że ich niekończące się lamenty zostały wysłuchane. Tyle że

nikt się o tym nie dowie. A on sam mimo woli przyłożył do tego rękę. Faruk znów sięgnął pod biurko i wyjął gruby dokument.

- Zleciłem dyskretne przetłumaczenie całego tekstu *Ephemeris Conclusio*. Sam się z nim zapoznaj i daj mi znać o swojej decyzji - położył księgę przed Razakiem. - Musisz mi tylko bezwzględnie obiecać, że spalisz ją po przeczytaniu.

Razak nie był pewien, czy zniesie kolejne rewelacje.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Jest coś, czego nie zawiozłeś do Rzymu - Faruk uniósł wieko szkatuły. - W pudełku był jeszcze jeden dokument. Kolejna kronika, ale jej autorem nie jest Józef z Arymatei.

Do Razaka powoli zaczynało docierać, że Strażnik kieruje się bardzo złożonymi pobudkami, które nie mają nic wspólnego z nienawiścią. Było to tylko potwierdzenie tego, jak okrutnie los może zakpić z człowieka.

- A kto?

Strażnik wyjął ze szkatuły kruchy zwój.

- Templariusz, który znalazł ossuaria.

RZYM

Evan i Charlotte niespiesznie popijali kawę, siedząc na fotelach w słonecznym apartamencie hotelu Hilton i obserwując przez okno ruch na pasach startowych lotniska Fumicino. Jak na nieoczekiwane rendez-vous we Włoszech oprawa nie była zbyt romantyczna, ale Charlotte twierdziła, że nie chce wracać do Rzymu, ponieważ nie czuje się tam bezpiecznie. Siedziała teraz z lekko zmierzwionymi włosami, otulona w miękkiej płaszcz kąpielowy, i patrzyła z czułością na Evana. Wreszcie udało jej się spokojnie przespać noc. Wystarczyło parę kieliszków wina i tabletki nasenna. Nieoczekiwanie upojna i satysfakcjonująca noc w objęciach Evana też zrobiła swoje. Wcześniej opowiedziała mu o niesamowitych wydarzeniach kilku ostatnich dni i zaprezentowała zdumiewającą dokumentację zgromadzoną w pamięci laptopa. Przekonał ją, że wszystko będzie dobrze - bez względu na podpisane przez nią zobowiązanie do milczenia. Mimo wszystko Evan zarezerwował pokój na własne nazwisko, tak na wszelki wypadek.

Przypomniawszy jej, że ze względu na zaangażowanie BMS w tę sprawę, muszą zachować szczególną ostrożność. Zaproponował, żeby poczekać, co wyniknie z oskarżeń doktora Bersei pod adresem Watykanu. Jego zdaniem było o wiele za wcześnie, by zakładać, że przytrafiło mu się coś złego. Charlotte patrzyła teraz na niego z uwielbieniem.

- Naprawdę mi ciebie brakowało. I przepraszam, że ostatnio tak dziwnie się zachowywałam.

- Trzeba przyznać, że ja też nie byłem aniołem - uśmiechnął się. - Słuchaj, nie mogę się doczekać, żeby ci coś pokazać. Wczoraj nie było okazji. Nie uwierzysz w to.

Dawno nie był taki podekscytowany, pomyślała.

Evan wstał, okrążył wózek kelnerski i podszedł do swojej torby. Patrzyła, jak odpina boczną kieszeń i wyjmując niewielkie pudełko, pęk kluczy i coś w rodzaju fiołki. Sięgnął też po jej laptopa leżącego

na nocnym stoliku i usiadł koło niej, układając wszystko na okrągłym stoliku przy oknie.

Spojrzała na niego badawczo.

- Co ty kombinujesz?

- Chciałem do ciebie zadzwonić - powiedział - ale wiedziałem, że muszę pomówić z tobą osobiście. Po pierwsze, to dla ciebie. Szczerze mówiąc, właśnie po to tu przyjechałem - uśmiechnął się i wyciągnął rękę, w której było małe pudełko.

Na ten widok poczuła przyspieszone bicie serca. Przedmiot wyglądał jak szkatułka, a rozmiar wskazywał na...*Czyżby Evan przyjechał po to, żeby jej się oświadczyć?* Sięgnęła po pudełko i wyprostowała się w fotelu.

- No dalej, otwórz.

Zerknęła na niego przelotnie. Niezbyt romantycznie podszedł do sprawy.

- To ta próbka kości, którą mi przesałaś.

- O! - była jednocześnie rozczarowana i uspokojona. Zdjęła wieczko i spojrzała na kość śródstopia, którą równie dobrze można było pomylić ze skamieliną. Spoczywała na kawałku białej gazy, a na jej powierzchni widniał wywiercony, idealnie równy otwór, z którego Evan pobrał próbkę do badania. Charlotte przesunęła po kości opuszką palca wskazującego.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tej anomalii?

- Oczywiście - była ciekawa, jakie odkrycie kazało mu przebyć pół świata. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Najpierw muszę o coś spytać. Czy ktoś jeszcze przeprowadzał analizę tych kości?

Pokręciła głową.

- Oddałam je tylko do badania do laboratorium radiowęglowego w Rzymie, ale te próbki są już spalone.

- A reszta szkieletu?

W głowie pojawił jej się obraz wiekowych kości ułożonych na czarnej gumowej macie. Wczoraj rano szkielet zniknął, razem z ossuarium i relikwiami.

- Jest w Watykanie. Ale czy rzeczywiście?

- Całe szczęście - najwyraźniej kamień spadł mu z serca. - Kiedy się przekonasz, co tu mam... - Aldrich zdjął nakrętkę z maleńkiego breloczka z przenośną pamięcią i podłączył go do laptopa. Kliknął ikonkę programu do odtwarzania plików wideo, a następnie wybrał odpowiednią pozycję. Plik zaczął się ładować. - Gdy to zobaczyłem, myślałem, że skaner nie działa tak, jak powinien - wyjaśnił. - Byłem o krok od zawału. Okazuje się, że skanerowi nie można nic zarzucić. To z próbka jest coś nie w porządku.

Plik wreszcie się załadował. Charlotte przysunęła się bliżej ekranu.

- No to lecimy. Najpierw kariotyp. Zatrzymam obraz w odpowiednim momencie - odtwarzacz uruchomił się i Aldrich wcisnął pauzę.

Spojrzenie Charlotte spoczęło na glistowatych chromosomach, pogrupowanych według rozmiaru. Każda para miała inną barwę, a całość była oznaczona liczbami od 1 do 23 oraz literami X i Y.

- Nawet tutaj wyraźnie widać nieprawidłowości.

- Która para?

- Przyjrzyj się uważnie - powiedział. - Sama odpowiedz na to pytanie.

Charlotte przestudiowała obraz. Gdy jej wzrok padł na dwudziesty trzeci zestaw chromosomów, dostrzegła coś dziwnego. Na mikroskopowym obrazie chromosomu powinny być widoczne prążki, tymczasem na parze oznaczonej numerem 23 ich nie było. - Coś mi nie gra z dwudziestką trójką.

- Otóż to. Przejdźmy dalej i być może wszystko stanie się jasne. Aldrich otworzył kolejny plik i ich oczom ukazało się powiększone jądro komórkowe, a właściwie jego mikroskopowy obraz. Chromosomy i nukleotydy były rozrzucone w naturalny, chaotyczny sposób, a wzdłuż krawędzi ekranu znajdowała się ledwie widoczna błona jądrowa.

- Na dwudziestej trzeciej parze są znaczniki - Aldrich przesunął kursor. - Widzisz?

Dwa chromosomy zostały oznaczone jaskrawożółtymi kółkami. - Tak.

- Patrz uważnie, Charlie. Teraz coś pobierzemy.

- Co takiego?

- Zaraz ci wyjaśnię.

Zauważyła, że lewa noga Aldricha podryguje nerwowo.

Widoczna na ekranie gruba szklana igła, wyraźnie odróżniająca się kształtem od naturalnej budowy komórki, przebiła błonę jądrową, po czym nastąpiło pobranie par chromosomów. W jądrze pozostał tylko zestaw oznaczony liczbą 23.

- Usunąłem chromosomy, które utworzą kariotyp.

Na długim czarnym pasku na górze ekranu pojawiły się pobrane elementy uszeregowane według rozmiaru. Aldrich wskazał je kursorem.

- To pary, które wydobyliśmy. Nadążasz? - Tak.

Igła na ekranie wycofała się z wnętrza jądra i błona jądrowa z powrotem się zacisnęła.

- A teraz patrz.

I Charlotte zobaczyła coś niezwykłego. Bliźniacze chromosomy, które nadal tkwiły w jądrze, natychmiast zaczęły się dzielić i masowo wytwarzać nowe pary chromosomów na miejsce pobranego materiału. Ten samorzutny proces regeneracji zakończył się dopiero wtedy, gdy jądro wróciło do nietypowej równowagi i zostało wypełnione czterdziestoma ośmioma chromosomami.

- Co to było? - oderwała wzrok od ekranu. - Evan? Spojrzał na nią uważnie.

- Sensacja biologiczna. Właśnie byłeś świadkiem sensacji biologicznej. Odtworzę to jeszcze raz.

Animacja rozpoczęła się od kadru, na którym była widoczna igła wycofująca się z jądra. Na górze ekranu ponownie pokazał się czarny pasek z brakującymi chromosomami. I znów się zaczęło - samorzutna regeneracja materiału genetycznego, jak powiedział Aldrich, najniezwyklejszy proces biologiczny, jaki kiedykolwiek obserwowała.

Charlotte położyła dłoń na ustach.

- Przecież to nie ma prawa się zdarzyć.

- Wiem.

Nie było absolutnie żadnego wyjaśnienia dla tego, co właśnie zobaczyła.

- Przecież z naukowego punktu widzenia żaden ludzki chromosom nie może tworzyć dokładnych kopii pozostałych zestawów. Przecież dziedziczymy DNA po matce, ojcu... to skomplikowany kod genetyczny.

- To podważa wszystko, co dotychczas wiedzieliśmy - powiedział zmęczonym głosem. - Ja też długo nie mogłem się z tym pogodzić.

Cisza.

- Wystarczy ci, czy mówić dalej? - Aldrich uśmiechnął się czarująco i uniósł znacząco brwi.

- A co, szykujesz kolejną bombę?

- Jeszcze jaką - najwyraźniej znów był w swoim żywiole. - Przeprowadziłem drobiazgową analizę za pomocą nowego skanera, sporządziłem mapę DNA i porównałem ją z gotowymi mapami genomu. Wiesz, jakie zadanie mnie czekało?

- Znaleźć anomalie w trzech miliardach par zasad.

Typowy schemat molekularny genomu przypomina spiralnie zwiniętą drabinkę albo inaczej mówiąc, podwójną helisę z poziomymi „szczęblami” utworzonymi z par adeniny i tyminy lub guaniny i cytozyny, które są nazywane cegiełkami życia. W ściśle splecionych niciach chromosomów znajdują się trzy miliardy takich „szczębli”, tworzących geny - niepowtarzalne segmenty DNA odpowiedzialne za różne części ciała i funkcje życiowych. Skaner laserowy umożliwia analizowanie sekwencji genomu w celu wykrycia błędów kodowania i w efekcie mutacji.

Aldrich zerwał się i zaczął nerwowo przechadzać po pokoju.

- Okazało się, że próbka, którą mi przesłałaś, zawiera mniej niż dziesięć procent materiału genetycznego występującego w typowym ludzkim genomie.

Charlotte zagłębiła się w fotelu i pokiwała z niedowierzaniem głową.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też nie - odpowiedział Aldrich. - Dlatego wykonałem dodatkowe testy. Kiedy za pomocą naszego nowego systemu porównałem genom ze wszystkimi znanymi anomaliami, okazało się, że... nie uwierzysz. Nic nie znalazłem. Nic! Zero!

Charlotte poczuła, że zdrowy rozsądek ją opuścił. Nie przychodziło jej do głowy żadne wyjaśnienie.

- Co to oznacza?

- W tej próbce w ogóle nie ma śmieciowego DNA! - wykrzyknął Aldrich.

Zanim w 2003 roku zamknięto pierwszy etap badań nad ludzkim genomem, naukowcy byli przeświadczeni, że przewaga człowieka nad innymi organizmami - zwłaszcza pod względem poziomu inteligencji - przekłada się na znacznie potężniejszy, bardziej złożony kod genetyczny. Jednak ludzki genom nie spełnił tych nadziei - okazało się, że pod względem budowy jest dwanaście razy mniej skomplikowany niż genom najzwyczajszej cebuli. Tę różnicę przypisywano tzw. śmieciowemu DNA - grupkom odrzuconych genów obecnych w nitkach DNA i pozbawionych znaczenia w wyniku procesu ewolucji.

To brzmiało jak naukowa bajeczka, ale w świetle idealnego trójwymiarowego obrazu stworzonego na podstawie danych genetycznych (trudność w określeniu pochodzenia, androgeniczność, niepowtarzalna karnacja i rysy) nawet miało sens.

- Naprawdę uważasz, że DNA w tej próbce ma idealną strukturę genetyczną?

Skinął głową.

- Wiem, że to brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. Nieskazitelny genom wskazywał zahamowanie procesu ewolucji. Organizm w najczystszej, najbardziej nieskażonej postaci.

Doskonałość, pomyślała. Ale jak taki profil mógł należeć do człowieka? To zupełnie nie pasowało do teorii wyjaśniającej pochodzenie człowieka od naczelnych, przedstawionej przez Darwina i potwierdzonej przez współczesną naukę.

Evan Aldrich machnął ręką przed ekranem.

- W przyszłości to DNA można by wykorzystać jako szablon do wykrywania anomalii w badaniach porównawczych. I replikować je za pomocą plazmy bakteryjnej.

Charlotte spojrzała na niego.

- Chyba się trochę zagalopowałeś.

- Dzięki temu rozpoczął się zupełnie nowy etap w badaniach komórek macierzystych. Mówimy o doskonałym DNA w postaci wirusa! To niewyobrażalne - zaczął mówić wolniej. - To prawdziwy cud. Zacząłem się zastanawiać nad rzeczywistymi konsekwencjami ujawnienia tych wyników i nad reakcją świata. Początkowo pomyślałem, że to ocaliłoby życie wielu ludzi i pomogło leczyć wiele chorób, ale potem wyobraziłem sobie te wszystkie koncerny biotechnologiczne, które zabijają się, żeby tworzyć zindywidualizowane metody leczenia z myślą o bogaczach. I dzieci zaplanowane od A do Z. I reglamentowany dostęp do opieki medycznej. Elitaryzm biologiczny. To rozwiązania dla możnych tego świata. Biedni musieliby obejść się smakiem. A nawet gdyby stało się inaczej, to eliminacja chorób na tak masową skalę byłaby katastrofalna w skutkach. Powszechna długowieczność doprowadziłaby do gwałtownego wzrostu populacji, co stanowiłoby olbrzymie obciążenie dla światowych zasobów. Chyba posunął się za daleko.

- Rozumiem, o co ci chodzi, ale...

- Poczekaj chwilę - przerwał. - Już zmierzam do końca. Wyciągnął prawą rękę i chwycił w dwa palce fiołkę leżącą na stole.

- Chodzi o to.

WATYKAN

Kardynał Antonio Carlo Santelli stał przy oknie swojego gabinetu i wyglądał ponuro na rozległy Plac Świętego Piotra oraz usytuowany w centralnym punkcie potężny obelisk, który w porannym słońcu wydawał się oślepiająco biały. Duchowny przeniósł wzrok na bazylikę i zdobiące jej dach figury świętych. Czy gdyby katolicy znali jego szlachetne zamiary - wiedzieli, że pragnie chronić wiernych, jak na prawdziwego sługę bożego przystało - pewnego dnia także jego wizerunek zostałby tam uwieczniony? Czy i jemu oddawano by cześć? Czy zostałby współczesnym męczennikiem? Doczekałby się beatyfikacji? To nie była tylko kwestia dramatycznych wydarzeń ostatnich kilku tygodni. Sensacyjne wydarzenia, których był świadkiem w okresie swojego urzędowania w Watykanie, począwszy od afery z Banco Ambrosiano, sprawiły, że stopniowo zaczął podawać w wątpliwość swoją lojalność wobec Kościoła. Zastanawiał się, czy rzeczywiście przeżył swoje życie, służąc lepszej sprawie, czy może niepostrzeżenie zaczął kierować się w nim tym wszystkim, czym gardził jako młody, pełen ideałów kapłan.

Wczoraj przed południem, gdy osobiście dopilnował, by gwardziści zwolnili Contego, udzielił zuchwałemu najemnikowi ostatecznego przyzwolenia na zlikwidowanie ostatnich elementów, które mogłyby zaświadczyć o tym, że Watykan jest uwikłany w fatalny incydent w Jerozolimie, czyli zniszczenie ossuarium i oczywiście jego zawartości oraz wyeliminowanie kolejno ojca Donovan, doktor Charlotte Hennesey i jej amerykańskiego kochasia, Evana Aldricha.

I znów miał krew na rękach.

Wieczorem czekał na telefon od Contego z potwierdzeniem, że sprawa jest załatwiona. Bezskutecznie. Teraz zaczął się martwić, że najemnik wystawił go do wiatru, i spodziewał się, że kolejna rozmowa będzie dotyczyła pieniędzy. Może Conte posunie się nawet do szantażu?

Jakby tego było mało, zaledwie parę minut temu do jego uszu dotarły doniesienia o śmierci przewodnika muzealnego w katakumbach Torlonia, a takie historie raczej nie zdarzają się na co dzień. Ale tym razem w wyniku tego na pozór zwyczajnego incydentu policja postanowiła przesłuchać jedyną osobę, której nazwisko figurowało w księdze wejść. Tym sposobem śledczy dotarli do zrozpaczonej żony zwiedzającego, która właśnie zgłosiła na policji, że jej mąż nie wrócił na noc do domu. Rozpoczęło się przeszukiwanie katakumb i już wkrótce władze trafiły na ciało Giovanniego Bersei z połamanymi kończynami, leżące na dnie szybu wentylacyjnego.

Być może w innych okolicznościach uznano by to za wypadek - osobliwy splot nieszczęśliwych zdarzeń, w których przypadkowo uczestniczyli dwaj mężczyźni znajdujący się jednocześnie w tym samym miejscu. Jednak policja przesłuchała świadka - młoda kobieta biegająca po parku zeznała, że widziała jakiegoś osobnika wychodzącego z budynku przyszłego muzeum i wprowadzającego do bagażnika furgonetki skuter należący do antropologa. Policyjny portret pamięciowy sporządzony na podstawie jej zeznań łudząco przypominał szkic pochodzący z Jerozolimy.

W mediach aż huczało.

Santelli spodziewał się, że lada moment zadzwoni policja.

Jeszcze jeden skandal.

Kardynał miał przy sobie dwa strzępy zwoju, który naukowcy znaleźli w ossuarium. W lewej ręce trzymał reprodukcję fresku z krypty Józefa wybudowanej w katakumbach Torlonia, a w prawej - starożytny grecki tekst, który się znajdował nad rysunkiem, dopóki Santelli nie nakazał Con-temu go oderwać w obawie, że może zawierać zbyt oczywiste informacje. Zanim wysłał ojca Donovana na zgubną przejażdżkę z Contem, poprosił go o przetłumaczenie greckiego tekstu - jedynej pozostałości po wielowiekowym zagrożeniu.

Donovan zapisał treść na szeleszczącym papierze firmowym. Santelli pochylił się nad biurkiem i obok kartki z przekładem złożył razem dwa fragmenty zwoju.

Rozważał zniszczenie zwoju - spalenie go. Jednak teraz wiele by

dał, żeby znaleźć w nim ukojenie. Wziął głęboki oddech, jeszcze raz przyjrzał się oryginalnemu tekstowi i przeniósł wzrok na transkrypcję dokonaną przez ojca Donovaną:

Niechaj wiara będzie dla nas światłem, ślubowaliśmy bowiem chronić świętość Boga. Tu spoczywa syn Jego, oczekując na ostateczne zmartwychwstanie, aby dać świadectwo boskości i sprawić, że wszystkie ludzkie dusze zostaną osądzone. Niechaj te kości nie zmylą wiernych, albowiem opowieści są tylko słowami tych, co pobłądzili. Wieczna prawda tkwi w duchu.

Niechaj Bóg obdarzy nas swoim miłosierdziem.

Jego wierny sługa, JózefzArymatei

Z zadumy wyrwał kardynała dźwięk interkomu.

- Wasza Eminencjo, przepraszam, że niepokoję...

- Co się stało, ojciec Martin? - młody ksiądz sprawiał wrażenie podenerwowanego.

- Jest tu ojciec Donovan i chce się dostać do gabinetu. Mówiłem, że ksiądz kardynał jest zajęty, ale to do niego nie dociera.

Przestraszony kardynał poderwał się z fotela, ściskając kurczowo poręcz. *Donouan?To* niemożliwe. Santelli otworzył górną szufladę biurka i upewnił się, że jego beretta nadal tam jest.

- Niech wejdzie - powiedział.

Kilka sekund później drzwi się otwarły i wszedł Patrick Donovan. Santelli zauważył, że ksiądz ma podbite oboje oczu i napuchnięty, przekrzywiony nos, który wygląda tak, jakby ktoś właśnie próbował go nastawiać. Zamiast swoich okularów w drucianej oprawce miał na nosie inne szkła, w oprawie plastikowej. W lewej ręce niósł sporą skórzaną torbę.

Donovan usiadł w skórzanym fotelu naprzeciw kardynała i położył torbę na kolanach.

Santelli nie podał mu ręki, ani do pocałunku, ani do uścisku. Również gość darował sobie uprzejmości.

- Chcę ci coś pokazać - poklepał torbę.

Gdyby Santelli nie znajdował się w jednym z najlepiej strzeżonych pomieszczeń w Watykanie, chronionym przez wykrywacze metali i materiałów wybuchowych, pomyślałby, że w torbie znajduje się jakaś

broń albo bomba. Wiedział jednak, że Donovanowi nie udałooby się wnieść czegoś podobnego. Po nieoczekiwanej i wstrząsającej wizycie Contego wiele lat temu dopilnował tego osobiście.

- Najpierw muszę zapytać, czy zleciłeś moje zabójstwo.

- To bardzo poważny zarzut, Patricku - Santelli zerknął ukradkiem na górną szufladę.

- To nie ulega wątpliwości.

- Masz przy sobie nadajnik? Dyktafon? O to ci chodzi? Donovan pokręcił głową.

- Wiesz doskonale, że nie wszedłbym z tym do gabinetu. Rzeczywiście. Ochrona tej kryjówki była niezawodna. Rozmowy prowadzone za tymi drzwiami były zbyt ważne, żeby ryzykować przeciek.

- To o co chodzi? Chcesz sam wymierzyć karę? Po to przyszedłeś? Chcesz mnie zabić?

- To może zostawmy Bogu - na twarzy Donovana nie drgnął ani jeden mięsień.

Po chwili niepewności Santelli wskazał torbę wyglądającą tak, jakby służyła do przechowywania ogromnej kuli bilardowej. Gdyby nie wiedział, że Donovan jest niezdolny do przemocy, spodziewałby się, że zobaczy w środku głowę Salvatore Contego. Swoją drogą był ciekaw, dlaczego zabójca nie wypełnił zadania i dlaczego Donovan wygląda jak bokser po dziesiątej rundzie. Może jest w zмовie z Contem? Może najemnik przysłał go po pieniądze?

- No więc, co mi przyniosłeś?

- Musisz przekonać się osobiście - Donovan wstał i położył torbę na pedantycznie uporządkowanym blacie biurka. Coś zaklekotało w środku, jakby torba była wypełniona drewnianymi kołkami. Donovan zauważył na plazmowym monitorze nowy wygaszacz ekranu. Teraz wyświetlały się na nim słowa: *Najważniejsze jest to, w co się wierzy, a nie to, co się wie... Mark Twain*. Donovan stał i patrzył gniewnym wzrokiem na Santellego.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

Wreszcie kardynał z naburmuszoną miną podniósł się z fotela.

- Dobrze więc. Jeśli dzięki temu zostawisz mnie w spokoju... to

niech tak będzie - podenerwowany nachylił się nad torbę, zawahał przez moment i powoli odpiął zamek. Kiedy rozchylił torbę, żeby zajrzeć do środka, rozległ się ten sam klekoczący dźwięk.

Z twarzy kardynała odpłynęła cała krew, gdy patrzył na ludzką czaszkę i wiązkę kości - największą relikwię chrześcijaństwa. Kiedy znów podniósł wzrok, w jego oczach nie było już wcześniejszego żaru.

- Ty obłudny łajdaku. Będziesz się za to smażył w piekle.

- Pomyślałem sobie, że zechcesz się z nim pogodzić, zanim sprawię mu należny pogrzeb - powiedział Donovan. Czuł się okropnie, nosząc przy sobie święte kości w torbie turystycznej, ale wczoraj po południu wstąpił do firmy kurierskiej i zamówił ekspresową przesyłkę lotniczą ossuarium do Jerozolimy. Manuskrypt wysłał osobno na adres Razaka, muzułmańskiego posłańca, którego poznał w Rzymie. Gwoździe i monety zostały w schowku wynajętego samochodu, podobnie jak beretta.

- Ty sukinsynu - głos Santellego był dziwnie spokojny. Resztę Donovan pamięta jak przez mgłę.

Wyszarpnął ręce z kieszeni i prawą dłońią chwycił kardynała za nadgarstek. Jednocześnie w jego lewej ręce pokazała się mała plastikowa strzykawka. Wbił ją głęboko w ramię duchownego i wcisnął tłok.

Santelli całkowicie oniemiały wyrwał się, opadł na fotel i chwycił kurczowo za ramię. Zanim zdążył wezwać ojca Martina, trucizna ścisnęła mu serce, które zatrzymało się gwałtownie. Resztką sił chwycił się za pierś, jakby próbował wydrzeć z niej ból.

Patrick Donovan patrzył, jak ciałem Santellego wstrząsa ostatni dreszcz.

- Niech się dzieje wola boska - powiedział cicho. Nie wiedział, co się znajdowało w strzykawce, ale był prawie pewien, że właśnie tą metodą posłużył się Conte do zamordowania przewodnika muzealnego, znalezionego za pulpitem recepcji w katakumbach Torlonia. W tych murach wybór śmiertelnej broni był dość ograniczony. Donovanowi pozostawało mieć nadzieję, że strzykawka go nie zawiedzie.

Morderstwo było sprzeniewierzeniem się wszystkim świętościom i

złamaniem przysięgi danej Bogu nakazującej mu zerwać z okropną przeszłością. Wiedział jednak, że jeśli nie zlikwiduje Santellego, Charlotte Hennessey zginie i to samo spotka jego. Izraelczycy nigdy nie poznają prawdy, a niewinny archeolog weźmie na siebie winę za przestępstwo, którego nie popełnił.

Ostrożnie zapiął torbę i wyszedł do przedpokoju. Tam powiedział ojcu Martinowi, że kardynał prosił, by mu nie przeszkadzać i nie przełączać żadnych telefonów.

Ojciec Martin przytaknął i z ciekawością odprowadził Donovana wzrokiem, gdy ten pospiesznie mijał gwardzistów i maszerował korytarzem. Kiedy zniknął mu z oczu, kleryk bezzwłocznie udał się do gabinetu Santellego. Znad oparcia fotela zwróconego w stronę okna wystawała purpurowa piuska. Martin dwukrotnie zawołał kardynała i nie doczekawszy się odpowiedzi, powoli obszedł biurko.

JEROZOLIMA

Razak nie spuszczać wzroku ze zwoju, czekał, aż Faruk założy okulary. Strażnik odchrząknął i zaczął czytać: 12 grudnia, Anno Domini 1133

Prawdziwe pochodzenie Jezusa Chrystusa odkryła najpierw Święta Helena. Przybyła ona do Ziemi Świętej w poszukiwaniu historycznych dowodów na to, że postać Chrystusa nie jest tylko elementem legendy czy ludowego przekazu. Podczas pielgrzymki odkryła coś, co w jej mniemaniu było pustym grobem Jezusa, a pod Grobem Pańskim odnalazła zagrzebany drewniany krzyż, na którym Chrystus cierpiał i zmarł. Dziś my dzierzymy prawdziwy krzyż w obronie Boga i naszej wiary. Powiadają, że w naszym posiadaniu jest wiele podobnych relikwii, ale ta, którą odkryłem owego dnia, jest jak dotąd najcudowniejszą.

Najpierw jednak muszę wyjaśnić, jak do tego doszło.

W Jerozolimie od wieków mieszkają chrześcijanie, którzy nie przestrzegają słów Biblii. Ta spokojna wspólnota od stuleci żyje w odosobnieniu. Nazywają się Zakonem Qumranu. Miałem sposobność ich poznać i dowiedzieć się wiele na temat ich wiary. Początkowo ich przekonania wydały mi się wstrząsające, gdyż ich zwoje w wielu miejscach są sprzeczne ze Słowem Bożym. Członkowie zakonu wierzą, że Chrystus umarł jako śmiertelnik, a jego uczniom ukazał się jedynie jego duch, który powstał z grobu. Twierdzą nawet, że ciało Chrystusa wciąż spoczywa w ukrytym miejscu i oczekuje zmartwychwstania, by wynurzyć się w dniu Sądu Ostatecznego. Wówczas Boży Duch ponownie przejmie jego kości.

Osobiście podałem w wątpliwość pochodzenie tych pism, ale oni utrzymywali, że ich nauki i księga istniały na długo przed powstaniem kanonu Biblii.

Słyszając te słowa, popadłem w wielką złość, ale ciekawość nakazywała mi dowiedzieć się czegoś więcej. Z czasem ci ludzie,

szlachetni i dobrego serca, stali się moimi przyjaciółmi. Dzięki wnikliwym studiom zacząłem pojmować, że ich wierzenia, choć odbiegają od tradycyjnych, są zakorzenione w prawdziwej wierze i czci. Ich Bóg był naszym Bogiem. Ich Chrystus przypominał naszego. Zdawało się, że różni nas tylko sposób odczytywania nauk.

Jedenastego dnia października 1133 roku Jerozolimę najechała zgraja muzułmańskich wojowników. Choć udało nam się odeprzeć atak, w międzyczasie polegli nasi bracia z Cjumranu. Zginęli, broniąc swojego świętego miasta. Ich przywódca, starzec imieniem Zachariasz, odniósł dotkliwe rany i umierał, gdy do niego dotarłem. W rękach trzymał starą księgę, a ponieważ wiedział, że żaden z jego braci nie przeżyje najazdu, oddał ją mnie. Wyszeptał, że księga kryje między innymi starożytną tajemnicę, od dawien dawna chronioną przez jego lud: położenie pieczary, w której złożono ciało Chrystusa. Gdy wypowiedział te słowa, jego dusza uleciała ku Panu.

Zleciłem zaufanym skrybom przełożyć tekst księgi, w większości grecki. I wtedy właśnie przekonałem się, że to kronika spisana przez świętego człowieka zwanego Józefem z Arymatei. W księdze znalazłem też nakreślony przez niego plan, wskazujący miejsce pochówku Chrystusa. Wówczas zdałem sobie sprawę, że grób mieści się pod naszymi stopami, pod samą Świątynią Salomona.

Nakazałem swoim ludziom odnaleźć grobowiec Józefa. Po tygodniach kopania i przekuwania tych prastarych murów, trafiliśmy na skałę. Zaczynałem tracić nadzieję, gdyż miejsce to wyglądało na nietkniętą ludzką stopą. Jednak według dokładnych danych Józefa z Arymatei należało kopać jeszcze głębiej. Usunęliśmy skalne rumowiskoi przekonaliśmy się, że to, co wzięliśmy za zbocze góry, jest potężnym okrągłym kamieniem. Żeby go odtoczyć, trzeba było czterech ludzi. Naszym oczom ukazała się ukryta pieczara, której położenie dokładnie odpowiadało danym dostarczonym przez Józefa.

W środku znalazłem dziewięć kamiennych skrzynek, na których widniały imiona Józefa i członków jego rodziny. Ku mojemu zdumieniu, na dziesiątej znajdował się święty symbol Jezusa Chrystusa, a wewnątrz znalazłem ludzkie kości i relikwie, które mogły być związane tylko z krzyżem Pańskim.

Aby dotrzymać przysięgi i nieprzerwanie bronić imienia Boga oraz jego syna, Jezusa Chrystusa, zabezpieczyłem te cudowne relikwie pod fundamentami Świątyni Salomona. Jeśli bowiem nauki starca były prawdziwe, pewnego dnia te kości mogą być ożywione gwoli zbawienia wszystkich dusz ludzkich.

Kronikę Józefa z Arymatei nazwałem *Ephemeris Conclusio*. W niej kryje się tajemnica zbawienia.

Niechaj Bóg odpuści mi wszelkie występki.

Jego wierny sługa, Hugo de Payen

Faruk z namaszczeniem zwinął pozółkły pergamin i odłożył go do szkatuły. Zdjął okulary i rozsiadł się wygodnie w oczekiwaniu na reakcję Razaka. Ten wreszcie przemówił.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem. W dwunastym wieku templariusze zaprzyjaźnili się ze wspólnotą fundamentalistów żydowskich, a może chrześcijańskich, którzy im powierzyli *Ephemeris Conclusio*. Ta księga doprowadziła ich do szczątków Jezusa ukrytych w tajemnej pieczarze pod tą platformą. Prawie dziewięćset lat temu templariusze zabezpieczyli kryptę, a pod posadzką ukryli tę szkatułę z *Ephemeris Conclusio*. A ty odnalazłeś ją podczas prac wykopaliskowych w 1997 roku.

- Wszystko się zgadza.

Razak pogrążył się w zadumie. Korciło go, żeby zapytać Faruka, dlaczego templariusze ukryli tak nadzwyczajne relikwie, ale wiedział, że Strażnik nie zna prawdziwej odpowiedzi na to pytanie. To oczywiste, że templariusze starali się chronić starożytną tajemnicę. Zważywszy na ówczesny związek papieża z najemnikami, było dość prawdopodobne, że ta wiedza gwarantowała współpracę ze strony Kościoła, być może nawet wymuszoną szantażem. To mogło tłumaczyć, dlaczego templariusze tak szybko doszli do władzy. Pobożny ton listu Hugona de Payen wskazywał wszakże na coś innego. Może templariusze mieli jednak szlachetne intencje? Przecież kiedyś strzegli tego miejsca.

- Jak ci się udało przekonać Watykan do reakcji?

- To nie było trudne. Skontaktowałem się z ojcem Patrickiem Donovanem, kustoszem Biblioteki Watykańskiej. Wiedziałem, że ten

człowiek doskonale zdaje sobie sprawę z istnienia *Ephemeris Conclusio* i przede wszystkim jej doniosłego znaczenia. Wystarczyło, że wspomniałem tę nazwę, a on natychmiast zareagował. Kilka dni później sam dostarczyłeś mi księgę do Rzymu. Zgodnie z moimi przewidywaniami od tego momentu sprawy potoczyły się błyskawicznie.

- A gdyby się okazało, że ta nazwa nic mu nie mówi? Faruk zaśmiał się lekceważąco.

- Wszystko jedno. I tak bym go przekonał. Nie mógłby zlekceważyć takiej informacji.

- Bardzo wiele ryzykowałeś.

Słyszając to, Faruk uznał, że lepiej nie wspominać Razakowi o szczegółach. W istocie sam pomógł złodziejom, zlecając łącznikom z libańskiego Hezbollahu, którym szczególnie zależało na pogrążeniu państwa Izrael, przemyt materiałów wybuchowych do Jerozolimy. Na życzenie rabusiów załatwił im też profesjonalną nawiernicę, którą musiał sprowadzić z zagranicy. I tym razem Hezbollah okazał się nieoceniony.

- Rachunek prawdopodobieństwa, przyjacielu. Rzecz w tym, żeby trafnie ocenić szanse pozytywnego wyniku. W tym przypadku liczby działały na naszą korzyść, a ja zrobiłem to, co uważałem za stosowne. Jak już wspomniałem, zapobiegając odkryciu szczątków Jezusa, pomogliśmy zachować ciągłość nauk islamu i chrześcijaństwa. Godne pożałowania jest to, że w międzyczasie trzeba było poświęcić życie paru osób... ale to byli tylko Żydzi. Gdybyśmy nic nie zrobili, liczba ofiar, w sensie fizycznym i duchowym, byłaby znacznie większa, i to wśród muzułmanów oraz chrześcijan. Zyskaliby na tym tylko Żydzi, ale naszym kosztem. Chyba zgodzisz się ze mną, że osiągnęliśmy najlepszy możliwy rezultat.

Razak musiał przyznać, że w sposobie myślenia Faruka kryła się pewna logika. Niesłuchanie pokrętny plan minimalizacji strat.

- A co osobiście sądzisz o tym wszystkim? Co myślisz, wiedząc o tych rozbieżnościach z naszymi naukami?

Faruk wpatrywał się w sufit.

- To wcale nie znaczy, że powinniśmy kwestionować dogmaty

naszej wiary, Razaku. Może po prostu należy znaleźć ich głębszy sens. Nawet jeśli te skradzione kości rzeczywiście są szczątkami Chrystusa, nie mam zamiaru podupadać na wierze. Nie z powodu wiązki starych kości.

Razak przypomniał sobie, jak Barton wspominał coś o tekstach poprzedzających Biblię, ukazujących zmartwychwstanie jako transformację duchową, a nie fizyczną. Choć słowo „wskrzeszenie” przetrwało długie wieki, być może jego znaczenie ewoluowało i współcześnie jest interpretowane bardziej dosłownie.

- A Świątynia Salomona? Strażnik zacisnął wargi.

- Stare dzieje. Tak jak historia o królu Dawidzie, który podbił i przemianował Jerozolimę tysiąc lat przed Chrystusem. Żydzi przelali krew wielu niewinnych ludzi, żeby powrócić do swojej, jak ją nazywają, ziemi obiecanej. A kiedy sytuacja się odwróciła, poczuli zagrożenie. To miejsce należy do Allaha i do nikogo innego. Na razie Żydzi kontrolują tę ziemię, ale nasza obecność tutaj przypomina im, że wkrótce role znów się odwrócą. Ostatecznie to Allah zdecyduje, kto zwycięży - Faruk okrążył biurko i położył rękę na ramieniu Razaka. - Chodźmy do meczetu. Czas na modły.

RZYM

Aldrich przysunął się do Charlotte. - Charlie, co by było, gdybym powiedział ci, że każdą chorobę można uleczyć za pomocą jednego zastrzyku: surowicy o tak silnym działaniu, że może rekonstruować uszkodzone DNA? Charlotte otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spojrzała na fiolkę, na Evana i znów na jego rękę. Czy to możliwe?

- Kiedy byłem u ciebie w zeszłym tygodniu, znalazłem w lodówce lekarstwo... Melfalan... z twoim nazwiskiem.

Poczuła ucisk w gardle i do oczu napłynęły jej łzy.

- Chciałam ci powiedzieć, ale... Padła mu w ramiona.

- Już dobrze - powiedział łagodnie.

Charlotte na nowo wybuchła płaczem. Nagle poderwała się gwałtownie.

- Tabletki! Zostały w Watykanie. Przecież nie wolno mi ich odstawiać!

- Nie martw się - powiedział uspokajającym tonem. - Już ich nie potrzebujesz.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Szpiczako paskudny nowotwór - powiedział. - Na pewno strasznie cierpisz. I wiem, że pewnie dlatego ostatnio tak się ode mnie oddaliłaś. Za bardzo cię naciskałem, a przecież masz teraz co innego na głowie. To było bardzo egoistyczne z mojej strony.

- Ja... nie przyznałam się nikomu... - powiedziała przez łzy.

- Odtąd musimy dopilnować, żebyś była mniej skryta, bo inaczej rozsądzą cię emocje - powiedział z uśmiechem. - Potrafię sobie radzić z takimi rzeczami, Charlie. Musisz nauczyć się mi ufać.

Kiwnęła głową i sięgnęła po chusteczki leżące na nocnym stoliku.

- Muszę jeszcze powiedzieć tacie - otarła łzy. - Tak się tego boję. Przecież dopiero co uporał się ze śmiercią mamy...

- Nie musisz mu nic mówić. Jego uwagi zaczynały ją niepokoić.

- Co ty opowiadasz? Evan ujął delikatnie fiolkę.

- Jeśli nie mylę się co do tego, to nie będziesz miała mu o czym mówić. Nie będziesz miała po co zażywać mefalanu. Chciałbym przeprowadzić na tobie próbę kliniczną.

Otarła oczy z łez.

- Daj spokój, Evan. To nie takie proste.

- Początkowo też tak myślałem, ale chyba się zgodzisz, że jeśli chodzi o genetykę, to wiem, o czym mówię. A tym razem nie mam cienia wątpliwości.

Znów spojrzała na fiolkę, teraz już poważniej.

- Ale dlaczego ja? Jest tylu innych potrzebujących... w bardziej zaawansowanym stadium.

- W to nie wątpię. I jeśli się okaże, że mamy rację, może pomyślimy o tym, jak im pomóc. Ale żeby to zrobić, muszę najpierw się zatroszczyć, żebyś doczekała tej chwili.

- Więc jeśli... jeśli się na to zgodzę, po prostu będę musiała to sobie wstrzyknąć?

- Tak.

- To DNA pochodzi od mężczyzny. Chyba nie zmienię płci? Oboje się roześmiali i atmosfera trochę się oczyściła.

- Już nie ma tu czynników decydujących o płci - zapewnił ją. - To tylko dostosowana do twoich potrzeb surowica, która wpłynie przede wszystkim na stan kości, krwinek i tak dalej. W przypadku idealnego genomu można tworzyć różnorodne konfiguracje.

- To niebywałe - mruknęła.

Evan spojrzał na fiolkę i znów na Charlotte.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, a Charlotte rozmyślała nad ponurą perspektywą kontynuowania chemioterapii. Nie miała wątpliwości, że nawet jeśli ta metoda pozwoli chwilowo powstrzymać nieuleczalną zarazę trawiącą jej kości, to spowoduje, że nie będzie mogła mieć dzieci. W najlepszym przypadku pożyje jeszcze dziesięć albo piętnaście lat. Nawet nie doczeka pięćdziesiątki.

- No i?

Charlotte uśmiechnęła się, wiedząc, że może mu zaufać. Przed oczami ujrzała odwracającego klepsydrę anioła śmierci z Bazyliki św.

Piotra.

- Zgoda.

- To świetnie - Evan uśmiechał się od ucha do ucha. - W takim razie teraz mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie. Kim, u licha, był ten człowiek?

Ojciec Donovan wcisnął jej bajeczkę, że Józef z Arymatei podmienił ciało, żeby obalić dogmat Jezusa jako obiecanego Mesjasza. Teraz ta opowieść wydała jej się całkowicie absurdalna. Tak niezwykły profil genetyczny mógł należeć tylko do boskiej istoty.

Podeszła do okna i w milczeniu spojrzała w dal, w stronę Rzymu. A potem odwróciła się do Aldricha i choć w jej oczach był smutek, uśmiechnęła się promiennie.

WATYKAN

Jak zwykle punktualnie o siódmej wieczorem Bazylika Świętego Piotra została zamknięta i wewnątrz oświetlone przyćmionym światłem było puste. Tylko wzdłuż północnej nawy kroczyła pospiesznie jakaś postać taszcząca czarną torbę. Ojciec Donovan podszedł do wyniosłego baldachimu, gdzie tuż pod papieskim ołtarzem znajdowało się otoczone marmurową balustradą wejście do podziemnej groty. Donovan zatrzymał się na chwilę i przeżegnał, po czym rozejrzawszy się bacznie wokół, otworzył bramkę i prześliznął się do środka. Zamknął ją za sobą i zaczął schodzić krętymi, półkolistymi schodkami.

Poziom niżej znajdowała się bogato zdobiona marmurowa kaplica, połyskująca w ciepłym świetle dziewięćdziesięciu dziewięciu ozdobnych lamp olejowych, oświetlających nieustannie najświętsze miejsce w całym Watykanie - *Sepulcrum Sancti Petri Apostoli*.

Grób Świętego Piotra.

Według Józefa z Arymatei to Piotr został wyznaczony do wykonania dwóch ostatnich, najważniejszych zadań w służbie Mesjaszowi: miał przenieść dziesięć ossuariów z Rzymu do nowej krypty pod powierzchnią Wzgórza Świętynnego w Jerozolimie i dostarczyć cenny manuskrypt - źródło Ewangelii - Zelotom, którzy się przyczynili do zrealizowania ambitnego planu Jezusa, czyli odbudowania świątyni.

Donovan wspomniał ostatni ustęp *Ephemeris Conclusio*.

Dziś cesarz Neron wydaje w swym pałacu ucztę. Mam usiąść u jego boku; wśród zaproszonych jest też moja żona i nasze dzieci. Przyjąłem to zaproszenie, choć napawa mnie ono wielkim smutkiem, gdyż znam jego zamiary i wiem, że zło gości w jego sercu. Ci, którzy przestrzegają nauk Chrystusa, odmówili złożenia hołdu cesarzowi. Wielu spłonęło żywcem.

Neron powiadomił mnie, że za moje zasługi dla Rzymu zarówno ja,

jak i moja rodzina zginiemy humanitarną śmiercią. Dzisiejszego wieczoru będziemy spożywać zatrutą strawę.

Rzym jest ogromny, ale Neron znajdzie nas choćby pod ziemią. Teraz tylko Bóg może nas ocalić. Nasz los jest w Jego rękach.

Uzgodniliśmy, że nasze ciała zostaną wydane mojemu bratu, Szymonowi Piotrowi, który złoży je w mojej krypcie obok ciała Jezusa. Gdy ciała ulegną rozkładowi, Piotr uda się z nimi w podróż do Jerozolimy. Jezus zostanie pochowany pod wielką świątynią, jak mu to obiecałem w dniu ukrzyżowania. Tam i my będziemy mieć udział w jego chwale w Dniu Pojednania. Świątynia zaś zostanie oczyszczona i tak oto Bóg powróci do świętego przybytku.

Poprosiłem Piotra, by dostarczył te pisma naszym braciom, Esseńczykom, którzy będą godnie strzec tego świadectwa Boga i Jego Syna. Niechaj powiedzą wszystkim ludziom, że Sądny Dzień jest blisko.

Kiedy Piotr wypełnił obowiązek względem brata, powrócił do Rzymu, aby nadal szerzyć nauki Jezusa. Wkrótce potem został uwięziony przez Nerona i skazany na śmierć przez ukrzyżowanie głową w dół.

Dalej. Idź dalej - powtarzał w duchu Donovan.

Tuż pod podstawą baldachimu, między czerwonymi marmurowymi kolumnami znajdowała się mała przeszklona wnęka, w której widniała złocista mozaika przedstawiająca Chrystusa z aureolą. Tuż przed nią stała niewielka złota szkatułka - ossuarium.

Ossuarium mieściło szczątki samego świętego Piotra, wydobyte z położonego jeszcze niżej grobu, odkrytego przypadkiem podczas prac wykopaliskowych w 1950 roku. Szkielet spoczywał we wspólnej mogile, ale zwróciła uwagę archeologów nadzorujących prace, ponieważ należał do starszego mężczyzny i brakowało w nim stóp, co mogło znaczyć, że ciało tego człowieka odcięto od odwróconego krzyża. Po przeprowadzeniu badania ra-diowęglowego okazało się, że mężczyzna żył w pierwszym wieku.

Donovan wyjął z kieszeni złoty klucz, który *wydostał* z sejfu w Tajnym Archiwum Watykańskim. Odłożył torbę i wsunął klucz do zamka we framudze wnęki. Zawiasy cicho zgrzytnęły i drzwiczki

otworzyły się na oścież.

Donovan wpatrywał się w odlane w szczerym złocie ossuarium, które z pewnością nieprzypadkowo, kształtem przypominało Arkę Przymierza. Znajdujące się tuż nad nim cztery spiralne kolumny wspierające baldachim także nawiązywały do architektury Świątyni Salomona.

Donovan wiedział, że ma mało czasu. Wyciągnął ręce i mocno chwycił wieko szkatuły. Wziął głęboki oddech, podniósł je i odsunął na bok.

Ossuarium świętego Piotra było puste. Dokładnie tak, jak się spodziewał.

Po zbadaniu kości apostoła szkielet przeniesiono z powrotem do skromnej konstantyńskiej krypty, w której został znaleziony. Niewiele osób wiedziało, że szkatułę ustawiono symbolicznie ku czci pierwszego papieża.

- Boże, zmiłuj się nade mną - wyszeptał uroczyście Donovan, wpatrując się w mozaikę przedstawiającą Chrystusa.

Zaczął odmawiać Modlitwę Pańską i jednocześnie przenosić kości ze skórzanej torby do ossuarium. Na samej górze położył idealnie zachowaną czaszkę wraz z żuchwą. Założył na powrót wieko.

Ledwie zdążył zamknąć szklane drzwiczki i przekręcić kluczyk w zamku, gdy z góry, z wnętrza bazyliki dobiegły go jakieś odgłosy. Otwieranie drzwi. Szybkie kroki. Podniecone głosy.

Tuż nad wnęką znajdowała się ciężka metalowa kratka, za którą ciągnął się otwór wentylacyjny doprowadzający powietrze do pomieszczenia pod ołtarzem. Donovan odruchowo wsunął kluczyk przez otwór i wrzucił go w ciemną otchłań. Usłyszał cichy brzęk metalu uderzającego o skałę. Przypomniał sobie również o pustej strzykawce, którą miał w kieszeni, i ją również wyrzucił.

Chwycił torbę i pokonał kilka schodków, ale nie wystawiał głowy.

- *Padre Donovan* - zawołał ktoś tubalnym głosem. - Jesteś tam?

Wyjrzał przez balustradę i zobaczył trzy postacie - dwie w błękitnych mundurach i czarnych beretach i jedną w sutannie. Ksiądz w asyście dwóch gwardzistów.

Droga odcięta!

Przez chwilę rozważał, czy się nie wycofać do rozległej podziemnej krypty papieskiej przylegającej do kaplicy Świętego Piotra. Może uda mu się ukryć tam na chwilę wśród setek sarkofagów, przeczekać, a potem spróbować wydostać się z Watykanu.

Zastanawiał się, jak to się stało, że tak szybko go znaleźli. Potem przypomniał sobie, że wchodząc do bazyliki użył swojej karty magnetycznej. Ilekroć wsuwał kartę do czytnika, w systemie bezpieczeństwa Gwardii Szwajcarskiej pojawiała się informacja o miejscu jego pobytu. Jak się okazało, to zabezpieczenie było też wykorzystywane w innych, bardziej złowrogich celach. Teraz dotarło do niego, w jak fatalnym jest położeniu. Nie może się ukrywać, ponieważ już wie, że tu jest.

Starając się zachować spokój, wszedł po pozostałych stopniach i otworzył bramkę.

- Tu jestem! - zawołał.

Strażnicy podeszli do niego szybkim krokiem. Ksiądz podązał za nimi.

- Dopiero co skończyłem się modlić - powiedział Donovan z przekonaniem. Zdawało mu się, że to kupili.

- Ojciec - powiedział oschle niższy gwardzista - prosimy z nami.

Kustosz z podziwem spojrzął na lśniące beretty żołnierzy i przypomniał sobie poprzedni dzień, kiedy razem z Santellim wstąpili do bazy, żeby wyciągnąć Contego. Rusznikarz Gwardii Szwajcarskiej właśnie wyjął parę sztuk broni do przeglądu i w całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył, jak Donovan wsuwa do kieszeni pistolet i naboje na kilkakrotne wypełnienie magazynka.

Donovan zdobył się na uśmiech i zapytał:

- Czy coś się stało?

- Tak - odpowiedział ksiądz, wynurzając się zza pleców żołnierzy.

Donovan założył okulary i przekonał się, że stoi przed nim ojciec Martin. Czyżby asystent Santellego odkrył zwłoki kardynała? Czy straż jest tu po to, żeby go aresztować?

- Mamy poważny problem - powiedział surowo Martin. - Wkrótce po twoim wyjściu z gabinetu kardynała Santellego okazało się, że Jego Eminencja nie żyje.

Donovan gwałtownie złapał powietrze. Robił wszystko, żeby wyglądać na zaskoczonego. Serce waliło mu młotem, a dłonie zaczęły się pocić.

- To okropne - stwierdził. Wiedział, jaki będzie ciąg dalszy. Zaraz na pewno padną oskarżenia.

- Wszystko wskazuje na to, że miał zawał serca - wyjaśnił Martin. Donovan przyjrzał mu się uważnie i mógłby przysiąc, że w jego głosie wyczuł nieszczerłość. Odetchnął głęboko, niby to wstrząśnięty, a w rzeczywistości uspokojony.

- To wielka tragedia - powiedział nieco ciszej Martin i na chwilę spuścił wzrok, jakby czuwając. Nie przyznał się, że podsłuchał przez telefon rozmowę Donovana z Santellim. To, co usłyszał, wstrząsnęło nim do głębi. Był niemal pewien, że Donovan zemścił się na tym starym intrygancie, ale nie wiedział, jak tego dokonał. Przecież wykrywacze metalu były niezawodne. Ale to nieważne, pomyślał. Na miejscu Donovana postąpiłby tak samo. Bądź co bądź ten drań Santelli już nie żyje. To wyjdzie na dobre nie tylko Kościołowi, ale i mnie, pomyślał.

- Potrzebujemy twojej pomocy, żeby wydostać z archiwum testament kardynała - westchnął. - Trzeba też bezzwłocznie powiadomić jego rodzinę.

Donovan podniósł głowę i spojrzał na niego błyszczącymi oczami.

- Naturalnie. Możemy iść tam od razu. Martin dodał mu otuchy uśmiechem.

- Niech cię Bóg błogosławi, ojczu.

**NIEDZIELA
JEROZOLIMA**

Graham Barton jeszcze nigdy tak się nie cieszył na widok zakurzonych ulic Jerozolimy. Wziąwszy głęboki ożywczy oddech, poczuł znaną woń cyprysów i drzew eukaliptusowych. Cudowny poranek. Uśmiechnął się na widok Razaka stojącego u stóp schodów prowadzących na posterunek i ucieszył się jeszcze bardziej, gdy u jego boku zobaczył swoją żonę. Jenny wbiegła po schodach i rzuciła mu się na szyję. Całował ją po twarzy i czuł, że jest słona od łez.

- Tak strasznie się o ciebie martwiłam.

- A ja nie przestawałem o tobie myśleć. Dziękuję, że przyjechałaś. Uśmiechnęła się.

- Przecież wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Podobno w Jerozolimie często kogoś wrabiają - Razak objął Bartona. - W każdym razie Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

- Nie inaczej. A propos - Barton był trochę zbity z tropu - jak tego dokonałeś? Co przekonało Izraelczyków, że to nie moja sprawa?

- Wszystko w swoim czasie - odpowiedział Razak. - Mam dla ciebie prezent - wyciągnął rękę z pękata kopertą. Wyglądała, jakby kryła opasłą księgę.

- Co to takiego?

- Kopia jednego z dowodów rzeczowych wykorzystanych w twojej obronie - odpowiedział zagadkowo Razak.

Barton sięgnął po kopertę.

- Ta koperta kryje bogate dzieje - dodał Razak. - Powinieneś się z nimi zapoznać. Zapewniam cię, że nie będziesz rozczarowany.

Faruk siedział na tarasie z widokiem na czerwone dachy i omszałe fasady domów w muzułmańskiej dzielnicy Starego Miasta. Był wyjątkowo przyjemny dzień. Niebo było bezchmurne, a delikatny wietrzyk niósł zapach palm. Faruk był zadowolony. Szczerze mówiąc, już od dawna nie czuł się tak dobrze. Izrael znów stał na krawędzi zbrojnego starcia, walka o wyzwolenie Palestyny trwała w najlepsze, a wiara jego ludzi - najważniejsza iskra zaogniająca konflikt - wciąż nie malała. Uśmiechnął się i wziął łyk naparu z mięty. W oddali słyszał tłumy napierające na Wzgórze Świątynne, chociaż dzisiaj ten dźwięk brzmiał trochę inaczej niż zwykle, jakby bardziej... radośnie? W mieszkaniu zadzwonił telefon. Faruk podniósł się z krzesła i poszedł odebrać.

- *As-salam.*

- Słyszał pan najnowsze wieści? - usłyszał drżący głos Akbara.

- Nie. Czym się tak martwisz?

- Proszę włączyć telewizor... CNN. Niech pan potem do mnie zadzwoni, co robić.

Trzask. Koniec rozmowy.

Faruk, zaniepokojony, chwycił pilota i włączył CNN. Na przedzielonym na pół ekranie było widać dwoje komentatorów - spikera siedzącego w studio i atrakcyjną blondynkę stojącą na ulicy. Za jej plecami wznosiło się Wzgórze Świątynne, a u dołu ekranu widniał pasek z napisem: „Bezpośrednia relacja z Jerozolimy”.

Faruk skrzyżował ramiona i wpatrywał się w ekran. Nawet nie usiadł.

- To z pewnością wywołało spore poruszenie w Jerozolimie - powiedział spiker poważnym tonem. - Taylor, powiedz nam, jak na tę wiadomość zareagowały miejscowe władze?

Przekaz satelitarny z Nowego Jorku do Jerozolimy był nieco opóźniony.

- Wciąż jeszcze czekamy na oficjalne stanowisko izraelskiego rządu - odpowiedziała z zawodowym dystansem reporterka. - Na razie

śledzimy doniesienia lokalnych stacji telewizyjnych.

- A czy zidentyfikowano już anonimowego informatora? Dłuższa przerwa.

- Jeszcze nie - odpowiedziała, przytrzymując przy uchu słuchawkę.

- I można odnieść wrażenie, że ten fakt budzi większe emocje niż same relikwie.

Faruk zdębiał. Relikwie? Informator? Mężczyzna w studiu odwrócił się do kamery.

- Dla tych z państwa, którzy dopiero włączyli telewizory, mamy doniesienia z ostatniej chwili. Dziś przed południem w Jerozolimie władze izraelskie dotarły do kluczowego dowodu w sprawie piątkowego brutalnego ataku na Wzgórze Świątynne, który przyniósł śmierć trzynastu żołnierzy izraelskich i pozostawił wiele pytań, na które wciąż nie znamy odpowiedzi. Taylor, czy ta księga, którą anonimowa osoba dostarczyła izraelskiej policji, na pewno jest autentyczna?

To niemożliwe, próbował wmawiać sobie Faruk. Poczuł, że uginają się pod nim kolana i osunął się na fotel.

- Dowiedzieliśmy się, że archeolodzy współpracujący z IAZS, Izraelską Administracją Zabytków Starożytności, przeanalizowali starożytny manuskrypt i opierając się na wynikach próby węglowej, stwierdzili z całą stanowczością, że dokument jest autentyczny. Z dowodami zapoznali się także niezależni naukowcy, co zdaje się potwierdzać zapewnienia archeologów.

- Czy udało ci się zapoznać z treścią księgi? Chwilowe zakłócenia.

- Dotychczas nikt nie podał takiej informacji - odpowiedziała, kręcąc głową. - Wiemy, że jutro po południu odbędzie się konferencja prasowa IAZS, podczas której zostaną ujawnione wszystkie szczegóły. Powołując się na źródła zbliżone do śledztwa, mogę potwierdzić, że w księdze znajdują się istotne fakty historyczne związane z żydowską świątynią, która stała na Wzgórzu Świątynnym w pierwszym wieku. Równie zdumiewające jest to, że zdaniem naszych rozmówców w księdze są opisane szokujące fakty na temat życia i śmierci Jezusa Chrystusa.

- To rzeczywiście sensacyjne wieści - na twarzy dziennikarza było

widać napięcie, a jego plecy jeszcze bardziej się wyprostowały.

- Jak nietrudno sobie wyobrazić - reporterka uniosła nieznacznie brew - te informacje są po prostu niewiarygodne. Żydzi świętują na ulicach... a muzułmanie wcale nie są zachwyceni. Oczywiście chrześcijanie, z którymi rozmawialiśmy, z niecierpliwością czekają na dalszy rozwój wydarzeń. Wzgórze Świątynne już od wieków jest przedmiotem niekończącego się sporu między wyznawcami trzech religii...

Faruk al-Dzimir gapił się w ekran i czuł się tak, jakby cały świat zwałił mu się na głowę. Próbował dojść, jak to się stało, że oryginalny manuskrypt trafił znów do Jerozolimy... i to tak nagle. Z pewnością nie za pośrednictwem Stolicy Apostolskiej, która niechybnie przewidziała by fatalne konsekwencje takiego posunięcia. Przecież Rzak z pewnością wręczył wysłannikowi Watykanu oryginalny tekst, a nie kopię. Ale czy na pewno? A może jest jakaś druga księga? To wydawało się dość mało prawdopodobne.

Niespodziewanie ktoś zadzwonił do drzwi.

Faruk nie spodziewał się dziś gości. Z niezadowoloną miną ruszył do drzwi. Dzwonek odezwał się ponownie.

- Już otwieram! - krzyknął zniecierpliwiony.

Otworzywszy drzwi wejściowe, stwierdził z zaskoczeniem, że ktoś zaparkował przed domem żółtą furgonetkę DHL. Na werandzie stał młody Palestyńczyk w uniformie. Za uszami dyndały mu białe słuchawki iPoda, a w ręce trzymał jakieś prostokątne urządzenie. Faruk zmarszczył brwi na widok szortów młodzieńca.

- Założyłbyś jakieś przyzwoite spodnie - powiedział zrzędlwym tonem. - Nie masz za grosz wstydu.

Kurier wzruszył ramionami.

- Przesyłka dla pana.

Twarz Strażnika zdradzała konsternację. Nie spodziewał się żadnej paczki.

- A co to może być?

- A skąd mam wiedzieć? - odparł młody człowiek. - Proszę podpisać, to wyładuję - podsunął urządzenie elektroniczne, wskazał podświetlony ekran dotykowy i podał mu plastikowy rysik. Faruk

złożył swój podpis.

- Wielka ta paczka. I ciężka. Gdzie ją wyładować?

Faruk, coraz bardziej zaniepokojony, zaczął gładzić brodę - stary nawyk z żołnierskich czasów.

- Do garażu - wskazał sąsiednią bramę. - Już otwieram. Wszedł do środka i wcisnął przycisk otwierający bramę garażu.

Na widok zdewastowanego mercedesa jęknął przeciągle. Jedyne porządne warsztat w okolicy należał do Żyda, który z uwagi na ostatnie wydarzenia w Jerozolimie odmówił wykonania usługi. Teraz ta kupa złomu musiała czekać, aż znajdzie kolejnego zdolnego blacharza. Czekał ze skrzyżowanymi rękami i naburmuszoną miną, a brama podnosiła się powoli, skrzypiąc niemiłosiernie.

Po drugiej stronie stał kurier z paczką.

Gdy Faruk zobaczył drewnianą skrzynię, zmarszczki na jego twarzy się wygładziły. Wszedł z garażu i rozejrzał po wąskiej uliczce.

Kierowca wyładował paczkę na cementową posadzkę garażu, wsunął windę hydrauliczną z powrotem do furgonetki i odjechał.

Faruk spojrział na etykietę. Przesyłkę nadano w Rzymie, a zamiast adresu *nadawcy* widniał numer skrzynki pocztowej założonej na nazwisko niejakiego Daniela Marrone.

Strażnik poczuł nagle zawroty głowy.

Dobre dziesięć minut zbierał się na odwagę i wreszcie zaczął otwierać paczkę. A nie było to łatwe. Po zdjęciu pokrywy przekonał się, że skrzynkę wypełnia folia bąbelkowa. Kiedy ją rozdarł, poczuł pod palcami zimny kamień. Ogarnęły go bliżej nieokreślone złe przeczucia - przemożne poczucie straty i porażki. Najpierw księga. Teraz jeszcze to. Zerwał ostatnią warstwę folii i wpatrywał się bezmyślnie w efektowne zdobienia na pękniętym wieku ossuarium. Bezbłędnie rozpoznał te wzory, ponieważ znał je ze stronic *Ephemeris ConZusio*.

U wylotu garażu nieoczekiwanie zamajaczyło kilka postaci.

- Tylko spróbuj się ruszyć - powiedział ktoś po arabsku.

Faruk wyprostował się gwałtownie i zobaczył czterech mężczyzn mierzących z broni w jego klatkę piersiową. Byli ubrani po cywilnemu i mieli na sobie kamizelki kuloodporne, ale Faruk nie miał

najmniejszych wątpliwości, z kim ma do czynienia. Agenci Szin Bet. Demony przeszłości.

- O co chodzi? - zapytał.

Zza rogu wyłonił się Ari Teleksen. Jego obwisłe policzki rozciągał teraz szydrczy uśmiezek. Z ust zwisał mu papieros. Dmuchał dymem, wiedząc, że w ten sposób tylko rozsierdzi gospodarza.

- Faruk al-Dżamir we własnej osobie - rozbrzmiał dręczący baryton.

- Pomyślałem, że dostarczę ci instrukcję obsługi tej przesyłki. Zdaje się, że zapomniałeś wziąć ją z biura - w trzech palcach kalekiej ręki trzymał plastikową koszulkę z plikiem kartek. - Chyba że wolisz zapoznać się z oryginałem. Zawsze mogę pogadać z kumplami z IAZS.

Faruk natychmiast rozpoznał okładkę *Ephemeris Conclusio*.

- Jak za starych dobrych czasów, co? - z twarzy Teleksena nie zniknął uśmiech. - Może mała przejażdżka?

Po raz pierwszy od lat Faruk poczuł strach. Paniczny strach.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym wyrazić moją wdzięczność i serdecznie podziękować tym wszystkim, którzy służyli mi inspiracją i wprost niewymiernym wsparciem emocjonalnym oraz rozległą fachową wiedzą.

Dziękuję mojej żonie, Caroline, za jej cierpliwość i słowa otuchy oraz moim ukochanym córkom, Vivian i Camille > za to, że codzienne przypominają mi, iż rodzina to najcenniejszy z darów.

Wszystkim moim przyjaciołom i członkom rodziny - wiecie, że to o was! - za to, że znosili moje niekończące się podróże i prowokowali do fascynujących dyskusji, dzięki którym panowałem nad mętlikiem w głowie i stąpałem twardo po ziemi.

Moim agentom literackim i przyjaciołom zza oceanu, Charlie Viney i Ivanowi Mulcahy'emu, którzy wierzyli we mnie i pomogli mi w pełni rozwinąć skrzydła. I jeszcze Jonathanowi Conwayowi!

Genialnemu redaktorowi Dougowi Gradowi, profesjonalście o ogromnym poczuciu humoru, oraz Alison Stoltzful, której talent w równym stopniu zdecydował o sukcesie tego zespołu.

Wreszcie muszę podkreślić rolę obszernej dokumentacji: drukowanej, zgromadzonej na kasetach wideo i płytach DVD oraz krążącej w cyberprzestrzeni ku uciesze wszystkich ciekawych świata. Na poszukiwania, marsz!

SZPIEGOSTWO
SPISEK
MORDERSTWO

TRÓJCA ZUPEŁNIE NIEPRZENAJŚWIĘTZA

Doskonały thriller religijny
pełen mrocznych tajemnic i zagadek.
Dla miłośników gatunku i nie tylko!

„Skorumpowani kardynałowie, pogardliwi Izraelczycy,
tajemniczy templariusze. Najbardziej współczesne spojrzenie na
zagadnienia religii wśród autorów thrillerów”

Publishers Weekly

„Zapierająca dech w piersiach wydrówka po historycznych
wydarzeniach ubranych po mistrzowski w literacką fikcję. Dosko-
nała lektura”

The Bookshelf

„W końcu Dan Brown doczekał się godnego siebie rywala”

Publishing News

